

The background of the cover is a stained glass window with a warm, golden-yellow and blue color palette. The window features intricate floral and leaf patterns. In the center, a woman's silhouette is visible, standing in an arched opening. She is wearing a dark jacket and dark pants, and her hands are tucked into her pockets. The overall atmosphere is mysterious and elegant.

LINDA
HOWARD

Zabójcze zauroczenie



LINDA

HOWARD

Zabójcze

zauroczenie

Wspaniałym ludziom i drogim przyjaciołom,

Phyllis i Basilowi Baconom.

Wasza przyjaźń to skarb.

Rozdział 1

Wentylator na suficie się zatrzymał.

Sara Stevens była tak przyzwyczajona do tego nieustannego pomruku, że cisza natychmiast ją zbudziła. Uchyliła jedną powiekę i spojrzała na elektryczny budzik, ale na wyświetlaczu nie dostrzegła świecących czerwonych cyfr.

Zamrugła, zaspana i zdezorientowana, i wreszcie zrozumiała, co jest nie tak.

Nie było prądu. Świetnie.

Przewróciła się na plecy, nasłuchując. Panowała cisza; nie usłyszała grzmotów oznajmujących gwałtowną wiosenną burzę, która wyjaśniałaby brak zasilania. Okna mieszkania Sary wychodziły na tył domu i wysokie ogrodzenie, nie zaciągała więc na noc zasłon; teraz przez szyby widziała słabo migoczące gwiazdy. Nie tylko nie padało; niebo nie było nawet zachmurzone.

Może wysiadł transformator. Albo ktoś walnął samochodem w słup wysokiego napięcia. Przyczyn awarii prądu mogło być tysiące.

Usiadła z westchnieniem i sięgnęła po latarkę, którą trzymała w nocnej szafce. Niezależnie od tego, co spowodowało brak elektryczności, ona powinna zadbać, żeby ta sytuacja jak najmniej dotknęła sędziego Roberta. Sędzia nie miał rano żadnych umówionych spotkań, ale kochany staruszek lubił jadać śniadanie o stałej porze. Wprawdzie nie zrzędził, gdy coś szło nie po jego myśli, ale każda zmiana ustalonego porządku irytowała go teraz o wiele bardziej niż jeszcze rok temu. Miał osiemdziesiąt pięć lat; zasługiwał na to, by jadać śniadania, kiedy chce.

Podniosła słuchawkę telefonu. Na szczęście nie był to aparat bezprzewodowy. Nie działałby teraz, gdy zabrakło prądu.

Nie rozległ się żaden sygnał.

Zdziwiona i trochę zaniepokojona wstała z łóżka. Jej mieszkanie znajdowało się nad garażem; salon z aneksem kuchennym od frontu, a sypialnia i łazienka z tyłu. Była u siebie i nie potrzebowała światła, by przejść do drugiego pokoju. Rozsunęła story zasłaniające okno od frontu i wyjrzała na dwór.

Nie paliła się żadna z lamp na podwórku, ale padające z prawej strony miękkie światło lamp sąsiadów rzucało długie, gęste cienie na wypieszczony trawnik sędziego.

A więc nie wyłączono zasilania. Mógł wyskoczyć któryś bezpiecznik, ale wtedy nie byłoby prądu tylko w części domu albo na terenie wokół, ale nie wysiadłoby jedno i drugie. Stojąc nieruchomo, Sara zaczęła się zastanawiać: nie ma zasilania, nie działają telefony, sąsiedzi obok mają prąd. Wysłucie logicznego wniosku nie wymagało wielkiego geniuszu: ktoś przeciął kable, a jedynym powodem, dla którego mógłby to zrobić, był zamiar włamania się do domu.

Boso, cicho jak kot, pobiegła z powrotem do sypialni i wyjęła z nocnej szafki dziewięćmilimetrowy automatyczny pistolet. Komórka - a niech to - została w jej terenówce, zaparkowanej pod zadaszeniem z tyłu domu. Pognała do drzwi, tylko przelotnie rozważała, czy iść do samochodu po telefon. Najważniejsza była ochrona sędziego. Musiała dotrzeć do niego, upewnić się, że jest bezpieczny. Podczas ostatniego roku pracy dostał kilka wiarygodnych gróźb, i choć on sam zupełnie się nimi nie przejmował, Sara nie mogła sobie pozwolić na taką niefrasobliwość.

Jej mieszkanie łączyła z domem klatka schodowa z drzwiami u góry i na dole; schodząc po schodach, Sara musiała zapalić latarkę, żeby się nie potknąć, ale gdy tylko dotarła na dół, zgasiła światło. Zatrzymała się, by przyzwyczać oczy do ciemności; jednocześnie wyęczała słuch. Żadnych podejrzanych dźwięków. Nic. Po cichu nacisnęła klamkę i centymetr po centymetrze

otworzyła drzwi do przybudówki. Nie przywitały jej żadne dziwne odgłosy, przeszła więc przez próg.

Stała w krótkim korytarzyku; po lewej stronie były drzwi do garażu. Ostrożnie poruszyła klamką i przekonała się, że drzwi wciąż są zamknięte. Dalej znajdowały się drzwi do pralni, a dokładnie naprzeciw nich

- wejście do kuchni. Ścienny zegar na baterie tykał monotonicznie; dźwięk zdawał się bardzo głośny, gdy brakło pomruku lodówki. Sara wślizgnęła się do kuchni, czując pod stopami zimne płytki posadzki. Okrążyła wielką wyspę kuchenną i znów zatrzymała się, nim weszła do pokoju śniadaniowego. Tu było widniej, bo wielkie okno wykuszowe wychodzące na ogród różany wpuszczało więcej światła, a to znaczyło też, że i ona jest lepiej widoczna, jeśli jakiś intruz patrzy akurat w tę stronę. Jej bladobłękitna bawełniana piżama rzucała się w oczy jak biel. Łatwy cel.

Ale było to ryzyko, które musiała podjąć.

Serce jej łomotało, odetchnęła więc powoli i głęboko, by się uspokoić i opanować falę adrenaliny. Nie mogła pozwolić, by wessał ją wir paniki; musiała go okiełznać, zachować chłodny, logiczny umysł, pamiętać o swoim przeszkoleniu. Wzięła kolejny głęboki wdech i powoli ruszyła przed siebie; starała się być jak najmniej widoczna, trzymała się ściany tak blisko, jak się dało. Powoli i spokojnie, myślała. Krok za krokiem, starannie stawiając stopy, by przez cały czas zachować równowagę, przekradła się wokół pokoju do drzwi wychodzących na tylny korytarz. Tu znów zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać.

Cisza.

Nie. Nagle doleciał do niej przytłumiony dźwięk, tak cichy, że nie była pewna, czy w ogóle coś usłyszała. Czekwała, wstrzymując oddech, z rozmysłem nie skupiając na niczym wzroku, by móc wychwycić każdy ruch. Korytarz był pusty, ale po chwili dźwięk rozległ się znowu, trochę głośniejszy, z... pokoju słonecznego?

Dwa salony i jadalnia znajdowały się we frontowej części domu, a kuchnia, pokój śniadaniowy, biblioteka i pokój słoneczny na tyłach. Pokój słoneczny był narożnym pomieszczeniem i miał dwie prawie w całości przeszklone ściany z dwojgiem rozsuwanych drzwi prowadzących na patio. Sara pomyślała, że gdyby planowała włamanie do domu, spróbowałaby dostać się tędy do środka. Najwyraźniej ktoś pomyślał tak samo.

Wślizgnęła się do korytarza, zatrzymała na ułamek sekundy, po czym dwoma długimi krokami dotarła do bocznej ścianki ogromnego stuletniego kredensu, w którym trzymano bieliznę stołową. Przyklękła na jedno kolano na grubym dywanie, w cieniu potężnego mebla, dokładnie w chwili, gdy ktoś wyszedł z biblioteki.

Miał ciemne ubranie i niósł coś dużego, nieporęcznego. Chyba komputer, ale w korytarzu było zbyt ciemno, by mieć pewność. Przeniósł ciężar do pokoju słonecznego; Sara znów usłyszała te przytłumione odgłosy, jakby szuranie butów po dywanie.

Serce łomotało jej w piersi, ale jednocześnie czuła ulgę. Intruz najwyraźniej był złodziejem, a nie kryminalistą planującym zemstę na sędzim. To oczywiście nie znaczyło, że są bezpieczni; złodziej mógł być agresywny, ale na razie zachowywał się jak ktoś, kto chce ukraść, co się da, i wymknąć cichcem. Był dobrze zorganizowany i metodyczny, o czym świadczył odłączony prąd i telefon. Złodziej prawdopodobnie odciął zasilanie, by unieszkodliwić system alarmowy, a potem przeciął linię telefoniczną- dodatkowy środek ostrożności.

Zastanawiała się, co powinna zrobić.

Dobrze pamiętała, że trzyma w ręce pistolet, ale sytuacja nie wymagała aż tak ostatecznych środków. Strzeliłaby, gdyby musiała ratować życie sędziego lub własne, ale nie zamierzała zabić człowieka z powodu kilku sztuk elektronicznego sprzętu. Nie zamierzała jednak pozwolić mu uciec.

Niewykluczone, że i on jest uzbrojony. Włamywacze z zasady nie nosili broni, bo gdyby noga im się powinęła, za włamanie z bronią w rękę groził o wiele bardziej surowy wyrok niż za zwykłe włamanie. Ale to, że większość włamywaczy była nieuzbrojona, nie dawało jej jeszcze pewności, że tak jest i teraz.

Z tego, co zdołała dostrzec w ciemnym korytarzu, facet miał z metr osiemdziesiąt wzrostu i był napakowany. Pewnie poradziłaby sobie z nim w bezpośredniej konfrontacji - chyba że był uzbrojony, a wtedy żadne szkolenie świata nie powstrzymałoby kuli. Ojciec zawsze powtarzał jej, że jest wielka różnica między pewnością siebie a chojrakowaniem; choj-rakowanie mogło kosztować życie. Najlepiej byłoby wziąć go z zaskoczenia, od tyłu, nie ryzykując postrzału.

Kolejny szelest ostrzegł ją, znieruchomiała. Włamywacz znów pojawił się w korytarzu, wracał z pokoju słonecznego do biblioteki. To dobry moment na atak - najlepiej dopaść go, kiedy będzie wracał z rękami pełnymi skradzionych rzeczy. Położyła latarkę na podłodze, przełożyła pistolet do lewej ręki i powoli zaczęła podnosić się z przykłąku.

Z pokoju słonecznego wyszedł drugi mężczyzna.

Sara zamarła z głową wysuniętą nad krawędzią kredensu. Jej serce uderzyło niepokojąco mocno, niemal pozbawiając ją tchu. Wystarczyłoby, żeby facet spojrzął w tę stronę; jej twarz, jasna i wyraźna w ciemności, była widoczna jak na dłoni.

Nie zatrzymał się, skradał się za pierwszym mężczyzną do biblioteki.

Sara opadła z powrotem pod ścianę. Wzięła kilka głębokich, cichych oddechów, wstrzymując każdy przez kilka sekund, by uspokoić serce. Jeszcze chwila, a stałaby wyprostowana, zupełnie odsłonięta.

Obecność dwóch mężczyzn z całą pewnością zmieniała postać rzeczy. Ryzyko było teraz podwójne, a szanse sukcesu o połowę mniejsze. Pomyślała, że jednak najlepszym wyjściem będzie, jeśli wymknie się na dwór do terenówki

i wezwie przez komórkę policję, pod warunkiem że dostanie się tam niezauważona. Ale musiałyby zostawić sędziego bez ochrony. Źle słyszał. Mogli się dostać do jego pokoju, zanimby się zorientował; nie miałby szansy się ukryć. Staruszek był dość waleczny, by stawić czoło każdemu intruzowi, a wtedy w najlepszym wypadku zrobiliby mu krzywdę, w najgorszym - zabili.

Musiała temu zapobiec, ale jeśli wyjdzie na dwór, by porozmawiać przez telefon, okaże się to niemożliwe.

Opanowała nerwowy dreszcz. Podjęła decyzję.

Z biblioteki dobiegło ją szuranie i ciche stęknienie. Mimo napięcia uśmiechnęła się; jeśli próbowali dźwignąć pięćdziesięciopięciocalowy telewizor, to obaj będą obciążeni ponad siły i będą też mieli zajęte ręce. Może to najlepszy moment, żeby ich załatwić.

Wstała i po cichu przeszła do drzwi biblioteki, przywierając plecami do ściany obok wejścia. Odważyła się na jedno błyskawiczne spojrzenie do środka. Jeden ze złodziei trzymał w zębach ołówkową latarkę; rzeczywiście siłowali się z telewizorem potworem. Bogu dzięki, zajęci targaniem telewizora, nie zauważyli jej.

Czekała; usłyszała kilka stęknień i jakieś przekleństwo wypowiedziane szeptem, a potem zobaczyła, jak wynoszą z biblioteki telewizor. Jeden ze złodziei szedł tyłem. Niemal słyszała, jak kości trzeszczą im pod ciężarem, cienki snop światła latarki padał wprost na spoconą wykrzywioną z wysiłku twarz pierwszego osiłka.

Bułka z masłem.

Sara się uśmiechnęła. Gdy tylko pierwszy złodziej wyszedł za drzwi, wystawiła bosą stopę i podcięła mu nogi. Mężczyzna jęknął ze strachu i zwałił się na plecy w korytarzu. Wielki telewizor grzmotnął bokiem o futrynę drzwi i poleciał do przodu. Mężczyzna na podłodze krzyknął, wystraszony; krzyk zmienił się nagle w wycie, gdy telewizor przygniótł mu brzuch i nogi.

Jego kolega wymachiwał gwałtownie rękami, aby się nie przewrócić. Latarka wypadła mu z ust; klnąc na czym świat stoi, stracił równowagę. Sara pomogła mu w tym, obracając się na pięcie i trafiając go pięścią w skroń. Cios nie miał pełnej siły, bo facet leciał w dół, ale był wystarczająco mocny, by zabolowały ją kostki, a złodziej rozciągnął się bezwładnie na pudle telewizora. Ten pod spodem darł się wniebogłosy. Nieprzytomny mężczyzna powoli ześlizgnął się na bok, wiotki jak mokra szmata. Cios w skroń zwykle odnosił taki właśnie skutek.

- Saro? Co się dzieje? Dlaczego nie ma prądu? - Ze szczytu schodów, mimo głośnych wrzasków mężczyzny przywalonego telewizorem, usłyszała głos sędziego.

Słusznie oceniając, że żaden ze złodziei nigdzie się nie wybierze w ciągu najbliższych kilku minut, Sara podeszła do schodów.

- Dwóch ludzi włamało się do domu - powiedziała. Sędzia miał przytępiony słuch, spod telewizora ciągle wydobywał się bolesny skowyt, Sara podniosła więc głos, by mieć pewność, że sędzia ją usłyszał.

- Już to załatwiłam. Proszę zostać na górze, dopóki nie pójde po latarkę.

- Jeszcze tego brakowało, żeby staruszek spadł po ciemku ze schodów, biegnąc jej na pomoc.

Podniosła latarkę z podłogi za kredensem i wróciła do klatki schodowej, by oświetlić sędziemu drogę w dół, którą pokonał ze zdumiewającą szybkością.

- Włamywacze? Zadzwoń na policję?

- Jeszcze nie. Odcięli linię telefoniczną, a ja nie miałam czasu iść do samochodu po komórkę.

Sędzia dotarł na dół i spojrzał w prawo, w kierunku hałasu. Gdy Sara uprzejmię oświetliła mu scenkę latarką, zachichotał.

- Jeśli dasz mi pistolet, to chyba zdołam przypilnować tych dwóch, kiedy będziesz dzwonić.

Wręczyła mu pistolet, kolbą naprzód, po czym wyrwała przewód telefonu w korytarzu i pochyliła się nad nieprzytomnym złodziejem. To był ten wielki, i aż stęknęła z wysiłku, odwracając go na brzuch. Szybko zgięła mu ręce za plecami, okręciła kablem nadgarstki, po czym odgięła jedną jego nogę do tyłu i przywiązała ręce do kostki. Jeśli nie był mistrzem świata w skakaniu na jednej nodze - a wątpiła, by ze wstrząśnieniem mózgu, co najmniej, zdobył się na jakiś większy wysiłek - raczej nie mógł nigdzie pójść, niezależnie, czy celowano do niego z pistoletu, czy nie. Zresztą tak jak jego koleś przygnieciony telewizorem.

- Zaraz wracam - powiedziała do sędziego, podając mu latarkę. Sędzia, dżentelmen w każdym calu, chciał oddać jej latarkę.

- Nie, będziesz potrzebowała światła.

- Reflektory samochodu zapalą się, kiedy otworzę go pilotem. Tyle światła mi wystarczy. - Rozejrzała się wokół.

- Jeden z nich miał latarkę włamaniówkę, ale ją upuścił, i nie wiem, gdzie poleciała. - Umilkła na chwilę. - Poza tym chyba nie chciałabym jej dotykać. Trzymał ją w ustach.

Sędzia znów się roześmiał.

- Ja też bym jej nie tknął. - W odbitym świetle latarki Sara nawet przez okulary widziała, jak błysnęły mu oczy. Rany, on miał z tego frajdę! Bo jeśli się dobrze zastanowić, emerytura nie była tak zajmująca jak obowiązki sędziego federalnego. Musiał tęsknić za przygodą, a przynajmniej za tym, aby coś się działo, i oto taka okazja sama wpadła mu w ręce. Będzie opowiadał o tym ze szczegółami swoim kolegom przez najbliższy miesiąc.

Zostawiła go na straży dwóch złodziejasków i ruszyła z powrotem przez pokój śniadaniowy i kuchnię. Kluczyki miała w torebce, weszła więc na górę - niemal w kompletnej ciemności - przezornie trzymając się poręczy. Na szczęście drzwi na górze zostawiła otwarte; jaśniejszy prostokąt posłużył jej za punkt orientacyjny. Gdy dotarła do swojego mieszkania, skręciła do maleńkiego

aneksu kuchennego i wyjęła drugą latarkę z szuflady, a potem pobiegła do sypialni po kluczyki.

Z latarką drogę powrotną pokonała o wiele szybciej. Sara otworzyła tylne drzwi i wychodząc za próg, wcisnęła guzik pilota przy kluczykach. Przednie i tylne pozycyjne światła jej trailblazera z napędem na cztery koła zapaliły się, w kabinie też. Szybko podeszła do samochodu, czując pod stopami zimne, szorstkie kamienne płyty; do licha, nie pomyślała, by założyć buty, kiedy była na górze.

Wślizgnęła się na fotel kierowcy i wyjęła małą komórkę z uchwytu na kubek. Wcisnęła guzik „włącz” i czekała, zniecierpliwiona, dopóki aparat nie zgłosi gotowości. W końcu, ostrożnie stąpając po płytach do domu, wystukała kciukiem trzy cyfry.

- Dziewięćset jedenaście. - Kobięcy głos w słuchawce był spokojny, niemal znudzony.

- Na Briarwood Road dwadzieścia siedem trzynaście miało miejsce włamanie - powiedziała Sara i zaczęła wyjaśniać sytuację, ale dyspozytorka jej przerwała.

- Skąd pani dzwoni?

- Spod tego samego adresu. Rozmawiam przez telefon komórkowy, bo odcięli mi linię telefoniczną. - Obeszła kuchenną wyspę i znalazła się w pokoju śniadaniowym.

- Jest pani w domu?

- Tak. Mam tu dwóch mężczyzn...

- Czy wciąż są w domu?

- Tak.

- Są uzbrojeni?

- Nie wiem. Nie widziałam żadnej broni, ale odcięli też prąd, w ciemności trudno mi było stwierdzić, czy są uzbrojeni, czy nie.

- Proszę pani, jeśli to możliwe, proszę wyjść z domu. Posłałam już na miejsce wozy patrolowe; powinny być tam za kilka minut, ale pani musi natychmiast wyjść z domu.

- Proszę przysłać też karetkę - powiedziała Sara, ignorując radę dyspozytorki. Weszła do korytarza i skierowała snop światła swojej latarki na dwóch mężczyzn na podłodze. Wątpiła, by którykolwiek z nich był w stanie wyjść stąd o własnych siłach. Krzyki tego pod telewizorem przemieniły się w jęki pomieszane z przekleństwami. Ten, którego walnęła w skroń, w ogóle się nie poruszył.

- Karetkę?

- Na jednego z włamywaczy spadł wielki telewizor i chyba połamał mu nogi. Drugi jest nieprzytomny.

- Spadł na nich telewizor?

- Tylko na jednego - odparła Sara, rzetelna do bólu. Ta rozmowa zaczynała ją bawić. - Pięćdziesiąt pięć cali, naprawdę ciężki. Próbowali go wynieść we dwóch, ale jeden się potknął i telewizor go przygniół. Drugi facet wylądował na górze.

- I ten człowiek, którego przygniół telewizor, stracił przytomność?

- Nie, ten jest przytomny. To temu drugiemu urwał się film.....

- A dlaczego jest nieprzytomny?

- Uderzyłam go w głowę.

Sędzia Roberts obejrzał się i roześmiał; udało mu się nawet pokazać jej kciuk, skierowany do góry, ręką, w której trzymał latarkę.

- Obydwaj są unieszkodliwieni?

- Tak. - W chwili, gdy to mówiła, nieprzytomny osiłek słabo poruszył głową i jęknął. - Zdaje się, że się budzi. Właśnie się poruszył.

- Proszę pani...

- Związałam go kablem telefonicznym - powiedziała Sara. W słuchawce na krótką chwilę zapanowała cisza.

- Powtórzę to, co pani powiedziała, by się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałam. Jeden z mężczyzn był nieprzytomny, ale właśnie się budzi, a pani związała go kablem telefonicznym.

- Zgadza się.

- Drugi jest przygnieciony pięćdziesięciopięciocalowym telewizorem i może mieć połamane nogi.

- Tak jest.

- Niezłe. - Sara usłyszała czyjś głos w tle. Dyspozytorka zachowała profesjonalizm.

- Dwie karetki są już w drodze. Czy ktoś jeszcze jest ranny?

- Nie.

- Czy ma pani jakąś broń?

- Jeden pistolet.

- Ma pani pistolet?

- Sędzia Roberts ma pistolet.

- Proszę mu powiedzieć, żeby go odłożył.

- Tak, oczywiście. - Żaden policjant przy zdrowych zmysłach nie wszedłby do ciemnego domu, w którym ktoś trzyma w ręce pistolet. Przekazała prośbę sędziemu Robertsowi, który zrobił buntowniczą minę, ale po chwili westchnął i schował pistolet do szuflady kredensu. Biorąc pod uwagę stan obu złodziei, trzymanie ich na muszce nie było konieczne, nawet jeśli sędzia czuł się przez to prawdziwym macho.

- Pistolet został schowany do szuflady - Sara zawiadomiła dyspozytorkę.

- Dziękuję pani. Patrole lada chwila będą na miejscu. Funkcjonariusze zechcą zabezpieczyć broń, proszę więc o współpracę.

- Nie ma sprawy. Idę teraz do drzwi, by na nich poczekać. - Zostawiła sędziego Roberta, by pilnował jeńców, i przeszła do frontowego holu. Otworzyła trzymetrowe dwuskrzydłowe drzwi w chwili, gdy dwa czarno-białe radiowozy policji Mountain Brook, błyskające kogutami, wpadły na podjazd i

zatrzymały się przed szerokimi schodami. Omiotły ją snopy światła z potężnych latarek, uniosła więc rękę, by osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem. -
Dziękuję.

- Cieszę się, że mogłam pani pomóc.

Sara rozłączyła się, gdy dwóch umundurowanych funkcjonariuszy zbliżyło się do niej z dłońmi na kolbach pistoletów. Z ich odbiorników radiowych dobiegały trzaski i urywki wiadomości, z których nic nie rozumiała, a obracające się światła sprawiały, że zadbane trawniki wyglądały jak jakaś dziwna, opustoszała dyskoteka. Z prawej strony zapaliły się zewnętrzne lampy u Cheatwoodów, gdy sąsiedzi postanowili sprawdzić, co się dzieje. Niedługo, jak się domyślała, cała okolica będzie na nogach, choć niewielu posunie się do takiego prostactwa, by samemu zobaczyć, co się stało. Reszta posłuży się telefonami, by uzyskać informacje.

- W kredensie w korytarzu jest pistolet - powiedziała, od razu informując policjantów. Już i tak byli wystarczająco zdenerwowani; nie wyciągnęli broni, ale każdy z nich trzymał dłoń na kolbie, tak na wszelki wypadek. - Należy do mnie. Co do złodziei, to nie wiem, czy są uzbrojeni, ale obaj są unieszkodliwieni. Pilnuje ich sędzia Roberts.

- A pani jak się nazywa? - zapytał bardziej barczysty policjant, powolutku wchodząc przez otwarte frontowe drzwi i świecąc latarką na wszystkie strony.

- Sara Stevens. Jestem kamerdynerem sędziego Roberta. Uchwyciła spojrzenie, którym się wymienili - kobieta kamerdyner?

Była przyzwyczajona do takiej reakcji, ale masywny funkcjonariusz spytał tylko:

- Sędziego?

- Lowella Roberta, emerytowanego sędziego federalnego. Zaczął mamrotać coś do mikrofonu na ramieniu, tymczasem Sara poprowadziła ich przez ciemny hol, obok podnóża kręconych schodów, do korytarza na tyłach

domu. Ich latarki omiotły dwóch mężczyzn na podłodze i wysokiego, chudego, siwowłosego pana, stojącego na straży w bezpiecznej odległości.

Złodziej, którego uderzyła w głowę, był już przytomny, ale najwyraźniej nie całkiem zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zamrugał kilka razy i zdołał wybełkotać:

- Coś stało? - Ale nikt nie pofatygował się, by mu odpowiedzieć. Ten pod telewizorem na przemian szlochał i kłął, usiłował zrzucić leżący mu na nogach ciężar, ale nie był w stanie go ruszyć i bardziej by sobie pomógł, gdyby wytarł zasmarkany nos; przynajmniej by coś osiągnął.

- A temu co się stało? - zapytał wyższy policjant, świecąc w twarz związanemu złodziejowi.

- Uderzyłam go w głowę.

- Czym? - Ukucnął obok mężczyzny i szybko, ale dokładnie go zrewidował.

- Pięścią.

Spojrzał na nią, zaskoczony. Wzruszyła ramionami.

- Trafiłam go w skroń - wyjaśniła, i policjant skinął głową. Cios w skroń ogłuszyłby King Konga. Sara nie dodała, że trenowała wiele godzin, by umieć wyprowadzić takie uderzenie. W razie konieczności oczywiście rozwinęłyby bardziej ten temat, ale dopóki funkcjonariusz nie zapytał wprost o jej umiejętności, i ona, i jej pracodawca woleli zachować w tajemnicy fakt, że była również ochroniarzem.

Rewidując złodzieja, policjant znalazł nóż z piętnastocentymetro-wym ostrzem, ukryty w pochwie przypiętej do kostki mężczyzny.

- Wynosili rzeczy tam - poinformowała, wskazując pokój słoneczny. - Są tam rozsuwane drzwi, a na zewnątrz patio.

W oddali dało się słyszeć wycie syren - wielu syren - sygnalizujące przybycie całej brygady policji i personelu medycznego. Sara wiedziała, że za chwilę dom zaroi się od ludzi, a ona miała jeszcze sporo do zrobienia.

- Usiądę sobie tam, żeby nie przeszkadzać - powiedziała, wskazując schody.

Gliniarz skinął głową, usiadła więc na czwartym stopniu, podkulając pod siebie bose stopy. Po pierwsze i przede wszystkim musiała załatwić podłączenie prądu do domu, a potem linii telefonicznej, choć na razie mogli sobie poradzić z samymi komórkami. Alarm antywłamaniowy miał awaryjne zasilanie na baterie, musiała więc założyć, że złodzieje jakoś go uszkodzili bądź też byli na tyle sprytni, by go rozbroić. Ludzie od systemów zabezpieczeń musieli wszystko sprawdzić. Pewnie trzeba też będzie wymienić przesuwane drzwi, ale to mogło poczekać do rana.

Z ustaloną listą najważniejszych spraw do załatwienia Sara zadzwoniła do Alabama Power, by zgłosić usterkę. Dobry kamerdyner znał na pamięć wszystkie tego typu ważne numery, a Sara była bardzo dobrym kamerdynerem.

Rozdział 2

Było po drugiej nad ranem, kiedy Thompson Cahill z radia dowiedział się o zgłoszeniu na Briarwood. Jechał już do domu, ale zgłoszenie brzmiało o wiele ciekawiej niż cokolwiek, co tam na niego czekało, zawrócił więc pikapa i ruszył z powrotem autostradą 280. Funkcjonariusze z patrolu nie wzywali śledczego, ale co mu tam, zgłoszenie zapowiadało się zabawnie, a jemu przydałoby się trochę zabawy w życiu.

Zjechał z Dwieście Osiemdziesiątej i skręcił w Cherokee Road; o tej nocnej godzinie nie było praktycznie żadnego ruchu, gdy kluczył cichymi uliczkami, w parę minut znalazł się więc na Briarwood. Nietrudno znaleźć taki adres: to na pewno tamten dom z tymi wszystkimi samochodami z migającymi kogutami, zaparkowanymi od frontu. W końcu dlatego był śledczym; potrafił wykombinować takie rzeczy.

Przypiął odznakę do paska. Zdjął sportową marynarkę z haczyka za siedzeniem i zarzucił ją na sprany czarny podkoszulek. W kieszeni marynarki

miał krawat, ale zostawił go tam, bo trudno zakładać go do T-shirtu. Tym razem musiał się zabawić w Policjantów z Miami.

Wokół kłębili się gliniarze, strażacy, lekarze, ludzie z załogi karettek. We wszystkich okolicznych domach zapaliły się światła, a przez okna wyglądali gapie. Tylko kilku okazało się na tyle ciekawskich, by wyjść z domów i zebrać się na ulicy. W końcu była to Briarwood Road, a Briarwood oznaczało stare pieniądze.

Przywitał go dowódca zmiany, George Plenty.

- Co ty tu robisz, Doktorku?

- I mnie miło cię widzieć. Jechałem do domu i usłyszałem zgłoszenie.

Zapowiadało się na niezły ubaw, a więc jestem. Co się stało?

George ukrył uśmiech. Opinia publiczna nie miała pojęcia, jak zabawna jest praca policji. Bywały chwile - chwile, które mogły wpędzić gliniarza w alkoholizm - kiedy okazywała się ponura i niebezpieczna, ale często dawała też powód do śmiechu. Zwyczajnie i po prostu, ludzie byli stuknięci.

- Dwóch kolesiów się wycwaniło; odcięli prąd, telefon i rozbili system alarmowy. Najwidoczniej myśleli, że mieszka tu tylko jeden człowiek, założyli więc, że nawet się nie obudzi. Okazało się jednak, że właściciel ma kamerdynera. Cwaniaczki byli zajęci wynoszeniem panoramicznego telewizora, kiedy ta cała kamerdyner podstawiała nogę temu, który prowadził. Facet upadł, telewizor runął na niego, a na dokładkę ta facetka walnęła w głowę drugiego złodziejaska, kiedy padał, i ogłuszyła go na amen. Potem związała go kablem telefonicznym. - George zachichotał. - Ocknął się już, ale ciągle gada od rzeczy.

- Facetka? - zapytał Cahill, nie do końca pewny, czy George'owi nie pomyliły się rodzaje.

- Facetka.

- Kobieta kamerdyner?

- Tak twierdzą.

Cahill prychnął.

- Jasne. - Staruszek mógł sobie mieć kobietę, która z nim mieszkała, ale wątpliwe, by była jego kamerdynerem.

- To ich wersja, i trzymają się jej. - George rozejrzał się wokół. - Skoro już tu jesteś, to może pomóż chłopakom spisać zeznania, żeby szybciej z tym skończyć.

- Pewnie.

Cahill wszedł do wielkiego domu. W korytarzu na wprost porozkładano lampy na baterie; światło i tłumek ludzi doprowadziły go na miejsce.

Odruchowo powąchał uważnie powietrze; był to nawyk gliny, szukającego śladów alkoholu czy trawki. Co takiego było w tych domach bogaczy?

Pachniały inaczej, jakby do budowy ścian użyto innego drewna niż w zwykłych domach. Wyczuł świeże kwiaty, воск do mebli, słaby ślad zapachu kolacji - czegoś włoskiego - ale żadnego alkoholu ani dymu, legalnego czy nielegalnego.

Dotarł do korytarza i na chwilę stanął z boku, by przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie. Sanitariusze kucali obok człowieka na podłodze; nieopodal leżał rozbity kadłub wielkiego telewizora. Facet jęczał i przeklinał, kiedy unieruchamiali mu lewą nogę. Drugi mężczyzna, kawał chłopca, siedział na podłodze z rękami skutymi za plecami. Odpowiadał na pytania lekarza, świecącego mu latarką w źrenice, ale było oczywiste, że gwiazdki wciąż wirują mu przed oczami.

Wysoki, chudy starszy pan z rozczochraną szopą siwych włosów stał z lewej strony, na uboczu, i spokojnie składał zeznanie funkcjonariuszowi. Nosił swoją godność niczym płaszcz, mimo że był ubrany w szlafrok i piżamę, a na nogach miał kapcie. Nawet odpowiadając na pytania, uważnie obserwował sytuację, jakby chciał się upewnić, czy wszystkim zajęto się jak należy.

Z prawej strony znajdowały się schody, a na czwartym stopniu od dołu siedziała kobieta w lekkiej bawełnianej piżamie i rozmawiała przez komórkę. Miała bosc stopy, przytulone jedna do drugiej, idealnie równiutko; jej gęste, ciemne włosy opadały na ramiona w nieładzie, jakby przed chwilą wstała z

łóżka. Cóż, zapewne tak było. Znowu uciekając się do detektywistycznej dedukcji, Cahill stwierdził, że to pewnie ta rezydentka domu, bo inaczej dlaczego byłaby w piżamie? Rany, ależ dziś wykazywał się bystrością.

Nawet w piżamie, bez makijażu, rozczochrana, była ładną kobietą. Nie, więcej niż ładną. Całkiem niczego sobie - z tego co widział, jakaś ósemka, i to nieumalowana. Pieniądze może i szczęścia nie dają, ale z pewnością stare dziady mogły sobie za nie kupić naprawdę niezłą dupcię, zakładając oczywiście, że ten tutaj był w stanie jeszcze cokolwiek zdziałać.

Znowu gniew ogarnął Cahilla. Żył, spał i jadł targany tym gniewem już od ponad dwóch lat, i doskonale zdawał sobie sprawę, że niesprawiedliwie ocenia tę kobietę. Odkrycie, że jego żona jest kłamliwą, zdradliwą dziwką, a potem długi, wstrętny rozwód każdego faceta mogły zmienić w zgorzkniałego drania. Zapomniał jednak o gniewie, by móc skupić się na pracy. Praca była jedyną rzeczą, którą potrafił się zajmować.

Podszedł do jednego z funkcjonariuszy z patrolu, Wilkinsa, dość młodego, dość zielonego, ale cholernie dobrego - ale przecież trzeba było być dobrym, żeby dostać posadę w Departamencie Policji Mountain Brook. Wilkins pilnował osiłka w kajdankach, tego ze wstrząśnieniem mózgu, przyglądając się, jak bada go lekarz.

- Potrzebujesz pomocy w spisaniu zeznań?

Wilkins obejrzał się, trochę zaskoczony na jego widok. W tym ułamku sekundy jego nieuwagi facet siedzący na podłodze rzucił się do przodu, przewrócił lekarza i skoczył na równe nogi ze zdumiewającą sprawnością. Wilkins obrócił się, szybki jak kot, ale Cahill był szybszy. Okręcił się na pięcie lewej nogi i wpakował swój prawy but numer jedenaście prosto w splot słoneczny faceta, jednocześnie kątem oka dostrzegł, że kobieta na schodach błyskawicznie poderwała się do góry. Włożył w cios dość siły, by facet złamał się wpół, dławiąc się i z trudem chwytając powietrze. Wilkins siedział już sprawcy na karku, nim ten zdążył paść na podłogę; dwóch innych mundurowych

przybiegło z pomocą. Widząc, że mają gości pod kontrolą - w końcu nie mógł jeszcze oddychać - Cahill odsunął się i spojrzał na lekarza, który wycierał zakrwawiony nos, zbierając się z podłogi.

- Widać nie był aż tak poszkodowany, jak udawał.

- Widać nie. - Lekarz wyjął ze swojej torby zwitek gazy, przyłożył do nosa i odetchnął głęboko. - Myśli pan, że teraz może być?

- Tylko zabrakło mu tchu. Nie kopnąłem go aż tak mocno. - Kopniak w klatkę z pełną siłą mógł zatrzymać serce, zmiażdżyć mostek, wywołać całą masę wewnętrznych urazów. Cahill uważał, by nawet nie połamać żeber.

Wilkins wstał, zasapany.

- Masz jeszcze ochotę na trochę papierkowej roboty, Cahill?

Papierkowa robota to z mora każdego gliny, a odpowiedź Cahilla była miarą tego, jak bardzo się nudził.

- Jasne.

Wilkins wskazał ruchem głowy kobietę, która z powrotem zajęła swoje miejsce na schodach i wróciła do rozmowy przez komórkę.

- Odbierz od niej zeznanie, a my wsadzimy tego Rambo do radiowozu.

- Bardzo chętnie - mruknął Cahill, i mówił szczerze. Kiedy włamywacz próbował uciec, kobieta wzbudziła zainteresowanie Cahilla. Nie krzyknęła, nie próbowała nieporadnie usunąć się z drogi; zerwała się gładko, cały czas obserwując włamywacza. Gdyby sam nie zatrzymał faceta, pomyślał, pewnie ona by to zrobiła - a przynajmniej spróbowalaby. - Dlatego chciał jej zadać wiele pytań.

Podszedł do schodów; ostry blask lamp na baterie umieszczonych za jego plecami wyraźnie oświetlał jej twarz. Nie przerwała rozmowy przez telefon, spokojna i skupiona, choć gdy podszedł, uniosła palec, dając mu znak, że za chwilę skończy.

Był gliną; nie przywykł, by ludzie kazali mu czekać. Ogarnęła go lekka irytacja, która natychmiast zmieniła się w rozbawienie. Jezu, może naprawdę

zachowuje się jak arogancki dupek - tak z lubością mawiała jego eks. Poza tym nawet jeśli ta kobieta jest kwiatkiem do kozucha tego starucha, to z całą pewnością przyjemnie się na nią patrzyło.

A ponieważ tak przyjemnie się na nią patrzyło, obserwował ją uważnie. Miała ciemne włosy, sięgające prawie do ramion, i ciemne oczy. Gdyby musiał podać jej rysopis, powiedziałby „brązowe” i „brązowe”, ale to nawet w przybliżeniu nie oddawało rzeczywistego koloru. Światło połyskiwało na jej włosach, sprawiając, że wyglądały jak ciemna, gęsta czekolada - a oczy były jeszcze ciemniejsze.

Miała koło trzydziestki, i metr sześćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt siedem wzrostu. Najpierw wydawało mu się, że jest o kilka centymetrów wyższa, ale zdał sobie sprawę, że to z powodu swojej niemal wojskowej postawy sprawiała takie wrażenie. Waga między pięćdziesiąt pięć a pięćdziesiąt osiem. Jej skóra była ładna, bez skazy, śmietankowa, aż miało się ochotę polizać ją jak loda.

Skończyła rozmowę i wyciągnęła do niego rękę.

- Dziękuję, że pan poczekał. Musiałam przebrnąć przez automatyczne menu firmy i nie chciałam zaczynać od początku. Jestem Sara Stevens.

- Detektyw Cahill. - Jej dłoń była mała i chłodna, ale uścisk zaskakująco mocny. - Czy może mi pani po kolei opowiedzieć, co się tu dzisiaj stało? - Nie mówiła z południowym akcentem; Cahill nie potrafił go określić. Tak, to było to: w ogóle nie dało się zidentyfikować jakiegoś charakterystycznego akcentu.

- Bardzo chętnie. - Wskazała schody. - Usiądzie pan?

I owszem, usiadłby, ale wtedy ocierałby się o nią ramieniem, a to nie był dobry pomysł, kiedy pracował. Jego myśli, odkąd ją zobaczył, niebezpiecznie zbaczały w niepożądanym kierunku. Uświadomił to sobie i cofnął się znad krawędzi, zmuszając się do skupienia na robocie.

- Dziękuję, postoję. - Wyjął notes z kieszeni marynarki i otworzył na pustej stronie.

- Jak się pisze pani nazwisko?

- Sara zwyczajnie, bez h, Stevens przez v.

- Czy to pani odkryła włamanie?

- Tak.

- Czy wie pani w przybliżeniu, która to była godzina?

- Nie, przy łóżku mam elektryczny zegarek, ale sądzę, że było to jakieś pół godziny po tym, jak się obudziłam.

- Co panią obudziło? Usłyszała pani jakiś hałas?

- Nie. Moje mieszkanie jest nad garażem, nic stamtąd nie słyszę. Kiedy odcięli prąd, zatrzymał się wentylator pod sufitem. To mnie obudziło.

- I co się stało potem?

Sara zrelacjonowała przebieg wydarzeń tak zwięźle, jak się dało, nie czuła się tu zbyt dobrze w swojej cienkiej piżamie i z bosymi stopami. Żałowała, że nie włożyła szlafroka i kapci, i się nie uczesała. A może nawet trzeba było zrobić pełny makijaż, wskoczyć w seksowną bieliznę, spryskać się perfumami i zawiesić na szyi tabliczkę z napisem: „Jestem wolna”. Wtedy mogłaby zabrać detektywa Cahilla do swojego mieszkania i złożyć zeznania, siedząc na brzegu łóżka.

Roześmiała się w duchu z własnej głupoty, ale na jego widok jej serce zaczęło bić jak szalone, i wciąż jeszcze tłukło się o wiele za szybko. Z powodu działania jakichś czynników chemicznych czy biologicznych, a może kombinacji jednych i drugich, poczuła natychmiast fizyczny pociąg do niego. To się czasem zdarzało - ten nagły, leciutki rausz, który przypominał jej, co wprawia w ruch ten świat - choć nie czuła go już dawno, i nigdy wcześniej z taką siłą. Rozkoszowała się tym potajemnym dreszczem podniecenia; to przypominało przejażdżkę kolejką górską bez konieczności opuszczania ziemi.

Spojrzała na jego lewą dłoń. Żadnej obrączki, choć to nie musiało oznaczać jeszcze, że był kawalerem czy singlem. Mężczyźni, którzy wyglądali tak jak on, rzadko wybierali samotność. Nie wydawał jej się specjalnie

przystojny; twarz miał dość grubo ciosaną, a jego zarost był o jakieś osiem godzin dłuższy niż popołudniowy cień na szczęce, a włosy z kolei przystrzygł za krótko. Ale to jeden z tych facetów, którzy z jakiegoś powodu robili wrażenie bardziej męskich niż wszyscy wokół, niemal jakby testosteron sączył im się przez skórę. A kobiety to zauważały. Na dodatek miał pięknie wyrzeźbione ciało; marynarka założona na czarny T-shirt trochę to maskowała, ale Sara wyrosła wśród mężczyzn, którzy zawsze starali się zachować jak najlepszą formę fizyczną, i wiedziała, jak się nosili i poruszali. Na nieszczęście Cahill wyglądał również, jakby twarz miała mu się rozlecieć, gdyby się uśmiechnął. Piękne ciało, które kryło nijaką osobowość.

- Jakie stosunki łączą panią z sędzią Robertsem? - zapytał tonem tak neutralnym, by nie okazać cienia zainteresowania. Spojrzał na nią; stał w mroku, a to uniemożliwiało odczytanie wyrazu jego twarzy.

- Jest moim pracodawcą.

- Czym się pani zajmuje?

- Jestem kamerdynerem.

- Kamerdynerem. - Powiedział to tak, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa.

- Zarządzam domem - wyjaśniła.

- A to obejmuje...?

- Sporo obowiązków, takich jak nadzorowanie reszty personelu, ustalanie harmonogramu napraw i usług, trochę gotowania, pilnowanie, by jego ubranie było czyste, a buty wypastowane, jego samochód regularnie serwisowany i myty, rachunki zapłacone, i ogólnie by nie musiał się zajmować tym, czym nie chce się zajmować.

- Reszty personelu?

- Nie ma nikogo na stałe. Za personel uznaję dwie sprzątaczkę, które przychodzą dwa razy w tygodniu, ogrodnika, który pracuje trzy razy w

tygodniu, dochodzącą raz w tygodniu pomoc biurową sędziego, i kucharkę, od poniedziałku do piątku, lunch i kolacja.

- Rozumiem. - Zajrzał do notatek, jakby sprawdzał jakiś szczegół. - Czy do obowiązków kamerdynera zalicza się również studiowanie sztuk walki?

No tak. Była ciekawa, co ją zdradziło. Zauważyła oczywiście pięknie obliczony kopniak, który powalił rosnącego włamywacza, i natychmiast wiedziała, że i Cahill sam nie mało trenował.

- Nie - odparła spokojnie.

- Czy to hobby, którym zajmuje się pani w wolnym czasie?

- Niezupełnie.

- Mogłaby pani mówić jaśniej?

- Jestem też profesjonalnym ochroniarzem. - Zniżyła głos, by nikt inny jej nie słyszał. - Sędzia nie lubi tego rozgłaszać, ale otrzymał kilka gróźb i jego rodzina uparła się, by miał przy sobie kogoś wyszkolonego w kierunku ochrony osobistej.

Do tej pory Cahill zachowywał pełen profesjonalizm, ale teraz spojrzał na nią ze szczerym zainteresowaniem i lekkim zaskoczeniem.

- Czy któraś z tych gróźb miała miejsce niedawno?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie myślę, by naprawdę był w niebezpieczeństwie. Pracuję u niego już prawie trzy lata i przez ten czas nie otrzymał żadnych nowych pogroźek. Ale kiedy jeszcze wykonywał obowiązki sędziego, kilka osób groziło mu śmiercią, i rodzina, a szczególnie córka, bała się o jego bezpieczeństwo.

Znów spojrzał do notatek.

- A zatem ten cios, który pani zadała, nie był tylko szczęśliwym przypadkiem?

Uśmiechnęła się słabo.

- Mam nadzieję, że nie. Tak jak i pański kopniak.

- Jaką dyscyplinę pani trenuje?

- Przede wszystkim karate, by nie stracić formy.

- Jaki pas?

- Brązowy. Skinął głową.

- Jeszcze coś? Powiedziała pani „przede wszystkim”.

- Trenuję też kick boxing. Jakie to ma znaczenie dla śledztwa?

- Żadne. Po prostu byłem ciekaw. - Zamknął notes. - I nie ma żadnego śledztwa, spisałem tylko wstępne zeznanie, które włączę do raportu.

- Dlaczego nie ma śledztwa? - zapytała z oburzeniem.

- Zostali złapani na gorącym uczynku, z własnością sędziego Roberta załadowaną do pikapa. Nie ma kogo śledzić. Została tylko robota papierkowa.

Może dla niego; ona musiała jeszcze zawiadomić firmę ubezpieczeniową i załatwić naprawę drzwi w pokoju słonecznym, nie wspominając już o wymianie zepsutego telewizora. Sędzia, typowy facet, uwielbiał wielki ekran i wspomniał już, że tym razem myśli o zakupie sprzętu o wysokiej rozdzielczości.

- Czy fakt, że jestem ochroniarzem sędziego, też musi się znaleźć w raporcie? - zapytała.

Miał już odejść, ale zatrzymał się i spojrzał na nią.

- A dlaczego pani pyta? Ściszyła głos jeszcze bardziej.

- Sędzia woli, by jego znajomi o tym nie wiedzieli. Chyba wstydzi się, że dzieci wymogły na nim zatrudnienie ochroniarza. Na razie wszyscy mu zazdroszczą, że ma kamerdynera w spódnicy. Może pan sobie wyobrazić te żarty. A poza tym, jeśli jest w jakikolwiek sposób zagrożony, daje mi to przewagę, gdy nikt nie wie, że jestem przeszkolona w technikach ochrony.

Postukał notesem w dłoń; minę wciąż miał nieodgadniona. W końcu jednak wzruszył ramionami i powiedział:

- To nie ma związku ze sprawą. Jak powiedziałem, byłem po prostu ciekawy.

On mógł sobie być ponury, ale ona nie zamierzała brać z niego przykładu. Uśmiechnęła się do niego z ulgą.

- Dziękuję.

Skinął głową i odszedł, a Sara westchnęła z żalem. Opakowanie było całkiem, całkiem, ale zawartość - do niczego.

Ranek był kompletnie zwariowany. Sara nie miała szans, aby się wyspać choć trochę dłużej lub załatwić cokolwiek. Bez elektryczności nie mogła przygotować ulubionego śniadania sędziego - francuskiego tosta z cynamonem - nie mogła też nastawić prania ani nawet wyprasować jego porannej gazety, by tusz nie smolił mu palców. Podała mu zimne płatki, beztłuszczowy jogurt i świeże owoce, co wywołało jego narzekania, że zdrowe jedzenie go wykończy. Nie mieli też gorącej kawy, przez co oboje byli bardzo nieszczęśliwi.

Wpadła na genialny pomysł i poszła do domu Cheatwoodów po sąsiedzku, by dokonać wymiany dóbr z kucharką, Martha: bezpośrednia relacja z nocnych wydarzeń za termos świeżej kawy. Uzbrojona w kofeinę wróciła do domu i uspokoiła wzburzone wody. Po drugiej filiżance sama również mogła znów stawić czoło problemom dnia.

Nie miała nic przeciwko temu, by zamienić się w natrętną żołą, jeśli osiągała dzięki temu pożądane rezultaty. Dwa kolejne telefony do firmy energetycznej wyczarowały furgonetkę serwisową z chudym monterem, który bez pośpiechu zabrał się do pracy. Pół godziny później wszystkie urządzenia elektryczne obudziły się z pomrukiem do życia, a monter wyszedł spacerkiem.

Nękanie kompanii telefonicznej wymagało więcej zachodu. Tajemniczy „oni” na górze tak wszystko urządzili, że petent mógł albo zostawić wiadomość na skrzynce głosowej, rezygnując z luksusu rozmowy z żywą istotą ludzką w zamian za oszczędność czasu, albo musiał godzić się na nieprzyzwoicie długie czekanie, aż jakaś istota ludzka stanie się osiągalna i będzie można ją nękać osobiście. Sara była uparta; miała mnóstwo darmowych minut, a jej komórka ważyła ledwie kilkadziesiąt gramów. Czekala, i w końcu jej wytrwałość została nagrodzona; tuż przed południem pojawiła się kolejna furgonetka przywożąca najcenniejszą z istot ludzkich - kompetentnego serwisanta.

Oczywiście gdy tylko linia została naprawiona, telefon zaczął się urywać. Wszyscy znajomi sędziego dowiedzieli się już o nocnej przygodzie i chcieli usłyszeć szczegółową relację. Jakiś „życzliwy” zadzwonił do najstarszego syna sędziego, Randalla, który z kolei zawiadomił dwoje rodzeństwa, Jona i Barbarę. Sędzia nieszczęśliwie przejął się faktem, że jego synowie wiedzą, ale zmarszczył z niepokojem nos, kiedy na wyświetlaczu telefonu pojawił się numer córki. Barbara nie tylko nadmiernie martwiła się o ojca, ale na dodatek miała najsilniejszą osobowość z jego trojga dzieci. Zdaniem Sary miała większą siłę przebicia niż czołg. Ale Sara lubiła tę kobietę; Barbara była dobroduszną i łagodną, tyle że nieustępliwa.

Agent ubezpieczeniowy przyszedł, kiedy sędzia rozmawiał jeszcze z córką, Sara pokazała mu więc zniszczenia i właśnie podawała mu szczegółowe informacje do wniosku o odszkodowanie - miała nawet paragon zakupu telewizora, co zrobiło na agencie ogromne wrażenie - kiedy do jej małego gabinetu wszedł sędzia Roberts z bardzo zadowoloną miną.

- Zgadnij, kto dzwonił - zagadnął.

- Barbara.

Potem. Miałem na linii drugą rozmowę, dzięki Bogu, inaczej jeszcze bym z nią gadał. Jakiś reporter z telewizji chce tu przyjechać i zrobić o nas materiał.

- O nas? - zapytała osłupiała Sara.

- No, przede wszystkim o tobie. Patrzyła na niego, zaskoczona.

- Dlaczego?

- Bo udaremniłaś włamanie, jesteś młodą kobietą i kamerdynerem. Chce wiedzieć wszystko o twojej pracy. Powiedział, że to będzie wspaniała „historia z życia wzięta”. Idiotyczne zdanie, nie sądzisz? „Z życia wzięta”. Jakby wszystkie inne brały z za grobu.

- To wspaniale - rzucił entuzjastycznie agent ubezpieczeniowy. - Z której stacji?

Sędzia zacisnął wargi.

- Zapomniałem - odparł po chwili. - Czy to ważne? Ale będą tu jutro rano, o ósmej.

Sara ukryła przerażenie. Jej rozkład zajęć zostanie kompletnie zburzony już drugi dzień z kolei. Sędzia był jednak najwyraźniej podekscytowany perspektywą telewizyjnego wywiadu z jego kamerdynerem. Wszyscy znajomi sędziego to także emeryci, nie znajdowali więc naturalnego ujścia dla swojego instynktu rywalizacji, poza wyładowywaniem się na sobie nawzajem. Grali w pokera i szachy, opowiadali sobie niestworzone historyjki i próbowali prześcignąć się pod każdym względem. To byłby duży sukces na koncie sędziego. A poza tym, nie bardzo mogła mu odmówić; choć go uwielbiała, nie zapomniała nigdy, że jednak jest jej pracodawcą.

- Będę gotowa - powiedziała, zmieniając błyskawicznie plany na jutro, by nic nie zakłóciło codziennych zajęć sędziego.

Rozdział 3

Zawsze rankiem oglądał którąś z lokalnych stacji, pijąc gorącą herbatę i przeglądając dział finansowy „Birmingham News”. Lubił wiedzieć na bieżąco, co dzieje się wśród miejscowej społeczności i w polityce, by móc dyskutować o najnowszych wydarzeniach ze swoimi współpracownikami. Szczególnie ciekaw był wszystkiego, co działo się w Birmingham i okolicy. To był jego dom i ze względu na interesy żywo obchodziło go, jak mają się tutejsze sprawy.

A sprawy w Mountain Brook miały się doprawdy znakomicie. Był ogromnie dumny z faktu, że to małe miasteczko na południowych krańcach Birmingham miało jeden z najwyższych w kraju wskaźników dochodu na mieszkańca. W dużej mierze dzięki tym wszystkim mieszkającym tam lekarzom, pracującym w Birmingham, które ze stalowego zagłębia zmieniło się w ważne centrum medyczne z nieproporcjonalnie dużą liczbą szpitali w stosunku do liczby ludności. Ludzie przyjeżdżali z całego kraju, a nawet z całego świata, by leczyć się w tutejszych szpitalach.

Ale nie tylko lekarze mieszkali w Mountain Brook. Przedstawiciele wszelkich profesji kupowali tu domy. Były tu i stare pieniądze, i byli też nowobogacy. Nie brakowało małych „pierwszych” domów dla młodych par, które chciały mieszkać w Mountain Brook ze względu na prestiż i szkoły dla swoich dzieci. Ale znajdowały się tu też rezydencje, i wielkie posiadłości, na które odwiedzający patrzyli z otwartymi ustami, przejeżdżając obok.

Jego dom dawał mu radość i poczucie dumy - dwa pięknie zaprojektowane piętra z szarego kamienia - w wyposażenie go i utrzymanie wkładał całe serce. Dom miał pięć i pół tysiąca metrów kwadratowych, sześć sypialni, osiem i pół łazienki, cztery prawdziwe kominki z włoskiego marmuru, podłogi przykryte grubymi na pięć centymetrów ber-beryjskimi dywanami, najlepszymi, jakie dało się kupić za pieniądze. Basen był zaprojektowany tak, by imitował grotę, z subtelnym podwodnym oświetleniem i srebrnym strumykiem wody, który sączył się po kamieniach i łagodnie wpadał do basenu.

Dom otaczało dwa i pół hektara ziemi - to dużo w Mountain Brook z jego astronomicznymi cenami gruntów. Posiadłość została szczelnie osłonięta trzymetrowym murem z szarego kamienia. Ogromna brama z kutego żelaza strzegła wejścia do jego królestwa; chronił go też najlepszy dostępny na rynku system zabezpieczeń: czujniki ruchu, kamery i detektory podczerwieni, a do tego standardowy alarm antywłamaniowy, wykrywający otwarcie drzwi czy stłuczenie szyby.

Jeśli chciał się bratać ze światem, wychodził doń, ale światu nie wolno było przychodzić do niego.

Ogrodnicy dbali o trawniki, a basenowi utrzymywali basen w idealnym stanie. Zatrudniał kucharkę, która przychodziła o trzeciej po południu i przygotowywała mu kolację, po czym natychmiast wychodziła. Ranki wolał spędzać sam, popijając herbatę, czytając gazetę i jedząc angielską bułeczkę. Bułeczki są cywilizowaną potrawą, w przeciwieństwie do bekonu, jajek i krakersów, z którymi jest tyle papraniny, a które najwyraźniej preferowali tutejsi

mieszkańcy. Bułeczkę wystarczyło wrzucić do tosterka, i nikt nie musiał potem nic sprzątać, i nikt też nie musiał mu jej przygotowywać.

W sumie był bardzo zadowolony ze swojego życia. I zawsze czerpał dodatkową satysfakcję ze świadomości, w jaki sposób osiągnął to wszystko. Gdyby po prostu pozwolił sprawom toczyć się własnym biegiem, nic z tego nie należałoby do niego, ale on okazał się na tyle przewidujący, by zdawać sobie sprawę, że jego ojciec, pozostawiony samemu sobie, będzie podejmował jedną złą decyzję za drugą, i z interesu nic nie zostanie. Nie miał wyboru, musiał interweniować. Matka rozpaczała z początku, ale ostatecznie lepiej na tym wyszła; żyła sobie jak w puchu, dopóki siedem lat później choroba serca nie zakończyła jej życia.

Ogromnie pocieszająca wydawała mu się świadomość, że człowiek może zrobić to, co zrobić należy. Jedynymi granicami, jakie uznawał, były te, które sam sobie wyznaczył.

Telewizor gadał w tle, gdy tymczasem on przeglądał gazetę. Miał podzielną uwagę; gdyby mówiono o czymś ciekawym, zauważyłby. Każdego ranka stacja nadawała również jakiś krótki reportaż, zwykle je ignorował, ale od czasu do czasu puszczała coś w miarę oryginalnego, zawsze więc nadśluchiwał, o czym jest mowa.

- Zastanawialiście się kiedykolwiek, jakby to było mieć kamerdynera? - brzęczał modulowany głos gwiazdy porannego programu. - Nie musicie należeć do rodziny królewskiej. Prawdę mówiąc, taki kamerdyner pracuje w jednym z domów w Mountain Brook, a na dodatek jest... kobietą. Poznajcie superkamerdynera, już za chwilę, zaraz po przerwie na reklamy.

Zaciekawiony uniósł głowę. Kamerdyner? Cóż, to dość... interesujące. Nigdy nie brał pod uwagę zatrudniania personelu mieszkającego na stałe w domu, bo takie zakłócenie jego prywatności wydawało mu się nie do zniesienia, ale pomysł kobiety kamerdynera zaintrygował go. Było pewne, że ludzie będą o tym rozmawiać, musiał więc obejrzeć ten reportaż.

Po reklamach prezenter powiedział kilka słów wstępu, a na ekranie pokazało się ujęcie dużego domu w stylu Tudorów, otoczonego zadbanymi trawnikami, i z wymyślnym ogrodem różanym. W następnym ujęciu zobaczył ciemnowłosą młodą kobietę, schludnie ubraną w czarne spodnie, białą koszulę i dopasowaną kamizelkę. Kobieta prasowała... gazetę?

- Nazywa się Sara Stevens - powiedział reporter - a jej dzień nie przypomina przeciętnego dnia pracy.

- Wysoka temperatura utrwała tusz, dzięki temu nie smoli on placów i nie brudzi ubrań - wyjaśniła kobieta rzeczowym, niskim głosem, przeciągając żelazkiem po gazecie. Ledwie zerknęła na reportera.

Wyprostował się, jak rażony prądem, bez jednego mrugnięcia wpatrując się w ekran. Sara. Miała na imię Sara. To imię równie perfekcyjne jak ona sama, klasyczne, a nie krzykliwe czy modne.

Jej bardzo ciemne oczy kontrastowały ze skórą jasną i gładką, a lśniące, ciemne włosy ściągnęła do tyłu w schludny koczek na karku. Zelektryzowany, nie potrafił oderwać wzroku od obrazu w telewizorze. Ona była... idealna. Rzadko widywał w życiu taką perfekcję, a kiedy już zobaczył, robił wszystko, by zdobyć ją dla siebie. Mimo ciemnych włosów i oczu nie była Latynoską, ani nie należała do żadnej rozpoznawalnej grupy etnicznej. Miała tylko trochę egzotyczną urodę; niekrzykliwą, niezmysłową. Po prostu... idealna.

Serce łomotało mu w piersi, i musiał przełknąć ślinę. Ona była tak schludna i poukładana, poruszała się sprawnie i ekonomicznie. Wątpił, by coś tak pustego jak chichot kiedykolwiek wydobyło się z jej ust.

Następne ujęcie ukazywało jej pracodawcę, wysokiego, chudego, starszego człowieka, o siwych włosach i żywej twarzy, z wielkim haczykowatym nosem, na którym tkwiły okulary.

- Nie mógłbym bez niej funkcjonować - powiedział wesoło. - Sara zajmuje się wszystkimi sprawami domowymi. Nieważne, co się dzieje, ona zawsze ma nad wszystkim kontrolę.

- Z pewnością miała nad wszystkim kontrolę kilka dni temu, gdy do domu włamało się dwóch mężczyzn - ciągnął reporter. - Sara bez niczyjej pomocy uniemożliwiła kradzież, podstawiając nogę jednemu z włamywaczy, gdy obaj nieśli duży telewizor.

Kamera wróciła do niej.

- Telewizor był bardzo ciężki i stracili równowagę - powiedziała z prostotą i skromnością.

Dreszcze podniecenia przebiegały mu po plecach, gdy tak patrzył i słuchał. Chciał jeszcze usłyszeć jej głos. Następna scena ukazywała ją, jak otworzyła tylne drzwi mercedesa klasy S swojemu wiekowemu pracodawcy, po czym obeszła samochód, by usiąść za kierownicą.

- Sara jest także wyszkoloną kierowcą- mówił śpiewnie reporter

- i ukończyła kilka kursów bezpiecznej jazdy.

- Opiekuje się mną - powiedział starszy pan, uśmiechając się od ucha do ucha. - Od czasu do czasu nawet gotuje.

Znow najazd kamery na nią.

- Pilnuję, by życie mojego pracodawcy było możliwie wygodne

- wyjaśniła. - Jeśli chce dostać gazetę o określonej porze, to mam ją dla niego, nawet gdybym musiała wstać o trzeciej nad ranem i jechać po nią.

Nigdy w życiu nikomu nie zazdrościł, ale teraz pozazdrościł temu starcowi. Dlaczego ma się nim opiekować ktoś taki jak ona? Bardziej by mu się przydał mieszkający na miejscu pielęgniarz czy pielęgniarzka, jakiś Bruce albo Helga. Czy ten staruch może docenić taki skarb jak ona, taką chodzącą doskonałość?

Znow kamera pokazała reportera.

- Praca kamerdynera to wysoko wyspecjalizowana profesja i powołanie, i bardzo niewiele kobiet decyduje się na ten zawód. Najlepsi kamerdynerzy szkolą się w Anglii, i nie są tani. Jednak dla sędziego Lo-wella Robertsa z Mountain Brook cena nie ma znaczenia.

- Ona jest członkiem rodziny - powiedział stary. Ostatnie ujęcie ukazywało Sarę stawiającą na stoliku srebrną tacę zastawioną serwisem do kawy.

Ona powinna być tutaj, pomyślał. Powinna obsługiwać jego. Zapamiętał sobie nazwisko tego starca: Lowell Roberts. Cena nie ma znaczenia? Jeszcze się okaże. Dostanie ją, takim czy innym sposobem.

Sędzia Roberts klepnął się z satysfakcją po kolanach.

- Całkiem niezły reportaż, nie sądzisz?

- To było mniej bolesne, niż się obawiałam - odparła kwaśno Sara, sprząając jego nakrycie po śniadaniu. - Ale potrzebowali całkiem sporo czasu, żeby nakręcić sześćdziesięciosekundową historyjkę.

- Och, wiesz, jaka jest telewizja. Zużywają całe kilometry taśmy, a potem większość wycinają. Ale przynajmniej nie poprzekręcali szczegółów. Ile razy, jeszcze jako sędzia, wygłaszałem oświadczenie albo udzielałem wywiadu, zawsze przynajmniej jeden detal podali źle.

- Czy dzięki temu będzie pan mógł się przechwalać przy pokerze? Spojrzał na nią z trochę zażenowaną, ale jednocześnie triumfalną miną.

- Co najmniej przez dwa tygodnie - przyznał. Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- A zatem było warto.

Sędzia wyłączył magnetowid, bo oczywiście nagrywał reportaż.

- Każę zrobić kopie dla dzieci - powiedział. Sara spojrzała na niego.

- Mogę to przegrać, jeśli pan chce. Mam dwugłowicowy sprzęt.

- Nie zaczynaj mi tu z jakimś technicznym żargonem - ostrzegł, machając ręką. Wyjął kasetę z magnetowidu. - Dwugłowicowy sprzęt, to brzmi jak jakaś podwójnie zabójcza wyrzutnia rakiet, która może zmieść z powierzchni ziemi połowę ludzkości. Zdaje się, że mam w bibliotece czystą kasetę...

- Mam mnóstwo czystych kaset. - Zawsze trzymała zapas, na wypadek, gdyby sędzia ich potrzebował.

Wsunął kasetę do tekturowej koszulki, starannie napisał na samoprzylepnym pasku „Wywiad telewizyjny Sary” i podał jej.

- Wyślę je jeszcze dzisiaj. I proszę nie zapomnieć o wizycie u lekarza o drugiej.

Zrobił buntowniczą minę.

- Nie rozumiem, po co mam sobie znów robić badanie krwi. Jadałem zdrowiej, mój cholesterol powinien więc być niższy.

Jadał dużo zdrowiej, niż sądził; przygotowując mu francuskiego tosta, Sara zastępowała prawdziwe jajka substytutem bez cholesterolu podpra-wionym odrobinę aromatem waniliowym, i używała niskotłuszczowego, bogatego w błonnik chleba. Kupiła też dwa rodzaje polewy - zwykłą i beztłuszczową- i mieszała je, dodając tylko tyle zwykłej, by smak nie wzbudził podejrzeń sędziego. Staruszek zgodził się na substytut bekonu, jeśli tylko będzie mógł jadać swojego tosta; podawała mu też co rano świeże owoce. Do spółki z kucharką zdołała znacznie ograniczyć ilość tłuszczu w jego posiłkach, tak sprytnie, że niczego nie podejrzewał.

Oczywiście każdy spadek poziomu cholesterolu przypisywał temu, że je substytut bekonu zamiast prawdziwego, i opierałby się wszelkim innym zmianom, gdyby o nich wiedział. Próby przechytrzenia go były nieustającą walką.

- O drugiej - powtórzyła. -A jeśli pan odwoła wizytę, powiem Barbarze. Sędzia wziął się pod boki.

- Czy twoi rodzice wiedzą, jakiego tyrana wychowali?

- Oczywiście - odparła triumfalnie. - Tato dawał mi lekcje tyranizowania.

I zawsze miałam piątki.

- Wiedziałem, że nie powinienem cię zatrudniać - mamrotał, idąc do zacisza swojej biblioteki. - Kiedy tylko zobaczyłem w twoim podaniu, że jesteś z wojskowej rodziny, wiedziałem, że będą z tobą kłopoty.

Tak naprawdę to właśnie pochodzenie z wojskowej rodziny przechyliło szalę na jej korzyść. Sędzia służył w marines; walczył na Pacyfiku podczas II wojny światowej. Fakt, że jej ojciec był emerytowanym pułkownikiem piechoty morskiej, zmuszonym do odejścia ze służby z powodu wypadku samochodowego, w którym poważnie ucierpiały jego prawe biodro i noga, zaważył na decyzji sędziego.

Sara westchnęła. Pomyślała, że przegrywając kasety, zrobi też kopię dla swoich rodziców. Mieszkali w eleganckiej wiosce emerytów na Florydzie i na pewno będą zachwyceni, mogąc się nią popisać przed wszystkimi przyjaciółmi. Nie miała wątpliwości, że jej siostra i dwóch braci też dostaną kopie od matki, a potem zadzwoni do niej co najmniej jeden brat - a najpewniej obaj - by jej powiedzieć o jakimś kumplu, który chciałby się z nią umówić.

Mieszkała teraz w Alabamie, podczas gdy jeden brat siedział akurat w Kalifornii, a drugi miał TP, czyli tymczasowy przydział do Teksasu. Chodzenie więc na randki z kimkolwiek z ich znajomych było geograficznie niemożliwe. Najgorsze, że cała rodzina zaczynała się martwić, że ona skończyła już trzydzieści lat i jak dotąd nie przejawia żadnych skłonności do małżeństwa i wydawania na świat kolejnego pokolenia. Pokręciła głową, uśmiechając się do siebie. Miała nadzieję, że kiedyś wyjdzie za mąż, ale na razie realizowała swój plan.

Kamerdyner dobrze zarabiał; dobry kamerdyner zarabiał bardzo dobrze. Kamerdyner i ochroniarz w jednym wyciągał sporo ponad sto tysięcy rocznie. Jej pensja wynosiła prawie sto trzydzieści tysięcy, a na życie wydawał niewiele; kupiła sobie terenówkę i uzupełniała garderobę, ale to wszystko. Co roku ogromną większość pensji lokowała w akcjach i obligacjach, i choć rynek papierów wartościowych wykazywał akurat spadek, nie pozbywała się

inwestycji. Wiedziała, że kiedy przyjdzie czas, aby wprowadzić plan w życie, akcje zdołają znów pójść w górę.

Nigdy nie zostawiłaby sędziego, ale była realistką i wiedziała, że staruszek pożyje jeszcze najwyżej kilka lat. Wszystko na to wskazywało.

Mogła obniżyć poziom jego cholesterolu, ale przeżył już jeden poważny zawał i jego kardiolog, stary przyjaciel, niepokoił się o niego. Sędzia był o wiele bardziej chorowity niż jeszcze pół roku temu. Choć jego umysł pozostawał bystry, ostatnia zima była jednym pasmem chorób, i każda zbierała swoje żniwo. Miał przed sobą może ze dwa dobre lata, myślała ze łzami w oczach - chyba że dostanie kolejnego zawału.

Ale po odejściu sędziego Sara chciała przeznaczyć rok na podróżowanie po świecie. Jako „wojskowy” dzieciak, przyzwyczajony do przeprowadzek raz na rok czy dwa lata, czuła nieodparte pragnienie zobaczenia wszystkiego, co jest do obejrzenia. A że nie była masochistką, chciała latać pierwszą klasą i mieszkać w dobrych hotelach. Z porządnym kontem w banku i zabezpieczeniem w postaci inwestycji mogła jechać, dokąd chciała, kiedy tylko zechce. Jeśliby zamierzała spędzić miesiąc na Tahiti, mogła sobie na to pozwolić.

Było to proste pragnienie, roczna przerwa na przyjemności w trakcie całego życia pracy. Sara lubiła swój zawód, chciała też kiedyś wyjść za mąż, urodzić dziecko, może dwoje, ale najpierw postanowiła rok poświęcić na podróż. Od czasu studiów z rozmysłem nie angażowała się w żadne głębsze romantyczne związki, bo podświadomie zdawała sobie sprawę, że żaden mężczyzna nie zechce, by jego dziewczyna, narzeczona czy żona przez rok pałętała się po całym świecie - bez niego.

Jej ojciec nie rozumiał tego. Bracia zresztą też, bo ciągle wysyłano ich na TP w najróżniejsze miejsca na Ziemi. A siostra uważała, że Sara jest nienormalna, skoro nie wychodzi za mąż, póki jest jeszcze młoda i ładna. Tylko matka rozumiała tę żądzę wędrowni swojego najmłodszego dziecka.

Ale czas wykonania planu zależał od sędziego Robertsa, bo dopóki żył, ona zamierzała się nim opiekować.

Rozdział 4

Kiedy jej piętnaście minut sławy nareszcie minęło, gdy wszystkie zeznania zostały już złożone i wszelkie dokumenty podpisane, Sara z radością wróciła do codziennych zajęć. Lubiła wyzwania, jakie stawiało przed nią zarządzanie dużym domem. Nie musiała doglądać licznego personelu, ale dom był samodzielnym bytem, stale potrzebującym uzupełniania zapasów i drobnych napraw, i Sara musiała cały czas mieć się na baczności, by dostrzec małe problemy, nim rozwinęły się w coś poważnego.

Do połowy tygodnia telefony od sąsiadów, znajomych i rodziny sędziego nareszcie się skończyły, i całe szczęście, bo we środę miała wolne. We środę niewiele się działo; w poniedziałek i wtorek Sara załatwiała sprawy, które nagromadziły się przez weekend, a we czwartek i piątek czyniła wszelkie niezbędne przygotowania do weekendowych planów sędziego. Oprócz środy miała też pół dnia wolnego w sobotę lub niedzielę, zależnie od zajęć sędziego. Starła się być jak najbardziej elastyczna, by dostosować się do jego potrzeb, a on w zamian zawsze respektował jej wolne dni.

Kiedy miała wolne, od czasu do czasu umawiała się na randki - bardzo rzadko jednak, nie chcąc pozwolić, by jakikolwiek związek stał się czymś więcej niż przelotną znajomością; poza tym chodziła na zakupy, załatwiała różne dziewczynskie sprawy, jak to nazywali jej bracia, i trenowała.

W piwnicy urządziła sobie małą siłownię z ciężarkami i workiem bokserskim, i udawało jej się ćwiczyć przynajmniej pół godziny dziennie. Do tego dochodził półgodzinny jogging. Czasami ledwie miała czas i na to, i nie wahała się wstać wcześniej niż zwykle, by mieć choć te pół godziny. Uważała utrzymanie się w formie za część swojej pracy, ale też lubiła czuć się silna, sprężysta i pełna energii.

Oprócz karate i kick boxingu ćwiczyła też judo i łucznictwo, i raz w tygodniu spędzała godzinę na miejscowej strzelnicy. Była dobra, ale chciała stać się lepsza, nawet jeśli to miałyby się okazać rywalizacją wyłącznie z samą sobą. W porządku, chciała też lepiej strzelać niż bracia. Daniel i Noel byli strzelcami wyborowymi, tak jak i ojciec przed nimi, skoro więc zamierzała posługiwać się bronią, honor nakazywał jej podtrzymać rodzinne tradycje. Ilekroć cała rodzina zbierała się razem - co zwykle miało miejsce raz do roku, na Boże Narodzenie - ona, ojciec i bracia zwykle szli na strzelnicę, by poćwiczyć strzelanie do tarczy. Zwycięzca dostawał srebrnego dolara z podobizną Susan B. Anthony, z dziurą po kuli dokładnie pośrodku. Noel przewlekł przez dziurkę złoty łańcuszek, i kiedy on albo Daniel wygrywali doroczną rywalizację strzelecką, mieli w sobie dość zamiłowania do tandety, by naprawdę nosić go na szyi, gdy nie byli na służbie, i popisywać się nim, gdzie się tylko dało. Jak poinformowała ich wyniosłe Sara, ona i ojciec mieli więcej klasy.

Nie nosiła go, ale miała. Moneta z łańcuszkiem leżała w jej kasetce z biżuterią. Ku niezadowoleniu braci wygrała ją już dwa lata z kolei. Daniel służył w siłach specjalnych, a Noel w jednostce zwiadowczej piechoty morskiej i obaj traktowali tę rywalizację poważnie. I jak się tak zastanowić, to może wcale nie będą próbowali jej swatać z kolegą, który zapragnąłby się z nią umówić po obejrzeniu kasety; nie chcieliby przecież, żeby któryś z ich kumpli wiedział, że ich mała siostrzyczka jest lepszym strzelcem niż oni.

Sara była pewna, że taka informacja wymknęłaby jej się w którymś momencie rozmowy i żaden z braci nie uwierzyłby, że to przypadek. Do licha.

Tak więc we środę rano pomalowała sobie paznokcie u nóg na ciemny opalizujący róż, a potem wybrała się na swój cotygodniowy godzinny sparring do prywatnej sali gimnastycznej. Chłopaki pewnie nie wpadną w zachwyt, dostając kopniaki bosą stopą z różowymi paznokciami, ale ten widok z pewnością poprawił jej humor. Można było zwyczajnie skopać komuś tyłek albo można też go było skopać stylowo. Ona zawsze wolała stylowo.

Po treningu, wykapaną i pełną energii, zafundowała sobie lunch w Summit, zrobiła drobne zakupy i pojechała na odkrytą strzelnicę, by trochę potrenować. Korzystali z niej wyłącznie cywile; gliniarze mieli własną strzelnicę. Rzadko chodziła na krytą strzelnicę, bo kiedy cały czas ćwiczyło się pod dachem, to potem, kiedy się strzelało na dworze - tak jak ona na święta podczas zawodów z chłopakami z rodziny - zmienne warunki pogodowe i światło mogły doprowadzić do przegranej.

Dzień był ciepły, niemal letni, choć to dopiero połowa marca. Drzewa okryły się kwiatami; żonkile i forsycje kwitły już od dawna, trawniki zieleniały i gęstniały. Tutaj, na słonecznym Południu zima trwała mniej więcej o połowę krócej, niż wynikałoby to z kalendarza. Potrafiło się zrobić zimno, zdarzał się śnieg i mróz, ale przeważnie zima niezbyt ciężko doświadczała te strony; tylko na tyle, by drzewa straciły liście, a trawa zbrązowiała. Po mniej więcej sześciu tygodniach tego nonsensu, którego apogeum przypadało zwykle na połowę albo koniec stycznia - żonkile zaczynały wypuszczać z ziemi zielone kielki, a drzewa różowiły się od puchnących pączków. Teraz białe grusze Bradford kwitły już na całego, niczym eksplozje koloru rozsiane po trawnikach i zagajnikach. W sumie nie było to złe miejsce do życia. Sara pamiętała niektóre placówki, do jakich przydzielano ojca, gdzie przez pół roku nie zdejmowała zimowej kurtki. To była oczywiście przesada, ale przeżyli kilka długich, ciężkich zim.

Kiedy przyjechała na strzelnicę, temperatura dochodziła do dwudziestu pięciu stopni i wiał lekki, całkiem przyjemny wiatr. Sara nie czuła chłodu, mimo że była w sandałach i dżersejowej bluzce z krótkim rękawem. Jutro zimny front miał przynieść ochłodzenie i gwałtowne burze w nocy, ale teraz pogoda zrobiła się idealna.

Sara zapłaciła za wstęp i wybrała sobie tor, a potem założyła nauszники i podeszła do stanowiska. Strzelnicę wykopano w stoku pagórka; wszelkie kule, które nie trafiły w cel, wbijały się w sześciometrową glinianą skarpe. Dookoła poukładano bele siana jako dodatkowe zabezpieczenie przed zbłąkaną kulą choć

od kiedy Sara tu przychodziła, nie widziała żadnych wypadków; ludzie, którzy doskonalili swoje umiejętności strzeleckie, zwykle bardzo poważnie traktowali kwestie bezpieczeństwa.

Strzelała do czwartej tarczy, kiedy ktoś podszedł do niej i stanął tuż za jej prawym ramieniem. Skupiona na tym, co robi, dokończyła serię, wyjęła pusty magazynek i włączyła ściąganie tarczy, zanim odwróciła się do przybysza.

Gdy go rozpoznała, poczuła się jakby rażona prądem. Zdjęła nauszники.

- Pan detektyw - powiedziała, ale za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. - Bardzo przepraszam, ale nie pamiętam, jak się pan nazywa.

- Cahill.

- A tak. Przepraszam - powtórzyła, nie próbując się tłumaczyć, że tamtej nocy była trochę rozkojarzona. Bo tak właśnie się działo - bardziej z jego powodu niż przez nocne wydarzenia czy telefony, które musiała załatwić - ale z pewnością nie zamierzała mu tego powiedzieć.

Był ubrany mniej więcej tak samo, jak wtedy - w traperki, dżinsy i Tshirt, tym razem niebieski, nie miał dziś marynarki. Obcisły materiał koszulki opinał jego szerokie ramiona, mocne bicepsy i dobrze umięśnioną klatkę piersiową. Tamtej nocy nie pomyliła się w swojej ocenie: facet miał pięknie wyrzeźbione mięśnie, choć z pewnością nie poświęcał im całej swojej uwagi.

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, bo jego ciało ciągle przykuwało jej uwagę. Od szyi w dół był istnym cukierczkiem.

Tarcza na automatycznej lince podjechała do nich. Cahill wyciągnął rękę, zdjął ją z zacisku i obejrzał ślady po kulach.

- Obserwowałem panią od chwili, kiedy pani przyszła. Całkiem nieźle pani strzela.

- Dzięki. - Zaczęła ładować magazynek. - A pan, co tu robi? Gliny zwykle korzystają z własnej strzelnicy.

- Przyszedłem z kolegą. Dziś mam wolny dzień, zwyczajnie więc się objam.

Rany. Nie chciała wiedzieć, że on ma wolne tego samego dnia, co ona. Wydawał się dziś trochę bardziej przyjazny, chociaż ani razu się nie uśmiechnął. Obrzuciła go szybkim, taksującym spojrzeniem. W świetle dziennym jego twarz wciąż wydawała się kanciasta, jakby wyszła spod piły łańcuchowej, a nie spod precyzyjnego dłuta rzeźbiarza. Przynajmniej świeżo się ogolił, ale to tylko jeszcze bardziej uwidaczniało ostre linie jego podbródka i szczęki. Z całą pewnością nie był ładnym chłopaczkiem. Prawdę mówiąc, nie dostrzegła w nim absolutnie nic z chłopaczka, ładnego czy nie.

- Ma pan wolne w każdą środę? - Do diabła, od razu pożałowała pytania. Nie musiała tego wiedzieć.

- Nie, zamieniłem się z innym śledczym. Miał na tapecie jakąś wyjątkową sprawę.

Dzięki ci, Panie, pomyślała. Jeszcze nigdy nie zaprosiła mężczyzny na randkę, ale w tym przypadku mogłaby ulec pokusie i zrobić to, nawet jeśli wydawało się, że ten facet ma osobowość głazu. Wiedziała, że jej nie spodobałoby się, gdyby facet umówił się z nią wyłącznie ze względu na jej ciało, nie miała więc zamiaru popełniać tego samego grzechu.

- Mogła ich pani zastrzelić.

Warknięciu towarzyszyło niespodziewane spojrzenie w oczy; Sara omal nie zamrugała z zaskoczenia. Jego oczy były niebieskie, ich wyraz twardy i ostry. Oczy gliny; oczy, którym nic nie umyka. Obserwował ją, badał jej reakcję. Była tak zdumiona, że dopiero po minucie zrozumiała, iż mówił o włamywaczach.

- Mogłam-przyznała.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła?

- Sytuacja nie wymagała użycia broni.

- Obaj byli uzbrojeni w noże.

- Nie wiedziałam o tym, a nawet gdybym wiedziała, nie zagrozili sędziemu ani mnie. Nie weszli nawet na górę. Gdyby sytuacja rozwinęła się inaczej i gdybym uznała, że stwarza zagrożenie życia, strzelałabym. - Umilkła na chwilę. - A tak przy okazji, dziękuję, że nie wspomniał pan w raporcie o moim wyszkoleniu.

- To nie miało związku ze sprawą. A poza tym to nie ja pisałem raport. Nie ja zajmowałem się tym zdarzeniem.

- Tak czy inaczej, dziękuję. - Raporty były tajemnicą poliszynela; jakiś reporter w mgnieniu oka mógł się dowiedzieć o jej ochroniarskich obowiązkach. Jednak żadne pytania tego rodzaju nie padły podczas wywiadu, a ani ona, ani sędzia Roberts nie poruszali tematu z własnej woli. Fakt, że była jego kamerdynerem, budził wystarczająco dużą sensację i bez podawania do powszechnej wiadomości jej ochroniarskich obowiązków. Taka informacja nie tylko zniweczyłaby jej przewagę, ale zapewne wzbudziłaby też niezdrowe zainteresowanie, którego oboje chcieli uniknąć.

- Ma pani ciekawy sposób wyrażania się - powiedział, nie odrywając od jej twarzy twardego spojrzenia. - Służyła pani w siłach porządkowych?

Czy nadążanie za nim w rozmowie zawsze przypominało ściganie zająca? Ale doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Gliniarze posługiwali się specjalnym żargonem, używali pewnych terminów i zwrotów, podobnych do wojskowych. Jako dziecko z wojskowej rodziny wciąż całą resztę ludzi uważała za cywilów, i kiedy z nimi rozmawiała, automatycznie dostosowywała się do ich sposobu mówienia. Jednak rozmawiając z detektywem Cahillem, równie odruchowo wróciła do starych nawyków.

Pokręciła głową.

- Wojsko.

- Była pani w wojsku?

- Nie, ojciec był wojskowym. I obaj moi bracia służą. Jeśli więc mówię coś w rodzaju „cel namierzony”, nauczyłam się tego w domu.

- Jakie siły?

- Noel służy w piechocie morskiej, tak jak przedtem tato, a Daniel w lądówce.

Skinął głową.

- Ja też służyłem w lądówce.

Nie „byłem”, ale „służyłem”. Ta niewielka różnica stylistyczna oznaczała ogromną różnicę w stosunku do wojska. Niektórzy faceci zaciągali się, bo w ten sposób mieli okazję zdobyć wykształcenie. Odbębniali przepisową służbę i szli do cywila. Ci, którzy mówili, że służą, mieli powołanie, poświęcali temu całe życie. Jednak detektyw Cahill był za młody jak na kogoś, kto odsłużył swoje dwadzieścia lat, a potem wstąpił do Akademii Policyjnej i wspinał się po szczeblach kariery aż do stopnia detektywa.

- Jak długo pan służył?

- Osiem lat.

Zastanawiała się nad tym, przypinając kolejną tarczę do zacisku i posyłając ją na koniec toru. Osiem lat. Dlaczego odszedł do cywila? Wiedziała, że nie mógł zostać wywalony, bo gdyby zwolnili go dyscyplinarnie, nie pracowałby w policji Mountain Brook. Czyżby, tak jak jej tato, został ranny i kontuzja uniemożliwiła mu pełnienie służby? Spojrzała na niego, na to twarde, sprawne ciało. Nie, wątpiła, by o to chodziło.

Nie знаła go dość dobrze, by spytać, i nie była pewna, czy chce go poznawać aż tak dobrze. Nie, okłamywała samą siebie. Bardzo chciała poznać go lepiej, dowiedzieć się, czy ta ponura twarz i oczy gliniarza rozjaśnia czasem błysk uśmiechu, ale wiedziała też, że w tym przypadku lepiej wyjdzie na niewiedzy. Coś w nim - i nie chodziło tylko o jego ciało, choć ślinka ciekła na sam jego widok - wywoływało jej zbyt silną reakcję. Uaktywniły się te przekłete feromony czy co tam jeszcze, ale było pewne, że ten facet na nią działa. Mógł ją, wbrew rozsądkowi, wessać w związek, który przeszkadzałby jej i w pracy, i w realizacji planów.

Ale z drugiej strony, może była głupia, nie decydując się na to. A może mimo swojego fatalnego usposobienia to jest mężczyzna, którego potrafiłaby kochać. A więc, trzymać się wcześniejszych postanowień czy wyhaczyć tego ogiera?

Decyzje, decyzje.

Uśmieła się w duchu z samej siebie. Oto ona wdaje się tu w te wszystkie spekulacje, a on, jak wskazują wszystkie znaki na niebie i ziemi, nie czuje nawet cienia zainteresowania. Przecież równie dobrze mógł mieć żonę i piątkę dzieci.

Postanowiła dać sobie z tym spokój. Jeśli się okaże, że jest wolny i na tyle zainteresowany, by zrobić pierwszy krok, wtedy się zastanowi, co dalej.

Pogodzona z tą myślą założyła nauszники. On zrobił to samo. Chwyciwszy pistolet lewą dłonią, prawą objęła nadgarstek, by go podtrzymać, i spokojnie, metodycznie opróżniła magazynek, strzelając w tarczę. Była przyzwyczajona do krytycznej publiczności - a konkretnie ojca i braci - obecność Cahilla nie przeszkadzała jej więc.

Cahill znów zdjął nauszники, kiedy tarcza na automatycznym podajniku popłynęła ku nim.

- Tym razem strzelała pani z lewej ręki. Boże, wszystko zauważył.

- Ćwiczę z lewej przynajmniej tyle samo, ile z prawej.

- Dlaczego?

- Bo traktuję swoją pracę poważnie. W sytuacji kryzysowej, jeśli zostanę ranna w prawą rękę, powinnam wciąż być zdolna do ochrony swojego podopiecznego.

Począł, aż tarcza podjedzie do nich, i obejrzał ślady kul. W strzelaniu z lewej była niemal tak dobra jak z prawej.

- Ciężko pani trenuje, jak na zagrożenie, którego pani zdaniem właściwie nie ma.

Wzruszyła ramionami.

- Nie płacą mi za zastanawianie się nad prawdopodobieństwem. Płacą mi za gotowość. Koniec, kropka.

- Hej, Doktorku!

Cahill spojrział wzdłuż linii strzelców i uniósł rękę w pozdrowieniu.

- Zdaje się, że mój kolega chce już iść.

- Doktorku? - Zdumiało ją to przezwisko.

- Długa historia. - I najwyraźniej nie miał ochoty jej opowiadać. - Do widzenia, pani Stevens. - Skinął jej głową na pożegnanie i oddalił się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Podszedł do krępego faceta w dżinsach, koszulce i bejsbolówce, który pokazał mu stertę zużytych tarcz, kręcąc głową ze zdegustowaną miną. Detektyw Cahill obejrzał pistolet, sprawnie go przeładował, po czym podszedł do toru i przypiął nową tarczę.

Sara nie patrzyła w tamtym kierunku. Musiała dokończyć własny trening, wystrzelała więc jeszcze trzy magazynki na różnych dystansach z lewej ręki, i uznała, że wystarczy na dzisiaj. Kiedy się rozejrzała, detektywa Cahilla i jego kolegi już nie było.

Rozdział 5

Cahill przekonał się, że nowy pistolet Ricka jest rzeczywiście głównie wart. Poszedł więc z Rickiem do sklepu z bronią, gdzie ten nabył wcześniej ów złom. Rick awanturował się ze sprzedawcą niemal godzinę, bez rezultatu; kupił pistolet, broń była zarejestrowana na jego nazwisko, dokumenty zostały wysłane w dniu, kiedy ją kupił, mógł się więc najwyżej zwrócić do producenta, chyba że zechciałby odsprzedać pistolet jakiemuś innemu naiwnemu głupkowi.

Potem poszli do baru z grillem, by zjeść wczesną kolację i napić się czegoś na pocieszenie.

- Zamów mi piwo, z łaski swojej - powiedział Rick i wyszedł do toalety.

Cahill usiadł na barowym stołku i złożył zamówienie. Kiedy Rick wrócił, popijał już kawę.

- Niezła była ta babka, z którą rozmawiałeś na strzelnicy. - Rick wskoczył na stołek obok niego. - Posuwasz ją.?

Cahill powoli odwrócił głowę i posłał przyjacielowi lodowate spojrzenie, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Coś ty za jeden, do cholery, i właściwie co cię to obchodzi? Rick roześmiał się z podziwem.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Prawie mnie wystraszyłeś. Mogę tego czasem użyć?

- Nie krępuj się.

- No więc, posuwasz ją, czy nie posuwasz?

- Nie posuwasz.

- Dlaczego? Mężatka?

- Nie.

- Powtarzam więc pytanie: dlaczego nie?

- Nie próbowałem.

Rick pokręcił głową i sięgnął po piwo.

- Musisz się z tego wygrzebać, synu. To prawda, że przeżyłeś paskudny rozwód, ale już po wszystkim. Teraz jesteś wolny i musisz przeskoczyć na kolejny kwiatek.

Rick był weteranem dwóch rozwodów i teraz szukał żony numer trzy, Cahill powątpiewał więc w wartość jakichkolwiek jego porad dotyczących kobiet. Rick świetnie potrafił je łowić, ale nie umiał ich utrzymać. Ale że był też dobrym przyjacielem, Cahill nie zamierzał mu tego wytykać.

- Daj mi czas - odparł spokojnie. - Do diabła, minął już rok!

- Może ja potrzebuję półtora. A poza tym chodzę na randki.

- Taa, i nic z nich nie wynika.

- Nie chcę, żeby cokolwiek wynikało. Po prostu chce mi się seksu, - Zagapił się ponuro w swoją kawę. Z całą pewnością chciało mu się seksu, ale realizacja tej zachcianki była problemem. Kobiety, które godziły się na

jednorazowy seks bez zobowiązań, nie były w jego typie. Nie pociągała go byle szmata. Kobiety, które naprawdę mu się podobały, należały do tych długodystansowych, a on nie potrzebował teraz długiego dystansu.

Nie chodziło o to, że jeszcze nie przeszła mu Shannon; odkochał się w tej samej minucie, kiedy dowiedział się, że pieprzy się z lekarzem ze szpitala, w którym pracowała. Ale rozwód był koszmarem, a żona utrudniała mu wszystko, co dało się utrudnić, jakby chciała go ukarać za to, że ośmielił się już jej nie kochać. Nie rozumiał kobiet, a przynajmniej takich kobiet jak Shannon; jeśli nie zamierzała z nim skończyć, to czemu go zdradzała? Czy naprawdę myślała, że on nie wykopie jej natychmiast, kiedy się o tym dowie? Ale dowiedział się, wykopał ją, a ona zareagowała istnym szaleństwem mściwości.

Starał się działać fair. Co oczywiście nie oznaczało, że był głupi. Kiedy tylko odkrył jej romans, wyjął połowę pieniędzy z ich wspólnego konta i otworzył nowe konto w innym banku wyłącznie na swoje nazwisko. Zlikwidował też jej pełnomocnictwa do wszelkich rachunków kredytowych, co nie było dla niej specjalnie bolesnym ciosem, ponieważ miała własne karty kredytowe - ale i tak wpadła w furję, kiedy się o tym dowiedziała. A zapewne dowiedziała się, próbując obciążyć którąś z jego kart - po tym, jak już ją pogonił - najwyraźniej więc postąpił słusznie.

Uprzedził ją z pozwem rozwodowym, ale ona przypuściła kontratak i zażądała wszystkiego: domu, samochodu, mebli, domagała się też, aby on spłacił wszystkie kredyty za dom, samochód i meble, choć zarabiała więcej w szpitalnej administracji niż on w policji - a do tego jeszcze chciała alimentów.

Prawnik, którego wynajęła, był specem od rozwodów, znanym ze swojej taktyki spalonej ziemi. Tyłek Cahilla uratowali bystry adwokat i jeszcze bystrzejsza pani sędzia, która przejrzała Shannon na wylot. Myślał, że już po nim, kiedy się dowiedział, że sędzia jest kobietą, ale jego adwokat uśmiechnął się tylko i powiedział: „To będzie zabawne”.

Cahill nie nazwałby sprawy rozwodowej „zabawną”, ale werdykt przyjął z prawdziwą ulgą. Nie mieli dzieci, sędzia podzieliła więc wszystko odwrotnie proporcjonalnie do przychodów stron. Żadne z nich nie chciało domu, kazała więc go sprzedać, spłacić hipotekę, a resztę pieniędzy podzielić między nich. Ponieważ Shannon zarabiała dwa razy więcej, on dostał dwukrotnie większą kwotę ze sprzedaży wspólnego majątku, bo ją bardziej było stać na kupno nowego domu. Cahill zerknął na Shannon, kiedy ogłoszono wyrok, i widział, jak poczerwieniała z wściekłości i niedowierzania. Z całą pewnością nie tego się spodziewała. Zaczęła ze złością szeptać do swojego prawnika, w końcu sędzia walnęła młotkiem i kazała jej się przymknąć.

Shannon dostała swój samochód, Cahill swojego pikapa, a meblami się podzielili. Nie chciał łóżka, bo podejrzewał, że sypiał w nim ten jej doktor. Ale kiedy kupił nowy dom, miał przynajmniej na czym siedzieć, przy czym zjeść i w czym ugotować, miał też telewizor i nowiutkie łóżko do spania. Kiedy spłynęły pieniądze ze sprzedaży starego domu, systematycznie pozbył się wszystkiego, co przypominało mu Shannon. Ani jedna wspólna szklanka nie została, ani jeden widelec czy ręcznik.

Żałował tylko, że nie może pozbyć się tego fatalnego niesmaku tak łatwo, jak pozbył się jej rzeczy.

Najgorszy skutek tego wszystkiego był taki, że przez nią Cahill zaczął wątpić we własną znajomość ludzkiej natury. Kochał ją i spodziewał się, że spędzi z nią resztę życia. Wszystko dokładnie zaplanowali: choć miał niezłą robotę w Departamencie Policji Mountain Brook - a funkcjonariusze w Mountain Brook dostawali najwyższe pensje w stanie - ustalili, że kiedy ona zrobi już dyplom ze szpitalnej administracji i zdobędzie dobrze płatną posadę, co osiągnęła ze zdumiewającą szybkością, on rzuci pracę w policji i pójdzie na medycynę. Patrząc wstecz, zastanawiał się, czy Shannon po prostu nie miała słabości do lekarzy. W armii przeszedł szkolenie medyczne i podobało mu się

wyzwanie, jakim była medycyna, ale po dwóch latach w policji zrozumiał, że uwielbia tę robotę i że praca lekarza nigdy nie sprawi mu aż takiej frajdy.

Może właśnie wtedy Shannon zaczęła latać na boki. Kiedy on zmienił zdanie. Może w głębi serca najbardziej pragnęła wielkiej forsy i wspaniałych przyjęć, a kiedy okazało się, że on jej tego nie zapewni, postanowiła poszukać kogoś, kto spełni jej marzenia. Cahill myślał, że żona kochała go, niezależnie od tego, co trzymał w dłoni - skalpel czy pistolet. Dlaczego nie zauważył, że czegoś w ich związku brakowało? I co będzie, jeśli znów popełni taki błąd? Miał smykałkę do rozpoznawania podejrzanych na pierwszy rzut oka, ale jeśli chodziło o zrozumienie własnej żony - to była zupełna porażka. Teraz nie mógł sobie ufać. Bał się, że znów wybierze kogoś takiego jak Shannon, i że okaże się równie ślepy, dopóki zdrada nie walnie go obuchem w łeb.

- Znowu dumasz o jakichś ponurych sprawach - powiedział Rick.

- Jestem w tym dobry - mruknął Cahill.

- Cóż, trening czyni mistrza. Ale czemu się tu dziwić, do diabła. Nawet nie zamówiłeś sobie piwa. Ja też bym był naburmuszony, gdybym musiał siedzieć przy kawie.

- Napiję się piwa, kiedy będziemy jeść. Prowadzę, pamiętasz?

- Skoro już mowa o jedzeniu, jestem głodny. - Rick rozejrzał się po sali i dostrzegł pusty stół. - Przejdźmy tam i zamówmy coś do zarcia. - Wziął piwo i zsunął się ze stołka barowego. Cahill zabrał swoją kawę, pokazał barmanowi, dokąd idą, i dołączył do Ricka przy stoliku.

- Gdzie ją poznałeś? - zapytał Rick.

- Kogo?

- Kogo? - przedrzeźnił Rick. - Tę babkę ze strzelnicy. Tę z pistoletem i świetnym tyłkiem, tak ładnie opakowanym w dzinsy, że mało mi serce nie stanęło.

- Do domu, w którym pracuje, włamano się w zeszłym tygodniu.

Spisywałem jej zeznania.

- Poznałeś ją w zeszłym tygodniu? No, to jeszcze jest nadzieja. Umówisz się z nią?

- Nie.

- Dlaczego nie, u diabła?

- Jezu, płyta ci się zacięła, czy co? - rzucił z irytacją Cahill.

- Nie sądzisz, że jest niezła? Westchnął.

- Owszem. Sądzę, że jest niezła. - Prawdę mówiąc, sądził, że jest świetna; była prawdziwą żyłetą. Problem polegał na tym, że on nieźle się pokaleczył w męsko-damskiej wojnie i nie miał już kawałka całej skóry, który mógłby poświęcić na kolejną przegraną rundę. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Wiedział, że jak u każdej istoty ludzkiej w końcu rany wygoją się na tyle, by zaryzykować rundkę z kolejną żyłetą, ale jeszcze nie przyszedł na to czas.

- To zaprosz ją na randkę. Najwyżej powie nie.

- To nie jest laska na jedną noc.

- Nastaw się więc na dwie.

- Jedna noc to wyskok bez zobowiązań. Dwie to już związek, a właśnie tego nie chcę.

- Może i tak, ale właśnie tego ci potrzeba. Kiedy spadniesz z konia, wskakujesz na niego z powrotem i nie rozmyślasz nad konsekwencjami. Wskakuj więc na tego konia, chłopie, i jedź.

Cahill jęknął.

- Dajże już spokój.

- Dobrze, już dobrze. - Rick zaczął rysować kreski na zaparowanej szklance, i nagle spojrzał na Cahilla.

- A masz coś przeciwko temu, żebym ja się z nią umówił? Cahill miał ochotę walnąć głową w stół.

- Do diabła, nie, nie mam nic przeciwko. - Podejrzewał, że Rick zmierzał do tego od samego początku; chciał się upewnić, że ma wolną drogę.

- W porządku. Po prostu chciałem mieć pewność. Jak ona się nazywa?

- Sara Stevens.

- Jest w książce telefonicznej? Masz jej numer?

- Nie wiem, i nie.

- Nie znasz jej telefonu? Myślałem, że musicie wpisywać takie rzeczy do akt, czy jak się to tam nazywa.

- Ma osobne mieszkanie w domu, gdzie pracuje. Nie wiem, czy ma też osobny numer, ale pewnie tak.

- Pracuje w domu? W którym domu? Gdzie? Co robi?

Czasami z Rickiem gadało się jak z karabinem maszynowym, tak szybko wypluwał pytania.

- Jest kamerdynerem i pracuje u emerytowanego sędziego stanowego.

- Kamer... co?

- Kamerdynerem. Jak w angielskim dworze. Serwetka przewieszona przez rękę i takie tam.

- Pieprzysz. - Zdumiony Rick odchylił się na krześle. - Nie wiedziałem, że w Alabamie mamy kamerdynerów. Ach, czekaj, przecież mówimy o Mountain Brook.

- Właśnie.

- Kamerdyner. Ale jazda, co? Nie wiedziałem, że kobiety mogą być kamerdynerami. Nie powinno się na nią mówić, bo ja wiem, kamerdy-nerzyca? Cahill uśmiechnął się wbrew samemu sobie.

- Nie wydaje mi się. Słowo kamerdyner chyba nie ma rodzaju żeńskiego tak jak na przykład pilot.

Rozpędzony umysł Ricka był już przy następnej kwestii.

- Mogę więc do niej zadzwonić na numer tego starego sędziego. Jak on się nazywa?

- Lowell Roberts.

- Jest w książce?

- Nie wiem, a jeśli nie, to i tak nie sprawdzę ci numeru w aktach.

- Też mi przyjaciel. Dlaczego nie, u diabła?

- Bo jeśli nie ma go w książce, to dlatego, że ten człowiek sobie tego nie życzy, a ja nie mam zamiaru narobić jej kłopotów, rozdając jego numer facetom, którzy będą wydzwaniać i umawiać się z nią na randki.

- Aha!

- Co aha?

- A jednak jesteś nią zainteresowany! Cahill zagapił się na niego.

- Twoje EEG musi być przerażające - powiedział. Kelnerka postawiła przed nimi po piwie, upił więc łyk na wzmocnienie.

- Dlatego jestem takim dobrym informatykiem, kolego. Myślę nieliniowo.

- W tym przypadku nie ma żadnej linii.

- Tere-fere. Uważasz, że jest niezłą laską i nie chcesz mi podać numeru. Oto niezbity dowód, i prokurator może odpocząć.

- Choćbyś mnie męczył do upadłego, nie wydobędziesz ode mnie tego numeru. Poza tym pewnie jest w książce. Jeszcze nawet nie zajrzałeś.

- Po co mi kumpel gliniarz, jeśli nie chce mi podawać poufnych informacji?

- Po to, żeby mógł obejrzeć gówniany pistolet, kiedy go już kupiłeś, i orzec, że jest gówniany.

Zęby Ricka błysnęły w uśmiechu.

- No tak, po to też, ale nie próbuj zmieniać tematu. Jestem w transie. Ta babka ci się podoba. Podszedłeś z nią porozmawiać, chociaż, jak sam powiedziałeś, nie jest jednorazówką. Przyjacielu, może nie zdajesz sobie jeszcze z tego sprawy, ale jesteś na dobrej drodze do wyzdrowienia. Zanim się obejrzyś, będziesz się do niej uśmiechał przy śniadaniu.

- Ja się nie uśmiecham - powiedział Cahill, choć walczył z rozbawieniem.

- Będziesz więc się na nią bzdyczył przy śniadaniu. Nie o to mi chodzi.

Cahill dał za wygraną i przestał przekonywać Ricka, że ten się myli.

- Masz rację. Taka z niej laska, że mógłbym chodzić na trzech nogach, kiedy tylko ją widzę.

- Teraz gadasz do rzeczy.

- Skręcę ci kark i powyrywam nogi, jeśli do niej zadzwonisz.

- Brawo!

- No dobra. Co im tak długo schodzi z tymi hamburgerami? - Rozejrzał się wokół siebie, i, jak na zawołanie, zjawiła się kelnerka z dwoma talerzami wyładowanymi frytkami na ostro.

Rick popatrzył na niego, a potem żałośnie pokręcił głową.

- Jesteś beznadziejny, Doktoru. Beznadziejny.

- Już mi to mówiono.

Sara wróciła do domu jednocześnie zmęczona i nabuzowana po ciężkiej sesji ze swoim trenerem karate. Sędzia Roberts jadł kolację na mieście, jak zwykle we środę, by nie musiała do niego zaglądać; gdyby był w domu, czułaby się w obowiązku to zrobić. Obeszła szybko dom, by sprawdzić, czy wszystkie drzwi i okna są pozamykane, i poszła do siebie. Sędzia położył jej pocztę na stoliku obok drzwi prowadzących na schody. Sara przejrzała ją, idąc na górę: magazyn „Consumer Reports”, kilka katalogów i list.

Odłożyła pocztę na mały, dwuosobowy stół w kuchni, wstawiła kubek z wodą do mikrofalówki, a potem rozebrała się w sypialni. Brała już prysznic po treningu, ale ubranie wciąż było trochę lepkie; westchnęła z ulgą, kiedy chłodne powietrze, poruszone wentylatorem pod sufitem, owiało jej nagą skórę. Po dwóch ciężkich treningach dziś wieczór zamierzała trochę zadbać o siebie. Miała w planie maseczkę i długie, relaksujące moczenie się w kąpieli pachnącej lawendą.

Odkręciła wodę, by napełnić wannę, wsypała paczuszkę soli kąpielowej. Włożywszy szlafrok, wróciła do kuchni, by w kubku z gorącą wodą zaparzyć zieloną herbatę Salada. Gdy herbata naciągała, Sara przejrzała przysłane

katalogi, a potem wrzuciła je do śmieci. Pierwszy łyk herbaty był boski; z westchnieniem usiadła przy stole i otworzyła list. Droga Panno Stevens,

chciałbym zaproponować Pani posadę w moim domu, na takim samym stanowisku, jakie zajmuje Pani obecnie. Moja posiadłość jest duża i skorzystałaby na Pani kompetentnym zarządzaniu, ale jestem przekonany, że korzyść byłaby obustronna. Jakakolwiek jest w tej chwili Pani pensja, podniosę ją o dziesięć tysięcy dolarów. Proszę zadzwonić do mnie i powiadomić o swojej decyzji.

Hm, to było ciekawe. Nie kusilo jej, ale i tak wydawało się interesujące. Sprawdziła adres zwrotny: ulica w Mountain Brook. Sądząc z daty w nagłówku listu, nadawca musiał wysłać go tuż po obejrzeniu reportażu w telewizji.

O dziwo, nie spodziewała się innych ofert zatrudnienia. Sarze pochlebiało to, ale nie miała zamiaru zostawiać sędziego, choćby proponowano jej nie wiadomo ile pieniędzy.

Oferta wymagała jednak natychmiastowej odpowiedzi, podniosła więc słuchawkę i wystukała podany w liście numer. Po dwóch sygnałach zgłosiła się automatyczna sekretarka i łagodny, męski głos powiedział: „Tu numer 6785. Proszę zostawić wiadomość”.

Sara zawahała się chwilę. Nie lubiła nagrywać wiadomości, ale ludzie, którzy mieli automatyczne sekretarki, instalowali je po to, by dzwoniący z nich korzystali.

- Mówi Sara Stevens. Dziękuję za pańską propozycję zatrudnienia, ale jestem bardzo zadowolona ze swojej obecnej posady i nie zamierzam w najbliższym czasie z niej rezygnować. Jeszcze raz dziękuję.

Rozłączyła się i podniosła kubek z herbatą. Nagle przypomniała sobie o kąpiel. Pobiegła do łazienki, by się przekonać, że wanna jest już pełna. Zakręciła kurki, włączyła odtwarzacz CD marki Bose, zrzuciła szlafrok na podłogę i weszła do wanny. Westchnęła, zanurzając się po samą brodę. Gorąca woda szybko rozluźniła jej zmęczone mięśnie; Sara niemal czuła, jak spływa z

nich napięcie. Łagodne dźwięki muzyki medytacyjnej wypełniły łazienkę nutami powolnego, relaksującego fortepianu i smyczków. Po kolejnym łyku herbaty Sara położyła się wygodnie i zamknęła oczy, szczęśliwa i zadowolona.

„Mówi Sara Stevens”. Zatrzymał nagranie, wcisnął replay i odsłuchał jeszcze raz. „Mówi Sara Stevens”.

Jej głos był dokładnie taki sam jak w telewizji - niski i ciepły. A on stał przy sekretarce i słuchał, kiedy nagrywała wiadomość.

„Mówi Sara Stevens”.

Nie mógł uwierzyć, że odrzuciła jego propozycję. Dziesięć tysięcy dolarów! Ale to dowodziło jej lojalności, a lojalność to cenne dobro. Wobec niego będzie równie lojalna, kiedy już zostanie w jego domu.

„Mówi Sara Stevens”.

Umiał skłaniać ludzi do zmiany zdania, do urządzania spraw tak, by układały się po jego myśli. A więc nie zamierzała w najbliższym czasie rezygnować z obecnej posady? To się jeszcze zobaczy.

Rozdział 6

Następnego ranka, podając sędziemu śniadanie, Sara powiedziała:

- Dostałam wczoraj list z propozycją pracy. Ten człowiek widocznie oglądał reportaż w telewizji.

Sędzia Roberts przyglądał się podejrzliwie swojemu francuskiemu tostowi. Założył okulary i pochylił się, by przyjrzeć mu się z bliska.

- Co to są te czerwone kropki? -zapytał groźnie.

- Cynamon. Dzięki niemu to jest cynamonowy tost.

- Aha. Doktor mówi, że mój cholesterol jest niższy o dwadzieścia punktów. Przejście na sztuczny bekon nie obniżyłoby go tak bardzo, pewnie więc robisz coś z moim jedzeniem.

- A co można zrobić z francuskim tostem? - zdumiała się Sara.

- Może nie chodzi o tosta. Może preparujesz wszystko inne. Uśmiechnęła się i postawiła przed nim miskę świeżych, pokrojonych w plasterki truskawek.

- Preparuję tylko to, co zwykle - skłamała wesoło.

- Aha - burknął znów. - Czy ten sfilcowany fermenciarz, który próbuje mi cię podkupić, wie, że sprowadziłby sobie do domu tyrana?

Sara omal nie parsknęła śmiechem.

- Sfilcowany fermenciarz? - Sędzia był tak staroświecki, że nie zdziwiłaby się, gdyby nazwał kogoś „nędznikiem”. Slang słyszany z jego ust był równie na miejscu, jak rapowy kawałek odśpiewany na stopniach Kapitolu przez sędziów Sądu Najwyższego.

- Wnuki.

- Ach. - Dzieciaki Barbary miały piętnaście i dziewiętnaście lat; to wyjaśniało wszystko. Sara wyobraziła sobie piętnastoletnią Blair z kolczykiem w brwi, która uczy nobliwego staruszka dziesięciu najpopularniejszych młodzieżowych obelg.

- Zanim się obejrzę, zaczniesz mnie karmić tofu - burczał, wracając do swoich gastronomicznych podejrzeń. Zabrał się do jedzenia swojego tosta, nie zważając na czerwone kropki.

Kucharka już od kilku miesięcy serwowała mu zręcznie zakamuflowane tofu, Sara więc znów ukryła uśmiech.

- I co to właściwie jest to tofu?

- Zsiadłe mleko odciśnięte z serwatki. A dokładniej sojowe mle-

- Brzmi obrzydliwie. - Obejrzał uważnie substytut bekonu. - Ale mój bekon nie jest z tofu, co?

- Nie sądzę. To chyba po prostu sztuczne mięso.

- W takim razie w porządku.

Pocałowały go w czubek siwej głowy, gdyby to nie kłóciło się ze wszystkimi jej zasadami zawodowymi. Był taki kochany, posłusznie jedząc

„sztuczne mięso”, a jednocześnie cały czas mając się na baczności przed skradającym się tofu.

- Co powiedziałaś fermenciarzowi?

- Podziękowałam mu za ofertę, ale wyjaśniłam, że jestem bardzo zadowolona z obecnej posady.

Jego bystre oczy błysnęły zza szkieł okularów.

- Mówisz, że widział cię w telewizji?

- Pewnie tak, chyba że ktoś z pańskich znajomych podał mu moje nazwisko.

- Ale to nie był nikt z nich, co? - zapytał podejrzliwie.

- Nie, nie znam tego nazwiska.

- Może to przystojny młodzieniec, który się zakochał, gdy tylko cię zobaczył.

Ledwie się powstrzymała, by nie prychnąć z powątpiewaniem.

- Ludzie, którzy proponują komuś pracę, nie znając jego kwalifikacji i nie pytając o referencje, to idioci.

- Nie ściemniaj mi tu, Saro, powiedz, co naprawdę myślisz.

Tym razem w końcu się roześmiała, bo to zdanie też musiało pochodzić od Blair.

- Powinnaś przynajmniej pójść na rozmowę - powiedział sędzia ku jej zaskoczeniu.

Zatrzymała się jak wryta i popatrzyła na niego.

- Dlaczego?

- Bo ja jestem stary i nie zostało mi już wiele lat. To może być dla ciebie dobra okazja, i może on zaproponuje ci wyższą pensję.

- Zaproponował, ale to nie ma znaczenia. Zamierzam być tu tak samo długo jak pan, chyba że mnie pan zwolni.

- Ale większa płaca pomogłaby ci zrealizować twój plan. - Opowiadała mu o swoich zamiarach zrobienia sobie urlopu i podróżowania po świecie, a on

przyjął ten pomysł entuzjastycznie; zaczął nawet studiować atlas świata i zbierać informacje o miejscach, które mogłyby ją zainteresować w różnych krajach.

- Mój plan ma się świetnie, a zresztą ludzie są ważniejsi od planów.

- Wybacz staremu tę osobistą uwagę, ale jesteś uroczą młodą kobietą. Co z małżeństwem, z rodziną?

- Mam nadzieję, że i to będę miała, tylko jeszcze nie teraz. A nawet jeśli nigdy nie wyjdę za mąż, i tak podoba mi się moje życie i jestem zadowolona z zawodu, który wybrałam. Jestem szczęśliwa sama ze sobą, i nie ma w tym nic złego.

- Nie, rzeczywiście. Prawdę mówiąc, to rzadki dar. - Uśmiechnął się ciepło, przyglądając się jej. - Ale kiedy już wyjdiesz za mąż, i zauważ, że mówię „kiedy”, nie, jeśli”, bo kiedyś spotkasz mężczyznę, który będzie zbyt mądry, by dać ci odejść, to powinien każdego dnia padać na kolana i dziękować Bogu za swoje szczęście.

Miała ochotę go uściskać. Uśmiechnęła się jednak tylko i powiedziała:

- To uroczy komplement. Dziękuję. Myśli pan, że ten mężczyzna wciąż będzie się uważał za takiego szczęściarza, jeśli podam mu do jedzenia tofu?

- Będzie wiedział, że robisz to dla jego dobra. - Mimo pełnej galanterii odpowiedzi znów zerknął podejrzliwie na swój pusty talerz.

- Obiecuję: żadnego tofu w pańskich tostach.

Westchnął z ulgą i zaczął jeść truskawki, nie naciskał, by mu obiecała, że nie przemyci tofu do innych potraw. Był bystrym człowiekiem; to przemilczenie powiedziało Sarze, że podejrzewał, iż został już skażony tofu i łaskawie godził się na to, pod warunkiem że jego ukochany francuski tost pozostanie bezpieczny.

Po lunchu odebrała wreszcie spodziewany telefon od jednego z braci. Był to Daniel; dzwonił z Teksasu.

- Cześć, skarbie. Fajny film, pokazał cię w bardzo korzystnym świetle. Chłopaki nie wierzą, że jesteś moją siostrą, i wszyscy chcą, żebym ich z tobą umówił.

- Mogą sobie chcieć - odparła z uśmiechem.

- Dlaczego nie? Niektórych, przyznaję, nie umówiłbym nawet z tanią dziwką, ale kilku to zupełnie w porządku gości.

- A wspominałam ci już, jaka jestem dumna ze swojego dolara z Susan B. Anthony? - zapytała słodko.

- Nie zrobiłabyś tego.

- Zawsze, kiedy jestem na randce, mam ochotę o tym mówić.

- A tak zmieniając temat... - rzucił pospiesznie. - W liście dołączonym do kasety mama wspomniała, że powstrzymałaś włamywacza jakimś wymyślnym ciosem.

- Nie był wymyślny. Prosto w skroń.

- Brawo, mała.

- Dziękuję. - Takie zdanie z ust członka oddziału specjalnego było najwyższą pochwałą. - Spodziewałam się, że zadzwonicie, ty albo Noel, albo obydwaj, kiedy zobaczycie film.

- Noel pewnie jeszcze nie widział nagrania. Nie ma go w kraju. Nie musiał mówić więcej. Sara wychowała się w wojskowej rodzinie i wiedziała, co to znaczy. Noel służył w jednostce zwiadowczej; był już w Afganistanie, potem znów siedział w Kalifornii, i tylko Bóg i Pentagon wiedzieli, gdzie posłano go teraz. No dobra, Daniel też pewnie wiedział; on i Noel mieli swoje sposoby komunikacji.

- A co u ciebie? - zapytała.

- Ciągle siedzę w Teksasie.

- To wiem. - Zniecierpliwiona przewróciła oczami, dobrze wiedząc, że brat wystarczająco często słyszał u niej ten ton, by wyobrazić sobie jej minę.

- Wynoszę się stąd, kiedy krowy wrócą do domu. Już trochę zardzewiałem.

„Kiedy krowy wrócą do domu” było rodzinnym określeniem kończącego się dnia - ponieważ krowy wracały do domu co wieczór. Oznaczało to, że dziś wysyłają go na misję. Nie pytała, dokąd się wybiera. I tak by jej nie powiedział.

- Rozmawiałaś z rodzicami?

- Wczoraj wieczorem. Wszystko u nich w porządku. Oznaczało to, że ich też zawiadomił o przeniesieniu. Westchnęła i potarła czoło. Niepokój o bliskich po jedenastym września na stałe zagościł we wszystkich wojskowych domach, ale Daniel i Noel zostali żołnierzami z powołania, i obaj byli dobrzy w tym, co robili. Walka z terrorystami nie przypominała typowej wojny, w której zdobywa się i traci terytorium przy pomocy naziemnych oddziałów. Ta szczególna wojna wymagała ukradkowych działań i umiejętności sił specjalnych, które uderzały błyskawicznie, z miażdżącą siłą, a potem znikwały.

- To trzymaj się, i nie potknij się o swoje własne wielkie nożyska. - W języku siostry oznaczało to „kocham cię, uważaj na siebie”.

- Ty też, Annie.

Mimo zmartwienia uśmiechnęła się, słysząc tę aluzję do jej umiejętności strzeleckich. Bracia bezlitośnie przezywali ją Annie Oakley*, od kiedy pierwszy raz wygrała strzelecką rywalizację. Nie mogła mieć lepszych braci, nawet jeśli w dzieciństwie obaj doprowadzali ją do szału. Siostra Sary Jennifer ze wzdargą obserwowała jej wybryki - i choć Sara była dużo mniejsza od braci, nie przeszkadzało jej to wkłęcać się na ich mecze futbolowe, wymykać się z nimi na ryby czy wymachiwać małymi pięściami, ilekroć próbowali nią rządzić czy nabijać się z niej. Krótko mówiąc, była prawdziwym utrapieniem, a oni i tak ją kochali.

Usłyszała cichy dzwonek, sygnalizujący otwarcie drzwi, i spojrzała na zegarek: równiutko druga. Sędzia zgodnie ze swoim zwyczajem wyszedł na popołudniowy spacer. Wracając, zajrzy do skrzynki i wyjmie pocztę, a potem

będzie chciał się napić świeżej kawy, siedząc w bibliotece i przeglądając dzisiejszy łup. Uwielbiał pocztę - nawet pocztowe śmieci - i przeglądał wszystkie katalogi. Emerytura miała jedną dobrą stronę, jak mawiał: dawała mu czas na czytanie nieważnych rzeczy.

Sara nastawiła ekspres i przygotowała tacę. Kucharka, Leona Barks-dale, uniosła głowę znad sosu pomidorowego, który właśnie pichciła.

- To już ta godzina?

- Co do minuty - odparła Sara. Po chwili dodała: - Pytał dziś o tofu.

- To pewnie zacznie go szukać. Coś dziś wymyślę i nie podam mu ani grama tofu. Zobaczmy. Na kolację są szparagi z grilla, pieczone ziemniaki i marchewki, i kotlet jagnięcy. Nic nawet nie przypomina tofu. - Leona zajrzała do bułeczek w piekarniku. - Jak tam jego cholesterol?

- Niższy o dwadzieścia punktów.

Uśmiechnęły się do siebie z satysfakcją. Ta zmowa mająca na celu wmuszanie zdrowych potraw w człowieka, który opierał się samej ich idei, była o wiele bardziej zabawna niż podawanie takiego jedzenia komuś, kto sam chciał się zdrowo odżywiać.

Kiedy dzwonek przy drzwiach obwieścił powrót sędziego, Sara naląła kawy do filiżanki i do małego termosu, by mógł jej sobie dolać, jeśli zechce. Na tacy były też talerzyk z cienkimi plasterkami jabłka, przepyszny beztłuszczowy sos karmelowy i kilka pełnoziarnistych krakersów, na wypadek, gdyby sędzia miał ochotę na małe co nieco. Przed nastaniem Sary jego podwieczorek składał się zwykle z ciasta czekoladowego albo pączków z kremem. Zmuszenie go do rezygnacji z pączków było wielką batalią, a na dodatek w tym wypadku Sara zgadzała się z przeciwnikiem. Pączki z kremem były naprawdę pyszne.

- Saro?

** Annie Oakley (właśc. Phoebe Ann Mosey, 1860-1926) - sławna snajperka, gwiazda rewii Buffalo Billa.*

Zamiast pójść do biblioteki sędzia szedł w stronę kuchni. Sara i Leona wymieniły zdziwione spojrzenie.

- Tu jestem, proszę pana - powiedziała Sara i podeszła do drzwi. Oprócz zwykłego pliku czasopism, katalogów, rachunków i listów sędzia niósł niewielką paczkę.

- To przyszło do ciebie.

Zwykle kładł jej pocztę, jeśli jakakolwiek była, na stoliku w holu.

- Dziwne - zdumiała się Sara, podnosząc tacę. - Niczego nie zamawiałam.

- Nie ma adresu zwrotnego. Nie podoba mi się to. To może być bomba.

Kilka lat wcześniej pewien sędzia w okręgu Birmingham został zabity przez bombę przysланą pocztą; takie wydarzenie każdego sędziego nauczyłoby ostrożności z podejrzanymi paczkami. Listy z węglikami na Florydzie, w Nowym Jorku i Waszyngtonie też były ostrzeżeniem.

- Dlaczego ktoś miałby mi przysyłać bombę? - zapytała Sara, idąc z tacą korytarzem. Sędzia szedł za nią ze swoją pocztą i paczką.

Postawiła serwis do kawy na jego biurku, tak jak lubił, ale sędzia, zamiast usiąść, odłożył pocztę na blat i stał z paczką w dłoniach, przyglądając się jej niepewnie. Zwykle Sara otwierała pocztę dopiero wieczorem, w swoim mieszkaniu, ale czuła, że staruszek się nie uspokoi, dopóki nie przekona się, że w paczce nie ma nic groźnego.

- Zobaczymy? - zapytała, wyciągając rękę. Ku jej zdziwieniu nie podał jej paczki.

- Może powinniśmy zadzwonić po saperów.

Nie roześmiała się, bo jeśli on się niepokoił, to sprawa nie była śmieszna.

- Gdyby ktoś przysłał bombę, to czy nie wybuchłaby, kiedy pan ją wyjął ze skrzynki?

- Nie, bo gdyby była wrażliwa na wstrząsy, nie dojechałaby do nas.

Bomby przesyłane pocztą zwykle mają zapalniki czułe na nacisk albo tarcie.

- Zastanówmy się więc, kto mnie zna i mógł przysłać mi coś na ten adres?

- Nie należało nagrywać tego reportażu - powiedział sędzia, kręcąc głową.
- To zwabiło wariatów.

- Najpierw ktoś próbuje mnie zatrudnić, a teraz ktoś przysyła mi paczkę.
Może powinniśmy ją włożyć do wody?

Może to pytanie, i wyobrażenie sobie ich dwojga topiących paczkę w wannie i wzywających brygadę saperów, sprawiło, że sędzia nagle rozluźnił się i uśmiechnął słabo.

- Popadam w paranoję, co? Gdyby ktokolwiek miał dostać bombę w paczce, byłbym to ja.

- W tych czasach warto zachować ostrożność. Westchnął.

- Mogę ją otworzyć za ciebie?

Sara przygryzła wargę. To ona miała chronić sędziego, a nie odwrotnie. Ale on należał do pokolenia, kiedy mężczyźni uczono opiekować się kobietami, i wiedziała, że to jest dla niego ważne.

- Proszę cię - powiedział.

Skinęła głową, tak wzruszona, że brakowało jej słów.

- Tak, oczywiście.

Sędzia odsunął się od niej, wziął nóż do listów i ostrożnie przeciął taśmę, którą zaklejone było pudełeczko. Wbrew samej sobie wstrzymała oddech, kiedy zdejmował wieczko, ale nic się nie stało.

Zawartość była przykryta brązową bibułą. Sędzia wyjął bibułę i zajrzał do środka. Na jego twarzy odmalowało się lekkie zdziwienie.

- Co to jest?

- Pudełko ze sklepu jubilerskiego.

Postawił paczkę na biurku i wyjął niewielkie, płaskie pudełeczko, mniej więcej pięć na pięć centymetrów. Było białe, ze złotym nadrukiem nazwy sklepu. Potrząsnął nim, ale nie rozległ się żaden dźwięk.

- Chyba można bezpiecznie stwierdzić, że to jednak nie jest bomba - powiedział, podając pudełeczko Sarze.

Uniosła wieczko i zdjęła cienką warstwę bawełnianej wyściółki. Pod nią, na kolejnej warstwie bawełny, leżał złoty wisiołek w kształcie łyzy, z jasnoczerwonym rubinem otoczonym małymi brylancikami. Złoty łańcuszek był przypięty do wyściółki, by nie grzechotał.

Oboje patrzyli zdumieni na wisiołek. Był śliczny, ale niepokojący. Któż mógł jej przysłać tak wspaniałą klejnot?

- To musiało być drogie.

Sędzia Roberts przyjrzał się naszyjnikowi.

- Ten wisiołek kosztował pewnie jakieś dwa tysiące dolarów. To tylko strzał w ciemno, oczywiście, ale ten rubin jest wysokiej jakości.

- Kto, u licha, miałby mi przysyłać drogą biżuterię? - Zdumiona wzięła brązowe tekturowe pudełko i wyjęła spodnią warstwę bibuły. Na podłogę sfrunęła biała kartka. -Aha. - Schyliła się i podniosła kartonik, odwracając go, by przeczytać, co jest na nim napisane. Odwróciła go i spojrzała jeszcze raz, ale rewers był czysty.

- Jest tam napisane, kto to przysłał? Pokręciła głową.

- Aż dostałam gęziej skórki.

Sędzia widział, że na karteczce widnieje rząd liter.

- Co tam jest?

Spojrzała na niego i podała mu liścik. W jej ciemnych oczach widać było zdumienie i niepokój.

- Tu jest napisane: „Mały dowód mojego szacunku”. Ale kto to przysłał?

Rozdział 7

Ustalenie jej rozkładu dnia było takie proste. Mógł wynająć prywatnego detektywa, by obserwował dom, ale nie chciał w to angażować żadnej trzeciej osoby, która mogłaby potem wyciągnąć niewygodne dla niego wnioski. Kilka razy przejechał ulicą, szukając miejsca, gdzie mógłby zaparkować i patrzeć; ruch, choć niezbyt duży, był na tyle ożywiony, by jego samochodu nikt nie zauważył. Problem polegał na tym, że nie znalazł tu żadnego miejsca do

parkowania. To była ulica rezydencji, z domami po obu stronach, z których przez cały dzień wyjeżdżali i do których wjeżdżali mieszkańcy.

Ale wystarczyło mieć trochę czasu i wytrwałości. W ciągu kolejnych dni, przejeżdżając co godzina obok posiadłości, zorientował się, kiedy przychodzi ogrodnik, i starannie zapisał to w notesie, który kupił specjalnie w tym celu - notes miał miękką, skórzaną oprawę, o wiele bardziej gustowną niż te jaskrawe, tekturowe okładki, za którymi przepadały dzieciaki. Starsza kobieta - kucharka, jak zakładał – przychodziła codziennie około dziesiątej i wychodziła o piątej. Godziny przyjscia i wyjścia sprzątaczek też zostały dokładnie zanotowane.

W środę Sara wyjechała rano z domu i wróciła dopiero wczesnym wieczorem. Próbował ją śledzić, ale zjechała na autostradę 31 i zgubił ją w ulicznym ruchu, kiedy zatrzymało go czerwone światło. Zamiast jeździć bez celu w kółko, zatrzymał się przy budce telefonicznej i zadzwonił do domu sędziego Roberta. Numeru nie było w książce, ale on zdobył go zaraz, gdy tylko zobaczył Sarę w telewizji. Znał odpowiednich ludzi, którzy znali innych odpowiednich ludzi i zawsze byli chętni wyświadczyć mu przysługę. Naprawdę wystarczyło tylko poprosić, i po kilku godzinach miał już ten numer.

Telefon odebrała jakaś kobieta; zapytał o Sarę, zakładając, że użycie samego jej imienia zasugeruje zażyłą znajomość, choć tak naprawdę wcale jej nie znał. A raczej jeszcze jej nie znał. On czuł się tak, jakby była kimś bliskim, oddanym i lojalnym. Ciągle myślał o jej doskonałej urodzie, zachowaniu, nawet słyszał jej głos.

- Sary dziś nie ma - odparła wesoło kobieta.

- Ach, no tak. Zaraz, wszystko mi się pomieszało. Czy to jej wolny dzień?

- Z rozmysłem przybrał bardziej swobodny ton i sposób mówienia niż zazwyczaj.

- Zgadza się.

- Czy dzisiaj środa? Straciłem rachubę dni. Od rana wydawało mi się, że mamy dziś czwartek.

Kobieta się roześmiała.

- Przykro mi, ale jednak środa.

- No dobrze, zadzwonię zatem wieczorem. Dzięki. - Rozłączył się, nim zdążyła zapytać o jego nazwisko i telefon, następnie zanotował informację drobnym, starannym pismem: „Środa - dzień wolny”.

Poczuł dreszcz podniecenia. Aby on mógł zrealizować swój plan, ona musiała być poza domem. Uznał, że ma już większość potrzebnych informacji, ale nie zamierzał rezygnować z obserwacji, musi mieć pewność. To był klucz do sukcesu: niczego nie pozostawiać przypadkowi.

Chętnie chodziłby za nią cały dzień i patrzył, co robi, jakie ma zainteresowania i hobby, ale może tak jest lepiej,

Myślał o tym, jak wyglądała, kiedy wyjeżdżała z domu, z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, z klasycznymi ciemnymi okularami osłaniającymi oczy. Sprawiała wrażenie wyniosłej, tajemniczej i trochę egzotycznej. Prowadziła swój terenowy samochód szybko i sprawnie.

Kursy bezpiecznej jazdy były kolejnym dowodem na to, do jakiego stopnia angażowała się w pracę. Całkowicie poświęciła się temu staremu człowiekowi, który nigdy nie zrobił nic, by zasłużyć na takie oddanie. Przecież ten sędzia nawet sam nie zarobił pieniędzy; odziedziczył je. To była zupełnie inna sprawa niż jego przepis na spadek - bo on ocalił swoje pieniądze przed głupimi decyzjami własnego ojca. Sędzia Lowell nigdy nie zrobił nic, siedział tylko w swojej ławie i wygłaszał opinie, jakby były głosem Boga.

Jego Sara zasługiwała na coś więcej niż ten staruch.

Zasługiwała... na wszystko.

Chciał dać jej prezent, coś, co każe jej o nim pomyśleć, ilekroć na tę rzecz spojrzy. I chciał, by było to coś do noszenia, by mógł sobie wyobrazić, że ona ma to przy sobie codziennie, dotyka tego, traktuje jak skarb. Nie mógł jej dać

ubrania; to byłoby zbyt prostackie. Kwiaty więdły i umierały, a potem lądowały w śmieciach.

A więc biżuteria. Czyż nie klejnoty dżentelmeni dawali swoim damom od zarania dziejów? Wyjątkowe klejnoty otaczała aura tajemnicy, intrygi, nawet klątwy, choć oczywiście jego podarek nie będzie przeklęty. Nie mógł nawet posłać jej jakiejś wyjątkowej biżuterii, jak tego pragnął, bo nie miał czasu na zamówienie u jubilera. Kupi coś gotowego, ale mimo wszystko wiedział, że na pewno znajdzie coś niezwykłego.

I będzie musiał kupić prezent w sklepie, z którego usług nie korzystał do tej pory, by nie ryzykować, że ktoś go rozpozna. Płacenie czekiem czy kartą kredytową też nie wchodziło w grę; nie chciał, by ktokolwiek mógł go zidentyfikować, idąc tropem podarku. W odpowiednim czasie ona się dowie, ale ta wiedza była przeznaczona wyłącznie dla nich dwojga.

Pojechał do swojego banku i podjął pięć tysięcy dolarów. Zirytował się, bo kasjerka w okienku dla zmotoryzowanych kazała mu pokazać prawo jazdy. Po zastanowieniu uznał jednak, że postąpiła właściwie. Nie cierpiał opóźnień i pytań, ale czasami człowiek musiał się pogodzić z ciężarem zasad współżycia społecznego.

Z banku pojechał do Galerii, gdzie, jak wiedział, będzie tylko jeszcze jedną twarzą pośród wielu innych, nawet w dzień powszedni. Znajdowało się tu kilka sklepów jubilerskich i przejrzał ofertę wszystkich, zanim dokonał wyboru. Sara powinna dostać coś prostego i klasycznego; nie spodobałoby się jej, tak jak i jemu, nic krzykliwego, ale coś przesadnie skromnego byłoby obelgą.

Nareszcie zdecydował się na wisiołek w kształcie łyzy, śliczny rubin otoczony brylancikami i zawieszony na cieniutkim łańcuszku. Zestawienie rubinu i brylantów oddaje jej istotę, pomyślał - egzotyczne ciepło otoczone doskonałym chłodem.

Zapłacił gotówką, wzbudzając zdumienie ekspedientki. Z kwadratowym, płaskim pudełkiem w kieszeni poszedł do innego sklepu jubilerskiego i kupił

prosty łańcuszek, umieszczony w pudełku bardzo podobnym do tego, w które zapakowano rabinowy wisiołek. Łańcuszek kosztował marne sto dolarów, ale jemu zależało na pudełku, nie na zawartości.

Potem wstąpił do sklepu z artykułami biurowymi i kupił małe tekturowe pudełko, bibułę do wypełnienia wolnego miejsca i rolkę taśmy. Nie zapomniał nawet o nożyczkach do odcięcia taśmy. W zwykłych okolicznościach irytowałoby go, że musi sobie zadawać tyle fatygi, ale tym razem cierpliwie, krok po kroku, robił wszystko, co należało. Przecież robił to dla Sary.

Wrócił do samochodu, wyjął tani łańcuszek z pudełka i na jego miejscu starannie ułożył wisiołek. I gotowe. Teraz, jeśli Sara zadzwoni do sklepu, którego nazwa widniała na pudełku, usłyszy, że nikt nie przypomina sobie, by sprzedawał naszyjnik z rubinem i brylantami, i że właściwie w ogóle nie mieli w ofercie czegoś takiego. Wyobrażał ją sobie, leżącą w łóżku, jak delikatnie dotyka wisiorca na szyi i zastanawia się, kto przysłał jej taki uroczy prezent.

Zapakował wszystko do tekturowego pudełka, wrzucił krótki liścik, by wiedziała, jaka jest wyjątkowa, wypełnił wolne miejsca bibułą i zakleił pudełko. Poniewczasie zorientował się, że nie kupił taniego pisaka, by zaadresować przesyłkę. Wyjął więc z kieszeni marynarki swoje złote wieczne pióro, z chmurną miną zastanawiając się, co szorstka tektura zrobi ze stalówką.

Mógł pójść do innego sklepu i kupić pisak, ale jego cierpliwość nagle się wyczerpała. Odkręcił skuwkę drogiego pióra i szybko wypisał na pudełku drukowanymi literami nazwisko i adres Sary; zirytował się, bo stalówka wyskrobywała rowki w tekturze. Trudno, jeśli okaże się to konieczne, kupi sobie nowe pióro, ale prezent zostanie wysłany bez żadnej dalszej zwłoki.

Na poczcie był tłok i mimo zaostrzonych przepisów bezpieczeństwa urzędniczka nie zauważyła, że na pudełku nie ma adresu zwrotnego. Wiedział, że budzi zaufanie. Szaleni zamachowcy nigdy nie wyglądali dystyngowanie i godnie; byli raczej kudłaci i odrażający. Przygotował się też na wypadek, gdyby

urzędniczka zauważyła brak nadawcy - wymyślił fikcyjny adres - ale wolałby, zachować efekt tajemniczości.

Już wcześniej zwrócił uwagę na to, że sędzia Roberts spaceruje po okolicy codziennie o tej samej porze i wracając do domu, wyjmując pocztę ze skrzynki. Przejechanie obok domu dokładnie w tym momencie było trudne, i rzeczywiście pospieszył się o kilka chwil, ale jeśli nie chciał się zatrzymać na ulicy, by popatrzeć, musiał się zadowolić tym, co dostrzegł we wstecznym lusterku. Sędzia wyjął pudełko i stał chwilę, trzymając je w rękach, rozglądając się w górę i w dół ulicy.

Ulica skręcała, stracił więc z oczu starego drania. Niech go diabli, dlaczego tak stał? Co on wyprawiał? Czyżby był zazdrosny, że ktoś przysłał Sarze paczkę?

Tak. Oczywiście, że był zazdrosny. Staruch na pewno pękał z dumy, że taka kobieta jak ona mieszka z nim, opiekuje się nim. Prawdopodobnie opowiadał wszystkim swoim kolegom, że z nią sypia.

Na tę myśl zacisnął z furją dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu kostki palców. Niemal słyszał tych koleśków, rechoczących i chichoczących jak nastolatki z głowami pełnymi brudnych myśli.

Musiał ją uwolnić od tego wszystkiego.

Sara postawiła pudełko na kuchennym blacie i jedząc kolację, nie mogła oderwać od niego wzroku. Wisiołek był śliczny, nie dało się zaprzeczyć, ale ona nie chciała go dotykać. Prezent to jedna sprawa; anonimowy prezent to już zupełnie co innego. Wydawał jej się w jakiś sposób... złowrogi, jakby ktoś przysłał jej węża. Uważała, że sędzia miał rację, i telewizyjny reportaż przywabił świra, który dostał fiksacji na jej punkcie.

Z pewnością nie zamierzała tego nosić. Zresztą i tak rzadko nosiła biżuterię, zwykle tylko małe złote kółka w uszach i zegarek. Nie przepadała za biżuterią, która poza tym byłaby nieodpowiednia w jej pracy. Nie lubiła czuć się obciążona, a szczególną niechęć żywiła do naszyjników.

Na dodatek złościło ją to, że nie wie, kto przysłał ten wisiołek. To mógł być ktokolwiek, ktoś, kogo mijala w spożywczym, albo kto stał obok niej w księgarni. Gdyby tylko wiedziała, kto to taki, mogłaby go unikać. Ale nie wiedziała, i gdyby nosiła wisiołek, on mógłby to uznać za jakiś sygnał. Sygnał czego - nie chciała sobie nawet wyobrazić.

Była wyszkolona w dostrzeganiu śledzących ją samochodów i gdy jeździła z sędzią, zawsze zachowywała czujność. Kiedy wyruszała na miasto, mogła się odprężyć, a teraz ten drań ograbił ją z tego. Teraz będzie musiała się strzec, uważać na każdego, kto się do niej zbliża, i dlatego ogarniała ją wściekłość.

Ale może nic więcej się nie wydarzy. Niektóre świry rezygnowały, kiedy obiekt ich obsesji nie przejawiał spodziewanych reakcji. Zastanawiała się, czy gdyby zauważyła, że ktoś ją śledzi, próbowałyby go zgubić, czy może poprowadziłyby go na strzelnicę i pozwoliła obserwować swój trening. To powinno ostudzić jego zapał.

Chyba wołałaby, gdyby przysłał jej groźbę śmierci. Przynajmniej mogłaby z tym pójść na policję. Rubinowo-brylantowy wisiołek i kartka z napisem: „Mały dowód mojego szacunku” nie mogły być uznane za nic groźnego. Dziwnego, ale nie groźnego. Nadawca nie złamał żadnego prawa, a że postanowił pozostać anonimowy, nie mogła nawet zwrócić mu prezentu i powiedzieć, by dał jej spokój.

U jubilera w niczym jej nie pomogli. Przede wszystkim zadzwoniła do sklepu, którego nazwa widniała na pudełku. Nikt z obsługi nie przypomniał sobie, by sprzedawał podobny klejnot; nikt nie pamiętał nawet, by w ogóle mieli w sklepie wisiołek, jaki im opisała. Podziękowała i rozłączyła się, sfrustrowana. Widocznie miał puste pudełko po biżuterii i włożył do niego wisiołek. Była to ślepa uliczka. W Birmingham i wokół znajdowało się mnóstwo sklepów jubilerskich, a do tego lombardy, gdzie też można coś takiego kupić. Zresztą, mógł go kupić gdziekolwiek. Tuscaloosa było oddalone zaledwie o pół godziny

jazdy międzystanówką 59, Montgomery o jakąś godzinę jazdy; Atlanta zaś o dwie godziny. A to tylko większe miasta; w małych też były sklepy z biżuterią.

Tak więc nic nie mogła zrobić, nie miała pojęcia, jak odnaleźć tego człowieka, chyba że sam podszedłby do niej i zapytał, czemu nie nosi jego prezentu. Sara nie była pewna, czy chciałaby, żeby właśnie tak się stało, nawet jeśli miałyby wtedy okazję powiedzieć mu, by dał jej spokój. Nie wiedziała, co robić. Kto wie, co mogło tego świra sprowokować do jeszcze bardziej pokręconych zachowań?

Nie uważała się za mistrzynię sztuk walki, ale potrafiła zadbać o siebie i swojego pracodawcę skuteczniej niż większość ludzi. Była w dobrej kondycji fizycznej, świetnie strzelała i nieźle czuła się za kierownicą. Oczywiście wcale nie miała ochoty korzystać z tych swoich umiejętności. Chciała po prostu prowadzić dom sędziemu i zajmować się nim. Koniec, kropka. Sztuki walki są skuteczne jedynie do pewnego stopnia, a ona była tylko człowiekiem i miała prawo czuć się zaniepokojona, a nawet przestraszona. Jeden epizod, któremu nie towarzyszyła żadna groźba, nie oznaczał jeszcze, że ktoś ją prześladowa, ale wiedziała, że nie może wykluczyć takiej ewentualności, i nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Niech go cholera weźmie za to, że ukradł jej spokój ducha.

Nie mogła zrobić nic poza stosowaniem środków ostrożności i pilnowaniem się, i ta bezradność złościła ją bardziej niż wszystko inne. Chciała coś zrobić - ale co? Jej natura i wyszkolenie pchały ją do przejścia do ofensywy, ale w tym przypadku pozostawały jej tylko działania defensywne.

Mogła jedynie rozgrywać te karty, które jej rozdano, choćby nie wiadomo jak jej się to nie podobało. Miała wystarczające umiejętności, by poradzić sobie z tą sytuacją - po prostu będzie musiała się pilnować. A może to tylko jednorazowy incydent. Może ten ktoś, kto wysłał wisiołek, zadzwoni jutro, by zapytać, czy dostała prezent, i wtedy skutecznie go zniechęci. Szkolenie zawodowe nauczyło ją uprzejmości, ale była też córką wojskowego i siostrą

dwóch innych, znała więc sztukę stanowczego odstraszenia. W razie konieczności potrafiła zachować się wrednie.

W porządku, to jej sprawa, dopóki ten ktoś otwarcie jej nie zagrozi. Byłaby jednak głupia, gdyby przynajmniej nie zawiadomiła policji i nie wysłuchała ich zdania.

Ich zdania? Prychnęła. Chyba raczej jego zdania.

Miała jego wizytówkę, a właściwie miał ją sędzia. Zeszła na dół i przewędrowała przez cały dom do biblioteki, gdzie sędzia na wpół leżał na swoim rozkładanym fotelu, z błogą miną gapiąc się w nowy telewizor panoramiczny o wysokiej rozdzielczości. Uniósł głowę, słysząc jej grzeczne pukanie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy ma pan wizytówkę detektywa Cahilla? Myślę, że byłoby rozsądnie zawiadomić policję o tym prezencie, nawet jeśli nie mogą nic zrobić w tej sprawie.

- Dobry pomysł. Wizytówka jest w teczce na moim biurku. - Zaczął się podnosić, ale Sara pokiwała ręką, by usiadł z powrotem. Kochany staruszek nie mógł się przyzwyczaić do myśli, że nie powinien jej wyręczać; że to ona jest tu po to, by wyręczać jego. Wszystko w porządku, dopóki podawała mu posiłki i dbała o jego ubrania - dla ludzi z jego pokolenia to były kobiece zajęcia - ale jeśli chodziło o całą resztę, wciąż musiała go pilnować, bo inaczej otwierałby przed nią drzwi i robił podobne rzeczy.

- Sama ją znajdę. Proszę nie wstawać. - Na jego biurku leżała tylko jedna teczka, tekturowa, z napisem: „Próba włamania”. Sara uśmiechnęła się i otworzyła ją. Teczka zawierała policyjny raport, gazetowy wycinek z reportażem, kilka zdjęć, które sędzia sam zrobił, i kopię podania o odszkodowanie. Wizytówka Cahilla była przypięta do policyjnego raportu, razem z dwiema innymi.

Sara zapisała numer i zamknęła teczkę.

- Dziękuję. Czy mogę panu jeszcze coś podać dziś wieczór?

- Nie, nie, niczego mi nie trzeba. - Wygonił ją machnięciem ręki, pochłonięty policyjnym pościgiem w Court TV. Chyba faceci tak już mają, pomyślała z westchnieniem. Jej tato też lubił ten program.

Wróciła do siebie i wystukała numer Cahilla, korzystając z domowego telefonu, ale nagle anulowała połączenie, nim telefon zdążył zadzwonić. Ktoś z odpowiednim odbiornikiem mógł przechwycić taką rozmowę. Nie miała do powiedzenia nic osobistego, ale sama myśl, że ten świr mógłby podsłuchiwać jej rozmowy, wydała się jej odrażająca.

A gdy pomyślała, że jednym gestem tak wdarł się w jej życie, jeszcze bardziej się rozzłościła. Nie powinna się bać rozmawiać przez telefon. Powinna móc żyć normalnie, jak zwykle, do cholery.

Przeszła do sypialni i na nowo wystukując numer w telefonie komórkowym, wyciągnęła poduszkę spod narzuty, zwinęła ją w kłębek i wepchnęła sobie za plecy, sadowiąc się wygodnie na łóżku.

Cahill odebrał po trzecim sygnale. Jego głos zabrzmiał trochę opryskliwie.

- Cahill. - No dobra, bardzo opryskliwie.

- Mówi Sara Stevens.

Milczał przez chwilę, jakby usiłował przypomnieć sobie nazwisko.

- Tak, w czym mogę pomóc?

Słyszała telewizor w tle, ale żadnych innych głosów. Żadnych bawiących się dzieci, żadnych szeptów żony pytającej: „Kto to dzwoni?” Miała wrażenie, że jest sam, co przyjęła z ulgą. Ze zbyt wielką ulgą, jak się nad tym zastanović.

- Wiem, że policja nie może nic zrobić w tej sprawie, ale dziś po południu dostałam pocztą anonimowy prezent, który bardzo mnie zaniepokoił.

- Anonimowy?

- Nie było adresu zwrotnego na paczce ani nazwiska w środku.

- Co pani dostała, zdechłego kota? Kiedy nie odpowiedziała, westchnął.

- Przepraszam. Zdziwiłaby się pani, ile ludzi dostawało pocztą zdechłe koty. Skończyło się to, kiedy poczta przestała przyjmować paczki bez adresu zwrotnego.

- Cóż, tym razem przyjęli. Jest znaczek, ale nie ma nadawcy.

- Co było w pudełku?

- Drogi wisiołek z rubinem i brylantami.

- Jak drogi?

- Sędzia Roberts twierdzi, że naszyjnik jest wart przynajmniej dwa tysiące. I liścik, „Mały dowód mojego szacunku”, ale niepodpisany. Nie było w tym nic groźnego, ale... zaniepokoiło mnie. Sędzia wręcz się wystraszył, uważa, że reportaż w telewizji przyciągnął jakiegoś wariata, który się na mnie napalił.

- To możliwe, ale czy pani jest pewna, że to nie jest od pani chłopaka?

- Nie mam chłopaka. - Mogła zwyczajnie odpowiedzieć, że jest pewna, że to nie od chłopaka, ale nie zrobiła tego. „Nie mam chłopaka”. Trudno się wyrazić jaśniej. Jeśli Cahill jest choć trochę zainteresowany, zadzwoni.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. W końcu powiedział:

- Hm, ma pani rację, nic nie możemy zrobić...

- Przecież wiem. Chciałam tylko wiedzieć, co ja powinnam zrobić, i jak się zachować, gdyby z tego wynikło coś poważnego.

- Proszę zatrzymać wszystko, co dotyczy sprawy. Proszę notować wszelkie dziwne telefony, na przykład głuche czy z sapaniem w słuchawce. Ma pani identyfikację numeru?

- Nie, nie na mojej prywatnej linii.

- Proszę więc sobie załatwić tę usługę. A jeśli pani nie ma jeszcze komórki, to proszę sobie kupić. Proszę nigdzie nie wychodzić bez niej. Nigdzie.

- Mam komórkę. Trzymam ją zwykle w samochodzie.

- Niech jej pani nie zostawia w samochodzie czy torebce. Proszę ją nosić w kieszeni, żeby mogła pani natychmiast z niej skorzystać w razie potrzeby. W

innych okolicznościach powiedziałbym, że raczej nie ma się pani o co martwić, ale tak kosztowny prezent jest... niezwykle.

- Ja też tak pomyślałam. - Westchnęła i potarła czoło. - Koszmar.

Właściwie nic się nie stało, ale ja czuję, jakby miało się stać coś straszego.

- Proszę nie pozwolić, by to panią wytrąciło z równowagi. Proszę się kierować zdrowym rozsądkiem, zachować ostrożność i dzwonić, jeśli wydarzy się coś jeszcze.

- Dziękuję za radę.

- Nie ma za co - odparł i się rozłączył. Sara, śmiejąc się, odłożyła słuchawkę. Dobrze, ma więc odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie: detektyw Cahill może i nie jest żonaty, ale z pewnością nie jest też nią zainteresowany. Nie mógł chyba rozmawiać już bardziej bezosobowo, i tyle.

Kiedy wróciła do salonu, zauważyła odsłonięte okno. Szarpnięciem zaciągnęła zasłony, czując, jak łomocze jej serce. Czy on tam był? Czy patrzył?

Rozdział 8

Nie wydarzyło się nic więcej. Nie było telefonów ani więcej prezentów, a jeśli ktoś za nią chodził, to go nie zauważyła. Raz wydawało jej się, że ktoś ją śledzi, ale nawet gdyby miała rację, to nie potrafił się zbyt dobrze maskować, a biały jaguar też nie jest najlepszym samochodem do śledzenia kogokolwiek; zbyt rzuca się w oczy. Wkrótce potem zniknął we wstecznym lusterku, wchłonął go gęsty ruch. Prawdopodobnie był to ktoś, kto także mieszkał w Mountain Brook i przypadkiem jechał przez jakiś czas tą samą trasą.

Rozmawiała z mamą, i dzwonił Noel, na razie więc jest zdrow i cały. Daniel wciąż nie zameldował się od chwili wyjazdu, ale wiedzieliby, gdyby coś mu się stało - na rodzinnym froncie wszystko było w porządku. Jennifer zastanawiała się nad urodzeniem kolejnego dziecka, już trzeciego, ale jej mąż, Farrell, nie pałał do tego entuzjazmem; do szczęścia w zupełności wystarczało

mu dwóch synów. Znając Jennifer, Sara mogłaby się założyć, że w ciągu roku będzie miała kolejnego siostrzeńca - albo siostrzenicę.

Już sama rozmowa z mamą poprawiła jej samopoczucie. W domu nic się nie zmieniło i właśnie to Sara chciała usłyszeć. Tutaj też wszystko wyglądało normalnie, z wyjątkiem samego faktu istnienia wisiorka. Ilekroć nań spoglądała, przypominał jej, że coś jest nie tak, że niedaleko jest ktoś, komu wydaje się, że można wysłać drogie prezenty nieznamym kobiecie.

Mając wolne pół dnia - w tym tygodniu akurat w sobotę - poszła się ostrzyć, zrobić sobie manikiur, a potem wybrała się do kina. Przez cały czas przyglądała się ludziom i samochodom wokół, ale nie dostrzegła nic niezwykłego. Nic. Żadna twarz nie pokazała się dwa razy w dwóch różnych miejscach, nikt jej nie śledził. Sądziła, że za wcześnie jeszcze, by całkowicie się uspokoić, ale po powrocie do domu czuła się trochę lepiej.

W środę, kolejny wolny dzień, było mniej więcej tak samo. Nikt jej nie śledził, gdy jechała na kurs karate i trening kick boxingu. Spędziła mnóstwo czasu na strzelnicy, tylko dlatego, że dzięki temu czuła się lepiej, a potem pojechała na zakupy do centrum handlowego Summit; zakupy też poprawiały jej humor. Nowe ciuchy zawsze działały jak balsam dla duszy.

Przez godzinę szperała w księgarni, potem zjadła kolację w jednej z restauracji, i w końcu poszła na jeszcze jeden film. Lubiła kino i chodziła na nowości przynajmniej raz na dwa tygodnie, ale podświadomie wiedziała, że tym razem ułatwia temu komuś zbliżenie, gdyby tego chciał. Jeśli wciąż gdzieś tam jest, to chciała wiedzieć, kim jest i jak wygląda. Nie mogła iść przez życie, niepokojąc się, że każdy spotkany mężczyzna może być nim; chciała, żeby miał jakąś twarz, żeby nie był tylko mętną, złowrogą sylwetką w jej wyobraźni. Niech więc usiądzie obok niej, niech nawiąże kontakt.

Ale siedziała sama w ciemnej sali kinowej i nikt się do niej nie odezwał ani nawet nie otarł o nią, kiedy po zakończeniu seansu wyszła z kina, ani na parkingu, gdy szła do swojej terenówki.

Kiedy podjechała pod dom, wszystko wyglądało zwyczajnie. Paliły się światła na ganku i lampy wokół domu, widziała też światło w sypialni sędziego na piętrze. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał prawie dziesiątą, staruszek pewnie właśnie przygotowywał się do snu.

Zaparkowała jak zwykle w tym samym miejscu pod zadaszeniem i weszła przez tylne drzwi. Gdy zamknęła je na klucz, wyruszyła na krótki obchód domu, jak zawsze, by sprawdzić, czy wszystko jest pozamykane. Idąc do frontowej części domu, usłyszała telewizor z biblioteki, a gdy zerknęła w tę stronę, dostrzegła światło wylewające się do ciemnego korytarza. A zatem jeszcze się nie położył. Wielkie dwuskrzydłowe drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz, co wydało jej się dziwne. Sara przekreśliła zamek i ruszyła na tyły, by sprawdzić drzwi w pokoju słonecznym.

To niemożliwe, aby sędzia zostawił niezgaszone światła na górze; odruchowo gasił wszystko, ilekroć wychodził z pomieszczenia, nawet jeśli miał za chwilę wrócić. Przystanęła u dołu na tyłach domu, czując lekki dreszcz niepokoju. Może po prostu poszedł na chwilę na górę i zaraz wróci, by obejrzeć wiadomości o dziesiątej. Z piętra nie dolatywały żadne odgłosy, ale trudno byłoby cokolwiek usłyszeć, gdy w bibliotece był włączony telewizor.

Podeszła do otwartych drzwi biblioteki i zajrzała do środka. Paliła się jedna lampa, tak jak lubił, gdy oglądał telewizję. Sędzia, jak zwykle, siedział w swoim skórzanym fotelu z głową przekrzywioną na bok. Widocznie zasnął przed telewizorem.

Ale dlaczego paliło się światło na górze?

I nagle Sara poczuła ten zapach. Trudno go było określić, jakby mieszanka odchodów z... czymś jeszcze. Zmarszczyła nos. Nagle przeraziła się - czyżby się rozchorował, dostał udaru lub czegoś w tym rodzaju? Weszła dalej do pokoju.

Widząc sędziego pod innym kątem, zamarła.

Nie. Och, nie.

Na podłodze i ścianie widać było rozprysnięte ciemne plamy i kropki, i nawet w półmroku Sara dostrzegła, że niektóre z nich zawierają jakąś substancję. Przełknęła z trudem ślinę, stojąc nieruchomo i nasłuchując intruza. Słyszała tykanie zegara, łomot własnego serca, ale w pobliżu nie było nikogo innego... chyba że na górze.

Chciała podejść do sędziego. Chciała wyprostować mu głowę, wytrzeć z szyi krew, która ściekła strumykiem z małej, schludnej rany z boku głowy. Chciała zakryć... zakryć ziejącą dziurę po drugiej stronie, gdzie brakowało czaszki. Chciała wyć, wrzeszczeć, pędzić na górę i szukać zabójcy - odnaleźć go i unicestwić, bo z pewnością nie dałaby mu przeżyć choćby minuty, gdyby go znalazła.

Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy. Wycofała się z biblioteki, ostrożnie, by nie dotykać niczego i nie rozmazać odcisków palców. Wróciła do kuchni, gdzie zostawiła torebkę. Wcześniej wrzuciła do niej komórkę, nie widziała potrzeby, by nosić telefon w kieszeni, kiedy była tu, w domu.

Myliła się.

Wyjęła też pistolet i stanęła w rogu, plecami do ściany, tak by on nie mógł skoczyć na nią z tyłu, gdyby wciąż jeszcze był w domu. Ręce jej się trzęsły, gdy włączała telefon i czekała, aż zacznie działać. Zdawało jej się, że trwa to wieki, choć minęło ledwie kilka sekund, nim telefon się włączył. Wystukała 911 i czekała na odpowiedź.

- Dziewięćset jedenaście.

Miała ochotę zamknąć oczy, ale nie odważyła się na to." Próbowała przemówić, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

- Dziewięćset jedenaście. Halo? Wreszcie zdołała wydobyć z siebie słaby pisk.

- Dzwonię z... Briarwood 2713. Mój pracodawca został zastrzelony. Nie żyje.

Inaczej niż za pierwszym razem, kiedy Cahill był tutaj, w całym domu pozapalano światła. Podjazd, ulica, nawet chodnik pełne były samochodów, w większości migających kogutami. Policyjna taśma trzymała na dystans sąsiadów, którzy tym razem zapomnieli, że to nieelegancko się gapić; we wszystkich domach na ulicy paliły się światła i ludzie zbierali się na granicy taśmy, szepcząc między sobą. Jeden z funkcjonariuszy filmował tłum, bo często zdarzało się, że morderca pozostawał w pobliżu, by obserwować przedstawienie.

Zaczęły podjeżdżać furgonetki lokalnych stacji telewizyjnych, Ca-hill przeszedł więc pod taśmą, zanim ktokolwiek zdążył go dopaść.

Frontowe drzwi były zamknięte; pilnujący ich mundurowy skinął mu głową i wpuścił go do środka. Ekipa kryminalistyczna działała już pełną parą, starannie zdejmując odciski, katalogując i fotografując, co trzeba. Sanitariusze czekali, bo w tej chwili i tak już nie mogli nic zrobić. Nie mieli komu ratować życia, opatrywać ran - było tylko ciało do transportu.

Morderstwo w Mountain Brook to niemała sensacja. Ostatnie miało miejsce... pięć lat temu? A kiedy ofiarą padł emerytowany sędzia federalny, sensacja wydawała się jeszcze większa. Na pewno będą niemałe naciski na szybkie rozwiązanie sprawy.

- Kto to zgłosił? - zapytał Cahill, choć oczywiście wiedział, kto.

- Ta kamerdyner. Jest w tamtym pokoju. - Policjant wskazał ruchem głowy pomieszczenie z lewej strony.

Siedziała przy stole w pokoju śniadaniowym mającym połączenie z kuchnią, trzymała w dłoniach kubek z kawą była blada i nieruchomo patrzyła w obrus.

Tym razem miała na sobie zwykłe ubranie, nie piżamę, tak jak poprzednio, na ustach wciąż pozostał ślad szminki.

- Czy pani samochód jest z tyłu? - zapytał Cahill. Skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

- Stoi pod zadaszeniem. - Jej głos był słaby, bezdźwięczny.

- Jaki model?

- Trailblazer - odparła bezbarwnym tonem.

Cahill przeszedł przez kuchnię i odnalazł tylne drzwi w korytarzu. Jej SUV stał zaraz za nimi. Położył dłoń na masce; jeszcze ciepła.

Wrócił do środka i idąc przez kuchnię, zatrzymał się, by nalać sobie kawy. Dzbanek był prawie pełny.

Sara wciąż siedziała tak samo, jak ją zostawił. Wyjął letnią kawę spomiędzy jej dłoni, wylał do zlewu w kuchni i nalał świeżej.

Postawił kubek przed Sarą.

- Proszę to wypić. Posłusznie upiła łyk.

Cahill usiadł przy stole po jej prawej stronie, wyjął notes i długopis.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało. - Było to otwarte pytanie, nienaprowadzające jej w żadnym kierunku.

- Dzisiaj środa - powiedziała wciąż tym samym, piskliwym głosem.

- Owszem.

- To mój wolny dzień. Robiłam to, co zwykle...

- To znaczy?

- Lekcja karate, kick boxing, strzelnica.

- O której?

Wymieniła wszystkie godziny i miejsca, a on wszystko starannie zanotował, by potem móc sprawdzić, czy mówiła prawdę.

- Co potem?

- Pojechałam do Summit na zakupy.

- Kupiła pani coś?

- Kostium w Parisian, kilka książek.

- Wie pani, która to była godzina?

- Chyba między czwartą a piątą. Czas będzie na paragonach sprzedaży. -

Wciąż nie uniosła wzroku, choć upiła kolejny łyk kawy.

- Czy potem przyjechała pani do domu? Zaprzeczyła słabym ruchem głowy.

- Nie, zjadłam kolację. W... nie pamiętam nazwy. Tam, w Summit. Jakaś włoska knajpka. Potem powinnam przyjechać do domu, zwykle tak robię, ale dziś poszłam do kina.

- Dlaczego powinna pani przyjechać do domu?

- Bo wtedy byłabym tutaj. To by się nie stało, gdybym wróciła wcześniej.

- Jaki film pani oglądała?

Tym razem spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- Nie pamiętam. - Pogrzebała w kieszeni dzinsów i wyjęła połówkę komputerowo drukowanego biletu. - Ten.

Cahill zanotował tytuł filmu i godzinę seansu.

- Sam chciałem na to iść. Dobry był? - Pilnował, by ton jego głosu brzmiał swobodnie, neutralnie.

- Całkiem znośny. Poszłam tam, żeby on miał okazję nawiązać kontakt, gdyby mnie obserwował.

- Słucham? - Stracił wątek. - Kto?

- Nie wiem. Człowiek, który mi przysłał wisiorek.

- A, tak. - Zamierzał wrócić do tego później. - O której dotarła pani do domu?

- Tuż przed dziesiątą. W sypialni na górze paliło się światło. Sędzia czasami chodzi spać około dziesiątej, choć często najpierw ogląda wiadomości.

- Czy ma telewizor w sypialni?

- Nie. - Wargi jej zadrżały. - Zawsze twierdził, że sypialnie są do spania.

- Oglądał więc telewizję w...?

- W bibliotece. Tam, gdzie go znalazłam.

- Cofnijmy się trochę. Co pani zrobiła, kiedy weszła pani do domu? -

Napił się kawy; ona zrobiła to samo.

- Zaczęłam sprawdzać, czy drzwi są pozamykane. Zawsze to robię, zanim pójde spać. Frontowe drzwi nie były - ciągnęła. - To znaczy nie były zamknięte. To wydało mi się dziwne. Słyszałam włączony telewizor i zastanowiło mnie, dlaczego na górze pali się światło, skoro sędzia wciąż jest bibliotece.

- I co pani zrobiła?

- Podeszłam do drzwi biblioteki i zajrzałam. Siedział w fotelu, z przekrzywioną głową, jakby zasnął.

Cahill czekał, nie chcąc ukierunkowywać jej opowieści.

- Poczulałam zapach - powiedziała słabo. Wiedział, o jakim zapachu mówiła. - I pomyślałam, że może miał udar albo zawał, i że się zabrudził. Paliła się tylko jedna lampa, światło było więc kiepskie, ale kiedy weszłam, spojrzałam pod innym kątem, i zobaczyłam... zobaczyłam krew. I drugą stronę jego głowy. Rozprysnięty... - Głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Bałam się, że on wciąż jest w domu. Na górze. I że dlatego światło się pali. Myślałam, żeby tam pójść... - Głos znów jej się załamał.

- Mam nadzieję, że pani nie poszła.

- Nie. Ale chciałam - szepnęła. - Chciałam go złapać. Ale wróciłam do kuchni, wyjęłam pistolet i komórkę, i stanęłam w kącie, żeby zadzwonić pod 911.

- Gdzie jest teraz pani pistolet?

- W torebce. Schowałam go, kiedy przyjechał pierwszy samochód.

- Mogę go zobaczyć?

- Jest na wyspie w kuchni.

- Czy mogłaby mi go pani przynieść?

Wstała i poszła do kuchni, poruszając się jak zombie. Cahill ruszył za nią i patrzył, jak wyciąga pistolet z torebki. Był w kaburze, a kiedy sprawdził magazynek, przekonał się, że jest pełny.

- Zawsze ładuję broń po strzelnicy - wyjaśniła, pocierając czoło.

Nie czyściła go -jeszcze nie, choć założyłby się, że robiła to regularnie - i wciąż dał się wyczuć zapach spalonego prochu. Wiedział, że badania balistyczne niczego nie wykażą. Była zbyt inteligentna, by popełnić taki błąd. Nie sądził, by to ona zabiła staruszkę, ale nie mógł sobie pozwolić na całkowite odrzucenie takiej możliwości. Ludzie najczęściej ginęli z ręki najbliższych, dopóki więc nie mogła zostać wykluczona jako podejrzana, znajdowała się na jego krótkiej liście.

Obserwowała go z twarzą bez wyrazu, z pustymi oczami. Była całkowicie zamknięta w sobie; niektórzy ludzie radzili sobie ze stresem, niemal odcinając się od otoczenia.

- Usiądźmy z powrotem - zaproponował. Usłuchała go. - Czy dostała pani pocztą jeszcze jakieś prezenty albo miała pani dziwne telefony?

- Nie, tylko ten jeden prezent. Nic poza tym. Raz myślałam, że ktoś mnie śledzi, ale się myliłam.

- Jest pani pewna?

- Skręcił gdzie indziej. I jechał białym jaguarem. Nie śledzi się ludzi w białym jaguarze.

- Rzeczywiście, chyba że to jedyny samochód, jaki się posiada. - Ale jeśli kogoś stać na jaguara, było niemal pewne, że stać go też na jakiś inny samochód. Jaguary po prostu zbyt rzucają się w oczy.

Prawdopodobnie nikt jej nie śledził. Ale to była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślała, kiedy weszła do domu i znalazła ciało sędziego Ro-berts'a.

- Wspominała pani przedtem, że sędzia Roberts dostawał pogróżki. Czy wie pani coś o nich?

- Jego rodzina zna szczegóły. Mnie poinformowano tylko o podstawowych faktach, ale to wszystko działo się, zanim zaczęłam dla niego pracować. Jego rodzina... Boże, będę musiała do nich zadzwonić.

- My zawiadomimy rodzinę - oznajmił, łagodząc ton głosu, bo nagle wydała mu się zdruzgotana tą myślą. - Ma pani ich nazwiska i numery?

- Tak, oczywiście. - Znów potarła czoło. - Ma dwóch synów i córkę. -
Podawała mu nazwiska i telefony, a potem znów pograżyła się w milczeniu i
zapatrzyła w obrus.

- Wrócę za chwilę - rzucił Cahill i wstał. Chciał sam obejrzeć miejsce
zbrodni w bibliotece i przeszukać resztę domu.

Doszedł już niemal do drzwi, gdy zapytała:

- Czy on był na górze? Cahill się zatrzymał.

- W domu nie znaleziono nikogo innego, kiedy patrol przeszukiwał
pomieszczenia. - Wiedział to już z raportu, który dostał po drodze.

- Może wyszedł przez okno na górze?

- Nie znaleziono śladu obecności nikogo obcego w domu. Żadnych
otwartych okien, nic podejrzanego. - Nie mógł jej powiedzieć nic więcej.

- Mam nadzieję, że nie było go na górze - powiedziała, niemal do siebie. -
Mam nadzieję, że nie pozwoliłam mu uciec. Powinłam jednak pójść na górę.
Powinłam to sprawdzić.

- Nie, nie powinna pani...

- Zabiłabym go - szepnęła głucho.

Rozdział 9

Sara była spięta, wykończona fizycznie i wyczerpana emocjonalnie, kiedy
o szóstej następnego ranka spotkała się z Barbarą i jej rodziną na lotnisku w
Birmingham. Czekwała na dole, przy karuzelach z bagażami, trzymając kubek
kawy w dłoni. Nie miała pojęcia, ile kawy wypila od chwili znalezienia ciała
sędziego, ale była absolutnie pewna, że jeszcze funkcjonuje wyłącznie dzięki
kofeinie.

Nie spała; nie było takiej możliwości, nawet gdyby chciała. Cahill wciąż
wracał do niej z pytaniami, a i bez tego musiała załatwić tyle rzeczy, że nie
miała wolnej minuty. Trzeba było zawiadomić kilka osób; policja zajęła się
rodziną, ale ona sama zadzwoniła do Leony i obudziła ją tą druzgocącą wieścią,

zamiast pozwolić, by kobieta dowiedziała się wszystkiego z porannych wiadomości. Potem zaczęły się telefony od rodziny, tak częste, że kilka razy rozmawiała jednocześnie przez telefon stacjonarny i komórkę.

Trzeba było przygotować zakwaterowanie dla rodziny. Randall i jego żona Emily mieli troje dzieci oraz czworo wnucząt. Wszyscy oni mieszkali w okolicy Huntsville, skąd łatwo było dojechać samochodem. Tylko Randall i Emily wybierali się na dłużej i chcieli zostać po pogrzebie, ale całą resztę - troje dzieci z małżonkami oraz czworo wnucząt - też trzeba było gdzieś zakwaterować na noc przed pogrzebem.

Jon i jego żona, Julia, mieszkali w Mobile z dwojgiem dorosłych dzieci - jedna córka była mężatką. Mieli się zatrzymać w mieście na cały czas trwania uroczystości. Barbara z Dwightem i ich dwoje dzieci mieszkali w Dallas i cała czwórka postanowiła zostać na miejscu, dopóki wszystko się nie skończy. Oznaczało to, że Sara w środku nocy musi załatwić zakwaterowanie dostępne od bardzo wczesnego ranka dla jedenastu osób i dla siebie. O resztę rodziny Randalla postanowiła się martwić, kiedy załatwi już sprawy związane z pogrzebem.

Zamówiła dla nich wszystkich miejsce w hotelu Wynfrey. Zakładała, że będą jadać o dziwnych porach, potrzebowali więc miejsca z roomser-wisem, a do tego nastolatki mogły się tu rozerwać w przyległej Galerii. Ona sama zameldowała się w zajeździe Mountain Brook. Wiadomość, że nie będzie mogła zostać w domu ani nawet zabrać rzeczy, była dla niej lekkim szokiem. Dała Cahillovi listę wszystkich rzeczy, których potrzebowała, a on załatwił, by ktoś przyniósł jej wymienione drobiazgi.

Pistolet Sary został zabrany, podobnie jak stary rewolwer sędziego z wojska, który staruszek trzymał w zamykanej, oszklonej gablotce. Cahill powiedział, że broń zostanie zwrócona po zakończeniu badań, to znaczy kiedy już ustalą, czy została użyta do popełnienia morderstwa.

Dla Sary było oczywiste, że jest podejrzana, choćby ze względu na fakt, że była blisko. Mogła swobodnie poruszać się po całym domu, miała pistolet, a Cahill widział na własne oczy, jak skutecznie potrafi go używać. Oczywiście miała też alibi, nawet jeśli dowodem były tylko paragony i bilety, ale przede wszystkim nie istniał motyw, dla którego mogłaby zabić, nie martwiła się więc o siebie. Wciąż dręczyło ją wspomnienie ciała sędziego, jej umysł odtwarzał ten obraz jak niemy film.

Martwy wydawał się taki kruchy, jak gdyby dotąd tylko jego duch nie pozwalał dostrzec, jak ciężko doświadczył go czas. Sara była ogromnie wdzięczna losowi, że nie znalazł go nikt inny, że mieli tę jedną, ostatnią chwilę tylko dla siebie, zanim przyszli obcy i zabrali jego ciało. Zmarli nie czuli wstydu, ale wiedziała, że sędzia czułby wstyd, że stracił kontrolę nad zwieraczami, i nie chciałby, żeby rodzina tak go zobaczyła. Nie chciałby też, żeby ona go oglądała w takim stanie, ale to była sytuacja najmniej niezręczna z możliwych.

Z ruchomych schodów zaczęli się wysypywać pasażerowie samolotu, który właśnie wylądował; Barbara z rodziną pojawili się pierwsi. Barbara była szczupłą, ładną kobietą z atrakcyjnymi siwymi pasemkami w krótkich, jasnych włosach; miała zaczerwienione oczy i bladą twarz, ale jakoś się trzymała. Zauważyła Sarę, jeszcze stojąc na schodach, i kiedy znalazła się na dole, natychmiast podeszła do niej. Uściskały się. Łzy zapiekły Sarę pod powiekami; przez całą tę straszną noc rozpaczliwie potrzebowała, by ją ktoś przytulił, żeby nie czuła się tak straszliwie samotna.

- Jon się odzywał? - zapytała Barbara, odsuwając się i ocierając oczy zmiędloną chusteczką higieniczną.

- Wyjechali z Mobile około drugiej nad ranem, lada moment powinni więc dotrzeć do hotelu.

- Mam nadzieję, że jedzie ostrożnie.

- Namówiłam go, żeby pozwolił powadzić Julii.

- Chwała ci za to. - Barbara znów ją uściskała. - Jak zawsze panujesz nad wszystkim. Czy policja coś odkryła?

Sara pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie jestem krewną, nic mi więc nie mówią. - Choć oczywiście Cahill i tak nic by jej nie powiedział, skoro była podejrzaną.

- Wiedziałaś, że któryś z tych przeklętych drani wyjdzie z więzienia i zemści się na nim - powiedziała Barbara zdławionym głosem. - Wiedziałaś.

Sarę znów dopadły wyrzuty sumienia.

- Powinnam wtedy tam być.

- Nonsens - zbeształa ją Barbara. - Miałś swój wolny dzień i nie było powodu, żebyś tam siedziała. Nie mogłaś przy nim tkwić dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ten potwór prawdopodobnie obserwował dom i widział, kiedy wychodzisz. Tylko ja mogę czuć się winna, że nie zatrudniłam całodobowej ochrony. Ty nie ponosisz żadnej odpowiedzialności i nawet nie pozwolę ci tak myśleć, słyszysz?

Na to było już za późno. Sara myślała o tym cały czas. A jeśli -jak pomyślała w tych pierwszych, straszliwych, pełnych osłupienia minutach - sędziego zabił ten zboczeniec, który przysłał jej wisiołek? A jeśli tak naprawdę chodziło mu o nią? Zabicie sędziego przeczyło logice, ale przecież tacy ludzie nie myśleli logicznie, dlaczego więc mieliby postępować logicznie? Wiedząc, że uwziął się na nią jakiś wariat, powinna siedzieć w domu, zamiast prowokować go, aby się ujawnił.

Dopiero kiedy Cahill zapytał o pogróżki pod adresem sędziego, zrozumiała, że to najbardziej prawdopodobna ewentualność. Rozsądek podpowiadał jej, że właśnie tak było; nie potrafiła się jednak otrząsnąć z tego pierwszego wrażenia.

- Ty też nie jesteś temu winna - powiedziała stanowczo. - Winien jest człowiek, który pociągnął za spust, i nikt inny. Nie wolno nam o tym

zapominać. - A mimo to powinna siedzieć w domu. Gdyby nie ten cholerny wisiołek, byłaby na miejscu.

Dwight, mąż Barbary, stał przy karuzeli i odbierał bagaże, pomagał mu dziewiętnastoletni Shaw. Blair, piętnastolatka, stała sama i miała bardzo nieszczęśliwą minę, w jej miodowych włosach połyskiwały metalicznie błękitne pasemka, a w lewej brwi tkwiły już dwa złote kółka.

- Rany - powiedziała Sara, podchodząc, by uściskać dziewczynę. - Dwa kolczyki. Kiedy robiłaś sobie ten drugi?

- To tylko atrapa - odparła Blair. - Chciałam podpuścić dziadka, żeby trochę poświrował, kiedy się znów spotkamy, ale... ale teraz już nie będę miała okazji! - Twarz jej się zmarszczyła; mała rzuciła się ku Sarze i ukryła twarz na jej ramieniu, a jej drobnym ciałem wstrząsnął szloch.

Barbara zajęła się córką, biorąc ją w ramiona i tuląc do siebie jak małe dziecko. Dwight i Shaw podeszli obładowani walizkami i mocno zmieszani tym popisem niekontrolowanych emocji kobiet. Barbara uspokoiła Blair i wszyscy ruszyli do samochodu Sary. Barbara wsiadła do tyłu z dziećmi, a Dwight przypiął się na siedzeniu obok kierowcy.

- O której mają tu być Randall i Emily? - zapytał.

- Koło jedenastej. Randall ma kopię testamentu sędziego w bankowej skrytce, a jego bank otwierają dopiero o dziewiątej. Uważał, że to może okazać się potrzebne.

Barbara potarła czoło.

- Nie chcę w tej chwili myśleć o testamencie.

- Mogą tam być instrukcje dotyczące pogrzebu - odparł łagodnie Dwight.

- Mimo to chciałabym... - Westchnęła. - Nieważne. Moje chcenie w niczym nie pomoże. - Zaczepnęła głęboko powietrza, gdy Sara zaczęła kluczyć po parkingu w kierunku wyjazdu. - Saro, czy wiesz, kiedy policja wpuści nas do domu?

- Prawdopodobnie potrwa to przynajmniej kilka dni. -A ona będzie musiała zorganizować sprzątanie biblioteki, zanim wejdzie tam rodzina; nie chciała, by zobaczyli to miejsce tak, jak wyglądało teraz, z plamami i smugami krwi. Oddałaby wszystko, by sama mogła tego nie widzieć, by wydarzenia ostatnich dwunastu godzin w ogóle nie miały miejsca. Gdyby dało się cofnąć czas, postąpiłaby inaczej; zamiast marudzić w Summit, pojechałaby do domu, i kimkolwiek był morderca, poradziłaby sobie z nim, a sędzia wciąż by żył.

Ale nie mogła cofnąć czasu. Nikt nie mógł.

- Detektyw skontaktuje się z wami w hotelu - powiedziała, zmuszając się do spokoju. - Spróbujcie się przespać, jeśli dacie radę.

- A ty będziesz z nami podczas rozmowy z detektywem? - Głos Barbary zadrżał lekko.

- Jeśli tego chcecie. - Tak, jak przed chwilą potrzebowała, by ktoś ją przytulił, teraz równie rozpaczliwie pragnęła być sama, by móc się wypłakać i ulżyć smutkowi, który do tej pory tłumiała. Trzymała wszystko w sobie głównie z powodu szoku, teraz jednak straszna rzeczywistość zaczynała do niej docierać.

- Proszę. Jestem taka... nie potrafię jasno myśleć.

Sara nie wiedziała, czy ona sama potrafi teraz jasno myśleć, ale jeśli Barbara chciała jej obecności, to będzie tam. Gdyby Cahill dał im kilka godzin, mogłaby przynajmniej wziąć prysznic i przebrać się, może nawet zdrzemnąć, zjeść śniadanie. Ledwie pomyślała o jedzeniu, żołądek jej zafalował, a gardło się ścisnęło. A więc jedzenie jeszcze odpada. Może jutro.

Jutro. Co ona może robić jutro? Pewnie to wszystko, czego będzie potrzebować rodzina. Załatwi za nich to, z czym nie potrafią sobie poradzić. Ale kiedy pozaałatwia już wszystko, co dalej?

Nie była gotowa. Myślała, że ma jeszcze parę lat na przygotowania, by wdrożyć w życie swój plan. Spodziewała się, że sędzia będzie z wiekiem coraz bardziej nieporadny, albo że zabierze go udar czy zawał, ale że umrze z przyczyn naturalnych. I tak rozpaczałaby -jak oni wszyscy - ale nie byłoby tego

rozdzierającego bólu z powodu przedwczesnej śmierci. Nikt nie sądził, że odejdzie tak szybko i w taki sposób.

Umieściła wszystkich w hotelu i kiedy miała już wychodzić, zjawił się Jon z rodziną. Została więc, pomagając im i odpowiadając na pytania Jona. Znajdując pociechę w liczniejszym towarzystwie, Barbara i Dwight z dziećmi przyłączyli się do nich i kiedy Sara nareszcie wyszła, siedzieli wszyscy w salonie apartamentu, popłakiwali trochę, ale powoli brali się w garść. Ostateczne ustalenia musiały poczekać do przyjazdu Randalla, by mogli o wszystkim decydować razem, ale Barbara zaopatrzyła się już w kartkę hotelowej papeterii i robiła listę spraw do załatwienia.

Sara wiedziała, że Barbara sobie poradzi. Cierpiała, ale robiła listę. Tak właśnie radziły sobie kobiety - robiąc to, co należało.

Dzień był pochmurny i chłodniejszy niż ostatnie. Idąc do samochodu, Sara z ulgą wystawiła twarz na podmuch rześkiego powietrza. Na razie nie miała nic do roboty i było to dziwne uczucie. Barbara miała numer jej komórki i pokoju hotelowego w zajeździe Mountain Brook, i obiecała, że zadzwoni, kiedy przyjdzie pora spotkania z Cahillem. Prawdopodobnie więc Sara miała kilka godzin dla siebie i w końcu będzie mogła wziąć prysznic.

Kiedy wreszcie znalazła się w swoim pokoju, ogarnęła ją niemal ogłuszająca cisza. Od wielu godzin była zajęta, otoczona ludźmi, głosami, światłami. Nawet kiedy tylko odpowiadała na pytania, wciąż była zajęta. Teraz została sama i w tej chwili nie musiała robić nic dla nikogo.

Rozpakowała kilka ubrań, które miała ze sobą, powiesiła sukienkę w łazience, by pognieciony materiał rozprostował się od pary, kiedy będzie brała prysznic, a następnie weszła pod ciepły, odprężający strumień wody. I dopiero tu się rozplakała.

Plakała długo i gwałtownie, skulona pod ścianą kabiny, z twarzą ukrytą w dłoniach i wodą lejącą się jej na głowę. Po wielogodzinnym stresie dała upust

rozpaczy. Chciała coś rozwalić, chciała tłuc i kaleczyć, chciała... chciała, żeby sędzia wrócił, a to było niemożliwe.

W końcu natura zadziałała po swojemu i gwałtowny płacz ucichł, zamieniając się w tępą akceptację. Sara skończyła się myć, zawinęła włosy w gruby hotelowy ręcznik i naga padła na łóżko. Pokój był ciemny i chłodny, ona czuła się wykończona, zasnęła więc niemal natychmiast,

O dziesiątej obudził ją telefon. Po omacku złapała słuchawkę.

- Halo, tu Sara - powiedziała, z trudem nadając głosowi w miarę przytomne brzmienie.

- Mówi Barbara. Detektyw Cahill zjawi się tu o jedenastej. Dasz radę przyjechać?

- Będę na pewno - obiecała Sara, wstając z łóżka.

Na głowie miała kompletny bałagan - włosy poplątane i wciąż wilgotne. Nastawiła mały dzbanek z hotelową kawą, szybko wysuszyła włosy i umyła zęby. Tymczasem kawa zdążyła się już zaparzyć, chwyciła więc kubek, i, popijając, wróciła do łazienki, by dokończyć przygotowania do wyjścia. Nie było wiele do zrobienia; naprawdę nie obchodziło jej, jak wygląda, ograniczyła się więc do kremu nawilżającego i błyszcząca na usta.

Nie miała wielkiego wyboru, jeśli chodzi o ciuchy. Jedna sukienka i dwa codzienne kostiumy kamerdynera. Nie było wśród nich nawet marynarki, a dziś by się jej przydała. Musiały jej jednak wystarczyć zwykła biała koszula, czarne spodnie i czarna kamizelka. Może Cahillowi uda się załatwić, by ktoś podrzucił jej więcej rzeczy, jeśli jutro jeszcze nie będzie jej wolno wrócić do domu.

Z zachmurzonego nieba zaczynała siąpić lekka mżawka i chłód przyprawił Sarę o dreszcze w czasie krótkiego spaceru do samochodu. Po zapaleniu silnika od razu włączyła podgrzewacz siedzenia, a potem założyła ciemne okulary, by ukryć czerwone, zapuchnięte oczy.

Zwykle jazda do Wynfrey zajmowała jakieś dziesięć, piętnaście minut, ale wypadek na Dwieście Osiemdziesiątej zatamował ruch i do hotelu przyjechała

mniej więcej za pięć jedenasta. Pech chciał, że w tej samej chwili do hotelu wchodził Cahill.

- Dlaczego pani tu jest? - zapytał szorstko.

- Bo rodzina sędziego prosiła mnie o to. - Trochę ją zaskoczył własny ochryply głos.

Cahill skinął głową i nie odezwał się więcej, gdy szli do windy. Ona miała pustkę w głowie i była zbyt zmęczona, by rzucić jakąś sensowną czy nawet nedorzeczną uwagę. A on pewnie mógłby jej zadać tylko kolejne pytanie, czuła więc wdzięczność, że się powstrzymał. Wydawał się równie zmęczony, jak ona, a może nawet bardziej.

Zerknęła na niego z ukosa. Gdzieś po drodze zdążył się wykapać, ogolić i przebrać. Jeśli nawet był wykończony, nie pokazywał tego po sobie. Może on też zdołał się przespać.

Miał marynarkę i krawat. Marynarka przypomniała jej, że jest zimno.

- Czy mógłby pan poprosić kogoś, żeby przywiózł mi z domu marynarkę?
- zapytała. - Wszystko jedno którą.

Spojrzał na nią- szybkie spojrzenie, które dostrzegało każdy szczegół. Może zauważył, że trzęsie się z zimna.

- Zajmę się tym.

- Dzięki.

Cała rodzina zgromadziła się w apartamencie Barbary. Randall i Emily już przyjechali i Sarę na chwilę ogarnęło poczucie winy. Powinna tu być, kiedy się zjawili, pomóc im się ulokować. Randall uścisnął jej rękę, a zwykle tak pełna rezerwy Emily objęła ją, co sprawiło, że łzy znów napłynęły jej do oczu.

Barbara, gospodyni w każdym calu, zamówiła do salonu owoce, sery i ciasta. W pogotowiu stały też butelki z wodą i dzbanek świeżej kawy. Sara zapytała wszystkich, co życzą sobie do picia, i po cichu zajęła się podawaniem napojów. Miała wyjątkowy talent do zapamiętywania, jaką kto lubi kawę, wyszlifowany dodatkowo na zajęciach w szkole dla kamerdynerów. Niektórzy

potrafiliby takie informacje zapamiętywać w małych grupach: dane pięciu czy sześciu osób, niektórzy musieli sobie wszystko zapisywać, ale w jej mózgu z jakiegoś powodu każdy element trafiał do właściwej przegródki. Gdyby na przykład poproszono ją o opisanie Randalla, powiedziałaaby: metr osiemdziesiąt wzrostu, siwe włosy, orzechowe oczy, lubi kawę z dużą ilością śmietanki. Emily: metr siedemdziesiąt pięć, ciemnorude włosy farbowane co dwa tygodnie u fryzjera, brązowe oczy, dwie kostki cukru bez śmietanki.

Cahill, jak pamiętała z niezliczonych kubków kawy, które wypił ostatniej nocy, lubił maksymalną prostotę. Czarna.

Kiedy podała mu filiżankę, podziękował skinieniem głowy i zapytał:

- Czy tu jest dla pani za jasno? Zapomniała, że do tej pory nie zdjęła okularów.

- Przepraszam - mruknęła, odsłaniając czerwone, podpuchnięte oczy, które pasowały do reszty oczu w tym pokoju. - Zapomniałam.

- Jadłaś coś? - zapytała Barbara, podchodząc i kładąc dłoń na ramieniu Sary.

- Jeszcze nie.

- Siadaj więc i jedz. Już. Jeśli ja mogę, to ty też.

Poddając się kategorycznemu poleceniu, nałożyła sobie na talerzyk trochę owoców i ciastko, i rozejrzała się za wolnym siedzeniem. Barbara poprosiła, by obsługa hotelowa doniosła krzesel, aby wszyscy mogli wygodnie usiąść.

Rodzina oczywiście siedziała razem, a jedyne wolne miejsce zostało obok Cahilla. Sara usiadła i, pod bystrym okiem Barbary, odkroiła mały kwadracik świeżego ananasa i włożyła do ust.

Zmusiła się, by gryźć, lecz ananas zaczął rosnać jej w ustach. Gdyby była sama, wyplułaby go. Zamknęła na chwilę oczy, walcząc z zaciskającym się gardłem. I żuła dalej.

- Proszę przełknąć - powiedział Cahill tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć.

Spróbowała. Przy drugim podejściu ananas w końcu przeszedł jej przez gardło.

Ponieważ jedzenie było kwestią zdrowego rozsądku, zmagala się z nim z taką samą determinacją, z jaką robiła wszystko inne. Słuchając pytań rodziny i rzeczowych odpowiedzi Cahilla, odłamywała małe kawałeczki ciastka i skupiała się na żuciu i połykaniu.

Obecność Cahilla w jakiś sposób dodawała jej otuchy. Choć przez te trzy lata, kiedy mieszkała w Mountain Brook, nie pamiętała żadnych morderstw w okolicy, on sprawiał wrażenie człowieka, który widywał już wcześniej gwałtowną śmierć i wiedział, jak sobie z tym poradzić, wiedział, co należy robić. Jego rzeczowość powstrzymywała rodzinę od nadmiernie emocjonalnych zachowań, gdyż wszyscy podświadomie naśladowali jego postawę. Nawet Sara czuła pewną dozę wdzięczności za jego obecność; dopóki tu był, kontrolował sytuację. Ona musiała tylko żuć i przełykać.

Słuchała jego cichych, celnych pytań na temat pogroźek, które sędzia kiedyś otrzymywał. Barbara miała nawet założoną teczkę, co uświadomiło Sarze, jak bardzo córka przypominała ojca z charakteru i nawyków. Podała teczkę Cahillovi, który przejrzał ją i uniósł wzrok.

- Czy mogę to zatrzymać na jakiś czas?

- Tak, oczywiście. - Barbara przycisnęła dłonie do kolan. - Tak trudno mi o to zapytać, ale... gdzie jest tato? Musimy zorganizować pogrzeb.

- Zajęło się nim biuro kornera - oparł Cahill. - Po wykonaniu autopsji będziecie mogli go zabrać.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Autopsji? - zapytał Randall. - Po co autopsja?

- To rutynowe działanie w przypadku zabójstwa. Wymaga tego prawo stanowe.

- To idiotyczne - oznajmiła Barbara. - Kiedy nie wiadomo, dlaczego ktoś umarł, to ma jakiś sens, ale tato został zastrzelony. Przyczyna śmierci jest oczywista. - Jej głos zadrżał trochę, ale szybko go opanowała,

- Przyczyna śmierci wydaje się oczywista, ale czasami ofiara zostaje postrzelona lub spalona dla ukrycia prawdziwej przyczyny, takiej jak otrucie czy uduszenie.

- Czy to naprawdę ma w tej chwili znaczenie? - zapytała Julia.

- Sposób zabójstwa wiele mówi nam o sprawcy. Na przykład, kto miał dostęp do danej trucizny? Kto był dość silny, by udusić człowieka? Myślę, że przyczyna śmierci w przypadku państwa ojca jest jasna, rana postrzałowa, ale ostatecznie rozstrzygnięcie należy do lekarza sądowego.

- Kiedy zatem będziemy mogli... zabrać tatę?

- Nie umiem powiedzieć nic pewnego, proszę pani, ale sądzę, że już jutro.

- Dobrze. - Barbara spojrzała na braci. - Dziś mamy czwartek. Jeśli wydadzą go jutro, pogrzeb mógłby się odbyć w niedzielę albo poniedziałek. Jak myślicie?

- Niedziela - odparł natychmiast Randall. - W ten sposób ludziom będzie łatwiej przyjść na uroczystość.

- Zgadza się - zawtórował mu Jon.

- A więc niedziela. - Barbara zapisała to na swojej liście. Cahill spojrzał na Randalla.

- Panie Roberts, wspomniał pan, że ma pan kopię testamentu ojca. Czy wziął ją pan ze sobą?

- Tak, mam ją w aktówce.

- Czy zna pan treść tego dokumentu?

- Nie, jest zapieczętowany. To znaczy wszyscy znamy ogólne ustalenia, ale bez szczegółów.

- Czy mógłbym go zobaczyć? Randall uniósł brwi.

- A mogę spytać, dlaczego?

- Czasami testament wskazuje motyw. Barbara aż się zachłusnęła.

- Czy pan sugeruje, że któreś z nas zabiło tatę? - Wszyscy w pokoju zaczęli się jeżyć.

- Nie, proszę pani, nie ma żadnego dowodu, który by na to wskazywał. Ja po prostu sprawdzam wszystkie dane. Nie chcę przeoczyć czegoś, co pomogłoby mi rozwiązać tę sprawę.

Randall przyniósł dużą kopertę. Jak powiedział, była starannie zapieczętowana. Cahill zerknął na niego, czekając na pozwolenie. Gdy Randall skinął głową, detektyw stanowczym ruchem oddarł klapkę i wyjął gruby dokument.

Przejrzał go szybko, odwracając strony. Nagle zatrzymał się i uniosł głowę, wbijając spojrzenie bystrych niebieskich oczu w Sarę.

- Pani Stevens, czy wiedziała pani, że zgodnie z tym testamentem dziedziczy pani pokaźną sumę pieniędzy?

Rozdział 10

Sara zamrugła, speszona i zdumiona. Ze zmęczenia czuła się trochę jak pijana i nie była wcale pewna, czy dobrze go usłyszała. Rozejrzała się nawet wokół siebie, jakby w pokoju mogła być jakaś inna pani Stevens. Nie znalazłszy nikogo takiego, znowu spojrzała na Cahilla i przekonała się, że on wciąż przygląda się jej uważnie.

- Ja? - zapytała, wciąż nie do końca kojarząc, o co chodzi.

- Kamerdyner sędziego Roberta, Sara Stevens. To pani.

Skinęła głową i w połowie tego ruchu uniosła rękę, by rozetrzeć czoło. Może z braku snu, a może z nadmiaru kofeiny, czuła nadchodzącą potężną migrenę.

- Coś mi zostawił? - Ku jej konsternacji, głos jej zadrzał i poczuła, że dolna warga zaczyna jej się trząść. Przygryzła ją stanowczo, nie mogła jednak zrobić nic, by ukryć błysk łez w oczach.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Barbara. - Powiedział nam wszystkim, że to zrobi.

- Ale... mnie nigdy o tym nie wspomniał.

- Bo uważał, że będziesz się sprzeciwiać - wyjaśnił Jon.

- Przepraszam - rzuciła nagle Sara i uciekła do łazienki, by nie zhańbić się publicznym wybuchem płaczu. Ledwie zatrzasnęła za sobą drzwi, zaczęła szlochać i, chwyciwszy ręcznik, przycisnęła go do ust, by stłumić dźwięk.

Siłą woli wzięła się w garść, przełknęła szloch i osuszyła oczy chusteczką, nim łzy zdążyły popłynąć. Kilka głębokich wdechów trochę ją uspokoiło.

Chyba nic nigdy nie wzruszyło jej tak bardzo jak wiadomość, że sędzia zapisał jej coś w testamencie. Dostawała świetną pensję i uwielbiała się nim opiekować. Uwielbiała go, za jego galanterię i poczucie humoru, za staroświeckie maniere i zwyczajną ludzką dobroć. Nie spodziewała się żadnego spadku i rzeczywiście sprzeciwiałaby się temu. Była przy nim niecałe trzy lata; jakże mogłaby się równać z jego dziećmi i starymi przyjaciółmi?

Ale najwidoczniej on tak nie uważał, i nie sądziła tak jego rodzina. Myśl o ich szczodrości sprawiła, że łzy na nowo wezbrały w jej oczach, ale osuszyła je z determinacją. Nie będzie płakać - nie tu i nie teraz. Na rodzinę sędziego spadł i tak wystarczająco duży ciężar bez jej emocjonalnego załamania.

Zimna, mokra myjka ochłodziła jej policzki i przyniosła ulgę obolałej głowie, gdy Sara przycisnęła ją do czoła. Chętnie położyłaby się z zimnym kompresem na głowie, ale, tak jak płacz, musiała to odłożyć na później.

Trochę lepiej panując nad emocjami, wróciła do salonu.

- Przepraszam - mruknęła, zajmując miejsce obok Cahilla.

- Zakładam, że pani nie wiedziała.

Pokręciła głową. Uwierzył jej albo nie. Nie miała dość siły, by się tym przejmować.

- Tato kazał nam przyrzec, że zachowamy to w tajemnicy - powiedziała Barbara. Uśmiechnęła się smutno. - Bawiło go, że zdołał coś przed tobą ukryć. Mówił, że to jedyna rzecz, która umknęła twojej uwagi.

- Mówił, że skonfiskowałaś mu snickersy - wtrącił Shaw. Uśmiechnął się szczerze i z jego twarzy zniknęły smutek i napięcie. - Zawsze obżerał się nimi, kiedy przyjeżdżał do nas, bo wiedział, że ich nie dostanie, kiedy wróci do domu.

- I biszkopty z kremem. Przemycalam je dla niego, kiedy przyjeżdżałam - wyznała Blair.

Sara jęknęła, spoglądając po skruszonych, nagle uśmiechniętych twarzach.

- Nic dziwnego, że tak trudno mi było zbić jego cholesterol! Barbara poklepała ją po kolanie.

- Kochał cię za to, jak się nim opiekowałaś. Wszyscy cię za to kochamy. Kiedy wspomniał, że umieści cię w testamencie, wszyscy byliśmy za.

Cahill odchrząknął, znów ściągając uwagę na siebie.

- Dziękuję za informacje - powiedział, wstając z krzesła. - Wiem, że to dla wszystkich państwa trudny moment i doceniam państwa pomoc. Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu państwa ojca, i że robimy wszystko co w naszej mocy, by wykryć sprawcę. Sprawdzę te nazwiska i przy odrobinie szczęścia znajdziemy któregoś z tych ludzi w okolicy.

Wszyscy wstali; zaczęły się uściski dłoni i podziękowania, gdy Ca-hill ruszył w stronę drzwi. Chwycił Sarę pod łokieć i ciągnął ją za sobą.

- Odprowadzę panią do samochodu.

Westchnęła w duchu. Prawdopodobnie miał do niej jeszcze jakieś pytania. Skoro została wymieniona w testamencie, w jego pojęciu pewnie była tym bardziej podejrzana. Ale on tylko wykonywał swoją pracę, zanim więc wyciągnął ją za drzwi, złapała torebkę i ciemne okulary, i szybko pożegnała się ze wszystkimi, przykazując, by dzwonili, gdyby czegoś potrzebowali.

W windzie była jakaś para, nie powiedział więc nic, gdy jechali w dół do holu. Wyszli na dwór i zimny, mokry wiatr uderzył ją w twarz, wywołując dreszcze. Temperatura chyba spadała, a mżawka zmieniła się w lekki, uporczywy deszcz. Sara objęła własne ramiona i powiedziała:

- Ja go nie zabiłam.

- Właściwie sam jestem tego pewien - odparł spokojnie Cahill. Spojrzała na niego, zdziwiona.

- Po co więc te wszystkie podejrzliwe pytania?

- Bo to moja praca. Sprawdzimy panią, przyjrzymy się pani i zostanie pani przesłuchana.

- Żeby pan miał każdą kropkę nad „i” i każdą kreskę w „t”.

- Właśnie. - Zdjął marynarkę i przytrzymał nad jej głową. - Chodźmy. Zadrżała i przyspieszyła kroku, ledwo nadążając za nim, gdy szybko przemierzał parking, osłaniając ją marynarką jak matka kwoka swoje pisklą. Sara pomyślała, że gdy wsiądzie do trailblazera, przede wszystkim włączy podgrzewacz siedzenia.

- Jaki jest numer pani pokoju? - zapytał. - Poślę do pani kogoś z marynarką. Oczywiście jeśli wraca pani do zajazdu.

Podawała mu numer pokoju i dorzuciła kwaśno:

- Mam nadzieję, że dojadę, zanim zasnę.

Jego dłoń nagle zacisnęła się na jej łokciu, zatrzymując ją.

- Zawiozę panią.

- I zostanę uziemiona bez samochodu. Dzięki, ale dam radę. Jestem półprzytomna i mam potworną migrenę, ale kawa utrzyma mnie na chodzie jeszcze przez jakiś czas.

- Musi pani coś zjeść.

- Jadłam - odparła, zdumiona tą jego troską. - Widział pan.

- Zjadła pani cztery kęsy. Liczyłem.

- I ledwie zdołałam je przełknąć. Proszę nie naciskać, Cahill. Przesunął się tak, że teraz stał między nią a terenówką; jego szerokie ramiona trochę osłaniały ją od wiatru. Deszcz moczył mu plecy, ale on nie zwracał na to uwagi, wpatrując się w nią w milczeniu, z nieodgad-nionym wyrazem twarzy. Mimo zmęczenia poczuła niepokojące mrowienie.

- O co chodzi? - zapytała ostro, odsuwając się pół kroku. Pokręcił głową.

- O nic. Leci pani z nóg. Proszę się przespać.

- Zawsze to jakiś plan. - Odsunął się jej z drogi, wcisnęła więc guzik pilota, by otworzyć drzwi. Spieszyło jej się, by schronić się przed wiatrem i deszczem.

- Saro - powiedział, kiedy włożyła kluczyk do stacyjki. Wciąż trzymał marynarkę w ręce, zamiast włożyć ją na siebie.

- Tak?

- Zapewne nie muszę tego mówić, ale proszę nie wyjeżdżać z miasta.

Cahill pojechał za nią do zajazdu Mountain Brook, by się upewnić, że tam dotarła i że nie naraziła na niebezpieczeństwo siebie ani żadnego innego uczestnika ruchu. Kiedy skręciła w lewo na parking zajazdu, na pożegnanie pipnął krótko klaksonem; uniosła rękę, na znak, że słyszy, ale nie odwróciła się, by spojrzeć.

Trzymała się całkiem nieźle, ale ten wyraz szoku i smutku w jej oczach budził w nim instynkty opiekuńcze. Nie policyjne instynkty, ale zwyczajne uczucia, jakie mężczyzna żywi do kobiety, takie, których absolutnie w tej chwili nie potrzebował.

Mówił prawdę, kiedy stwierdził, że jest właściwie pewien, że nie ona zabiła sędziego. Ale od „właściwie pewien” była jeszcze długa droga do „całkowicie pewien”. Nie zapytała nawet, ile pieniędzy odziedziczy, co nie było normalne. Może powstrzymałaby się przy rodzinie, ale kiedy byli sami, powinna zapytać... chyba że już to wiedziała. A jeśli wiedziała, że dostanie sto kawałków,

to mógł być motyw do pozbycia się staruszka; Bóg świadkiem, że wielu ludzi zginęło z powodu o wiele mniejszych sum.

Z drugiej strony jednak, jej żaloba i szok wydawały się szczere. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od płaczu - chyba że zakropliła do nich coś, by wyglądać na zapłakaną. Była albo sprytną morderczynią i bardzo dobrą aktorką, albo naprawdę rozpaczała.

Instykt podpowiadał mu, że jej smutek jest prawdziwy. Ale też ten sam instykt uparcie podpowiadał mu, że powinien spróbować się z nią przespać, musiał więc brać pod uwagę czynnik pożądania, który już kiedyś zaciemnił jego osąd. Shannon, Sara. Oba imiona zaczynały się na S; to nie mogło wróżyć nic dobrego.

Próbował ignorować fakt, że Sara go pociąga, ale to uczucie nie zniknęło. Ta jej twarz w irytujący sposób stawała mu przed oczami, ilekroć próbował się odprężyć. Kiedy pracował, było w porządku, ale gdy tylko siadał wieczorem, by obejrzeć wiadomości czy poczytać gazetę - natychmiast zaczynał o niej myśleć. Widział, jak siedzi na schodach w cienkiej bawełnianej piżamie, albo stoi na strzelnicy, całkowicie skoncentrowana na tarczy, a słońce zapala rude i złote przebliski w jej włosach. Facet wie, że ma kłopoty, kiedy zaczyna zauważać przebliski we włosach kobiety. Cycki, owszem; to normalne, że zauważa się cycki. Ale połysk włosów?

Kiedy podnosił ciężarki w swojej piwnicy, myślał o tym, że unosi Sarę, w górę i w dół, siedzącą na nim okrakiem, i tak się podniecił, jakby była tuż obok. Albo kiedy robił pompki, myślał, jakby to było mieć Sarę pod sobą- z takim samym skutkiem.

Doszedł do wniosku, że nie bardzo może myśleć o czymkolwiek innym. To był cud, że zdołał utrzymać się na dystans, bo nie miał takiej obsesji na punkcie seksu od czasu, gdy skończył szesnaście lat. Nie, to nie cud, lecz zwyczajny strach. Pragnął jej za bardzo. Chyba nawet Shannon nie pragnął tak

desperacko, nawet w tych pierwszych dniach, kiedy się w niej zakochał. Choć z Shannon poszedł do łóżka od razu, może to nie było więc najlepsze porównanie.

Tylko dochodzenie powstrzymywało go przed tym, by zawrócić samochód i pojechać do zajazdu Mountain Brook. Dopóki Sara nie została oczyszczona z podejrzeń, była poza zasięgiem. Miała paragony zakupów, miała towar pasujący do paragonów, podpis na jej karcie kredytowej zgadzał się z podpisem na potwierdzeniach transakcji, i miała bilet do kina. Jeszcze drobna weryfikacja, wgląd w jej finanse, i będzie czysta. Do licha, dzieci sędziego Robertsa odziedziczyły o wiele więcej niż ona; oni wszyscy też mieli alibi, ale zabójcę można przecież wynająć.

Cahill uważał, że to trudna sprawa. Większość morderstw popełniały osoby najbliższe ofierze - członek rodziny, sąsiad, przyjaciel. To wyglądało na najtrudniejszy przypadek: morderstwo dokonane przez obcego. Co je spowodowało? Co ściągnęło zabójcę do domu? Czy był to ktoś skazany przez sędziego Robertsa? Na pozór to wydawało się najbardziej sensownym wyjaśnieniem, tyle że nie było śladów włamania ani walki. Wyglądało to tak, jakby sędzia sam otworzył mordercy drzwi, zaprosił go i gawędził z nim w bibliotece.

Jakby go znał.

Może więc powinni wrócić do scenariusza z udziałem sąsiada, członka rodziny albo przyjaciela.

Cahill próbował w duchu powtórzyć sobie wszystkie fakty. Nikt z sąsiadów nie zauważył samochodu na podjeździe, ale było ciemno. Sara przyjechała do domu tuż przed dziesiątą i chwilę potem znalazła ciało; zadzwoniła pod 911 trzy minuty po dziesiątej, wozy patrolowe dotarły na miejsce w pięć minut, a on sam przyjechał jakieś piętnaście minut po jej zgłoszeniu. Ciało dopiero zaczynało zdradzać objawy rigor mortis, co z grubsza oznaczało, że zgon nastąpił między szóstą a ósmą, może o wpół do dziewiątej.

Cahill obstawiałby raczej te późniejsze godziny, bo o szóstej nie było jeszcze ciemno.

Sędzia Roberts otworzył drzwi swojemu zabójcy. Wtedy nie padły żadne strzały, choć byłyby to najbardziej prawdopodobny moment i miejsce do dokonania zabójstwa, jeśli sprawcą był ktoś, kto odsiadywał wyrok wydany przez sędziego i chciał się zemścić. Obydwaj przeszli do biblioteki i usiedli, a przynajmniej sędzia usiadł. Nie czuł się zaniepokojony lecz zrelaksowany, rozłożył nawet podnózek fotela.

Zabójca nie był kimś obcym ani kimś, kto kiedykolwiek groził sędziemu.

Ciekawe, jakie odciski palców zebrali technicy. Sędziego, Sary, może kucharki, i z pewnością sprzątaczek; te ślady powinny tam być. Sara dała sobie zdjąć odciski nad ranem, dla porównania. Kucharka, Leona Barks-dale, miała przyjść w tym samym celu dziś rano, choć ze łzami w oczach stwierdziła, że nie była w tym pokoju od kilku tygodni. Sprzątaczkę umówiły się na popołudnie. Kto jeszcze? Dom regularnie sprzątano, wszelkie odciski powinny więc być świeże.

Musi przyrzeć się sąsiadom; każdy mógł przyjść pod osłoną ciemności, zastrzelić sędziego i spokojnie pójść do domu. I znów Cahill potknął się o kwestię motywu. Staruszek był lubiany. W jego szafie nie znajdowały się żadne szkielety, żadne brudy, które wypłynęłyby w życiu prywatnym. Nie oszukiwał ani podczas gry w karty, ani w interesach. Nie uprawiał hazardu, nie pił za dużo, i, jeśli Cahill zdołał stwierdzić, nie miał żadnych romansów od śmierci żony osiem lat temu.

Jeśli więc nie zabił go ktoś, komu sędzia naraził się na sali sądowej - to kto mógłby chcieć się go pozbyć?

Jeśli motywem nie była zemsta, seks ani pieniądze, co pozostawało?

Nic. Musi więc wrócić do tych trzech motywów. Cahill wątpił, by chodziło o zemstę, bo sędzia znał zabójcę, zaprosił go do domu. Seks? Facet miał osiemdziesiąt pięć lat, nie spotykał się z nikim, a z tego, co mówili

wszyscy, był absolutnie wierny swojej żonie, dopóki żyła. Pozostawały pieniądze.

Jakoś zawsze wszystko sprowadzało się do pieniędzy.

A to oznaczało, że zatoczył pełny krąg i wrócił do Sary.

Dzieci sędziego dorastały w bogactwie. Oni zawsze wiedzieli, że pieniądze na nich czekają. Dlaczego więc zabijać go teraz? Dlaczego nie dziesięć lat temu albo w zeszłym roku? Dlaczego nie poczekać jeszcze kilka lat i nie pozwolić mu umrzeć z przyczyn naturalnych? Jeśli któreś z nich nie wpadło w finansowe kłopoty - czego Cahill zamierzał się dowiedzieć - nie było powodu, by którekolwiek z nich zaaranżowało to morderstwo. Może więc któreś z dorosłych wnuków? Temu warto się przyjrzeć bliżej.

Ale Sara była najbardziej prawdopodobną podejrzaną.

Cholera.

Sara obudziła się o trzeciej, zdezorientowana i otumaniona. Leżała, słuchając przytłumionego pomruku klimatyzatora, wpatrując się nieprzytomnie w grube story zasłaniające okno i próbując sobie przypomnieć, gdzie jest. Głowę miała jakby wypchaną watą samo myślenie było wysiłkiem, a co dopiero wykonanie ruchu.

Nagle przypomniała sobie, i na długą chwilę ból chwycił ją za gardło, ścisnął jej klatkę piersiową. Wciąż widziała sędziego, siedzącego tak spokojnie w skórzanym fotelu, widziała krew i fragmenty mózgu rozprysnięte po pokoju. Wciąż czuła tę okropną mieszankę zapachu krwi i odchodów. Ze zdławionym jękiem otworzyła oczy.

Powoli, czując każdy obolały mięsień, usiadła. Była naga, bo pizamy nie wpisała na listę rzeczy, którą dała Cahillovi. Usnęła, zmęczona płaczem i teraz czuła piasek pod spuchniętymi powiekami. Pomyślała, że w tej chwili raczej niezbyt przypomina superkompetentnego kamerdynera - ani nawet niekompetentnego.

W pokoju było zimno. Mimo chłodnego dnia włączyła klimatyzację, kiedy wróciła do zajazdu, bo miała zapchany nos i ciepło jeszcze bardziej utrudniłoby jej oddychanie. Chciała tylko paść na łóżko, wywiesiła więc na drzwiach tabliczkę: „Nie przeszkadzać” i wyłączyła telefon z gniazdka. Komórkę położyła na szafce przy łóżku, by rodzina sędziego mogła się z nią skontaktować, gdyby zaszła taka potrzeba, ale poza tym nie chciała rozmawiać z nikim.

W pokoju było za zimno. Wręcz lodowato. Sara wyskoczyła z ciepłej pościeli, szybko przełączyła termostat na grzanie, a potem zanurkowała znów do łóżka i, drżąc, skuliła się pod kołdrą.

Na podłodze, tuż za progiem, leżało coś białego. Karteczki z wiadomościami. Z westchnieniem poszła po nie - były dwie - i znów schowała się do łóżka. Tym razem jednak zapaliła lampkę i wepchnęła poduszkę pod plecy, by móc przeczytać wiadomości.

Pierwsza była od recepcjonisty. Dostarczono jej marynarkę, która czekała na nią w recepcji. Druga - od Cahilla. Nie rozpiął się: „Proszę o telefon”. Przyniesiono ją o drugiej trzydzieści.

Sara westchnęła, wzięła komórkę i zadzwoniła pod podany numer.

Odebrał niemal natychmiast.

- Cahill. - Jego głęboki głos brzmiał rześko; prawdopodobnie był nabuzowany kofeiną.

- Mówi Sara Stevens. Dostałam pańską wiadomość.

- Spała pani?

- Mhm. Jakies cztery godziny. A tak przy okazji, dziękuję za przysłanie marynarki.

- Nie ma za co. Proszę posłuchać, nie wie pani może, czy ktoś był winien sędziemu Robertsowi jakies pieniądze? Czy sędzia nie martwił się o którąś ze swoich inwestycji?

Sara przetarła twarz dłonią.

- Bardzo często pożyczał ludziom pieniądze, ale to były raczej prezenty, bo kiedy ktoś próbował oddać dług, po prostu zbywał go machnięciem ręki.

- Czy ktoś z sąsiedztwa pożyczał od niego pieniądze?

- Nic o tym nie wiem. W takiej dzielnicy? Kto mógłby potrzebować pożyczki?

- Na przykład ktoś taki, kto ma problem z hazardem albo narkotykami. Może ktoś chce ukryć wydatki na kochankę. Jest mnóstwo możliwości. A może ktoś z rodziny ma finansowe trudności?

- Nawet jeśli ma, to sędzia nigdy o tym nie wspominał. Nie sądzę, by w tym stadku była czarna owca. - Umilkła na chwilę i podążyła za jego tokiem rozumowania, pojmując w końcu, dokąd ono prowadzi. Powiedziała chłodno: - Prześlę panu kopię mojego wyciągu bankowego i mój portfel inwestycji. Czy chce pan też dostać anulowane czek?

- Poproszę. - Jego ton wciąż był energiczny, profesjonalny.

- Właściwie to pan sam musi sobie wziąć to wszystko. Dokumenty są w domu.

- Gdzie?

- W szafie jest sejf przeciwpożarowy. Wszystko tam jest.

- Dziękuję. - Rozłączył się; Sara była sfrustrowana, odkładając telefon. Dziś rano przez chwilę Cahill wydawał się trochę cieplejszy, bardziej ludzki, ale teraz wrócił do swojej dawnej szorstkości. Ale, ku jej przerażeniu, okazało się, że nie jest istotne, czy on zachowuje się przyjaźnie, czy nie; było w nim coś, co sprawiało, że chciała uwiesić mu się na szyi. Nieistotne wydawało jej się nawet to, że sprawdzał jej finanse, szukał motywu, dla którego miałyby zabić sędziego. Wiedziała, że te działania ją oczyszczą. Cahill wykonywał swoją pracę. Nie czułaby się tak pewnie, gdyby zlekceważył możliwość, że ona może okazać się winna. Musiał wziąć pod uwagę wszystkich, inaczej mogło mu umknąć coś ważnego.

Barbara i reszta rodziny byli przekonani, że zabójcą jest jakiś skazany przez sędziego przestępca. Po pierwszym, wysnutym w chwili paniki przypuszczeniu, że zrobił to wariat, który przysłał jej prezent, posłuchała logiki i zgodziła się z resztą. Cahill jednak zdawał się mieć zupełnie inny pogląd na sprawę; koncentrował się raczej na niej i na rodzinie. Co takiego znaleźli gliniarze, o czym jej nie powiedział?

Wiedziała, że jest niewinna; wiedziała też, że rodzina jest niewinna. Obserwowała ich wszystkich przez ostatnie lata, w czasie wakacji i ferii, i wszyscy bardzo kochali sędziego. Staruszek uwielbiał swoje dzieci i wnuki, i dobrze się dogadywał z ich małżonkami. Co takiego wiedział zatem Cahill, co umknęło jej uwagi?

W pokoju było już cieplej, wstała więc z łóżka, krzywiąc się na widok własnego odbicia w lustrze toaletki. Jej twarz była ściągnięta i pozbawiona koloru, oczy spuchnięte. Czuła się słaba i roztrzęsiona- skutek niemal dwudziestu czterech godzin bez jedzenia. Czterema małutkimi kęsami ciastka i owoców się nie najadła. Musiała coś zjeść, choćby miała dławić się każdym kęsem. Może później zejdzie do hotelowej restauracji. Na razie jednak nastawiła kolejny dzbanek kawy, włączyła telewizor i wpełzła z powrotem do łóżka. O wiele bardziej niż posiłku potrzebowała teraz zapomnienia.

Nie miała nic do roboty. Była przyzwyczajona, że zawsze jest coś do zrobienia. Dlatego prowadziła tak zorganizowane życie - aby znaleźć czas na wszystkie obowiązki. Teraz powinna przeglądać papiery i podliczać domowe wydatki. Zawsze robiła to we czwartki.

Mogłaby wyjść i kupić sobie jakąś piżamę. Niedaleko znajdowały się trzy duże centra handlowe: Brookwood, Summit i Galeria. Ale wciąż padało, a ona była zmęczona i przymulona, i szczerze mówiąc, miała gdzieś, czy sypia w piżamie, czy nie.

Przekonała się, że o wpół do czwartej po południu najciekawszym programem jest kanał Meteo. Wyłączyła telewizor, zgasiła nocną lampkę i podciągnęła wyżej kołdrę. Jednak ledwie zamknęła oczy, zobaczyła sędziego w fotelu z głową przechyloną na bok i poczuła tamten smród. Pospieszenie usiadła z powrotem i zapaliła lampkę.

Co ona wyprawia? Przecież dopiero co zaparzyła kawę. Nie mogła uwierzyć, że włączyła ekspres i wróciła do łóżka. Oczywiście nic strasznego by się nie stało, poza tym, że kawa zrobiłaby się niesmaczna i gorzka. Ona i sędzia nie cierpieli starej kawy...

Zawsze przychodził do kuchni wczesnym rankiem, nie czekając, aż ona przyniesie mu filiżankę. Stali tak sobie, gawędząc i leniwie popijali kawę, wspólnie oddając się tej chwili rozkoszy - oboje uważali, że poranna kawa jest jedną z najważniejszych małych życiowych przyjemności.

Już nigdy nie wypiją wspólnie tej pierwszej niebiańskiej filiżanki kawy.

Jak na zapętlonym filmie, który nigdy się nie zatrzymuje, ujrzała go znów: siwa głowa przekrzywiona na bok, cienka, ciemna strużka spływająca po szyi. Włosy miał trochę potargane, ale w półmroku z początku nie zauważyła nic niezwykłego oprócz rozwichrzonej fryzury. Jego ręce spoczywały luźno na poręczach fotela, podnózek był rozłożony, jakby staruszek właśnie się zdrzemnął.

Ręce na poręczach. Rozłożony podnózek.

Sara patrzyła w ścianę pokoju, nie widząc nic prócz koszmarnej sceny z zeszłej nocy. Miała uczucie, że ziemia wymyka się jej spod stóp, jakby się poruszała po ruchomych piaskach.

Podnózek był rozłożony.

Siedział w swoim rozkładanym fotelu - a właściwie półleżał.

Frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz.

Ale przecież frontowe drzwi zawsze zamykali na klucz. Sędzia sam je zamykał, zaraz po powrocie z popołudniowego spaceru. Przez ten cały czas,

kiedy Sara u niego pracowała, nie przypominała sobie, by nie zamknął drzwi na klucz.

Czy istniała możliwość, że akurat ten jeden raz, kiedy ich nie zamknął, zabójca wszedł do domu? To nieprawdopodobne. Do licha, prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności było wręcz niemożliwe. Sędzia bardzo się pilnował po tamtych pogrożkach, a tym bardziej po włamaniu.

Nie zapomniał więc zamknąć drzwi na klucz - on je otworzył. By wpuścić kogoś do domu?

Dlaczego miałby wpuszczać obcą osobę? Odpowiedź jest prosta. Nie zrobiłby tego.

Nie było śladów walki ani włamania - a przynajmniej Cahill nie wspomniał o niczym takim ani jej, ani rodzinie, a na pewno powiedziałby im, gdyby coś podobnego miało miejsce.

Jej żołądek wywinął salto. Na swój koszmarny sposób to wszystko składało się w całość. Sędzia wpuścił do domu kogoś, kogo znał. Poszli do biblioteki... żeby porozmawiać? Siedział w swoim ulubionym wielkim skórzanym fotelu; był zrelaksowany, rozłożył podnózek. A jego znajomy wyjął pistolet i strzelił mu w głowę.

Właśnie tego nie powiedział im Cahill, choć z pewnością dawno na to wpadł. Kimkolwiek był morderca, sędzia nie czuł się zagrożony. Znał zabójcę, nie obawiał się jego obecności.

Omal nie zwymiotowała, bo to oznaczało, że prawdopodobnie ona też go zna.

Rozdział 11

Zapomniał już, jakie to cudowne, doświadczać tej mocy, tego poczucia władzy i panowania nad własnym losem. Minęło już... ile? Siedem lat? To był dowód, że wciąż miał nad wszystkim kontrolę, że nie jest jednym z tych maniaków, tych niewolników własnych instynktów. Niemal przez trzydzieści lat, od kiedy rozwiązał problem swojego ojca, dopiero trzeci raz musiał działać. W sumie cztery razy w ciągu prawie trzydziestu lat.

I miał prawo być z siebie dumny. Niewielu ludzi potrafiło kontrolować się tak doskonale, kiedy poznali już te emocje, tę czystą radość, jaką dawał sam czyn. A co ważniejsze, niewielu ludzi miało dość inteligencji, by nie dać się złapać.

Ale ten stary przestał już być przeszkodą i Sara jest wolna. Nic teraz nie stoi jej na drodze; może przyjść do niego.

Cahill siedział w swoim boksie, powoli przeglądając sprawozdania i wyciągi bankowe, które wyjął z ognioodpornego sejfu w szafie Sary. W końcu wrzucił wszystko do dużej bąbelkowej koperty i oparł się wygodniej na krześle, trąc oczy. Jasna dupa. Tej kobiecie nie brakowało pieniędzy.

Oczywiście sto tysięcy to mnóstwo kasy, ale ona jej nie potrzebowała. To musi być miłe, pomyślał, mieć tyle pieniędzy, że nie potrzebuje się stu kawałków. Niektórzy łapali, co się da, i nigdy nie było im dość, ale tacy ludzie nie poświęcali kawałka życia na naukę dobrze płatnego zawodu, by potem całkowicie poświęcić się pracy i rozsądnie oszczędzać. Nie, ci, którym chodziło wyłącznie o pieniądze, kradliby je, popełniali oszustwa, wychodzili za mąż lub żenili się ze staruszkami, a potem, by skrócić ich życie, kombinowaliby z lekami, które tacy staruszkowie wiecznie zażywali - ale nie pracowaliby na swój majątek.

Sara najwyraźniej odkładała lwią część pensji od dnia rozpoczęcia pracy. Inwestowała na giełdzie, i robiła to mądrze. Nie wrzuciła wszystkiego w nowe

technologie, a te akcje, które miała, sprzedawała, gdy tylko zaczęły spadać, kiedy jeszcze mogła wyciągnąć z nich trochę zysku. Miała pakiet stabilnych akcji, udziały w otwartych funduszach, trochę inwestycji o wysokiej stopie zwrotu. Odkładała pieniądze na fundusz emerytalny, planowała przyszłość. Ledwie przekroczyła trzydziestkę, ale gdyby tak wszystko dodać, pukała już do drzwi klubu milionerów.

To naprawdę mądra kobieta.

A skoro nie brakowało jej rozsądku, to czy ryzykowałaby wszystko, by dorzucić sobie na konto kolejne sto tysięcy? Pieniądze to wartość względna. Jeśli człowiek pracował za minimalne pobory, ledwie wiązał koniec z końcem i nic mu nie zostawało na przyjemności, to sto tysięcy dolarów było dla niego ogromną sumą. Znał przypadek matki, która zabiła dziecko dla polisy ubezpieczeniowej wartej pięć tysięcy. Ale kiedy miało się grabo ponad sto tysięcy, to relatywnie taka suma nie wydawała się już tak imponująca. Tutaj ryzyko przewyższało zysk.

Tym sposobem jej ewentualny motyw poszedł w diabły.

I dobrze.

- Masz coś?- zapytał porucznik, przystając obok jego biurka.

- Ona tego nie zrobiła.

- Myślałem, że jest na pierwszym miejscu twojej listy.

- Motyw wyparował.

- Pieniądze? Jak pieniądze mogą wyparować?

- Ona ma forsy jak lodu. Wie pan, ile zarabia kamerdyner? Porucznik podrapał się po nosie.

- Domyślam się, że więcej, niż myśleliśmy.

- Ona wyciąga więcej niż pan i ja razem wzięci.

- Niemożliwe!

- Dokładnie to samo pomyślałem. - Cahill pokręcił głową. - Ma wszystko do stracenia, i relatywnie nie tak znów wiele do zyskania. A właściwie nic,

kiedy wziąć pod uwagę, że przez rok zarabiała znacznie więcej, pracując dla niego, niż dostanie w spadku. Lepiej by na tym wyszła, gdyby żyła. A poza tym ona bardzo szanowała tego staruszka.

Porucznik był przyzwoitym facetem i ufał swoim śledczym.

- Co nam jeszcze zostaje?

- Niewiele. Sąsiedzi niczego nie widzieli i wszyscy mają alibi. Rodzina jak na razie też wychodzi na czysto. Jeśli technicy nie znajdą dymiącego pistoletu, sprawa nie wygląda dobrze.

- Minęły już prawie dwadzieścia cztery godziny.

Jeśli sprawy morderstw nie rozwiązywały się szybko, często nie rozwiązywały się wcale.

- A co ze skazańcami, którzy grozili mu śmiercią? Wyszło coś na ich temat?

- Żadnego z nich nie ma w okolicy. Jeden siedzi na stanowym wikcie w zakładzie w St Clair i przejada pieniądze podatników. Drugi siedzi w więzieniu federalnym. Tylko dwóch jest na wolności, i jeden z nich mieszka w Eugene w Oregonie. Ostatnie znane miejsce pobytu tego ostatniego to Chicago, w styczniu. - Cahill rzucił na biurko zdjęcie przysadzistego mężczyzny z wąsem. - Carl Jarmond. Nie sądzę, żeby to był on.

- Ale to możliwe.

Cahill pokręcił głową.

- Czy sędzia Roberts wpuściłby tego faceta do domu? Nie wierzę.

Wszystkie zewnętrzne drzwi w domu są zaopatrzone w judasza, nie otwierał więc na ślepo. Znał tego człowieka, ktokolwiek to był.

- Jakie numery przychodzące i wychodzące były w pamięci telefonu?

- Sprawdziłem wychodzące numery we wszystkich aparatach w domu.

Nic podejrzanego. Pani kamerdyner dzwoniła do swoich rodziców, a ofiara do swojego bankiera i starego przyjaciela, który też ma alibi. Rozmowy

przychodzące były ciekawsze. Z aparatu w bibliotece odebrano telefon z automatu w Galerii.

- Dowiedziałeś się, o której godzinie miała miejsce ta rozmowa?

- Pracujemy nad otrzymaniem wykazu wychodzących i przychodzących połączeń.

- Ale nie ma jak sprawdzić, kto dzwonił.

Cahill rozłożył ręce. Czas rozmowy mógł im powiedzieć kilka rzeczy, jak na przykład to, czy miała ona miejsce niedługo przed morderstwem, ale to było właściwie wszystko. Galeria to popularne centrum handlowe; jeśli człowiek nie miał zielonych włosów, obroży z kolcami i kostiumu kłowna - albo na przykład nie spacerował nago - szansa, by ktoś zwrócił na niego uwagę, była niewielka. A szanse, że zdejmą jakiś użyteczny odcisk palca z telefonu, praktycznie nie istniały. Ale kamery przemysłowe z pobliskich sklepów, wycelowane na wejścia, mogły coś złapać. Warto było to sprawdzić. I to też powiedział porucznikowi.

- Dobra myśl, Doktorku. - Porucznik spojrział na zegarek. - Zajmij się tym rano. A na razie idź do domu i prześpij się trochę. Całą zeszłą noc byłeś na nogach, i dzisiaj też nie zwolniłeś ani na chwilę.

- Kimnąłem się jakieś trzy godzinki wcześniej rano. Nic mi nie jest. - Szkolenie w armii nauczyło go funkcjonować przy minimalnej ilości snu, i o wiele dłużej. - Ale chyba dam sobie na dzisiaj spokój. - Miał coś innego do zrobienia, coś, czego chyba nie dałby rady znowu dłużej odkładać. Teraz wreszcie mógł się zorientować w sytuacji.

O ósmej wieczorem kanał Meteo wciąż był włączony; Sara oglądała te same fronty atmosferyczne już niemal od pięciu godzin. Nic się nie zmieniło. Wciąż czuła mdłości, wciąż kompletowała listę znajomych sędziego, sąsiadów - wszystkich, których nie wahałby się wpuścić do domu. Problem polegał na tym, że sędzia znał wielu ludzi, których ona nie znała. Wiedziała o najbliższych przyjaciółach, sąsiadach i kilku innych osobach, ale oczywiście miał jeszcze

starych znajomych, przyjaciół z sali sądowej, kolegów ze studiów, których nigdy nie poznała. Ale dlaczego ktoś z nich miałby chcieć go zabić?

To „dlaczego” doprowadzało ją do szaleństwa.

Gdyby tylko wiedzieli, dlaczego, myślała, mogliby odgadnąć, kto.

Dlaczego ktoś oprócz skazanych na więzienie podsądnych miałby chcieć jego śmierci? A jeśli był to któryś z dawnych skazańców, to czy sędzia wpuściłby go do domu, usiadł i się odprężył? Nie ma mowy.

Dlaczego?

Gdy zadzwonił telefon, złapała słuchawkę, zadowolona, że ktoś przerwał jej te rozmyślenia. Może Barbara miała dla niej jakieś zadanie, które zajęłoby ją na parę godzin.

- Jadłaś już kolację?

Nie musiał się przedstawiać; głęboki głos i obcesowy ton były wystarczającą wizytówką Cahilla. A na dodatek przeszedł na „ty”. Czyżby znudziło mu się udawanie cywilizowanego policjanta?

- Kolację?

- A lunch?

- Lunch przespałam, pamiętasz?

- Chodźmy więc do Milo i zjedźmy po hamburgerze.

Sara przeczesала włosy dłonią. Potrzebowała coś zjeść, ale żołądek wciąż miała zawiązany na supeł. Wahala się tak długo, że w końcu rzucił pytająco:

- Sara?

- Jestem. Tylko że... naprawdę nie mam ochoty na jedzenie.

- Nieważne. Bądź gotowa. Przyjadę za dziesięć minut. - Rozłączył się, a ona patrzyła na słuchawkę, osłupiała.

Dziesięć minut!

Mimo że była roztrzęsiona, w dziesięć minut zdążyła się ubrać, umyć zęby i ochlapać twarz. Szczotkowała akurat włosy, kiedy zapukał do drzwi.

- Wyglądasz fatalnie - rzucił zamiast powitania.

- Ty też jesteś śliczny - odparła chłodno, odsuwając się, by go wpuścić. To, że się ubrała, nie oznaczało jeszcze, że gdziekolwiek się z nim wybierała. Kiedy zadzwonił, była przecież całkiem goła.

Spojrzał na jej białe stopy.

- Włóż buty. I skarpetki. Jest około dziesięciu stopni.

- Nie mam ochoty jeść-powtórzyła.

- Będziesz więc patrzyła, jak ja jem.

- Twój urok jest bezgraniczny. - Mimo sarkazmu, mimo całej reszty, po raz pierwszy tego dnia naprawdę się uśmiechnęła. Cahill był jak czołg - pozbawiony finezji, ale z wielką siłą przebiccia.

- Tak, wiem. Ustępuje wielkością tylko mojemu... - ugryzł się w język i zerknął na nią- ...ego - dokończył, i przysięgłaby, że się zarumienił.

Najwidoczniej gliniarze nie powinni rzucać dwuznacznych uwag w rozmowie z podejrzanymi. Schylił się, podniósł buty Sary i wyciągnął w jej stronę. Odniosła wrażenie, że włoży je siłą na jej stopy, jeśli sama tego nie zrobi.

Usiadła na łóżku, włożyła skarpetki i buty.

- Domyślam się, że jesteś głodny i chcesz ze mną porozmawiać, postanowiłeś więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Wzruszył ramionami.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz.

A to, co miało znaczyć, do diabła? Tak się składało, że ona też chciała z nim pogadać o swoich wnioskach dotyczących śmierci sędziego, i nie miała nic przeciwko, by przy okazji popatrzeć sobie, jak je.

Zatrzymali się w recepcji, by mogła odebrać marynarkę. Był to żakiet z berberyjskiej wełny, i z przyjemnością włożyła go na siebie, gdy wychodzili z hotelu. Deszcz przestał padać, ale widać niedawno, bo z drzew wciąż kapało. Chodnik był ciemny i błyszczący.

Zamiast do samochodu, którym jeździł przedtem, Cahill poprowadził ją do ciemnogrnatowego pikapa z otwartą paką. Ta półciężarówka pasowała do

niego - pozbawiona fikuśnych dodatków, ale z mocnym silnikiem. Na szczęście miała stopnie, Sara mogła więc wsiąść bez pomocy. Cahill otworzył jej drzwiczki i poczekał, aż usadowiła się wygodnie, po czym zamknął drzwiczki i przeszedł dookoła na swoje miejsce.

Jedzenie hamburgerów w Milo było tradycją w Birmingham i okolicy, i większość miejscowych przysięgała, że podawane tu hamburgery i mrożona herbata były najlepsze na świecie. W Milo nie serwowano do hamburgerów wymyślnych dodatków, takich jak sałata, pomidor czy pikle - choć można je było dostać na życzenie - ale podawano je w ciemnym niebiańsko doskonałym sosie. I tyle. Podwójny kotlet, siekana cebula i sos. Burgery ociekały sosem. Ludzie kupowali dodatkowy sos w pojemnikach. Moczyli w nim frytki na ostro, lali dodatkowe porcje na hamburgery, używali go w domu do własnych burgerów z grilla.

Nie trzeba dodawać, że hamburgery w Milo, tak jak wszędzie, to były „śmieci”. Nawet gdyby jej żołądek się nie buntował, nie miałaby ochoty na „śmieci”. Gdy więc Cahill zapytał, czy na pewno niczego nie chce, odparła: „Na pewno”, i poszła do stolika pod ścianą, by na niego poczekać.

Kiedy dołączył do niej przy stoliku, niósł tacę z dwoma wysokimi tekturowymi kubkami mrożonej herbaty, trzema hamburgerami i dwiema porcjami frytek w otoczeniu małych kubeczków z keczupem i paczuszek soli. Sara z niedowierzaniem spojrzała na tę obfitość.

- Mówiłeś, że jesteś głodny, ale sądziłam, że chodzi o głód w zwykłych, ludzkich kategoriach, a nie w kategoriach Godzili!.

Cahill postawił tacę na stoliku i usiadł naprzeciwko.

- Część jest dla ciebie. Mam nadzieję, że lubisz cebulę, bo ja tak. Jedz. - Postawił przed nią herbatę, burgera i porcję frytek.

- Owszem, lubię cebulę, ale co to ma do twoich upodobań w tym względzie? - mruknęła, próbując przekonać żołądek, by się rozsuptała. Naprawdę potrzebowała coś zjeść i tak jak wszyscy czasem lubiła jadać w Milo. Po prostu

nie była pewna, czy zdoła coś przełknąć, a nawet jeśli, to czy jedzenie zechce zostać w żołądku.

- A to, że gdybym nie wytrzymał i cię pocałował, wolałbym nie wywoływać u ciebie obrzydzenia cebulowym chuchem. - Nie unosząc wzroku, zaczął solić swoje frytki.

Tak po prostu, bez uprzedzenia, świat stanął na głowie. Sara rozejrzała się spłoszona po restauracji, zastanawiając się, czy nie trafiła do jakiegoś równoległego wszechświata.

- Coś ty powiedział? - zapytała słabo. Musiała się przesłyszeć.

- Słyszałaś. - Spojrzał na nią i parsknął: - Gdybyś mogła zobaczyć swoją minę. Zachowujesz się, jakby nigdy żaden facet na ciebie nie leciał.

Zgoda, postanowiła zaryzykować bunt żołądka. Musiała zrobić coś, by dać sobie czas na przystosowanie się do tej nagłej wolty. Wzięła frytkę, zanurzyła ją w keczupie i odgryzła kawałek. Ostry, korzenny smak jak nagły cios obudził jej kubki smakowe. Gryzła bardzo powoli, kiedy więc wreszcie przełknęła, była w stanie odpowiedzieć spokojnym tonem:

- Powiedzmy, że niewielu mężczyzn jaśniej dało mi do zrozumienia, że na mnie nie lecą.

- Kiedy jestem wystraszony, zwykle tak się zachowuję. - Odpakował pierwszego hamburgera, posolił go i odgryzł wielki kęs.

Sara uciekła się do pomocy kolejnej frytki. Po trzech czy czterech uznała, że potrzebuje czegoś większego, rozpakowała więc hamburgera. Ciemny sos oblepiał woskowany papier, kapał spomiędzy dwóch połówek bułki. Ugryzła - Boże, niebo w gębie - myśląc nad tym, co powiedział. Ten zwrot był zbyt nagły; coś musiało się za tym kryć. A, już wiedziała, co.

- Myślisz, że zabiłam sędziego - powiedziała - ale nie masz żadnych dowodów, uważasz więc, że kiedy się do mnie zbliżysz, wymknie mi się coś, co mnie pograży.

- Nieźle. - Spojrzał na nią twardo swoimi niebieskimi oczami gliniarza. -
Widzisz, moja była żona powiedziała ci bez namysłu, że jestem gnojem, i do
cholery, może miałyby rację. Ale ja ci powiem na samym wstępie, że nie
miałem ochoty na kontakty towarzyskie od czasu rozwodu. Było koszmarnie, i
otrząśnięcie się po czymś takim trochę trwa. Nie chciałem się angażować w
żadne znajomości z wyjątkiem takich, gdzie chodziło o...

Umilkł, a ona powiedziała:

- Seks. - Wypełniając puste miejsce.

- Nie chciałem być tak bezpośredni, ale owszem.

Jest więc rozwodnikiem, i rozwód okazał się paskudny. Dochodzenie do
siebie po takim rozstaniu było jak zdrowienie po każdym innym urazie;
wymagało czasu i wysiłku. To sprawiało, że w tej chwili Cahill to ryzykowna
inwestycja, a zresztą ona też nie szukała związku.

- Jak dawno to się stało?

- Minęły dwa lata, od kiedy przyłapałem ją na zdradzie, a rok od
sfinalizowania rozwodu.

- Rzeczywiście paskudnie. - Jaka idiotka chciałaby zdradzać takiego
faceta? Nie miała podstaw, by to osądzać, ale gdyby kobiecy instynkt był kotem,
to mruczałby teraz jak najęty w odpowiedzi na testosteron, który wyczuwało się
niemal nosem.

- Tak, było paskudnie. Ale już jest po wszystkim, może nawet bardziej po
wszystkim, niż sądziłem. Podobasz mi się, próbowałem to ignorować, ale nie
wyszło. A tak przy okazji, widziałem już twoje wyciągi bankowe i portfel
inwestycji. Nie potrzebujesz pieniędzy sędziego Robertsa.

- Nie jestem już więc podejrzaną?

- Powiedzmy, że jeżeli o mnie chodzi, to jesteś czysta.

To wymagało kolejnego kęsa czy dwóch hamburgera, w towarzystwie
frytki.

- Niektórzy mogliby pomyśleć, że lecisz na moje pieniądze. Przyznasz, że trochę podejrzenie zbiegło się to w czasie.

- Trochę - zgodził się. - Zarabiasz prawie trzy razy tyle, co ja, a gliny z Mountain Brook zarabiają przyzwoicie. Ale powiedziałbym, że zarabiasz więcej niż ktokolwiek, z kim się spotykasz, jesteś więc do tego przyzwyczajona.

- Faceci, z którymi się spotykam, zwykle nie oglądają najpierw moich wyciągów bankowych - odparła kwaśno.

- Widzisz, pieniądze są miłe, ale nie brak mi ich aż tak bardzo. Moje ego też nie ucierpi przez kobietę, która zarabia więcej ode mnie.

- Wiem, mówiłeś. Jest ogromne.

I znowu ten rumieniec na jego policzkach. Zafascynowana patrzyła na Cahilla. Mimo okoliczności zaczynała się dobrze bawić. Wytarł usta.

- Oskarżyłaś mnie, że próbuję się do ciebie zbliżyć, by znaleźć dowody i skazać cię za morderstwo, i o to, że chcę twoich pieniędzy. Jeszcze coś?

- Dam ci znać, jeśli coś przyjdzie mi do głowy.

- Koniecznie. A tymczasem, po mojej stronie stołu jest spore zainteresowanie. A jak tam po twojej?

Rzeczywiście miał finezję czołgu. Z drugiej strony, ta obcesowa szczerość w jakiś sposób uspokajała Sarę. Z tym facetem kobieta zawsze będzie wiedziała, na czym stoi - czy będzie dobrze, czy źle.

Pytanie brzmiało: co ona chciała z tym zrobić?

Jego otwartość zmuszała ją przynajmniej do takiej samej szczerości.

- Moja strona stołu wygląda mniej więcej tak jak twoja. To nie znaczy, że angażowanie się byłoby dobrym pomysłem.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

- Ale przecież wszystko się kręci wokół zaangażowania. Miliony ludzi ciężko pracują, żeby się zaangażować, aktywnie poszukują takiej możliwości. Pomyśl o tych wszystkich godzinach harówki w barach dla singli.

- Nigdy nie byłam w barze dla singli. To powinno ci coś o mnie powiedzieć.

- Nigdy tego nie potrzebowałaś. Domyślam się, że jeśli przez chwilę nie masz faceta, to tylko dlatego, że sama tego nie chcesz.

Nie odpowiadała, patrząc w stół. Zobaczyła, że zjadła pół hamburgera i wszystkie frytki. Jego metoda odwracania jej uwagi od jedzenia najwyraźniej działała. Z drugiej strony jednak, czuła się dużo lepiej, mając coś w żołądku, nawet jeśli był to tylko fast food. Zaczynało przybywać jej energii.

- Możemy to rozegrać tak powoli, jak zechcesz - powiedział. - To nie jest dla ciebie dobry moment, i ja też mam na drodze kilku „leżących policjantów”. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że jestem zainteresowany. - Wzruszył ramionami. - Nie musisz przez to przechodzić sama, chyba że tego chcesz.

Och, do diabła. Tak dobrze jej szło; na krótką chwilę udało jej się zapomnieć o bólu. Nagle, ni z tego, ni z owego, oczy zaczęły jej łzawić, zamrugowała więc szybko, by powstrzymać łzy.

- Ech, do diabła, nie chciałem... Wyjdźmy stąd. - Pozbierał opakowania i serwetki, wyrzucił śmieci do kosza i odstawił tacę na górę. Sara na ślepo wyszła za nim z baru. Kiedy szli do jego pikapa, objął jej ramiona.

- Przepraszam - powiedział, wciskając jej w dłoń szmacianą chustkę.

Otarła oczy, wspierając się o jego mocne, ciepłe ciało. Przyjemnie było czuć jego ramię wokół siebie. Miała ochotę oprzeć głowę na jego ramieniu i zapłakać, ale tylko westchnęła głęboko.

- To był kochany człowiek. Jeszcze sporo łez wyleję, zanim to się skończy.

Cahill otworzył drzwi samochodu, wsiadła więc i sięgnęła po pas. Powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej dłoni, i przechylił się do środka.

Nie próbowała uniknąć pocałunku. Nie chciała go uniknąć. Chciała się dowiedzieć, jak on całuje, jak smakuje. Jego usta były ciepłe, dotyk lekki, niemal czuły, jakby chciał ją raczej pocieszyć niż podniecić.

Po chwili Cahill przechylił głowę i pogłębił pocałunek, jego język znalazł się w jej ustach. Sara zarzuciła mu ręce na szyję, a jej żołądek wywinął salto, a całe ciało wyprężyło się, i wtedy zrozumiała, że mruczący jak kot instynkt się nie mylił. Boże drogi, ależ ten facet potrafił całować.

Odsunął głowę i oblizał swoją dolną wargę, jakby zjadł coś dobrego.

- To było niezłe - powiedział niskim głosem.

- Tak, owszem - odparła ochryple. Skąd jej się to wzięło? Nigdy w życiu nie mówiła w ten sposób.

- Chcesz jeszcze raz?

- Lepiej tego nie róbmy.

- Zgoda - powiedział i pocałował ją jeszcze raz.

Ten facet jest niebezpieczny. Sara pomyślała, że jeśli nie zacznie uważać, zapłacze się w romans na całego, nim się obejrzy - może nawet nim wstanie świt. A teraz z pewnością nie była na to pora, musiała się więc opanować, póki jeszcze mogła. Po zimnym prysznicu, jaki z początku urządził jej Cahill, teraz z prędkością światła pędził w przeciwnym kierunku, a ona doznała lekkiego szoku.

Wymagało to trochę wysiłku, ale oderwała od niego usta, chwytając powietrze.

- Czerwone światło, detektywie. Stop. On też ciężko dyszał, ale odsunął się o krok.

- Permanentne? - W jego tonie usłyszała niedowierzenie.

- Nie! - Jej odpowiedź była żenująco stanowcza. - Tylko... na razie. - Zaczepnęła głęboko powietrza. - Mamy do omówienia ważniejsze sprawy.

- Na przykład?

- Na przykład to, że moim zdaniem sędzia znał zabójcę.

Jego twarz straciła wszelki wyraz. Zamknął drzwiczki od jej strony, przeszedł na drugą stronę i wsiadł za kierownicę. Zapalił silnik. Znów zaczęło mżyć, włączył więc wycieraczki.

- Wiem, że znał - odparł. - Ale dlaczego ty tak uważasz?

Rozdział 12

Może jednak nie był tak do końca przekonany o jej niewinności, Ta myśl ostudziła ją, dała jej trochę tak potrzebnego dystansu.

- Znam sędziego... znałam - poprawiła się. - Zawsze, ale to zawsze zamykał drzwi na klucz. Sprawdziałam dom co wieczór przed snem i ani razu nie zostawił żadnych drzwi niezamkniętych. Robił to automatycznie; kiedy wchodził do domu, przekręcał zamek. Sądzę, że nabrał tego zwyczaju po pierwszej otrzymanej groźbie, kiedy pani Roberts jeszcze żyła. Ale wczoraj wieczorem - Boże, to było zaledwie wczoraj wieczorem, a wydawało się, że minął tydzień - drzwi wejściowe nie zostały zamknięte.

- To mógł być zbieg okoliczności.

- Jeden, jedyny raz nie zamknął drzwi na klucz, i akurat zjawił się morderca dybiący na jego życie? - Popatrzyła drwiąco na Cahilla. - Nie wydaje mi się to możliwe. Myślę, że ten człowiek zapukał do drzwi, a sędzia go znał i wpuścił do domu. Kiedy go znalazłam, siedział w fotelu z rozłożonym podnóżkiem. Był zrelaksowany. Nie czuł się w żaden sposób zagrożony. Znał więc tego gościa.

- Skąd ta pewność, że to był mężczyzna? To pytanie dało jej do myślenia.

- Chyba po prostu myślę ogólnie. To łatwiejsze niż za każdym razem mówić „zabójca lub zabójczyni”. Poza tym więźniowie, którzy grozili sędziemu, byli mężczyznami, tak mi więc jakoś zostało. Do tego jeszcze ten świr, który przysłał mi wisiołek. To też najprawdopodobniej mężczyzna, a moją pierwszą myślą było, że on to zrobił.

- Hm. - Cahill podrapał się po szczęce, jakby rozważając tę możliwość. - Czy skontaktował się z tobą drugi raz? Przysłał jeszcze coś? Miałaś jakieś głuche, albo inne dziwne telefony?

- Nie, zupełnie nic. Tylko ten wisiołek. Jednego incydentu nie można uznać za prześladowanie.

- Znasz to powiedzonko: jedna jaskółka nie czyni wiosny.

- Tak też myślałam.

Zręcznie manewrował między samochodami na Dwieście Osiemdziesiątce.

- Powiedziałaś wczoraj, że poszłaś do kina, żeby miał szansę nawiązać kontakt, jeśli cię obserwuje.

Zeszłego wieczoru doznała szoku, ale chyba dokładnie tak się wyraziła. Cahill był bystry. Bardzo bystry.

- Zgadza się. Spojrzał na nią.

- Na jakiej podstawie sądziłaś, że może cię obserwować?

- Na żadnej, tyle że ten prezent bardzo mnie zaniepokoił. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Coś takiego jest... Wytrąciło mnie to z równowagi. Tylko tak potrafię to opisać. - Zadrzała. - Na samą myśl, że on może mnie śledzić, obserwować, ciarki mi chodzą po plecach. A to, że nie wiem, kto to jest, jeszcze pogarsza sprawę, pomyślałam więc, że dam mu szansę, aby się przedstawić. Przynajmniej wiedziałabym, jak wygląda.

- Ale nikt cię nie zaczepił?

- Nikt nie próbował usiąść obok mnie, nikt się do mnie nie odezwał, nikt nawet nie spojrzał na mnie dwa razy.

- Wiesz, jeśli ktoś dostał obsesji na twoim punkcie i jest dość zewrórowany, żeby cię śledzić, to dawanie mu takiej okazji nie było najlepszym pomysłem.

- Pewnie nie - przyznała. - Ale gdyby czeqokolwiek spróbował, sądzę, że dałabym radę dołożyć mu z zaskoczenia.

- Masz na myśli karate? A jeśli on też trenował?

- Wtedy miałabym problem. Ale uznałam, że mam przewagę. Cahill zabębnił palcami w kierownicę.

- Prywatnie, nie podoba mi się, że próbujesz go zdemaskować w ten sposób. A jako gliniarz radzę ci: nie szukaj kłopotów.

- To właściwie jedno i to samo - odparła rozbawiona.

- Co ty powiesz. Posłuchaj, gdyby wydarzyło się coś dziwnego, gdybyś uważała, że jesteś śledzona, albo gdybyś dostała kolejny prezent lub odebrała dziwny telefon, daj mi znać. Natychmiast. W dzień czy w nocy.

- Nie sądzę, żebyś był zachwycony, gdybym zadzwoniła do ciebie o trzeciej nad ranem, żeby ci powiedzieć o jakimś pijaku, który zadzwonił pod zły numer.

- Powiedziałem, żebyś do mnie zadzwoniła, i mówię poważnie. Zresztą, kto wie. Może wystarczy, że przeturlasz się na bok i walniesz mnie pięścią.

Potarła czoło. Prędkość światła? Teraz przeszedł już w nadświatłą. Największy problem polegał jednak na tym, że to jej nie zniechęcało. Nieważne, jak szybko posuwał się naprzód - jej hormony dotrzymywały mu kroku. Dla zachowania zdrowia psychicznego potrzebowała, by znów zaczął ją podejrzewać o morderstwo; wtedy mogłaby się trochę wycofać. W przeciwnym razie... nie chciała myśleć, co stanie się w przeciwnym razie.

Zawsze była ostrożna, jeśli chodziło o randki i poważne związki, ponieważ takie uwiązanie nie pasowało w tej chwili do jej życiowych planów, ale w dużej mierze również dlatego, że w głębi duszy była bardzo skryta i samowystarczalna. Dopuszczenie do emocjonalnej bliskości oznaczałoby częściowe zrzeczenie się kontroli nad samą sobą. Z łatwością zawierała przyjaźnie, uwielbiała sędziego, lubiła jego rodzinę, ale zawsze był ten drugi poziom bliskości, na który nigdy nikogo nie dopuszczała. Jednak Cahill potrafiłby dotrzeć na ten poziom.

W ich przypadku chemia grała jak należy, ale moment wybrali fatalny. Ona nie była gotowa, by się ustatkować, a Cahill dochodził do siebie po burzliwym rozwodzie. Może i szukał związku, ale Sara wątpiła, czy postawiłby przed nim przymiotnik „stały”. A romanse dla odreagowania nigdy nie

wydawały jej się dobrym pomysłem. Za rok czy dwa... może nie byłby tak ryzykowną inwestycją. Ale w jakim punkcie ona się znajdzie za rok czy dwa - mogła tylko zgadywać.

Przyzwolenie, by sprawy posunęły się dalej, nie było więc najlepszym rozwiązaniem.

Cahill zamachał ręką przed jej twarzą.

- Jesteś tam?

Odpędziła jego dłoń jak muchę.

- Zastanawiam się.

- To mi ulżyło. Wystraszyłem się, że na myśl o sypianiu ze mną popadłaś w katatonię.

Ku własnemu zaskoczeniu roześmiała się - był to prawdziwy, szczery śmiech.

- To się często zdarza, co?

- Nie zastanawiałem się nad tym, ale jak tak spojrzę wstecz, może znalazłyby się dwa czy trzy przypadki. - Roześmiał się i wzruszył ramionami, a Sara znów się roześmiała.

- To pewnie przez twój bezgraniczny urok.

- Ja sądziłem, że przez moje ego.

- To też. - Na końcu języka miała pytanie, jakie inne ogromne zalety posiada, ale w porę się powstrzymała. Seksualne przekomarzanki zawsze były zabawne, ale przy nim czuła, że sytuacja może się błyskawicznie wymknąć spod kontroli. Cholera, o wiele za mocno na niego reagowała, ale przynajmniej miała tego świadomość.

- Cahill...

- Mam na imię Thompson. Niektórzy mówią do mnie Tom, niektórzy Doktoru. Ty możesz mówić do mnie kochanie.

Miała ochotę zachichotać.

- Zawsze jesteś taki pewny siebie?

- Jestem nieśmiały jak owieczka. Jeśli ci się nie podobam, to daj mi po łapach albo w gębę. Ale powiedziałaś, że zainteresowanie jest obustronne, trzymam cię więc za słowo. Skreślił na parking i wprowadził samochód na wolne miejsce, po czym wyłączył silnik i światła. Mżawka natychmiast przysłoniła przednią szybę, zniekształcając widok światła i przedmiotów.

- Nigdy nie rzucam się w związek na łeb, na szyję, a szczególnie z człowiekiem, który dopiero się rozwiódł i nosi taki bagaż.

Odwrócił się w jej stronę; lewą rękę oparł na kierownicy, a prawą położył wzdłuż oparcia siedzenia, zachęcając ją, by przysunęła się bliżej. Dlaczego ten pikap nie mógł mieć porządnych, bezpiecznych kubelkowych foteli zamiast kanapy? Mogłaby przysiąc, że samo auto też przechyliło się na lewo, bo pozostanie po swojej stronie sprawiało jej więcej trudności, niż powinno.

- Bagaż to normalna rzecz - stwierdził. - Bagaż czyni nas tym, kim jesteśmy. Oczywiście ja wolałbym nie być zgorzkniałym mizoginistą, ale...

Umilkł, bo Sara zaczęła chichotać na całego.

- Świetnie - powiedział. Jego twarz złagodniała, gdy jednym palcem wetknął kosmyk włosów za jej ucho. - To brzmiało tak, jakbyś tym argumentem o bagażu próbowała przekonać o czymś samą siebie. Nie myśl zbyt wiele, Saro. Zobaczmy po prostu, jak to się rozwinie. Możliwe, że w ciągu tygodnia znudzimy się sobą na śmierć.

Parsknęła.

- Jasne.

- Działy się już dziwniejsze rzeczy.

Palec dotknął jej policzka, pogładził delikatnie. Bez zastanowienia wtuliła twarz w jego dłoń, i od tego najzwyklejszego dotyku stwardniały jej sutki. Cahill uśmiechnął się, jakby wiedział, jak na nią działa.

- Kiedy już pozbędziesz się tego dziwnego zahamowania, które nie pozwala ci na dziki seks z facetem, którego ledwie znasz, możemy mieć z tego sporo przyjemności.

Sara wyskoczyła z samochodu i wciąż jeszcze śmiała się, wchodząc do hotelowego holu i odsyłając Cahilla machnięciem ręki. Dziwnie było się śmiać po tym wszystkim, co zaszło przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny - ale i przyjemnie. Śmiech nie zlikwidował smutku, ale sprawił, że łatwiej było go dźwigać.

Cahill zjawiał się niespodziewanie i za jednym zamachem nakarmił ją, odpędził smutne myśli, podniecił ją i rozbawił. Niewielu mężczyzn jest tak wszechstronnych, rozmyślała, jadąc windą na górę. Jego podstępne poczucie humoru było zdumiewające, gdy przypomniła sobie, jaki drętwy wydał jej się tamtej nocy, kiedy przesłuchiwał ją w sprawie włamania.

I co ona miała z tym zrobić?

Naprawdę chciała zapomnieć o ostrożności i zdrowym rozsądku i wdać się z nim w gorący romans. Seks byłby... nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jaki byłby seks, bo nigdy wcześniej tak silnie fizycznie nie reagowała na nikogo. I na tym właśnie polegał problem. Nie chodziło o seks, ale o to, co czuła. Mogła się zakochać jak głupia, zanim się zorientuje, a pozwolenie sobie na takie uczucie do niego było proszeniem się o złamane serce.

Najmądrzej zrobi, jeśli poszuka pracy w innym stanie. Może na Florydzie, w którejś z tych ogromnych posiadłości w Palm Beach - byłaby wtedy bliżej rodziców. Albo w Kalifornii czy w którymś z kurortów na Long Island; nie martwiła się o znalezienie kolejnej posady. Musi zaktualizować swoje CV - przecież nie ma już pracy, nie ma też gdzie mieszkać. Wcześniej nie całkiem to do niej dotarło, bo cała jej uwaga była skupiona na tym, co się stało, ale teraz, gdy szok trochę zelżał, zaczynała myśleć o konsekwencjach.

Pewnie i tak ominie ją ten gorący romans, chyba że będzie bardzo krótki. Cahill nie wyglądał na faceta skłonnego do związków na odległość. Cały ten niepokój i niezdecydowanie były zatem stratą czasu; musi stawić czoło rzeczywistości, a rzeczywistość kazała jej znaleźć pracę. Wybrała sobie bardzo wyspecjalizowany sposób zarabiania na życie, a to oznaczało, że nie mogła

znaleźć sobie posady gdziekolwiek; była ograniczona do bogatych okolic, takich jak Beverly Hills, Buckhead, Mountain Brook.

Możliwe, że dałoby się zostać w Mountain Brook; przecież dostała już jedną ofertę, choć wątpiła, by pozostała ona wciąż aktualna po tak stanowczej odmowie. Oczywiście zakładając, że ona by zaakceptowała tę posadę. Rozmowa o pracę działała w dwie strony. Pracodawca musiał czuć się z nią dobrze, ale i ona chciała czuć się dobrze z pracodawcą. Musiała się przecież wpasować w jego domostwo, wytyczyć w nim własne ścieżki i stworzyć poczucie komfortu. Gdyby nie lubiła pracodawcy, trudno byłoby jej zaangażować z całym poświęceniem, tak jak dotąd, i byłaby z tym nieszczęśliwa.

Czuła się lepiej, teraz, gdy skupiła się na twardych faktach zamiast myśleć o kuszącej perspektywie romansu z Cahillem; grunt pod jej stopami przestał się kołysać. Wiedziała, że poradzi sobie z tym, jeśli tylko nie straci głowy. A ponadto przez najbliższe dni musiała się zająć poważniejszymi sprawami.

Następnego dnia deszcz wciąż padał, bardziej intensywny i zimny. Lekarz sądowy wydał ciało sędziego Robertsa rodzinie, zajęli się więc ostatecznymi przygotowaniami do pogrzebu. Sara wzięła na siebie umieszczenie nekrologu w gazetach i oddała się całkowicie do dyspozycji rodziny.

Zawiozła ich do domu pogrzebowego, na który się zdecydowali, by wybrać trumnę i załatwić kwestie finansowe. Sędzia chciał być pochowany obok żony; kiedy zmarła, kupił nawet podwójny nagrobek, na którym wykute już było jego nazwisko, przynajmniej więc z tą decyzją nie musieli się borykać. Jednak wybieranie trumny kompletnie ich rozbiło. Randall i Jon trzymali się jakoś, ale nie potrafili podjąć żadnej decyzji; wciąż spoglądali na Barbarę, a Barbara zaczęła cicho płakać.

Sara wkroczyła więc do akcji i uściskała kobietę.

- Wiem - mruknęła współczująco. - Ale trzeba to załatwić. Barbara spojrzała na nią oczami pełnymi łez.

- Która ci się podoba?

To pytanie ją ogłuszyło. Przestraszona spojrzała na trumny, na Randalla i Jona. Obaj wpatrywali się w nią rozpaczliwym, błagalnym wzrokiem. Było oczywiste, że nie poradzą sobie z tym.

Sara odetchnęła głęboko.

- Ta brązowa. - Była droga, ale mogli sobie na nią pozwolić, i na pewno poczują się lepiej, wiedząc, że kupili ojcu najlepszą trumnę.

- Mnie też ta się podoba najbardziej - powiedział pospiesznie Randall.

Barbara osuszyła oczy.

- Ta brązowa? - zapytała drżącym głosem. Spojrzała na trumnę. - Jest bardzo ładna.

- I najlepsza - wtrącił pracownik domu pogrzebowego. W końcu interes to interes.

- Podoba mi się ten kolor. - Barbara odetchnęła głęboko i znów zwróciła się do Sary. - Chyba masz rację. Weźmiemy brązową.

Z domu pogrzebowego pojechali do kwaciarni, by zamówić wiązanki. Nabożeństwo miało się odbyć o drugiej w niedzielę, w wielkim kościele, do którego chodził sędzia. Sara zdążyła już wynająć pokoje dla reszty rodziny Randalla, która miała zjechać dzisiaj - był piątek - po pracy i po szkole. Czuwanie dla przyjaciół sędziego zaplanowano w domu pogrzebowym w sobotni wieczór, a przedtem trzeba było jeszcze wybrać się na zakupy.

Sara miała na tyle przytomności umysłu, by zażądać przywiezienia z domu grafitowego garnituru i czarnych pantofli, ale potrzebowała rajstop i kilku innych drobiazgów. Barbara uznała, że ubrania, które przywiozła, w ogóle się nie nadają, a Blair wyznała płaczliwie, że w ogóle nie ma nic w ciemnych kolorach. Julia, żona Jona, też uznała, że potrzebuje czegoś innego. Tylko Emily przyjechała przygotowana na każdą okoliczność.

Zaczęły od Galerii, ponieważ była połączona z hotelem, ale Blair przejrzała już oba piętra centrum od końca do końca i nic jej nie zadowoliło. Barbara znalazła w Parisian buty, które jej się podobały, a Sara szybko wybrała

rzeczy, których potrzebowała, łącznie z kilkoma czarnymi parasolami, bo zapowiadało się, że w końcu jednak na dobre się rozpada.

Do wieczora przebuszowały całe Summit i Brookwood; Sara obwiozła je też po wszystkich ekskluzywnych butikach, jakie знаła w okolicy. Barbara w końcu zdecydowała się na stylowy czarny kostium z długą, wąską spódnicą; biorąc pod uwagę prognozę pogody, jego zakup wydawał się dobrym pomysłem. Blair wybrała czarną spódnicę kończącą się tuż nad kolanem i dopasowany, krótki żakiet w kolorze bakłażana. Usunęła też kolczyk z brwi i zmyła kolorowe pasemka z włosów. Pogrzeb to poważna sprawa, nie tylko z powodu emocji, jakie wywoływały. Julia była o wiele bardziej zdecydowana niż Barbara i Blair - wybrała granatową sukienkę z tuniką do kompletu w pierwszym sklepie, do jakiego weszły w Summit.

Kiedy Sara wreszcie zapędziła swoje podopieczne do hotelu, nogi tak ją bolały ze zmęczenia, że niemal utykała. Deszcz padał bez przerwy przez cały dzień, dodatkowo utrudniając zakupy, bo oprócz wszystkiego innego trzeba było jeszcze taszczyć ze sobą parasole. Buty miała przemoczone, spodnie wilgotne, i mimo żakietu z berberyjskiej wełny trzęsła się z zimna. Chciała już tylko wziąć gorący prysznic i usiąść z nogami do góry. Jej komórka nie dzwoniła przez cały dzień, a kiedy wróciła do zajazdu, nie czekały na nią żadne wiadomości. Pomyślała, że może teraz wreszcie odpocznie.

Hotelowy telefon zadzwonił, kiedy zdejmowała mokre skarpetki. Jęknęła i padła na łóżko, zastanawiając się, czy odbierać. Ale to mógł być ktoś z rodziny, podniosła więc słuchawkę po szóstym dzwonku.

- Pani Stevens, mówi Greg Holbrook z „News”. Chciałbym przeprowadzić z panią wywiad na temat tragicznego morderstwa.

- Nie udzielam wywiadów - odparła stanowczo. - Żegnam. - Rozłączyła się, a potem natychmiast zadzwoniła do recepcji i poprosiła o inny pokój, w którym zameldowała się pod fałszywym nazwiskiem.

Następna godzina zeszła jej na załatwianiu formalności i przenoszeniu rzeczy do pokoju cztery numery dalej. Powinna przewidzieć zainteresowanie dziennikarzy i już wcześniej podjąć takie środki zaradcze.

Jej nowy pokój był wyziębiony, bo przez cały dzień stał pusty. Włączyła ogrzewanie na maksimum, a kiedy powietrze trochę się ogrzało, zaczęła się rozbierać, by wreszcie wziąć ten gorący prysznic, którego tak potrzebowała. Jak na zawołanie zadzwoniła jej komórka.

To mało prawdopodobne, żeby telefonował znowu jakiś dziennikarz. Chociaż tyle. Ale jeśli dzwonił ktoś z rodziny, oznaczało to, że wyskoczyło coś nowego, czym będzie musiała się zająć.

- Gdzie ty jesteś? - zapytał z irytacją Cahill. - W recepcji powiedzieli, że się wymeldowałaś.

- Niech ich Bóg błogosławi - odparła z głęboką wdzięcznością. - Jakiś reporter zadzwonił do mojego pokoju, przeniosłam się więc do innego i zameldowałam pod zmyślnym nazwiskiem.

- I dobrze. Jesteś już po kolacji?

- Jadłam coś dzisiaj, jeśli o to pytasz.

- Nie. Pytam konkretnie o kolację.

- Nie jestem po kolacji, ale wołami nie wyciągniesz mnie z tego pokoju. Zabrałam na zakupy trzy panie z rodziny. Bola mnie nogi, jestem zmarznięta i chcę wziąć gorący prysznic. Kropka.

- Biedactwo - powiedział, i była pewna, że się uśmiecha. - W którym pokoju jesteś?

- Nie powiem ci. Nie chcę towarzystwa.

- Robię świetny masaż stóp.

Na myśl o masażu stóp niemal jęknęła. Miała jednak dość przytomności umysłu, by powiedzieć:

- Następnym razem. Jestem wykończona, a przebywanie w twoim towarzystwie wymaga mnóstwa energii. Dziś się na to nie piszę.

- To chyba najlepsze „spadaj”, jakie kiedykolwiek usłyszałem. Dobrze, zobaczymy się jutro. Śpij dobrze.

- Jutro? - Jutro sobota. A w sobotę musi... nic nie musiała. Ta myśl wydawała jej się tak dziwna, że Sara nie wiedziała, co z nią począć. W soboty zawsze miała mnóstwo zajęć. Jeśli swoje wolne popołudnie brała w sobotę, to ranki spędzała na organizowaniu dnia sędziemu i pilnowaniu wszystkiego, co było do dopilnowania. Jeśli nie brała wolnego w sobotę, to dlatego, że działo się coś, co wymagało jej nadzoru. W soboty zawsze była bardzo zajęta.

- Ja jutro pracuję - powiedział Cahill. - Muszę sprawdzić parę rzeczy. Ale zobaczymy się wieczorem w domu pogrzebowym.

To powinno być wystarczająco bezpieczne.

- Kiedy będziemy mogli wejść do domu?

- Być może w niedzielę. Zdaje się, że już załatwiliśmy tam wszystko, co trzeba.

- Dasz mi znać wcześniej? Chcę załatwić sprzątnię biblioteki, zanim rodzina ją zobaczy.

- Oczywiście - odparł łagodnie, i nim się rozłączył, powtórzył: - Śpij dobrze.

W dzień pogrzebu nie padało, ale było zimno i wiatr przenikał przez marynarki. Sara pomyślała, że to pewnie ostatnie słowo mijającej pory roku - tak zwana jagodowa zima, czyli fala chłodu, która przychodziła zawsze zaraz po tym, jak zakwitły krzaki czarnych jagód. I rzeczywiście, prognozy zwiastowały błyskawiczne ocieplenie. W poniedziałek temperatura miała przekroczyć piętnaście stopni, we wtorek sięgnąć dwudziestu czterech. Pod koniec tygodnia prognozy przewidywały już niemal trzydziestostopniowy upał.

Ulegając prośbom rodziny, usiadła z nimi w kościele. Cahill siedział gdzieś za nią przywitał się po przyjściu, dotknął przelotnie jej dłoni, a potem wycofał się na obrzeża, by obserwować. Nie była pewna, co właściwie chciał wypatrzeć, ale żaden szczegół nie umykał jego uwagi.

W duchu pożegnała się z sędzią. Niemal czuła jego duszę unoszącą się gdzieś w pobliżu, być może również żegnającą się z najbliższymi. Wargi jej zdrzętały na wspomnienie wszystkich zabawnych rzeczy, które mówił, błysku w jego oczach, radości, jaką czerpał z życia. Sara czuła się tak, jakby straciła dziadka, i wiedziała, że w jej sercu, w jej życiu zawsze pozostanie małe, puste miejsce, które tylko on potrafił wypełnić.

Kościół pękał w szwach. Starzy przyjaciele sędziego byli zdruzgotani stratą i wszyscy wydawali się bardziej wąтли, bardziej bezbronni niż kilka dni temu, jakby i z nich uleciała część ducha. Powietrze było ciężkie od zapachu kwiatów - róż, goździków i chryzantem oraz cieplarnianych gardenii z ich dręcząco słodkim aromatem. W Birmingham pozostało chyba niewiele kwiatów, dumiała Sara, patrząc na ogromną ścianę wiązanek przyniesionych przez uczestników ceremonii, piętrzącą się za trumną.

Pogrzeby na Południu były ckliwe, podporządkowane ceremoniałowi i tradycji. Ponieważ Sędzia był weteranem wojennym, sekcja Stowarzyszenia Weteranów, do której należał, zaciągnęła wartę honorową. Gdy kondukt pogrzebowy jechał na cmentarz, ruch samochodowy zatrzymywał się, większość ludzi spoglądała ze współczuciem i zjeżdżała z drogi, jeśli to było możliwe. Policyjne wozy blokowały skrzyżowania, by kondukt mógł przejechać bez przeszkód, Sarę zawsze bawiła ta pogrzebowa etykieta na drogach, ale dziś, gdy sama jechała w kondukcje, była wdzięczna wszystkim za te względy.

Nad grobem odprawiono dodatkowo krótkie nabożeństwo, potem rodzina odsunęła się i grabarze zabrali się do swojej ponurej roboty. Gdy grób został zasypany i pokryty górą kwiatów, Barbara i Blair wybrały sobie dwie idealne róże z jednej z wiązanek, na pamiątkę. Randall i Jon zrobili niepewne miny, jakby i oni chcieli wziąć sobie po róży, ale byli mężczyznami, stali więc z tyłu, nie przyznając się do takiego sentymentalizmu. Za to ich żony, wymieniwszy spojrzenia z Barbarą, też wybrały sobie kwiat.

Zwykle po pogrzebie odbywała się stypa w domu zmarłego. Ale ponieważ dom sędziego wciąż był niedostępny - a poza tym przyjmowanie gości w domu, gdzie został zamordowany i tak wydawało się nie na miejscu - jeden z przyjaciół oferował im gościnę u siebie. Większość żałobników obecnych na cmentarzu ruszyła gremialnie na poczęstunek i wspominki, ale Sara wymknęła się do swojej terenówki. W tłumie było kilku reporterów i chciała zniknąć im z oczu, zanim zdążą ją przyszpilić.

Cahill dogonił ją, gdy już wsiadła za kierownicę.

- Możesz umawiać sprzątaczy - powiedział. - A ja przetrzymam rodzinę do jutra i dam ci czas na załatwienie wszystkiego.

- Dzięki. - Teraz, kiedy było już po pogrzebie, czuła się kompletnie zagubiona. Nie miała już nic do zrobienia poza zorganizowaniem sprzątnia. - Czy mogę zabrać trochę moich rzeczy? - Przede wszystkim chodziło jej o laptopa, by zacząć aktualizować CV.

Cahill zrobił zaskoczoną minę.

- Możesz tam mieszkać, jeśli chcesz. Zadrżała na tę myśl.

- Nie teraz. Dopóki biblioteka nie zostanie posprzątana. Kiwnął ze zrozumieniem głową i dał jej wizytówkę.

- Ta firma specjalizuje się w usuwaniu trudnych plam. - Czyli krwi i mózgu.

Spojrzała na nazwę.

- Dziękuję. Zadzwoń do nich z samego rana.

- Możesz zadzwonić teraz. Ten drugi telefon to domowy numer tego gościa. Są przygotowani na nagłe wypadki.

To nie mogła być fajna praca - sprzątanie po morderstwach. Z drugiej jednak strony, ktoś musiał to robić, a w takich przypadkach najlepiej było powierzyć takie zadanie profesjonalistom. Sara wiedziała, że sama nie dałaby rady zmierzyć się z podobną robotą, choć przeszkolono ją w usuwaniu wszelkiego rodzaju plam.

- Poradzisz sobie? - zapytał Cahill, swoimi przejrzystymi, niebieskimi oczami przyglądając się uważnie jej zmęczonej twarzy. Przesunął się tak, że zastawił sobą otwarte drzwi, dając im iluzję prywatności. - Mam kilka rzeczy do zrobienia, ale jeśli potrzebujesz towarzystwa, to...

- Nie. - Dotknęła jego dłoni, ale szybko cofnęła rękę, bo ten krótki dotyk był zbyt wielką pokusą. - Dzięki, ale dam sobie radę. Ja też mam parę spraw do załatwienia.

- Zadzwoń jutro. - Przechylił się do wnętrza terenówki i pocałował ją w policzek. - Nie wyłączaj komórki, żebym nie musiał cię ścigać.

- Zamierzasz mnie aresztować?

- Ciągle jeszcze mamy do przedyskutowania kilka problemów, musimy podjąć parę decyzji. Jeśli będę musiał, to cię przymknę. - Odszedł, a ona patrzyła na jego szerokie plecy, czując lekkie dreszcze przebiegające po kręgosłupie.

Jeśli zamierzała uciekać, musiała to zrobić szybko. Bardzo szybko.

Rozdział 13

Cahill nie cierpiał oglądać taśm z kamer nadzoru, które wszystko nagrywały pod dziwnym kątem. Nagrania te miały kiepską jakość i przeważnie były nudne. Ale czasem okazywały się nieocenione, jeśli coś godnego uwagi działo się w zasięgu kamery. Na razie jednak nie znalazł nic ciekawego.

Automaty telefoniczne w Galerii były rozmieszczone po całym centrum; niektóre przy wyjściach z poszczególnych poziomów parkingu, niektóre obok ruchomych schodów. Ten, z którego zadzwoniono do sędziego Roberta, znajdował się niedaleko jednego ciągu ruchomych schodów. Gdyby bogowie byli po stronie Cahilla, w Galerii znajdowałyby się kamery wycelowane w wielką główną halę - ale niestety nie miał tyle szczęścia. Musiał się zadowolić sklepami w pobliżu tej konkretnej budki. Tylko kamery przemysłowe ustawione

na wejścia do sklepów mogły ewentualnie wyłapać przechodniów przy automacie.

Większość taśm nadawała się do wyrzucenia. Kąt był nieodpowiedni, a jedna z kamer okazała się uszkodzona i nie nagrała nic od kilku tygodni, co powiedziało Cahillowi, jak często ją sprawdzano. Zwykle taśmy nagrywały się w kółko; jeśli nie dotarło się do nich, zanim taśma się skończyła, system zaczynał nagrywać od początku kasety. Jeśli czekało się za długo, całe nagranie z interesującego dnia było stracone.

Na szczęście nagrania zawierały czas i datę. Cahill znał dokładny czas telefonu do sędziego Robertsa, nie musiał więc oglądać całego nagrania. Uwzględniając niedokładność zegarów, zaczynał piętnaście minut przed docelowym czasem i kończył piętnaście minut po nim. Dawało to pół godziny z każdej taśmy, podczas którego trzeba było wyłowić ludzi mijających wejście do sklepu, a potem porównać ich z następnym nagraniem, i następnym. W końcu się opłaciło: mężczyzna w jasnym garniturze korzystał z tego konkretnego automatu, a czas oznaczony w nagraniu zgadzał się z dokładnością do dwóch minut z godziną połączenia, jaką podała mu kompania telefoniczna. Cahill oglądał dalej i przekonał się, że nikt inny nie używał tego telefonu przez co najmniej pięć minut. Następnie dzwoniła młoda dziewczyna w workowatych dżinsach i ogromnych, ciężkich buciorach.

Bingo. Mężczyzna w jasnym garniturze był najbardziej prawdopodobnym podejrzanym.

To dobra wiadomość. Ale niestety kamerę ustawiono pod fatalnym kątem i pokazywała jedynie dolne dwie trzecie ciała.

Wrócił więc do pozostałych nagrań, próbując rozpoznać człowieka w jasnym garniturze, mijającego sklepy w drodze do telefonu.

Nareszcie znalazł ujęcie, zamazane, z odwróconą twarzą, ale już miał cokolwiek. Może kiedy obraz zostanie poprawiony komputerowo, uda się

dostrzec coś, co doprowadzi ich do tego faceta. Może rozpozna go Sara albo ktoś z rodziny.

- Saro, proszę, zostań - powiedziała Barbara, pochylając się do przodu, by ująć jej dłonie. Kobiety siedziały w salonie apartamentu, o dziwo, same. - Dom trzeba zamknąć i sprzedać, a nikt z nas nie ma w tej chwili czasu. Omawialiśmy to, i wszyscy jesteśmy zajęci. Trzeba załatwić tyle prawnych spraw, Blair jeszcze ma szkołę, wnuczka Randalla ma przejść operację serca... potrzebujemy cię. Twoja pensja będzie taka sama. Sara uścisnęła dłonie Barbary.

- Oczywiście, że zostanę. Nie musisz mnie namawiać. Zostanę tak długo, jak długo będziecie mnie potrzebowali.

- Niebo cię zesłało, nawet nie masz pojęcia. Gdyby ciebie tu nie było, chyba bym sobie nie poradziła. - Barbara miała twarz ściągniętą smutkiem, ale oczy pozostały suche.

- Czy orientujesz się, jak długo...

- Przynajmniej miesiąc, może dłużej. Musimy uporządkować jego sprawy, trzeba będzie spakować jego rzeczy osobiste, wstawić meble do przechowalni. Nie chcemy, żeby dom stał pusty, dopóki się nie sprzeda. Domy strasznie szybko niszczeją, kiedy nikt w nich nie mieszka. Może uda się sprzedać go od razu, ale to nie jest powiedziane.

Dom w Briarwood, w dzielnicy starych fortun? Niektórzy ludzie zapewne nie zechcą kupić domu, w którym miało miejsce morderstwo, ale lokalizacja i sam dom są doskonałe. Sara byłaby zaskoczona, gdyby pozostał na rynku nieruchomości przez cały miesiąc. Dla niej była to idealna sytuacja przejściowa. Co prawda i tak mogła sobie pozwolić na spokojne szukanie nowej posady i poświęcić na to trochę czasu, ale w ten sposób nie musiała sięgać do oszczędności. I nie musiała się pakować w pośpiechu. Zamiast gwałtownie zmieniać całe swoje życie mogła powoli wdrożyć się do nowej pracy, nowych obowiązków, przyzwyczać się do nowego mieszkania.

- Domyślam się, że chcesz, by teren wokół domu był utrzymany jak dotąd, i żeby sprzątacze przychodzili regularnie.

- Och, oczywiście. O wiele łatwiej znaleźć kupca, jeśli dom jest zadbane. Tak ciężko mi myśleć o jego sprzedaży - powiedziała Barbara łamiącym się głosem. - Tato mieszkał w nim prawie pięćdziesiąt lat. Ja się w nim wychowałam. To wspaniały stary dom, pełen wspomnień, i tato dobrze o niego dbał. Wiesz, że mama go zaprojektowała? To był dom jej marzeń.

- Czy nie ma możliwości, byście zatrzymali go w rodzinie?

- Nie sądzę. Żadne z nas nie chce tu wracać, i oczywiście podatki od nieruchomości są koszarne, nawet podzielone na troje. Trzeba sprzedać dom, by je opłacić. Żadnego z nas nie stać na zatrzymanie domu i płacenie takiej dodatkowej kwoty. Wiem, że tacie podobałoby się, gdyby któreś z nas go zatrzymało, ale tak, jak sprawy wyglądają teraz... - Wzruszyła ramionami i zmieniła temat. - Kiedy policja wpuści nas jutro do domu, chcemy z Jonem i Randallem wybrać sobie kilka pamiątek. Tato oczywiście zostawił instrukcje w sprawie najważniejszych rzeczy, ale jest kilka drobiazgów, które chcielibyśmy zatrzymać. Randall i Jon mogą je zabrać ze sobą do domu, skoro przyjechali samochodami, ale czy mogłabyś spakować moje i mi je wysłać?

Sara wyjęła mały notes, który zawsze nosiła w torebce, i zapisała to sobie.

- Chcesz, żebym zorganizowała jutro jakiś posiłek w domu? Leona z przyjemnością przygotowuje, co tylko zechcecie.

Barbara zawahała się, ale w końcu pokręciła głową.

- Nie wiem, o której dokładnie się zjawimy ani jak dużo czasu zajmie nam przejrzenie rzeczy. Nie wiem nawet, kto z nas przyjdzie.

- Mogę coś zorganizować - powiedziała Sara. - Choćby dużą wazę zupy i kanapki.

- Byłoby wspaniale. Albo możemy wszyscy pójść do Milo. Shaw zaczyna marudzić, bo jeszcze nie jadł hamburgera.

Sara poczuła lekki dreszcz na wzmiankę o Milo. Może kiedyś przestanie kojarzyć pocałunki Cahilla z hamburgerami, ale w tej chwili jedno i drugie ściśle łączyło się w jej umyśle. Sama poczuła nagle nieodpartą ochotę na hamburgera.

Pozostanie w Mountain Brook oznaczało, że będzie się widywać z Cahillem. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, ale ta myśl ją podnieciła.

Barbara nie wiedziała o tym, że w tej chwili w domu pracowała ekipa sprzątaczy. Cena sprzątania w niedzielny wieczór była wyższa niż w tygodniu, ale Sara uznała, że warto zapłacić, by rodzina sędziego mogła wejść do domu jutro tak wcześnie, jak to możliwe, ponieważ Barbara i jej gromadka późnym popołudniem mieli samolot do Dallas. Sara zamierzała po wyjściu z hotelu pojechać do domu i sprawdzić, czy sprzątanie wykonano jak należy, ale potem, na noc, chciała wrócić do zajazdu. Choć jej mieszkanie miało całkowicie oddzielne wejście, nie czuła się jeszcze gotowa siedzieć tam sama. Pomyślała, że powrót nie będzie łatwy.

I nie był. Kiedy wieczorem dotarła do domu, sprzątacze już odjechali. Zmusiła się, by wejść do środka, przejść korytarzem i zajrzeć do biblioteki. Tuż przed drzwiami dopadło ją potężne de ja vu. Znieruchomiała. Czy kiedy zajrzy do środka, zobaczy sędziego siedzącego w fotelu, a jego krew i mózg będą rozprysnięte na ścianie i podłodze? Czy wciąż unosi się tam ten zapach?

Nie, zapach zniknął. Przecież wyczułaby go stąd. Ten smród był wszechobecny, wisiał w korytarzu, docierał do pokoju śniadaniowego, nawet do kuchni. Teraz jednak czuła wyłącznie zapach jakiegoś cytrusowego środka do czyszczenia.

Sara zebrała się w sobie i weszła do biblioteki. Sprzątacze spisali się jak należy: wyczyścili ścianę i wykładzinę podłogową w całym pokoju, tak by nikt nie mógł się zorientować po czystym miejscu, gdzie została usunięta plama. Fotel zniknął; nie miała pojęcia, gdzie się podział. Może zabrała go policja, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, do czego mógłby im być potrzebny. A może ekipa

sprzątająca usunęła go, bo nie dało się pozbyć nieprzyjemnego zapachu ze skóry.

Postanowiła, że jutro zapyta o fotel; może stał w garażu, ale dziś nie miała zamiaru go szukać. Powoli wycofała się z pokoju, gasząc światło i zamykając drzwi. Nie sądziła, by miała jeszcze kiedykolwiek tu wejść, z jakiegokolwiek powodu.

Od środy nie wyjmowała poczty ze skrzynki, ale ktoś - pewnie Ca-hill - przyniósł ją do domu i położył na kuchennej wyspie. Na pewno ją przejrzał, by sprawdzić, czy nie ma nic podejrzanego -jakiejś przesyłki, której trzeba by się bliżej przyjrzeć. Sara przejrzała stosik; jeśli było w nim coś niezwykłego, Cahill pewnie to zabrał, bo ona zobaczyła tylko zwykłe rachunki, katalogi i czasopisma.

Zostawiła pocztę w kuchni i poszła na górę, do swojego mieszkania. Wszystko było nie na miejscu; ktoś przeszukał tu każdy centymetr, chyba więc powinna być wdzięczna za panujący tu mimo wszystko względny porządek. Przynajmniej nie wywalili i nie zostawili na podłodze zawartości szuflad. Poprawiła książki w biblioteczce, wyrównała stosik czasopism, przesunęła na miejsce doniczki z kwiatkami i wazon, wyrównała kilka zdjęć w ramkach.

Jej łóżko w sypialni było rozebrane z pościeli. Zebrała porzucone prześcieradła i powłoczki, by włożyć je do prania, a potem przeszła do łazienki i zaczęła ją systematycznie porządkować. Nie mogła odtworzyć swojego dawnego życia, ale mogła zrekonstruować przynajmniej swoje najbliższe otoczenie.

Wyjęła świeże ręczniki i poustawiała swoje kosmetyki tak, jak lubiła.

Wróciwszy do sypialni, pościeliła łóżko, a potem otworzyła dwuskrzydłową szafę i zaczęła przewieszać ubrania, układając je tak, by to, co nosiła najczęściej, było pod ręką. Jej buty leżały na kupie, kompletnie pomieszane. Wyciągnęła je więc z szafy, a potem usiadła na podłodze i zaczęła dobierać parami i odstawiać do szafy w schludnych rzędach.

Była naprawdę wściekła, że ktoś przegrzebał jej szufladę z bielizną. Miała lekkiego świra na punkcie bielizny, z powodu swoich braci, którzy uwielbiali się z nią drażnić, chowając jej majtki czy staniki, lub przywiązując je do rozwidlonego patyka, by zrobić procę. Życie ze starszymi braćmi było ciężką próbą. Żałowała teraz, że nie ma nagrania Noela z jej pierwszymi koronkowymi figami zatkniętymi na głowie; z rozkoszą pokazałaby je wszystkim jego kumplom z wojska. Jennifer bracia nigdy tak nie traktowali, ale też ona co najwyżej by się poryczała, a to żadna frajda. Sara zaś ganiała ich z furią w oczach i śmiercią w sercu; gdyby ich kiedykolwiek złapała, połałaby się krew.

Przez wiele lat była zmuszona chować swoją bieliznę, upychać ją w najmniej prawdopodobnych miejscach, by Daniel i Noel nie mogli jej znaleźć. A kiedy wynieśli się z domu, rozkoszowała się możliwością posiadania prawdziwej bieliźniarki. Zawsze starannie składała każdą sztukę, a koronkowe, seksowne fatalaszki chowała w osobnej szufladzie. Nie segregowała według kolorów - nie była aż tak szurnięta - ale naprawdę się zirytowała, widząc, że schludnie ułożone stosiki zostały rozrzucone i pomieszane.

Zapewne Cahill sam zrewidował jej bieliźniarkę. Wyglądał na typka, któremu coś takiego sprawiłoby przyjemność. Już widziała, jak trzyma w uniesionej ręce parę czarnych, koronkowych...

O tak, widziała go wyraźnie. Ogarnęła ją fala gorąca. Zrozumiała, że ma prawdziwy kłopot, skoro myśl o nim, grzebiącym w jej bieliźnie, podniecała ją zamiast złościć.

Może powinna zapomnieć o ostrożności i pójść na całość. Nigdy wcześniej nie angażowała się w związek, ale może Cahill był kimś, kogo mogłaby naprawdę pokochać. Może między nimi zaistniałoby coś prawdziwego i trwałego, a ona ryzykowała utratę tego czegoś, bo nie potrafiła przestać słuchać rozumu, zamiast posłuchać serca. Owszem, dopiero przeszedł przez burzliwy rozwód - rok to zbyt mało czasu, by się pozbierać emocjonalnie, sam to przyznał. I owszem, wszystko wskazywało na to, że w tej chwili wiązanie się

z nim było ryzykowne. Ale czasami człowiek miewał farta i wygrywał wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu.

Tak naprawdę pytanie brzmiało inaczej: czy ona będzie miała dość odwagi, by dać z siebie wszystko i przestać się hamować? Zawsze używała swojego planu jako wymówki, aby się wycofać, zanim związek tak naprawdę miał szansę się rozwinąć; i nie był to tylko wydumany pretekst, bo ona naprawdę chciała zrealizować plan. Istniał jednak i drugi powód: Sara uważała, że kochanie kogoś oznaczało w jakiejś mierze zrzeczenie się kontroli nad własnym życiem, a ona zawsze ceniła sobie tę kontrolę bardziej niż jakiegokolwiek faceta, z którym się spotykała.

Gdyby zaangażowała się w związek z Cahillem, owszem, mogła kiedyś odejść od niego, ale odeszłaby z poharatanym sercem. On mógł jej zrobić krzywdę. Przypuszczała, że potrafiłaby go kochać tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochała, gdyby tylko pozwoliła mu się zbliżyć.

Niezależnie od tego, jaką podejmie decyzję, naraża się na ryzyko - i to niemałe. Mogła zaryzykować, że albo go pokocha i utraci, albo że ominie ją miłość życia tylko dlatego, że się boi.

A Sara nie chciała uważać się za tchórza - w jakiegokolwiek dziedzinie życia.

- Rozpoznajecie państwo tego człowieka? — zapytał Cahill następnego ranka, wytrząsając niewyraźną fotografię z dużej koperty na stół w pokoju śniadaniowym. Zdjęcie zostało obrobione i powiększone, ale wciąż było do niczego. Nic innego jednak nie miał.

Sara spojrzała na zdjęcie i stanowczo pokręciła głową. Randall, Barbara i Jon stłoczyli się wokół fotografii i też ją obejrzel.

- Nie wydaje mi się - powiedział niepewnie Randall. - Trudno powiedzieć, nie widząc twarzy. Ale z nikim mi się nie kojarzy. Czemu pan pyta?

- To on ostatni dzwonił do waszego ojca, z automatu telefonicznego w Galerii.

Barbara odskoczyła do tyłu, jak ukąszona przez żmiję.

- Chce pan powiedzieć, że to może być morderca?

- Nie mogę robić takiego założenia - odparł ostrożnie Cahill.

- Chciałbym, ale nie mogę. Ale państwa ojciec mógł powiedzieć temu mężczyźnie coś o spodziewanym gościu, albo o jakimś innym szczególe, który mógłby okazać się pomocny. W każdym razie chciałbym pogadać z tym człowiekiem.

Wszyscy znów zapatrzyli się w zdjęcie, jakby skupienie miało siłą wydobyć z ich umysłów ulotne wspomnienie. Mężczyzna na fotografii był zadbany, miał jasny garnitur i schludne, jasne włosy, blond albo siwe. Głowę odwrócił, tak że kamera uchwyciła jedynie linię jego szczęki i kości policzkowej z lewej strony. Jeśli nie znało się go dobrze, rozpoznanie go na tym zdjęciu było niemożliwe.

Sara podała Cahillovi kubek kawy i pochyliła głowę, by jeszcze raz spojrzeć na fotografię.

- On ma na sobie garnitur - zauważyła. - W zeszłą środę było ciepło. Randall i Jon unieśli głowy, zaintrygowani.

- Było za ciepło na marynarkę - powiedział Jon - chyba że nosi się garnitur do pracy.

Barbara zrobiła zdezorientowaną minę.

- I co z tego?

- To, że pracuje za biurkiem. - wyjaśnił Cahill. - I jest człowiekiem kulturalnym, wykształconym.

Barbara westchnęła.

- Wszyscy znajomi taty są wykształceni i pracują za biurkiem.

- Pracowali - sprostowała Sara. - Ten człowiek nie jest emerytem.

- Jest więc młodszy od taty, ale to i tak oczywiste, kiedy się spojrzy na zdjęcie. Chyba że zrobił sobie lifting. - Barbara wskazała palcem gładką linię policzka.

- Zbierzcie państwo to, co wiecie - zachęcił Cahill. - Młodszy od ojca, powiedzmy około pięćdziesiątki, pracuje głową. Włosy są prawdopodobnie siwe, albo siwiejący blond. Jest w dobrej formie, zadbany. Sądzę, że ma około metra osiemdziesięciu. Nikt państwu nie przychodzi na myśl?

Wszyscy troje z żalem pokręcili głowami.

- Cóż, jeśli państwo na coś wpadną, proszę dać mi znać. - Cahill schował zdjęcie do koperty. - Proszę się nie skupiać na najbliższych przyjaciółach, ale myśleć raczej o kimś, kogo znał przelotnie.

- Sara bardziej panu pomoże w tej sprawie niż ktokolwiek z nas

- powiedział Jon. - Wszyscy od wielu lat mieszkamy gdzie indziej, nie znamy więc żadnych jego nowych znajomych. - Skrzywił się z goryczą.

- Mówiąc „nowych”, mam na myśli co najmniej ostatnich dziesięć lat.

- Dłużej. - Barbara westchnęła. - Dwight i ja wyprowadziliśmy się do Dallas, zanim urodził się Shaw, a on ma już dziewiętnaście lat. Przyjmijmy więc dwadzieścia lat. Obawiam się, że panu nie pomożemy, detektywie. Cała pańska nadzieja w Sarze.

Wszyscy spojrzeli na Sarę, która pokręciła głową.

- On znał tylu ludzi. Wiecznie się komuś kłaniał na ulicy, a potem mówił, że nie pamięta nazwiska, ale ten ktoś pracował z takim a takim. Właściwie nie mówił wiele o nikim, poza najbliższym kręgiem przyjaciół.

- Jeśli zatem ten gość - Cahill postukał w kopertę - nie zadzwoni znowu, jesteśmy w ślepej uliczce.

- Obawiam się, że tak, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Może rozpozna go ktoś z sąsiadów, albo niech pan spróbuje pogadać z przyjaciółmi sędziego. Oni byli bardzo życzliwi.

- Tak zrobię. - odparł Cahill. - Muszę wracać do pracy, ale gdybym mógł jeszcze coś dla państwa zrobić, proszę mówić.

Barbara uśmiechnęła się do niego smutno i łagodnie.

- Właśnie pakujemy zdjęcia i osobiste drobiazgi, które chcemy zatrzymać. Dziękuję za wszystko, co pan zrobił, i za pańskie rady. Wiem, że stanie pan na głowie, żeby znaleźć zabójcę taty.

- Tak proszę pani, postaram się. - Spojrzał na Sarę. - Zechce mnie pani odprowadzić do samochodu, pani Stevens?

Było cieplej niż wczoraj, ale wciąż dość chłodno, w drodze do drzwi Sara wzięła więc zakiet. Słońce świeciło jasno, podkreślając świeże, wiosenne kolory - róż azalii, delikatną zieleń młodych liści, róż i biel dereni. Sara zmrużyła oczy od blasku i uniosła rękę, by je osłonić.

- O co chodzi, detektywie Cahill?

- Właściwie o nic, chciałem tylko spędzić z tobą minutę sam na sam. Jakie masz teraz plany? Oni sprzedają dom, tak? Co będziesz robiła?

- Na razie zostaję tutaj. Oni wszyscy muszą wyjechać dziś po południu, ja zajmę się więc pakowaniem i przygotowaniem domu do sprzedaży.

- Zostajesz tutaj? W tym domu?

- Lepiej wszystkiego dopilnuję tu, na miejscu.

- Nie przeraża cię, że będziesz tu sama?

- Przeraża mnie, że sędzia nie żyje. Gdy wchodzę do biblioteki, też ogarnia mnie przerażenie, bo wciąż widzę tam jego ciało, i czuję... różne zapachy. Ale nie boję się zostać tu sama. Myślę, że to, co się stało, było wymierzone właśnie w niego, choć nie mam pojęcia, dlaczego. Ja nie jestem więc w niebezpieczeństwie. - Umilkła, widząc wyraz jego kamiennej twarzy. - A jestem? Czy czegoś mi nie powiedziałeś?

- Nie, nic. Myślę, że jesteś bezpieczna. Tyle tylko, że masz więcej ikry niż większość znanych mi osób. Wielu facetów nie chciałoby tu siedzieć samotnie.

- A kto twierdzi, że faceci mają więcej ikry niż kobiety?

Roześmiał się, słysząc jej wyzywający ton.

- Nikt. Faceci po prostu mają tendencję do robienia głupot z powodu dumy. A teraz, skoro już przyznałem, że wszyscy jesteśmy idiotami, zjesz ze mną dziś kolację?

- Co? Mam iść na randkę z idiotą?

- Pomyśl o rozrywkowym aspekcie tej sytuacji.

- Masz trochę racji. - Uśmiechnęła się do niego. - Więc bardzo chętnie. O której, i dokąd idziemy?

- O wpół do siódmej, i idziemy w jakieś niezobowiązujące miejsce, jeśli ci to nie przeszkadza.

- Niezobowiązujące brzmi świetnie. Mrugnął do niej, wsiadając do samochodu.

- Do zobaczenia o wpół do siódmej.

Było jej lżej na sercu, kiedy wróciła do domu. Wciąż opłakiwała sędziego, ale życie szło naprzód; najbardziej w komunałach drażniło ją to, że zwykle były prawdziwe. Straszliwy ból i smutek zelżał, a ona patrzyła już naprzód, koncentrując się na przyszłości. Miała wiele zadań do wykonania, sprawy do pozalutowania. Musiała znaleźć pracę.

Ale na razie czekała ją randka z Cahillem.

Rozdział 14

Nigdy nie zgadniesz - powiedziała Sara zamiast powitania, kiedy tego wieczoru otworzyła mu drzwi - co przyszło dzisiaj pocztą. Cahill zeszywniał.

- Kolejny prezent?

- Chyba coś gorszego - burknęła. - Dwie oferty pracy. Jego ciemne, proste brwi ściągnęły się w jedną linię.

- A to źle, bo?

- Na pieczętkach jest sobotnia data. Ci ludzie musieli je napisać prawie natychmiast po tym, kiedy dowiedzieli się o śmierci sędziego.

- Powtarzam: co w tym złego? Zerknęła na niego niecierpliwie.

- Sępy. Zupełnie jak ci, którzy czytają nekrologi i dzwonią do wdowy albo wdowca, żeby się umówić na randkę zaraz po pogrzebie.

- Ja myślę, że to rozsądne, jeśli chcą cię zatrudnić. Wysyłają ofertę pierwsi, w nadziei, że ją przyjmiesz, zanim nadejdą kolejne.

- Za późno, bo już jedną dostałam dwa tygodnie temu, zaraz po emisji tego reportażu.

- Ale oni o tym nie wiedzieli. Ja bym zrobił tak samo - stwierdził rozsądnie. - Widzę ciebie, chcę cię mieć, robię pierwszy krok i staram się uprzedzić wszystkich innych, którzy myślą o tym samym.

Prychnęła, wkładając żakiet.

- Doprawdy kiepskie porównanie, Cahill. Ty mnie zobaczyłeś i zwiąłeś.

- A nie dostanę skautowskiej sprawności za to, że zdobyłem się na odwagę, by wrócić?

- Nie. Ja nie oceniam ludzi w systemie punktowym.

- Chyba będę więc musiał uciec się do fizycznej perswazji. - Chwycił ją za poły żakietu i przyciągnął do siebie. Sara uniosła ku niemu głowę i kiedy jego wargi dotknęły jej ust, poczuła, jak bardzo pragnęła tego pocałunku, jak chciała znaleźć się w jego objęciach. Ich języki rozpoczęły powolną potyczkę, ślizgając się, sondując, splatając. Ani Cahillowi, ani jej nigdzie się nie spieszyło.

Przestał całować ją na chwilę, by wymruczeć:

- Czy perswazja skutkuje?

- Jeszcze nie. Próbuj dalej. Uśmiechnął się i oparł czoło o jej czoło.

- Nie chcę przekroczyć uprawnień. Wyznacz mi jakieś granice. Jeśli zrobię się niegrzeczny i stracę kontrolę, to w jakim momencie dasz mi po gębie? Chodzi o to, żebym się zatrzymał tuż przed tym punktem.

Sara uniosła brwi.

- Ja nie biję po gębie; ja kopię w tyłek.

- Rany. To brzmi interesująco. W spodniach czy bez? Ukryła twarz w jego marynarce, chichocząc.

- Powinnam zgadnąć, że jesteś zboczony.

- Cóż, chłopaki też lubią się zabawić. - Jego duża, ciepła dłoń przesuwała się w górę i w dół po plecach Sary niespokojnym ruchem, który powiedział jej, że ten facet nie lubi się hamować, ale robi to mimo wszystko. - A jeśli się nie dogadamy, może się okazać, że naprawdę skopiesz mi tyłek. Nigdy nie wiedziałem, kiedy należy się zatrzymać.

Sara miała inne zdanie na ten temat, uważała, że flirtowanie opanował do perfekcji - a przynajmniej z nią flirtuje po mistrzowsku.

Bardzo jasno dał jej do zrozumienia, że jest zainteresowany, ale nie naciskał na początku zanadto. Sara była oczarowana jego ciętym dowcipem - bardziej oczarowana, niż chciała dać mu poznać. Pomyślała, że gdyby spróbował szczęścia, mogła od razu wylądować z nim w łóżku, i bardzo doceniała to, że się powstrzymywał, bo przypuszczała, że dokładnie wiedział, do jakiego stopnia ją oczarował. Cahill był naprawdę bystry.

- Czy któraś z tych ofert pracy jest interesująca? - zapytał, otwierając jej drzwiczki swojego pikapa.

- Nie, w obydwu chcą, żebym zaczęła natychmiast, a to nie wchodzi w grę. Zostanę tutaj jeszcze przynajmniej przez miesiąc. Kiedy dom będzie gotowy do sprzedaży, wątpię, by rodzina chciała mi płacić za siedzenie tutaj na czterech literach, nie sądzę więc, by to potrwało wiele dłużej, ale w ciągu tych czterech tygodni nie mogę podjąć nowej pracy.

- Nie sądzisz, że te posady jeszcze będą wolne? Przecież kamerdynerzy nie włóczą się stadami po okolicy.

Wzruszyła ramionami.

- Może będą, a może nie. Myślę, że ci ludzie chcieli mnie zatrudnić z powodu tak zwanego czynnika sławy, a mnie się to nie podoba.

- Skoro jesteś też wyszkolonym ochroniarzem, będziesz brała pod uwagę wyłącznie posady z takim dodatkowym zakresem obowiązków?

- Byłoby miło - odparła kwaśno. - Pensja jest o wiele wyższa. Ale w grę wchodzi wiele czynników. Na przykład, czy rodzina mi się podoba. Albo ile dostanę ofert dla kamerdynera-ochroniarza, albo w której części kraju byłaby ta posada.

- Nie lubisz jakichś części kraju?

- Nie o to chodzi. Jestem z wojskowej rodziny, mogę mieszkać gdziekolwiek, przyzwyczaiałam się do tego. Ale moi rodzice i siostra mieszkają na Florydzie, i chciałabym, żeby odwiedzanie ich nie sprawiało mi zbyt wiele kłopotu.

- Jesteś zżyta z rodziną?

- Dużo rozmawiamy przez telefon. Nie widuję ich tak często, jakbym chciała, może trzy, cztery razy w roku, ale lubimy być ze sobą. Obaj moi bracia są w wojsku i jeżdżą po całym świecie, ale i tak udaje nam się do siebie dzwonić. A jak jest u ciebie?

- No cóż, moja rodzina pochodzi z tych stron, mam więc ciotki, wujków i kuzynów w całej środkowej Alabamie. Moja siostra, DeeDee, mieszka na Riwierze dla ubogich... to znaczy nad Zatoką, dla niewtajemniczonych..., a mój brat, Dudley Do-Right*, mieszka w Montgomery.

- DeeDee i Do-Right? - zapytała rozbawiona.

- Siostra dostała imię po dwóch babciach, Devonie i Darnelle. Które imię ty byś wybrała?

- DeeDee, bezdyskusyjnie.

- Co ty powiesz. Z kolei Dudley... naprawdę ma na imię Thane... jest stanowym gliną, nosi więc czerwony mundurek. Moje rodzeństwo już pięć razy zrobiło mnie wujkiem. DeeDee jest najstarsza z nas, dwa lata starsza ode mnie. A tak przy okazji, ja mam trzydzieści sześć.

- Nie masz dzieci?

- Nie, dzięki Bogu. To jedyny dobry aspekt mojego rozwodu: że nie mieliśmy dzieci, którym zrujnowalibyśmy życie. Reszta rodziny zawsze uważała mnie za obiboka, bo się nie rozmnażałem, ale teraz oni też są zadowoleni.

- A twoi rodzice?

- Także mieli mnie za obiboka.

Walnęła go pięścią w ramię.

- Nie bądź taki cwany.

Roześmiał się, a potem zmarszczył się lekko i roztarł ramię.

- Masz niezły cios.

- Hamowałam się, a ty po prostu jesteś mięczakiem. - Jasne. Jego ramię było tak twarde, że mogła sobie uszkodzić kłykcie. - Rodzice - ponagliła go.

- Mieszkają w Kentucky. Mieli jakiś powód, żeby się tam wynieść, ale ja go nie znam.

- A co jest nie tak z Kentucky?

- Tam pada śnieg.

- A co jest złego w śniegu?

- Widzisz, swego czasu jeździłem w patrolu. Widziałaś kiedykolwiek, co się tu wyprawia, kiedy spadnie śnieg?

Wybuchnęła śmiechem, bo dwa centymetry śniegu powodowały istne piekło na ulicach. Południowcy niezbyt dobrze radzili sobie ze śniegiem i był to niemały kłopot dla patroli, jeżdżących do tych wszystkich stłuczek. Komuś, kto spędził pamiętną zimę w północnej części stanu

** Dudley Do-Right - Kanadyjski Policjant Konny, tytułowy bohater serialu emitowanego w 1969 r., a później (1999 r.) również pełnometrażowego filmu pod tym samym tytułem.*

Nowy Jork, panika, jaką powodowały tutejsze „śnieżyce”, wydawała się po prostu komiczna.

Nagle zauważyła, że jadą na południe, za miasto.

- Dokąd jedziemy?

- Co myślisz o licealnym bejsbolu? Zatkąło ją na chwilę.

- To jest pytanie retoryczne czy chcesz mi coś powiedzieć?

- Jeden z moich kuzynów ma dzisiaj mecz, i to podwójny. Przegapimy pierwszy, ale kiedy coś zjemy i dojedziemy na boisko, powinniśmy zdążyć w samą porę na drugi. JoJo gra na pozycji short-stoppera.

JoJo najwyraźniej był tym kuzynem.

- Lubię bejsbol, ale ten żakiet nie jest dość gruby, żeby godzinami siedzieć w nim na zimnie.

- Mam za siedzeniem ciepły, wełniany koc. Możemy się przytulić na trybunach, a kiedy będziemy owinięci kocem, nikt nie zauważy, jeśli od czasu do czasu przytulę cię mocniej.

- Ja zauważę.

- Boże, mam nadzieję. Jeśli nie zauważysz, to będzie oznaczać, że albo wyszedłem z wprawy, albo straciłem cęla.

Może w jego towarzystwie naprawdę najbezpieczniej było siedzieć w miejscu publicznym.

- No dobrze - zgodziła się. - Jestem chętna. Możemy nawet zjeść hot-doga na trybunach, jeśli chcesz zobaczyć kawałek pierwszego meczu.

- Wiedziałem, że dobra z ciebie kobieta - odparł uszczęśliwiony.

Siedzenie na zimnej ławce w chłodny wieczór, w otoczeniu wrzeszczących, śmiejących się, gadających rodziców, braci i sióstr, nielicznych nauczycieli i grupek uczniów, okazało się o wiele przyjemniejsze, niż to zapamiętała z czasów, kiedy Daniel i Noel grali w bejsbol. Po pierwsze, kuzyni Cahilla - a przyszło ich tam chyba z dziesięcioro - wszyscy byli szurnięci. Kazało jej się to zastanawiać, czy poczucie humoru jest u nich rodzinne. Po drugie, przytulanie się z nim pod tym kocem... bardzo jej się spodobało.

Koc, zgodnie z obietnicą, był z grubej wełny. Cahill owinał go wokół obojga, zanim jeszcze usiedli, nawet więc nogi miała osłonięte od zimna. Czująca pod kocem ciepło jego ciała i było jej gorąco, choć kwietniowy wieczór okazał się tak zimny, że oddechy im parowały. Cahill siedział tak blisko, że jego twarde udo ocierało się o jej nogę, ręką obejmował jej ramiona, z wyjątkiem chwil, kiedy emocje kazały mu zrywać się na równe nogi i wykrzykiwać obelgi pod adresem arbitra, którego funkcję pełnił, jak się okazało, kolejny kuzyn.

Kila razy udało mu się nawet przytulić ją mocniej - jak obiecał. Pieszczota była subtelna, ledwie kciuk ocierający się o bok jej prawej piersi, ale robił to z rozmysłem, i Sara o tym wiedziała. Za pierwszym razem, gdy się to stało, spojrzała na niego ostro, by przekonać się, że obserwuje mecz z niewinną miną i lekkim uśmiechem. Odpląciła mu pięknym za nadobne, przeciągając lewą dłoń w górę po jego udzie, powolutku, powolutku, i zatrzymując się ledwie parę centymetrów od celu. Cahill znieruchomiał, przestał się uśmiechać, i choć nie odrywał wzroku od meczu, miał w oczach to nieprzytomne spojrzenie, które powiedziało jej, że zupełnie stracił wątek akcji.

Poczuła się okropnie niegrzeczna, robiąc takie rzeczy publicznie, nawet jeśli i tak nikt nie mógł niczego poznać, bo byli owinięci jak mumie w ten cudowny koc. Miała ochotę zapomnieć o tym droczeniu się i „pogłaskać” go tak, żeby oczy wyszły mu z orbit; chciała, żeby całą dłoń objął jej pierś.

Nie musiała długo czekać.

Aż wstrzymała oddech, gdy poczuła ciepły ucisk jego dłoni i kciuk głaszczący sutek. Nie miało znaczenia, że biustonosz, koszula i żakiet chronią ją przed tym dotykiem; sutki stwardniały jej, a ciało poniżej pasa jakby ścisnęła niewidzialna pięść.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Cahill od niechcienia, takim tonem, jakby pytał, czy jej nie zimno.

Naprawdę, chciała mu odpłacić pięknym za nadobne, wsunęła więc dłoń pod jego koszulę i mocno szarpnęła go za włosy na klatce. Nie zdołał opanować grymasu.

- Trochę mi gorąco - odparła równie obojętnym tonem. - Może dałoby się trochę rozluźnić ten koc.

- Dobry pomysł - odpowiedział zduszonym głosem. Zrzucili koc z ramion, aż do pasa. Przez resztę meczu rozgrzewali się wyłącznie kawą.

Ponieważ Cahill szedł następnego dnia do pracy, po meczu odwiózł ją prosto do domu. Kiedy całował ją na dobranoc, była dość sprytna, by przytrzymać mu rękę. Gdy uniósł głowę, uśmiechał się szeroko.

- Nie przytrzymałyby mi rąk podczas pocałunku od czasów ogólniaka.

- A mnie od czasów ogólniaka nie obmacywano na meczu bejsbola.

- Fajnie było, co? Uśmiechnęła się.

- Owszem.

- Masz jakieś plany na jutrzejszy wieczór? I resztę wieczorów w tym tygodniu?

- Chcesz codziennie chodzić ze mną na randki?

- Muszę cię zmęczyć. Jak inaczej mam dojść do drugiej bazy bez czerwonej kartki? No więc, rozkład zajęć jest taki: jutro idziemy na kręgle...

- Na kręgle?

- Kosmiczne kręgle. Kupa śmiechu.

Nie chciało jej się pytać, co to takiego te kosmiczne kręgle. . - A co we środę?

- Kino.

- Czwartek?

- Filharmonia.

Od błahej rozrywki po wysoką kulturę. Pokręciła ze zdumieniem głową; przynajmniej nie będzie się nudzić.

- Piątek?

- Mam nadzieję, że w piątek przejdziemy już do etapu dzikiego seksu.
Wybuchnęła śmiechem, a on uśmiechnął się, opierając ramię o futrynę drzwi.

- To jesteśmy umówieni?-zapytał.

- Do czwartku włącznie.

- To się jeszcze zobaczy - odparł, i, pogwizdując, ruszył z powrotem do samochodu.

Był przebiegły jak sam Machiavelli.

Rozdział 15

We wtorek rano w gazecie ukazał się artykuł pod tytułem: „Brak dowodów - policja bezradna w sprawie morderstwa w Mountain Brook”. Cahill burczał z niesmakiem, czytając go.

Departament Policji w Mountain Brook nie udziela żadnych informacji poza zdaniem „nie udzielamy żadnych informacji” na temat dochodzenia w sprawie zamordowania emerytowanego sędziego federalnego Lowella Robertsa. Dochodzenie najwyraźniej utknęło w martwym punkcie, a zaniepokojeni obywatele zastanawiają się, czy Departament, który od pięciu lat nie miał do czynienia z morderstwem, ma wystarczające doświadczenie, by poradzić sobie z tego rodzaju sprawą.

- Co za bzdury - burknął, rzucając gazetę na biurko. Detektywi w wydziale śledczym byli wkurzeni. Porucznik był wkurzony. W zasadzie wszyscy byli wkurzeni. Dochodzenie utknęło w martwym punkcie, i owszem, ale to nie miało nic wspólnego z niekompetencją czy brakiem doświadczenia. Gdyby idiota, który napisał ten artykuł, zbadał sprawę, wiedziałby, że Departament Policji w Mountain Brook działał pierwszorzędnie, obsadzony najlepszymi ludźmi i został doskonale wyposażony. Zabezpieczeniem dowodów zajął się główny technik kryminalistyczny i zrobił to jak należy. Cahill sam odbył obowiązkową praktykę w Departamencie Policji w Birmingham, gdzie

śledztwa w sprawie morderstw zdarzały się o wiele częściej; wszyscy detektywi mieli doświadczenie. Wiedzieli, jak prowadzić dochodzenie, ale nie mogli wyprodukować dowodów, których nie było.

Wszystko rozbijało się o brak motywu. Sędzia Roberts nie został zastrzelony na ulicy jako ofiara przypadkowej strzelaniny, morderstwa dla zabawy. To morderstwo było przeprowadzone z premedytacją, precyzyjnie zaplanowane i wykonane - niemal egzekucja. Ten, kto go zabił, wiedział, że Sara ma tego dnia wolne i że sędzia zostanie w domu sam. Tajemniczy telefon od tajemniczego mężczyzny z automatu w Galerii był jedynym tropem, jaki mieli, ale jak dotąd nikt nie rozpoznał człowieka z fotografii. Rozmawiali z przyjaciółmi, sąsiadami, rodziną, i nie uzyskali nic.

Najbardziej oczywiste wyjaśnienie niestety się nie potwierdziło. Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby sędzia Roberts został zastrzelony tuż po otwarciu drzwi, albo idąc do samochodu. Wtedy scenariusz zabójstwa z zemsty miałby sens. A tak, Cahill wciąż dochodził do nieuniknionego wniosku, że sędzia znał zabójcę i z własnej woli wpuścił go do domu.

A ten wniosek znów prowadził go do tajemniczego mężczyzny z fotografii. Czas rozmowy telefonicznej się zgadzał. Ktoś, kogo sędzia znał, być może spoza miasta, zadzwonił i powiedział: „Hej, jestem w okolicy”, a sędzia zaprosił go do domu, i ten człowiek go zabił. Taki scenariusz wynikał z okoliczności. Ale kto i dlaczego? Oto stary truizm - dowiedz się, dlaczego, a będziesz wiedział, kto.

Szkoda tylko, że nie miał bladego pojęcia.

Potał twarz dłońmi. Złe przeczucie na temat tej sprawy nie zniknęło. Odpowiedź była gdzieś w zasięgu ręki, ale oni nie zbliżali się do niej ani na krok i Cahill bał się, że nigdy się nie zbliżą. Sprawa trafi do szafy z napisem „Nierozwiązane”. Nie cierpiał nierozwiązanych spraw, jakiegokolwiek były rodzaju, ale morderstwo szczególnie go niepokoiło. Nawet kiedy był dzieckiem, zagadki nie dawały mu spokoju i męczył się z nimi tak długo, aż odgadł

rozwiązanie. Cholerna kostka Rubika doprowadzała go do szału, dopóki jej nie rozpracował. Na skali od jeden do dziesięciu kostka Rubika zajmowała piąte miejsce, a morderstwo znajdowało się o dziesięć milionów miejsc dalej. Tak strasznie go to gryzło. Musiał uważać, bo inaczej mógł z łatwością dostać obsesji na punkcie tej sprawy.

To śledztwo było bardziej osobiste, niż powinno, bo dotyczyło Sary. Gdyby siedziała w domu, a nie w kinie, też mogła zginąć. Czowała się winna, bo myślała, że potrafiłaby temu zapobiec, ale Cahill miał lodowatą kulę w brzuchu za każdym razem, gdy pomyślał o niej, w tym domu, z mordercą. Poszłaby do swojego mieszkania i zostawiła dwóch... przyjaciół? znajomych? rozmawiających w bibliotece sędziego; mogła nawet nie usłyszeć strzału, jeśli pistolet był z tłumikiem. A potem, ponieważ go widziała, morderca poszedłby cicho na górę do jej mieszkania. Nie spodziewałaby się z jego strony ataku, nie byłaby uzbrojona, i zabiłby ją. Tak po prostu. Cahill oblewał się zimnym poty potem, ilekroć wyobraził sobie tę scenę. Pójście do kina uratowało jej życie, a poszła tam, bo chciała dać temu idiocie, który przysłał jej drogi wisiołek, okazję do ataku. Zabawne, jak to wyszło: przysyłając jej wisiołek i budząc w niej taki niepokój, ten świr uratował jej życie.

Sara była... nie wiedział, jaka była Sara. Fascynująca. Seksowna. Silna i delikatna jednocześnie. Nie wiedział, co zdarzy się między nimi; nawet nie pozwalał sobie myśleć, co mogłoby się zdarzyć. Przy niej żył wyłącznie w teraźniejszości. Kiedy był z nią, nie myślał o przeszłości i nie obchodziła go przyszłość. Nie, do diabła, to kłamstwo, bo gdyby miał w tej sprawie coś do powiedzenia, to w najbliższej przyszłości zdjąłby z Sary ubranie i uprawiał z nią naprawdę gorący, rujnujący łóżko seks. To dopiero prawdziwe plany na przyszłość.

To było miłe uczucie, skoncentrować się na jednej kobiecie, zamiast szukać kolejnych przygód na jedną noc, które owszem, spuszczały trochę pary z jego cojones, ale nie likwidowały samotności następnego ranka. Zabawa z Sarą

sprawiała mu radość - bo właśnie to robili: bawili się. Minęło o wiele za dużo czasu, od kiedy ostatnio czerpał z czegoś przyjemność, od kiedy czuł ten szczególny dreszcz, obserwując twarz kobiety i odgadując jej myśli.

Kiedy o niej myślał, był tak podniecony, że nie potrafił się na niczym skupić.

Miał miesiąc, żeby ją zdobyć - na tyle oceniała pakowanie i przygotowanie domu do sprzedaży. Będzie szukała innej pracy; miał nadzieję, że jednak zostanie w tej okolicy, ale niczego nie mógł być pewien. Jak sama powiedziała, gdyby ktoś potrzebował jej usług jako kamerdynera i ochroniarza, dostałaby o wiele lepszą pensję, a ilu ludzi w okolicy potrzebowało ochroniarza? Szanse, że Sara wyjedzie stąd, jego zdaniem wynosiły co najmniej pięćdziesiąt procent, musiał więc działać szybko. Kto wie? Może gdyby mieli romans, wzięłaby posadę gdzieś w pobliżu, a wtedy mogliby się nie spieszyć, zobaczyć, jak się sprawy ułożą.

Ale ta myśl wybiegała za daleko w przyszłość, wycofał się więc szybko. Teraz mógł sobie poradzić wyłącznie z „teraz”. Będzie widywał się z Sarą co wieczór, i w każdej sekundzie wolnej od dochodzenia w sprawie tego morderstwa, i innych dochodzeń, jakie się napatoczą.

W gazecie napisano, że policja nie ma żadnych poszlak w sprawie śmierci Robertsa. Jaka szkoda.

Był zadowolony; znów udowodnił, że jest bardziej inteligentny od innych. Oczywiście, że nie mieli poszlak. Najpierw bezpiecznie odprowadził Sarę do kina, potem pojechał do Galerii i zadzwonił z automatu. Przez Galerię co dzień przewijały się tysiące ludzi; nie było mowy, by ktoś go zapamiętał. Sędzia Roberts, stary głupiec, z przyjemnością zgodził się porozmawiać z przyjacielem przyjaciela o jakimś prawniczym niuansie - i tak oto z łatwością znalazł się w domu.

Choć jego odciski palców nie znajdowały się w żadnej bazie danych z tego prostego powodu, że nigdy mu ich nie zdejmowano, on i tak pilnie zwracał

uwagę na wszystko, czego dotykał w domu sędziego, a potem, zanim wyszedł, starannie wytarł te powierzchnie. Odmówił, gdy sędzia zaproponował mu coś do picia, nie musiał więc martwić się o filiżankę czy szklanę. Podniósł też z dywanu łuskę po naboju i następnego dnia wyrzucił ją do śmietnika. Od tamtej pory zabrano już śmieci, łuska zniknęła więc także.

Był bezpieczny. Teraz mógł spokojnie myśleć o Sarze.

Nie chciał zbyt szybko ponawiać swojej propozycji. Jej by się to nie spodobało; obraziłoby to jej poczucie przyzwoitości. Ale nie mógł sobie też pozwolić na zbyt długie czekanie, bo jej usługi miały wzięcie. Dowiedział się przez znajomych i sąsiadów - doprawdy, człowiek nie mógł ich nazywać przyjaciółmi - że rodzina Robertsa wystawiała dom na sprzedaż i umówiła się z Sarą, by na razie została i wszystkiego dopilnowała.

Sprawy nie mogły się ułożyć lepiej. Miał czas, by starannie przemyśleć, w jaki sposób złożyć kolejną ofertę. Poprzednim razem popełnił błąd, nie biorąc pod uwagę jej lojalności i redukując jej wartość wyłącznie do pieniędzy. Oczywiście, była warta takiej sumy, była warta o wiele więcej, ale kobieta o tak sumiennej naturze potrzebowała czegoś oprócz pieniędzy: potrzebowała widzieć sens w tym, co robi.

Musiała myśleć, że on jej potrzebuje. I potrzebował, o wiele bardziej, niż mogła sobie wyobrazić. Od kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, zrozumiał, że to idealna kobieta dla niego, kobieta, na którą czekał przez całe życie, i że bez niej nie będzie kompletny.

Niemal zakręciło mu się w głowie na myśl o niej tutaj, w jego domu. Da jej wszystko, czego mogłaby zapragnąć, ochroni ją przed światem, który nie jest w stanie docenić jej perfekcji. Musiało jej być ogromnie ciężko wciąż stykać się z ludźmi, którzy nie dorastali jej do pięt. Kiedy zostanie z nim, to wszystko się skończy. Nie będzie potrzebowała innych ludzi. Razem stworzą ideał.

Wtorek okazał się nieprawdopodobnie smutny i samotny. Był to pierwszy dzień, jaki spędzała w domu całkiem sama; w poniedziałek do wczesnego

popołudnia kręcili się tu jeszcze krewni sędziego, a potem wyszła z Cahillem, co oderwało jej myśli od pustki. Cahill zdołałby pewnie oderwać jej myśli nawet od umierania.

Ale dzisiaj została sama. Świadomość, że zobaczy się z nim wieczorem, była jak jasny punkt w mroku. Starła się cały czas coś robić i nie musiała na siłę wyszukiwać sobie zajęć.

Zaczęła od metodycznego pakowania rzeczy w każdym pokoju i tworzenia głównego spisu inwentaryzacyjnego, który obmyśliła i wprowadziła do laptopa, żeby było wiadomo, co jest w którym pudle i z którego pokoju zostało zabrane. Pudła miały zostać ponumerowane, a na każdym z nich zamierzała przykleić kopertę z listą spakowanych przedmiotów. Zadanie było czasochłonne i męczące, ale dzięki temu nie rozmyślała, że jest sama w tym wielkim domu, i nie wspominała, co się stało w bibliotece, ilekroć mijała jej drzwi.

Telefon dzwonił jak nakręcony. Dzwoniący w najlepszej wierze wypytywali o rodzinę i ich plany, ale nieustanne przerwy sprawiały, że Sara nie zrobiła tyle, ile zamierzała, a pytania wciąż odświeżały w jej pamięci wspomnienie sędziego. Nie chciała o nim zapomnieć, ale chętnie odpoczęłaby trochę od bólu, jaki sprawiały jej te wspomnienia.

Taki właśnie odpoczynek zapewniało jej myślenie o Cahillu. Może myślała o nim za dużo i to mogło się okazać ryzykowne dla niej, ale... cóż, musiała sobie z tym jakoś poradzić.

Nie był wcale sztywniakiem, za jakiego wzięła go na początku; miał w sobie beztroską radość, która pobudzała ją do śmiechu i sprawiała, że wciąż musiała mieć się na baczności. Sara wyczuwała, że Cahill obchodzi się z nią ostrożnie - nie dlatego, że jest słaba czy krucha, ale właśnie dlatego, że jest twarda i zdecydowana.

Znała swoją wartość i swoją siłę; nie była ani chusteczką, w którą można wytrzeć nos i beztrosko wyrzucić, ani motylkiem, który sam radośnie odleci na

inny kwiatek. Cahill pragnął jej, ale nie ufał żadnym relacjom, które stawały się czymś więcej niż powierzchownym flirtem, i sam nie miał pewności, jak bardzo chce się zaangażować. Dobrze się razem bawili, ale na głębszym poziomie byli jak para bokserów wagi ciężkiej, okrążających się nawzajem, testujących swoją siłę, niewdających się w walkę, dopóki nie dowiedzą się, czy nie dostaną lania.

Lubiła go bardziej niż kogokolwiek, z kim spotykała się przedtem - ale jak mogłaby nie lubić kogoś, kto miał zabrać ją i na kręgle, i do filharmonii? Od początku wiedziała, że chemia między nimi jest świetna, choć może „porażająca” byłoby tu bardziej odpowiednim słowem. Potrafiłaby się jednak oprzeć fizycznemu przyciąganiu, gdyby nie istniało nic poza nim. Sarę zafascynowała również osobowość Cahilla.

Lunch - kanapkę i szklanek wody - zjadła w swoim mieszkaniu. Cisza przytłaczała ją coraz dotkliwiej, aż w końcu wydało jej się, że słyszy bicie własnego serca. Umyła nóż, którego używała, i szklanek, i odłożyła je na miejsce. I wybuchnęła płaczem.

Pół godziny później siedziała na schodkach prowadzących spod zadaszania do ogrodu różanego. Jasne słońce grzało jej twarz i nagie ramiona, a powietrze pachniało słodką, wiosenną świeżością. Ptaki świergotały w koronach drzew, błyskając w locie kolorowymi piórkami. Pszczoły śmigały z kwiatka na kwiatek. W domu panował smutek, ale na dworze wszędzie wokół tętniło życie i było ciepło.

Na schodach za nią rozległy się kroki, odwróciła więc głowę i zobaczyła Cahilla.

- Cześć - powiedział, siadając obok niej. - Nie otworzyłaś, kiedy zadzwoniłem do drzwi, poszedłem więc dookoła, zobaczyć, czy jest twój samochód.

- Ja też jestem - odparła niepotrzebnie. - Tylko... robię sobie przerwę.

Przyjrzał się jej ściągniętej twarzy i spuchniętym oczom, a potem delikatnie wziął ją w objęcia i przytulił jej głowę do swojego ramienia.

- Zły dzień, co?

- Jak na razie zupełnie do kitu. - Boże, jak dobrze schować się w jego ramionach. Był solidny i silny; z przyjemnością wdychała aromat jego rozgrzanego ciała. Jedną ręką objęła jego szyję, a drugą przycisnęła do umięśnionych pleców.

Pocałował ją i położył ciepłą dłoń na jej piersi. Pozwoliła mu na tę pieśczołę i poddała się pocałunkowi. W tej chwili potrzebowała fizycznej pociechy, jaką dawała jego bliskość, nie protestowała więc, kiedy rozpiął jej bluzkę bez rękawów, odczepił haftkę zapinanego z przodu biustonosza i rozsunął go na boki. Rześkie powietrze delikatnie musnęło nagie ciało Sary, usztywniając jej sutki. Po chwili poczuła gorący dotyk jego twardej, pokrytej odciskami dłoni.

- Boże, ale jesteś śliczna - powiedział cichym, ochrypłym głosem. Jej piersi miały kolor ciepłej śmietany, a małe sutki były różowo-brązowe. Nie została zbyt hojnie obdarzona przez naturę, ale piersi wezbrały w jego twardych opalonych dłoniach. Kiedy Cahill głaskał kciukiem sutki, które nabierały koloru, wydawał z siebie pomruk przypominający odległy grzmot, a gdy spojrzała w górę, zobaczyła połysk potu na jego czole.

- Ja pracuję - powiedział ochryple.

- Jasne, każdy ci uwierzy, kiedy na mnie spojrzy - mruknęła. Mogłaby tak siedzieć w słońcu godzinami, pozwalając się pieścić. Tyle że pewnie bardzo szybko zmieniłaby pozycję i leżałaby na plecach na kamieniach pod zadaszeniem, a to nie było zbyt wygodne miejsce, by się kochać.

- Chciałem tylko do ciebie zajrzeć. Nie mogę zostać. - Pocałował ją jeszcze raz, a dłonią wciąż odprawiał swoje ciepłe czary nad jej piersiami. W końcu oderwał się od Sary z ociąganiem. Prawdę mówiąc wyglądało to tak, jakby musiał sobie zedrzeć skórę, by się od niej odkleić.

- Ale zapamiętaj, na czym skończyliśmy, to wieczorem zaczniemy od tego samego miejsca.

W o wiele lepszym nastroju zapięła stanik i bluzkę.

- Przykro mi, ale to tak nie działa. Będziesz musiał zacząć od początku.

- Żaden problem - odparł z uśmiechem. Parsknęła.

- Tak też myślałam. -I ona się uśmiechnęła, trochę nieprzytomnie.

- Dzięki, że wpadłeś. Było mi trochę smutno.

- Zauważyłem. To jak, znów o wpół do siódmej? Skinęła głową.

- Będę gotowa.

- Ja też.

- Nie to miałam na myśli.

- A, do diabła - odparł z niesmakiem. Sara czuła, że uśmiecha się coraz szerzej.

- Wracaj do pracy, Cahill, i pamiętaj: nigdy nie bierz niczego za pewnik.

- A, do diabła - powtórzył.

Rozdział 16

We środę, tydzień po morderstwie, Sara przyłapała się na tym, że działa według dawnego rozkładu zajęć. Zresztą i tak zapomniała przełożyć swoje lekcje karate i kick boxingu, pracowała więc w domu, dopóki nie przyszła na nie pora, a potem zafundowała sobie tak ciężki trening, jakiego nie miała od dawna. Dziś mija dokładnie tydzień, myślała wciąż. Dokładnie tydzień. Tydzień temu najbardziej ze wszystkiego chciała dowiedzieć się, kto przysłał jej wisiołek. Dziś nawet nie pamiętała dokładnie, jak ten wisiołek wygląda. Został odesłany w niebyt przez to, co stało się później tamtego wieczoru.

Dziś miała iść z Cahillem do kina. Ale gdy przypomniała sobie, że w tamtą środę też była w kinie, zrozumiała, że nie da rady tego zrobić. Zadzwoiła pod numer, który jej podał. Odebrał natychmiast.

- Mówi Sara. Przykro mi, ale nie mogę iść dzisiaj do kina. Milczał przez chwilę.

- Coś ci wypadło?

- Nie, tylko... dzisiaj mija tydzień, a wtedy też byłam w kinie.

- Zgoda - odparł łagodnie. - Zrobimy więc coś innego.

- Nie, ja... - Chciała być z nim, ale pomyślała, że po ostatnim wieczorze warto trochę ochłonać. Jakimś cudem udało jej się zapobiec, by sprawy nie wymknęły się spod kontroli i nie posunęły dalej, ale Cahill coraz skuteczniej kruszył jej stanowczość. Musi jednak ochłonać. - Nie dzisiaj. Wciąż jesteśmy umówieni na jutrzejszy wieczór, ale dziś nie będę dobrą towarzyszką.

- Boisz się?

Oto cały on: po co komu współczucie czy grzeczność, kiedy można od razu przejść do rzeczy!

- Uwierz mi - rzuciła kwaśno - nie boję się niczego, co mógłbyś mi zrobić.

Usłyszała krótki świst.

- Właśnie uniemożliwiłaś mi siadanie.

- Mam nadzieję, że nikt cię nie słyszy. Zignorował to.

- Będę w domu, gdybyś zmieniła zdanie albo uznała, że masz ochotę na towarzystwo.

- Dzięki, Cahill - odparła miękko. - Kochany jesteś.

- Mówiłem ci, że będziesz zwracać się do mnie „kochanie”—odparł zadowolony z siebie.

Cokolwiek by się działo, potrafił poprawić jej humor. Rozłączyła się w lepszym nastroju. Zawsze tak się czuła, kiedy z nim rozmawiała. Ta radosna świadomość pomogła jej przebrnąć przez resztę tego trudnego dnia.

We czwartek wieczorem, w drodze do filharmonii, powiedział:

- Mam przyjaciela, który bardzo chce cię poznać. To podła szumowina, która sądzi, że zdoła mi cię odbić, ale jeśli nie boisz się ubrudzić, podając mu rękę, bardzo by chciał poćwiczyć z tobą strzelanie. Mam zapasowy pistolet, którego możesz używać, skoro ciągle trzymamy twój.

Roześmiała się.

- Podła szumowina, od której można się ubrudzić, podając jej rękę? Jasne, chętnie go poznam.

- Tak też myślałem. To może jutro po południu, koło drugiej, na tej strzelnicy, na której spotkałem cię kiedyś.

- O drugiej? Nie musisz pracować? Czy wysyłasz mnie, żebym sama się ubrudziła od tej szumowiny?

- Jestem wolny jutro po południu i przez cały weekend. - Obrzucił ją pełnym uznania spojrzeniem. - Włóż tę sukienkę.

Typowy facet.

- Na strzelnicę? Chyba w snach.

- Nie masz pojęcia o moich snach - odparł z uczuciem. Typowa dla wiosny, gwałtowna zmiana pogody sprawiła, że cały dzień panował trzydziestostopniowy upał, i nie zelżał nawet po zachodzie słońca. Sara ubrała się odpowiednio do pogody, w akwamarynową, wąską suknię bez rękawów, przy której jej ciepła karnacja wręcz promieniała, i wzięła ze sobą szal, by okryć ramiona, gdyby zrobiło jej się chłodno. Suknia przylegała ciasno we wszystkich właściwych miejscach i ślizgała się po innych, a z przodu była wycięta dość głęboko, by ukazywać skrawek dolinki między piersiami. Cahill zerkał na ten skrawek, od kiedy po nią przyjechał.

Przezornie nie zapytała go o jego sny, bo była pewna, że by jej o nich opowiedział. Jeśli ten facet miał w sobie choć trochę wstydu, to ona go jeszcze nie znalazła.

Symfonia była wspaniała; Sara uwielbiała muzykę klasyczną, a Cahill ze znanstwem omawiał program, dowodząc, że nie wybrał filharmonii tylko po to, by zrobić wrażenie.

- Często tu przychodzisz? - zapytała.

- Nie tak często, jak bym chciał, ale przynajmniej kilka razy w roku.

Muszę to jakoś wcisnąć w mój rozkład zajęć.

- Rozumiem, że trudno znaleźć czas na filharmonię między tymi wszystkimi meczami i kręglami.

Roześmiał się.

- Przyznaj się, podobały ci się kosmiczne kręgle.

- Jeszcze nigdy nie grałam w kręgle po ciemku. - I rzeczywiście, we wtorkowy wieczór bawiła się jak nigdy; kosmiczne kręgle to rzeczywiście kupa śmiechu. Kule i kręgle były pomalowane fosforyzującą farbą, a w pomieszczeniu świeciły tylko ultrafioletowe lampy. Wszystkie białe przedmioty, takie jak zęby, buty czy koszule, jarzyły się niezwykłym blaskiem. I trochę to było niepokojące, gdy nagle zęby błyskały na nią z ciemności. Postanowiła, że następnym razem każe Cahillowi włożyć białą koszulkę, by mieć na niego oko.

Wieczorem, kiedy po symfonii zawiózł ją do domu, popracowała jeszcze i wstała wcześniej następnego ranka, by mieć więcej czasu na pakowanie. Dzięki temu mogła się urwać wcześniej na spotkanie z kolegą Cahilla. W tej chwili pracowała nawet więcej niż za życia sędziego, ale tak się bała, że opóźni sprzedaż domu, że skutek był wręcz odwrotny. Cahill zabierał jej strasznie dużo czasu - na przykład dziś po południu - chciała więc nadrobić przynajmniej kilka godzin w tygodniu, tak na wszelki wypadek.

Był kolejny ciepły dzień, ponad trzydzieści stopni. Sara ubrała się w beżowe, luźne spodnie na gumce - dla wygody, skoro miała się pocić na strzelnicy - do tego T-shirt z dekoltem w serek i sandały, a wszelkie odkryte miejsca grubo posmarowała olejkami z wysokim filtrem przeciwsłonecznym.

- Do licha - powiedział Cahill, kiedy po nią przyjechał. - Miałem nadzieję, że zmienisz zdanie na temat tej sukienki.

- Tak, już się widzę w tej sukience, jak schylam się po zużyte łuski.

- Rany, ja też cię widzę - odparł z westchnieniem.

Okazało się, że jego przyjaciel, Rick Mancil, to ten sam mężczyzna, z którym widziała go kiedyś na strzelnicy. Rick miał czarne włosy, bladozielone

oczy i był niezmordowany jak króliczek z reklamy Energizera. Pierwsze zdanie, jakie do niej powiedział, brzmiało:

- Jeśli znudzi cię użeranie się z tym palantem, zadzwoń do mnie, a zaciągnę cię przed ołtarz, zanim zdążysz powiedzieć „pani Mancil”.

- Uwierz mu - wycedził Cahill. - Zrobił to już dwa razy. Sara zamrugła.

- Ożenił się z kobietami, z którymi się spotykałeś?

- Po prostu się ożeniłem - sprostował Rick. - Ale nie będziemy o tym rozmawiać.

Sara wyczuła, że Cahill chce się popisać przed Rickiem jej umiejętnościami strzeleckimi, postanowiła więc wyświadczyć mu tę przysługę. Zajęli z Rickiem sąsiednie tory; Rick długo i głośno rozwodził się nad swoim pistoletem -jaki jest celny, jak to nigdy się nie zacina, i tak dalej; Sara zerknęła na Cahilla, który stał oparty nonszalancko o słupek. Z uśmiechem wzruszył ramionami.

- On się nigdy nie męczy - oznajmił.

- To dobra cecha u faceta - rzucił Rick, puszczać do niej oczko. Sara znów spojrzała na Cahilla.

- A ty nie strzelasz? Cahill pokręcił tylko głową.

- Nie wciągajmy go w to - zaproponował Rick. - Wygrywa ze mną za każdym razem, cholerny pozer. To jego wojskowe przeszkolenie daje mu niesprawiedliwą przewagę.

To samo można by powiedzieć o jej wojskowym przeszkoleniu. Ona, co prawda, szkolila się prywatnie, pod okiem ojca, ale szkolenie to szkolenie.

Zaczęli od stosunkowo krótkiego dystansu, przesuwając tarcze coraz dalej po każdym wystrzelonym magazynku. Sara strzelała spokojnie, koncentrując się tak samo jak podczas rywalizacji z braćmi. Kolbę pistoletu trzymała tak pewnie, jak kierownicę samochodu; nawyk był tak zakorzeniony, że niemal nie musiała myśleć o tym, co robi.

- Oczom nie wierzę - pożalił się dobrodusznie Rick. - Doktorek mówił, że jesteś dobra, ale to ja jestem dobry, a ty pobiłaś mnie za każdym razem.

- Postrzelaj z lewej - powiedział Cahill do Sary, i Rick wybałuszył na niego oczy.

- Z lewej? Ona strzela z obu rąk?

Sara szybko przełożyła pistolet do lewej dłoni i opróżniła magazynek. Jak zwykle, wszystkie otwory w tarczy dałoby się przykryć kartą do gry.

- Ty sukinsynu - warknął Rick do Cahilla tonem pełnym niedowierzania. - Podstawiłeś mi oszustkę! Ona jest zawodowcem, co?

- Jestem kamerdynerem - sprostowała Sara. Musiała przyznać, że to wszystko było dość zabawne, a szczególnie rozgrywka między chłopakami.

- Płać - polecił Cahill, wyciągając rękę.

Rick sfrustrowany, burcząc, wyjął portfel i położył pięć dwudziestek na dłoni Cahilla.

- Zaraz, zaraz - zaprotestowała Sara z oburzeniem. -- Założyłeś się na boku i nie raczyłeś mnie poinformować?

- A nie mówiłem? - rzucił Rick. - To palant.

- Ty też mi nie powiedziałeś - wytknęła mu, ostrożnie odkładając pistolet i krzyżując ręce na piersi. Obrzuciła ich gniewnym spojrzeniem.

- Tak...

- Powiedz: „Ja też jestem palantem” - podsunął mu Cahill głośnym szeptem.

- Ja też jestem palantem! - powtórzył głośno Rick. W jego jasnych oczach błyszczał śmiech.

- Chodziliście razem do szkoły? - rzuciła. - Tak tylko pytam.

- Boże, nie. Wyobrażasz to sobie? - Cahill błysnął zębami w uśmiechu, chowając pieniądze do kieszeni.

- Nie, aż mam dreszcze na samą myśl. Cahill poklepał Ricka po ramieniu.

- No cóż, kolego, było bardzo miło. Powtórzmy to jeszcze, kiedy okaże się, że potrzebuję dodatkowej kasy, dobrze? Teraz cię zostawimy, steki mi się marynują w domu. Będziemy o tobie myśleć przy każdym kęsie.

- Koniecznie - odparł Rick, posyłając im smętne spojrzenie. Nawet pomachał im smutno, kiedy odchodzili, jak chłopiec, który zostaje sam, gdy inne dzieci idą się bawić.

- Boże, ależ on jest męczący! - powiedziała Sara, kiedy siedzieli już w pikapie. - Zabawny, ale męczący.

- Dwie byłe żony mówiły to samo. Jeśli osobnik chory na depresję maniackalną może cały czas przeżywać fazę manii, to właśnie jest Rick.

- A co on mówi o tobie? Poza tym, że jesteś palantem?

- Twierdzi też, że jestem podstępny. I uparty.

- Zgadzasz się, to dobre cechy u gliniarza.

- Tak. Uwalasz więc, że jestem podstępny?

Sara spojrzała na niego. Siedział swobodnie za kółkiem, był ubrany w obcisłe dzinsy, i opiętą białą koszulkę. Uśmiechał się z rozbawieniem, jakby dokładnie wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa. O tak, był podstępny.

- O co chodziło z tymi stekami, które się marynują w domu? Pierwszy raz słyszę o jakichś stekach, a tym bardziej o miejscu ich pobytu.

- Mam kominek w ogrodzie, jest piątek, ładna pogoda. Cóż innego może robić gorąckrwisty chłopak z Południa, jeśli nie grillować? A poza tym, ja wiem, gdzie ty mieszkasz. Nie chcesz zobaczyć, gdzie ja mieszkam?

Chciała, do diabła. Chciała wiedzieć, czy jest fleją, czy ma jeden fotel i wielki telewizor, czy w jego lodówce są wyłącznie mrożone dania obiadowe, ser i piwo. Chciała wiedzieć, czy zostawia włosy w umywalce, kiedy się goli, czy ścieli rano łóżko, czy zostawia narzutę ciśniętą na podłogę. Tak bardzo chciała się tego wszystkiego dowiedzieć, że miała ochotę jęczeć.

- No więc, gdzie mieszkasz? - zapytała, a on uśmiechnął się, zadowolony z jej kapitulacji.

- Przy Dwieście Osiemdziesiątce, w hrabstwie Shelby.

Tereny w zasięgu metra Birmingham szybko urbanizowały się na południe; Shelby było najszybciej rozwijającym się hrabstwem w Alabamie - firmy i osiedla wyrastały tam jak grzyby po deszczu, i dlatego korki na Dwieście Osiemdziesiątce, głównej arterii prowadzącej do Birmingham, były takim koszmarem, a ceny nieruchomości w Shelby szybowały pod niebo.

- Od jak dawna tam mieszkasz?

- Od roku, od sfinalizowania rozvodu. Poszczyło mi się, że znalazłem ten dom; prawdę mówiąc, należał do kuzyna, który przeniósł się do Tucson. Dom, w którym mieszkaliśmy z Shannon, sprzedał się prawie natychmiast, moja część ze sprzedaży poszła więc na solidny zadatek, i dzięki temu raty kredytu hipotecznego są na rozsądnym poziomie.

- Nie wiem, czemu spodziewałam się, że masz mieszkanie albo mieszkasz w kondominium.

- Cenię sobie prywatność. To nie jest nowy dom, zbudowano go pod koniec lat siedemdziesiątych i trzeba było w niego włożyć trochę pracy. Ale jestem dość sprawny manualnie, sam więc zrobiłem remont i doprowadziłem go do porządku.

Wyobrażała go sobie jako złotą rączkę; wyglądał na zdolnego i zręcznego faceta, który potrafi robić praktycznie wszystko, co go interesuje. Może to było tylko jej dziwactwo, ale zawsze uważała, że faceci z młotkiem są sexy.

Nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale to nie był tradycyjny ceglany dom, z typowym ogródkiem na skarpie z tyłu i schludnym chodniczkiem obrzeżonym żywopłotem. Cegła miała kolor ciepłej czerwieni, okiennice były granatowe, a drzwi pomalowano na odrobinę jaśniejszy odcień granatu. Podjazd zataczał półkole i znikał za domem.

- Jest całkowicie podpiwniczony - powiedział Cahill. - Był tam kiedyś garaż, ale mój kuzyn przerobił go na pokój zabaw dla dzieci. Prawdę mówiąc, to kawał domu jak dla jednej osoby, ale podoba mi się ten pokój w piwnicy.

Zaparkował obok chodnika i otworzył przed nią frontowe drzwi. Albo dopiero co była u niego sprzątaczką, albo nie jest fleją, pomyślała

Sara. Drewniana podłoga w przedpokoju błyszcząca, a w powietrzu unosił się świeży, cytrynowy zapach.

Poczuła ciepły ciężar jego ręki u dołu pleców.

- Salon - powiedział, wskazując na lewo. Pokój był kompletnie pusty, wykładzina bez skazy, zasłony zaciągnięte. - Nie jest mi do niczego potrzebny, nie zwracałem sobie więc głowy meblami. To samo z jadalnią. Kuchnia ma aneks śniadaniowy, i tam jadam. A tu jest pokój dzienny.

Pokój dzienny był przytulny, z dużym kominkiem, dużymi oknami wychodzącymi na ogródek, i wyposażony w sprzęt audio-wideo z wielkim telewizorem. Sara poczuła cichą satysfakcję na widok tego dowodu jego „męskości”. I stały tu meble: miękka sofa oraz dwa rozkładane fotele, a do tego odpowiednia liczba podręcznych stolików i lamp. W sumie wszystko wyglądało dość cywilizowanie. Pokój oddzielała od kuchni półścianka, wykończona białymi tralkami.

- Kuchnia wymagała pracy - powiedział. - Odnowiłem szafki, dołożyłem wyspę. - Szafki wykończone przejrzystym lakierem miały miękką, złotawą barwę naturalnego drewna. Wyspa obudowana była takim samym drewnem, a elektryczna płyta została wpasowana w ceramiczne płytki.

W zlewie nie zauważyła żadnych brudnych naczyń. Na szafkach dostrzegła tylko drewniany blok na noże, mikrofalówkę i ekspres do kawy. W aneksie jadalnym w drugim końcu kuchni stał biały stolik z ceramicznym blatem w żółto-niebieski wzór, cztery krzesła ustawione wokół miały ten sam odcień żółceni, co wzór na blacie stołu, a dywanik po stołem był niebieski.

- Jesteś pewien, że nie byłeś marynarzem? - zapytała, rozglądając się po nieskazitelnej kuchni. Marynarze uczyli się odkładać wszystko na miejsce, bo na pokładzie statku nie było dość wolnej przestrzeni.

Roześmiał się.

- A co, spodziewałaś się chlewu? Pranie czasem się gromadzi, ale lubię porządek. Co dwa tygodnie przychodzi pani i zajmuje się gruntow-niejszym sprzątnięciem, bo mnie się nie chce ścierać kurzu. Chodź, pokażę ci resztę domu.

Resztę domu stanowiły toaleta obok kuchni, dwie spore sypialnie od frontu oddzielone ładną, dużą łazienką i główna sypialnia z własną łazienką. Łóżko miał dwuosobowe, ale i przedtem mogła się założyć, że tak będzie. I było zaścielone. W pokoju panował porządek, ale nie sterylność; na oparciu krzesła wisiała koszula, a na toalecie stał kubek z resztką zimnej kawy.

- A, tu go zostawiłem - powiedział Cahill, biorąc kubek. - Rano wszędzie szukałem tego cholerstwa.

Podobało jej się, że nie uporządkował domu specjalnie, choć i tak nie było takiej potrzeby. Nie musiał mieć idealnego porządku i nie próbował jej zaimponować. Ale jednak jej zaimponował, swoją pewnością siebie i poczuciem własnej wartości.

- Nie wiem jak ty - powiedział - ale ja jestem głodny. Rozpalmy grilla i wrzucmy te steki na ruszt.

Steki były bez kości, grube i tak kruche, że niemal nie wymagały użycia noża. Gdy się rumieniły, Cahill upiekł w mikrofalówce dwa ziemniaki, wymieszał sałatkę i podgrzał bułki. Zamiast wina przygotował dzbanek mrożonej herbaty.

Gdyby włączył jakąś romantyczną, pościelową muzykę, Sara mogłaby mieć jakąś szansę, ale on włączył telewizor na kanał Fox News, i w tle przygrywały im wiadomości. Może i nie próbował jej uwieść - a przynajmniej nie starał się specjalnie - ale i tak świetnie mu to szło.

Kiedy sprzątnęli już naczynia i uporządkowali kuchnię, szybko i bez skrupowania tworząc zgrany zespół, powiedział:

- Chcę ci pokazać piwnicę. Myślę, że ci się spodoba.

Ruszył pierwszy na dół po schodach i zapalił jasne lampy sufitowe.

Pomieszczenie miało ściany z nieotynkowanej cegły, a wzdłuż nich biegle gołe rury. Cahill musiał tu sobie urządzać niezłe treningi, jak zauważyła Sara.

Po lewej znajdowały się ławka do wyciskania sztangi z imponującym zestawem talerzy, i zawieszony na belce worek bokserski. Były tu też atlas, z rodzaju tych, na których można wykonywać wszelkie rodzaje ćwiczeń kulturystycznych, i automatyczna bieżnia.

Cahill stał przy drzwiach, a tymczasem ona podeszła do ławki i powiodła palcem po zimnym metalu talerzy, po czym obejrzała atlas i skomputeryzowaną bieżnię. Poświęcał sporo wysiłku i pieniędzy na utrzymanie się w formie, choć założyłaby się, że bieżnia jest używana tylko podczas naprawdę paskudnej pogody. Odrobina deszczu nie przeszkadzała temu facetowi; pewnie potrzeba by ulewy i burzy z piorunami, by utrzymać go w domu. Bezwiednie zastanowiła się, ile kilometrów dziennie przebiegał, ale tak naprawdę zainteresowała ją duża mata do ćwiczeń, pokrywająca połowę podłogi w piwnicy. Taka mata mogła mu być potrzebna tylko do jednego.

Z tego, w jaki sposób usadził włamywacza kopniakiem, domyśliła się, że ćwiczył karate, ale nigdy o tym nie wspomniał, a tyle rzeczy działo się później, że zapomniała spytać. Zastanawiała się, dlaczego nie poruszył tego tematu, skoro wiedział, że ona też ćwiczy. Jego milczenie nie mogło wynikać z tego, że osiągnął niższy poziom niż ona. Ego Toma Cahilla nie było szczególnie kruche. Raczej wręcz przeciwnie.

- Tutaj ćwiczysz karate?

Opierał się o futrynę drzwi, ze skrzyżowanymi nogami i z rękami założonymi na piersi; spoglądał na nią leniwie spod przymkniętych powiek. Nonszalancko wzruszył wolnym ramieniem.

- To właściwie nie tyle karate, ile mieszanka różnych różności.

- Jakich różności?

- Trenowałem karate, judo, dim mak, silat. Ale w realnym świecie najlepiej się sprawdza połączenie zapasów i starej, dobrej, nieczystej ulicznej bójki.

Pewnie był bardzo dobry w nieczystych chwytach, pomyślała, czując, że serce zaczyna jej bić szybciej. Dlaczego, na Boga, to jej się wydawało sexy? Ale, niech to cholera, wszystko w nim było sexy, od zgrabnego, muskularnego, silnego ciała, po ten denerwujący spokój, dzięki któremu osiągał to, co chciał. Czowała się, jakby była obserwowana przez wielkiego kota; jego bezruch podkreślał tylko napięcie, jakby zbierał się do skoku.

Kiedy jedli, nastrój był lekki, żartobliwy, ale teraz Sara czuła wrzącą chemię, pulsującą między nimi. Powietrze zrobiło się gęste i ciężkie, jakby nadchodziła burza - nie na zewnątrz, ale tutaj. Nie była naiwna; doskonale wiedziała, na jaką burzę się zanosi, i jeśli zamierzała uciec, musiała się ruszyć natychmiast.

- No dobrze - powiedziała żywo, odwracając się ku drzwiom, i, niestety, ku niemu. - Robi się późno, i powinnam...

- Zostań - poprosił.

Jego głos był niski i to jedno powolne i mroczne słowo, przypominało aksamit ocierający się o jej skórę. Zamarła, unieruchomiona obietnicą wyczuwalną w jego tonie, pokusą zawartą w tym jednym słowie. Teraz nie było już żartów, lekki nastrój zniknął.

Wiedziała, że seks z nim będzie dobry. Lepszy nawet od lodów. Oszalamiający. I bardzo się bała, że rozniesie ją w pył.

Odwróciła się na pięcie, stając tyłem do niego. Patrzyła bezmyślnie na worek bokserski, czując, jak serce tłucze jej się o mostek, krew szaleje w żyłach. Było jej gorąco, czuła się rozdygotana... i podniecona.

Jej wnętrze zacisnęło się bezwiednie, jakby miała go już w sobie. Chciała tego, pragnęła tak bardzo, że pragnienie to niemal zadusiło w niej zdrowy rozsądek. Desperacko próbowała sobie przypomnieć wszystkie powody, dla

których nie powinna angażować się z nim w jakikolwiek związek poza seksualnym, ale, Boże, ten seks... Chemia między nimi zagrała jeszcze mocniej, mocniej, niż wyobrażała sobie, że to możliwe, jak pole elektryczne, które wyczuwała przez każdy milimetr skóry.

Nie miała odwagi odwrócić się i spojrzeć na niego ani pozwolić mu, by patrzył na nią. Od pierwszej chwili wiedziałby -jeśli jeszcze nie wiedział - jak bliska jest przepaści. I nie chciała widzieć jawnego seksualnego głodu, który wyzierał z jego oczu, nie chciała wyczytać śladów podniecenia na jego twarzy i ciele.

Zostań... nie tylko na kawę, i żeby jeszcze porozmawiać. Chciał, żeby została na noc, w jego łóżku.

- Nie - powiedziała, i omal nie rozplakała się, tyle wysiłku kosztowało ją wypowiedzenie tego jednego słowa.

Jego dłoń zamknęła się lekko, delikatnie na karku Sary, a palce wsunęły się pod gęstą falę jej włosów. Nie słyszała, kiedy podszedł, i nie wiedziała, że jest tak blisko ten dotyk był raczej pieszczotą niż chwytem. Mogła się odsunąć, gdyby naprawdę chciała. Ale to tu właśnie zaczynał się problem, bo tak naprawdę chciała tylko jego. Skóra mrowiła ją pod tą ciepłą, twardą dłonią, czuła szorstkość palców na wrażliwej skórze szyi. Wyobraźnia podpowiedziała jej nieproszona, jak by to było, gdyby te szorstkie dłonie przesuwały się po całym ciele, i aż zadrżała.

Był wielki - głową sięgała mu do podbródka. Ogarnął ją żar, bijący od niego.

- Zostań - powiedział znów, jakby nie usłyszał odmowy.

Z trudnością czepiała się ostatnich strzepów zdrowej psychiki.

- To by nie było rozsądne.

- Pieprzyć rozsądek. - Jego gorący oddech owiał drobny puszek na karku Sary, znów budząc w niej dreszcz. Niski głos Cahilla zamieniał słowa w broń, którą się posługiwał, by pogłębić intymność między nimi. -Będzie nam

piekielnie dobrze, jestem pewien. - Gładził kark Sary w miejscu, gdzie przedtem oddechem rozgrzał jej skórę. - Jeśli lubisz powoli, zrobimy to powoli. Jeśli lubisz ostro i szybko, to dostaniesz, co zechcesz.

- Muskał ustami i językiem jej kark, a dreszcz przemienił się w drżenie.

- No więc jak? - wymruczał. - Powoli... czy szybko? Powoli... - Polizał skórę w zgięciu jej szyi i ramienia i delikatnie ugryzł. Wrażenie było elektryzujące; drgnęła gwałtownie i jęknęła, a jej głowa opadła bezwładnie i wsparła się na jego ramieniu. - ...Czy szybko?

Zamknął dłonie na jej piersiach, kciuki potarły sutki. Sara bała się, że nogi zaraz odmówią jej posłuszeństwa; słyszała własny oddech, płytki i przyspieszony - niemal sapanie.

- Łagodnie? - szepnął jej do ucha. - Czy ostro? Ostro. Boże drogi, ostro.

Odskoczyła od niego i odwróciła się przodem, opierając się dłońmi o ścianę za plecami. Cahill obserwował ją jak cierpliwy tygrys: wygłodniały, ale pewny, że zdobycz już jest jego. I była. On o tym wiedział, i ona wiedziała. Do wynegocjowania pozostał jeszcze tylko stopień trudności, a duma kazała jej utrudnić mu to zwycięstwo, jak tylko się dało.

- Mam pewną zasadę - powiedziała. W jego oczach błysnęła nieufność.

- A ja chcę ją poznać?

Udało jej się wzruszyć ramionami.

- Pewnie nie.

Potarł dłonią szczękę; popołudniowy zarost zaszeleścił pod jego twardą dłonią.

- No więc?

Uśmiechnęła się, powoli, pewnie.

- Nie sypiam z nikim, kogo mogę pokonać na macie. Nieufność powoli zmieniła się w niedowierzanie. Cahill patrzył na nią zdumiony.

- Jasna cholera! Ty chcesz, żebym się z tobą o to bił? Znów wzruszyła ramionami i powoli podeszła do maty.

- Ja bym tego nie ujęła tak prostacko, ale... tak. Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Saro, to nie jest dobry pomysł. Nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Nie zrobisz - odparła pewnie. Zmrużył oczy.

- Naprawdę sądzisz, że jesteś taka dobra?

Posłała mu przez ramię uśmiech- niemal drwiący. Być może zostanie pokonana, ale zamierzała mieć uciechę z tej przegranej.

- Myślę, że wyleziesz ze skóry, żeby tylko nie zadać mi bólu. Teraz zrozumiał, i wcale mu się to nie podobało.

- Jesteś taka pewna, że będę się hamował, dam z siebie zrobić worek treningowy i pozwolę ci wygrać?

Westchnęła ciężko.

- Jeśli złamiesz mi szczękę albo mnie znokautujesz, będę zbyt obolała, nie mówiąc już o fatalnym humorze, aby robić to, co masz w planach.

- No cóż, ale jeśli ja pozwolę ci się stłuc na kwaśne jabłko, też nie będę w formie, żeby cokolwiek działać.

Wzruszyła jednym ramieniem.

- To dopiero dylemat. Znow potarł twarz dłonią.

Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, a potem nagle się zdecydował. Jego twarz przybrała stanowczy wyraz.

- Dobrze, ale to będą rozbierane zapasy.

Rozbierane zapasy? Cóż za diaboliczna przebiegłość, pomyślała.

- To nie w porządku. Ja nigdy nie trenowałam zapasów, a poza tym jesteś ode mnie cięższy o jakieś trzydzieści pięć kilogramów.

- Raczej czterdzieści pięć - odparł. Sara przełknęła ślinę. To oznaczało, że był jeszcze bardziej umięśniony, niż sądziła. - No już, to był twój pomysł. Przecież wiesz, że nie staniemy twarzą w twarz i nie zaczniemy prać się po gębach, a więc to jest jakieś sensowne wyjście. Przynajmniej jest mało prawdopodobne, że coś ci się stanie. I dam ci fory.

Gdyby dostała fory, pewnie dałaby radę spreżyć się na tyle, żeby to okazało się interesujące. Nie łudziła się, że ma szanse wygrać, ale mogła się postarać, by włożyć w walkę trochę wysiłku.

- Zgoda.

Cahill oparł dłonie na biodrach i przyjrzał jej się uważnie.

- Zrobimy tak: ja będę musiał położyć cię na łopatki, ale tobie wystarczy, jeśli mnie zbijesz z nóg i możesz stosować wszelkie metody, jakie chcesz.

Przegrywa ten, kto pierwszy zostanie całkiem nagi.

Poczuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Na myśl o siłowaniu się z nim nago zakręciło jej się w głowie z pożądania.

- A poza tym - ciągnął - zdecydujemy teraz, co się liczy jako sztuka odzieży i oboje zaczniemy z taką samą liczbą rzeczy.

Skinęła głową.

- To jest w porządku.

- Musisz zdjąć kolczyki. Sztyfty wbijają ci się w głowę. Bez słowa wyjęła złote wkretki i odłożyła na bok.

- Twoja bransoletka i mój zegarek się równoważą. - Spojrzał na jej stopy w sandałach. - Nie masz skarpetek, ja mam więc o dwie sztuki więcej.

- Oboje zaczniemy boso - powiedziała, zsuwając sandały. Cahill zdjął buty i skarpetki.

- Ile ciuchów ci zostało?

- Nie licząc bransoletki, cztery: spodnie, koszulka, stanik, figi.

- Ja mam tylko trzy.

- To włoż z powrotem skarpetki, i będą się liczyć jako jedna sztuka.

Włożył skarpetki i wszedł na matę.

- Czyli mamy równo po pięć sztuk. Pięć rzutów nie zajmie wiele czasu.

Był pewien zwycięstwa, zadufany w sobie drań. Ona też nie wątpiła w jego wygraną - i liczyła na nią - ale jeśli spodziewał się, że wygra w pięciu prostych rzutach, to stanowczo za nisko ją cenił. Potrafiła poruszać się

niezwykle szybko, skoczyła więc jak błyskawica i podcięła mu nogą kostki, zwalając go na tyłek, zanim zdążył odparować atak. Uśmiechnęła się do niego z góry i odsunęła poza jego zasięg.

- Skarpetki - powiedziała.

Bez słowa zdjął skarpetki i rzucił na bok, po czym wstał z maty.

- Szybka jesteś. - Teraz o wiele bardziej miał się na baczności.

Uśmiechnęła się.

- Mój sensei zawsze mi to mówił. Piętnaście minut później Cahill sapnął:

- Touche* - Dysząc chrapliwie, zlął z niej na czworaka. Spojrzał na jej nagie piersi, zatrzymując wzrok na napęczniałych sutkach. - Znowu wygrałem. Zdejmuj majtki.

Z trudem kontrolując oddech, uniosła rękę.

- A co z bransoletką?

- Zostawiam ją sobie na koniec.

Sara podniosła się chwiejnie. Wkładała w opór wszystkie swoje siły, a on prawdopodobnie hamował się, by mieć pewność, że nie zrobi jej krzywdy. Ten sparing trwał już dłużej, niż przewidywała, i nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła znieść ocieranie się tego niemal całkiem nagiego ciała o jej ciało. Ale patrząc na niego, nie wiedziała też, jak długo on zdoła to wytrzymać, lecz na widok jego zaciętej miny żołądek ścisnął jej się z zachwyty.

** 'touche (fr.) -trafiony; określenie używane w szermierce (przyp. red.).*

Odetchnęła kilka razy głęboko, zaczepiła palce o gumkę wyciętych fig i zsunęła je na dół, aż opadły do kostek. Cahill wydał bolesny, zduszony jęk i utkwiał wzrok w trójkącie ciemnych loczków między jej nogami. Nie odwracając oczu, ściągnął szorty.

Teraz to ona musiała zdusić dźwięk, który wyrwał jej się z gardła. Zadrzała, ale wzięła się w garść.

- Czekaj - powiedziała głosem, który jej samej wydał się dziwnie zduszony. - Jeszcze nie wygrałam twoich szortów.

- To udawaj, że ciągle je mam na sobie - zaproponował i skoczył naprzód.

Leżała na macie, nim zdążyła mrugnąć, ale w ostatniej chwili zdołała się wykręcić na tyle, by jej nie przyszpilił. Jego ciężar wbijał ją w matę, przytłaczał, tak jak poprzednio, ilekroć kładł ją na łopatki. Bardzo się starał, by nie zadać jej bólu, ale była teraz równie bezradna, jak za pierwszym razem.

Desperacko wparła stopę w matę i pchnęła, szukając odpowiedniej dźwigni. On przesunął się, by zniweczyć te wysiłki, i jego biodra wsunęły się w otwarty trójkąt między udami Sary; gładki, gorący penis znalazł się w niej. Cahill znieruchomiał; jęknął głucho i pchnął, jakby nie mógł się powstrzymać.

Na ułamek sekundy z mózgu Sary uleciało wszystko prócz palącego pragnienia, by unieść się, by wziąć go w siebie. Ale w ostatnim momencie wykręciła się gorączkowo, psując mu szyki, i zdołała przeturlać się bliżej ściany. Mruknął zajadle, i znów był na niej, nim zdążyła się podnieść.

Ten jego przytłaczający ciężar unicestwił ją, zmiażdżył, wbił w matę. Dłońmi naparł na jej ramiona, pchnął je do dołu.

- Touche - wychrypiał, i było po sparingu. Sapiąc, uniósł się z niej i wstał.

- Leż.

Nie poruszyła się nawet. Była zbyt zmęczona, by zrobić cokolwiek innego, i zbyt go pragnęła, by się ruszyć, nawet gdyby mogła. Zamknęła oczy i chwytając z trudem powietrze, słuchała szelestu jego ubrania. Wyjmuje prezerwatywę, pomyślała, i otworzyła usta, by mu powiedzieć, że jej nie potrzebują, ale on już wrócił i uniósł jej ręce nad głowę. Chłodny, gładki metal zamknął się wokół jej nadgarstków. Rozległ się cichy trzask - była w pułapce.

- Popatrzyła na niego, zdumiona. Kajdanki? Przechyliła głowę, by na nie spojrzeć. Przełożył łańcuszek wokół rurki, zanim zatrzasnął bransolety. Nie zacisnął ich mocno, ale na tyle ciasno, by nie mogła wyjąć dłoni.

- Czy to konieczne?

- Owszem. - Wyciągnął rękę i powoli przesunął dłonią po jej piersiach. - To na wypadek, gdybyś nagle uznała, że to turniej na zasadzie trzy do jednego, i chciała bić się dalej.

- Ja dotrzymuję słowa, Cahill. - Wyprężyła się pod jego dłonią, rozkoszując się jej dotykiem.

- A ja nie ryzykuję. - Pochylił swoją ciemną głowę i pocałował ją. Był to powolny pocałunek, głęboki i mocny. Kiedy go podpuszczała, by z nią walczył, wiedziała, że rozbudzi w nim te wszystkie męskie instynkty wojownika-zdobywcy. Zmiękła pod jego ustami, dając mu wszystko, czego żądał; była to bezwarunkowa kapitulacja.

Rozsunął jej nogi i zawisł nad nią, a ona wstrzymała oddech, czekając, drżąc z pożądania. Odruchowo uniosła biodra.

- Jeszcze nie - mruknął. - Jestem zbyt blisko. Nie wytrzymałbym dziesięciu sekund.

Ja też nie, pomyślała, ale nie powiedziała tego. Nie była głupia; jeśli miał ochotę się guzdrać, to doskonale.

Choć i tak niewiele tu miała do powiedzenia - to on miał kontrolę, a ona mogła tylko leżeć i cieszyć się z jego guzdrania.

Boże, ależ był ciężki. Jego ciało było twarde jak skała, spocone z wysiłku. Rozsunęła nogi szerzej, objęła go udami i uniosła biodra do góry, szukając go. Kiedy go dotknęła, odruchowo poruszyła się, chcąc wziąć go w siebie.

Cahill zaklął i zsunął się niżej, by jej nie kusiło.

- Do diabła, nie potrafisz dać za wygraną, co? - mruknął. - Powiedziałem, jeszcze nie.

- Sadysta. - Nie mogła uleżeć spokojnie; pożądanie doprowadzało ją do szału, jak nieznośne swędzenie, jak niezaspokojony głód. Jej ciało poruszało się pod nim, wykonując zmysłowy taniec, wabiąc go rozsuniętymi udami, gorącą wilgocią.

- Chyba raczej masochista. - Pocałunkami wytyczył ścieżkę w dół jej szyi, przez wypukłość piersi, a w końcu zamknął usta wokół twardego sutka i zaczął gwałtownie ssać. Prąd śmignął od piersi aż do lędźwi Sary, wyginając ją w łuk; Cahill podtrzymał lewą ręką jej biodra i przeniósł usta na drugą pierś.

Nie obchodził się z nią łagodnie. Ustami niemal zadawał jej ból, balansując na cudownej granicy między bólem a rozkoszą. Gdy zbliżył się do tej granicy, przesunął się w dół ciała Sary, całując i skubiąc. Kiedy językiem zaczął sondować płytki pepek Sary, z jej ust wyrwał się krzyk zaskoczenia, a ciało znów wygięło się w łuk. Boże, zaraz doprowadzi ją do finału, tylko całując pepek. Ale i stamtąd szybko zniknął; jego usta powędrowały niżej, a wolna dłoń przemknęła po biodrach i brzuchu Sary, by wsunąć się między jej nogi.

Tak. Tutaj. Tego właśnie pragnęła. Poruszyła się, ocierając o jego dłoń; porwana falą bolesnej niecierpliwości, uniosła biodra. Pragnęła jego palców, jego ust.

- Zrób to - wychrypiała, wciskając się w jego dłoń. - Błagam.

- Chcę, żebyś była gotowa. - Delikatnie dmuchnął na nią chłodząc jej rozgrzane ciało.

- Jestem gotowa! - Pożądanie narastało w takim tempie, że brakowało jej tchu.

- Jeszcze nie całkiem. Jeszcze troszeczkę - mruzczał, pieszcząc ją dłonią, a potem ustami, torturując ją szybkimi muśnięciami języka. Jęknęła, zdruzgotana lawiną wrażeń, ale choć były niesamowite, ona chciała więcej. Chciała poczuć go w sobie. Natychmiast. Ale było za późno. Szamocząc się konwulsyjnie, krzycząc, próbując mu się opierać, poczuła rozkosz nie do zniesienia.

Unieruchomił ją na macie, przeciągając ten moment, trzymając ją na szczycie.

Nareszcie padła bezwładnie. Dzwoniło jej w uszach, gdy usiłowała odzyskać kontrolę nad własnym ciałem.

- Do diabła - powiedział powoli, gardłowo, przesuwając się wyżej wzdłuż jej zwiotczającego ciała. - Nie ma mowy, żebym czekał, aż znów będziesz gotowa.

Nie miała siły nawet otworzyć oczu, gdy zaczął się w niej zanurzać.

O Boże, o Boże. Sara przycisnęła głowę do maty, zmuszając się, by oddychać głęboko, byli idealnie dopasowani - tak idealnie, że łzy napłynęły jej do oczu. Otulała go ciasno, a on był głęboko w niej. Pchnął jeszcze raz i zanurzył się cały, dotykając takiego miejsca w jej wnętrzu, które - nieprawdopodobnie - na nowo rozpałiło jej pożądanie. Nie sądziła, że będzie mogła szczytować jeszcze raz, ale gdy zaczął się w niej poruszać, zrozumiała, że to możliwe. Żar zaczął narastać, zmienił się w głód, uniósł jej ciało ku niemu.

Poruszał się w niej gwałtownie, wiedziony w tej chwili własną ślepą żądzą. Każde pchnięcie przybliżało ją coraz bardziej i bardziej do tego momentu, kiedy napięcie staje się nieznośne, kiedy żar jest nie do wytrzymania, a zakończenia nerwowe nie są w stanie przyjąć nic więcej. Napierał coraz mocniej i mocniej, i była już prawie u kresu, prawie...

Nagle jego potężne ciało wygięło się i wyprężyło, drżąc i pulsując. Ochrypli, dziki okrzyk wyrwał się z jego gardła, gdy chwycił ją za biodra i pociągnął jeszcze bliżej siebie. W końcu, powoli, padł na nią bezwładnie.

Słaby, dziki jęk zawibrował w jej gardle, Już prawie... prawie.

Pragnęła poczuć go jeszcze głębiej. Zaczęła gorączkowo szarpać kajdanki.

- Rozkuj mnie - wysapała.

- Boże -jęknął. - Daj mi minutkę.

- Teraz! - wrzasnęła, oszalała z niespełnienia, które było tuż w zasięgu ręki. Szarpała kajdanki jak dzikuska. - Zdejmij je!

- Dobrze, już, tylko się nie ruszaj! - Przytrzymał ją, wyjmując kluczyk spod krawędzi maty, gdzie wcześniej go schował. Wyciągnął się na Sarze, by sięgnąć do kajdanek, siłą rzeczy wbijając się w nią głębiej; wtedy wydała z siebie dźwięk niepokojąco przypominający wycie. Cahill, zaniepokojony, że zadał jej ból, pospiesznie rozpiął kajdanki i zaczął się wycofywać.

Sara rzuciła się w górę, opasując go nogami i rytmicznie poruszając biodrami, wbijając się na niego, czując szczyt coraz bliżej... bliżej... Krzyknęła, porwana orgazmem bardziej intensywnym niż wszystkie poprzednie, tak potężnym, że pozbawił ją tchu, myśli, wzroku. Usłyszała, że i on wydał z siebie nieludzki jęk; w następnej chwili poczuła jego pchnięcia, i ramiona zaciśnięte wokół niej, gdy znów zaczął szczytować.

Albo zemdląca, albo zasnęła; sama nie była pewna. Powoli wracała jej świadomość, czuła chłodny powiew powietrza na mokrej skórze, dotyk maty lepiącej się do jej nagiego ciała, ciężar mężczyzny leżącego na niej bezwładnie. Jego nierówny oddech zwolnił do normalnego rytmu, mówiąc jej, że minęło przynajmniej kilka minut.

Czyżby zasnął? Zdołała unieść rękę i dotknąć jego ramienia. Poruszył się i odwrócił głowę, wtulając twarz w zagłębienie między jej szyją a obojczykiem.

- Boże - wymamrotał niewyraźnie. - Pierwszy raz w życiu przeżyłem coś takiego. Mało mnie to nie zabiło.

Roześmiałyby się, gdyby miała siłę, ale sama była ledwie żywa.

Powoli, z nieprawdopodobnym wysiłkiem, dźwignął się z niej i położył się obok. Leżał na plecach, zakrywając oczy przedramieniem, oddychając głęboko. Po minucie zaklął.

- Błagam, powiedz, bierzesz pigułki.

- Bierzesz pigułki - powtórzyła posłusznie, jak papuga. Jęknął przeciągle, boleśnie.

- Cholera jasna.

Tym razem naprawdę się roześmiała, choć trochę słabo. .

- Naprawdę biorę pigułki.

Unióś rękę na tyle, by spojrzeć na nią jednym okiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Nie żartowałabyś sobie z biednego, okaleczonego wraku człowieka?
- Żartowałabym, ale nie w takiej sprawie.
- Dzięki Bogu. - Spróbował usiąść, zachwiał się i padł z powrotem. -

Zaraz wstanę.

To dopiero twardej. Sara doskonale wiedziała, że jej nogi odmówiłyby posłuszeństwa.

- Jesteś pewien?
- Nie - przyznał, i zamknął oczy.

Rozdział 17

Cahill leżał na niej ciężko, jego wielkim ciałem wstrząsały ostatnie dreszcze orgazmu. Byli w jego łóżku, wokół panowały chłód i ciemność. Sara nie miała pojęcia, która jest godzina; mogłaby unieść głowę i spojrzeć na elektryczny budzik na nocnej szafce, ale nie miała siły. I czas też nie miał znaczenia; jedyne, co się liczyło, to druzgocąca świadomość, że ma kłopoty.

Nie mogła powiedzieć, że nie wiedziała, co robi. Wpakowała się w tę sytuację z otwartymi oczami, wiedząc, że i tak jest bezbronna, zbyt bliska zakochania się w nim, i że pójdzie z nim do łóżka sprawi, że stanie się jeszcze bardziej bezbronna.

Wiedziała, a i tak to zrobiła.

Nie chodziło o seks - choć Bóg świadkiem, że słowo, które opisywało go najlepiej, to „za”: za ostry, za sprośny, za potężny. To nie był tylko seks, lecz tworzenie więzi... przynajmniej z jej strony. I w tym właśnie tkwił problem.

Nie chciała go kochać. Sądziła - miała nadzieję - że zdoła ochronić tę najgłębszą część siebie, że nie pozwoli jej naruszyć. Poniosła sromotną klęskę, bo nie była przygotowana na to, że on pod każdym względem okaże się idealnym partnerem dla niej. Odpowiadali sobie nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie, a nawet jeśli chodziło o osobowość. Mogła już nigdy w życiu nie

spotkać faceta, który pasowałby do niej tak idealnie jak Cahill, i gdyby ich związek nie udał się, wiedziała, że będzie bolało bardzo, bardzo długo.

Wciąż obejmowała go za szyję, nogami przyciskała jego biodra. Od chwili, kiedy weszli na górę i padli do łóżka - a to musiało być kilka godzin temu - nie dotykali się w sumie może przez pięć minut. Tulili się i głaskali, całowali i drzemali w płataninie rąk i nóg, i kochali się z drapieżnym głodem. To nie był tylko wynik seksualnego postu, choć ona pościła długo; ani też pierwsza fascynacja nową miłością. To było coś innego, coś więcej.

Gdy tak odpoczywali, ich serca zwolniły, zsynchronizowały rytm. Cahill musnął twarzą jej szyję, a potem delikatnie zsunął się z niej i padł na bok.

- Jezu, ależ jestem głodny.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przegonił jej niewesołe myśli; wybuchnęła śmiechem.

- Powinieneś powiedzieć coś romantycznego, Cahill. Gdzie się podziało choćby: „Było wspaniale”?

Ziewnął i się przeciągnął. Włączył nocną lampkę i oparł się na łokciu, patrząc na Sarę sennym, zaspokojonym wzrokiem.

- Jak się dobrze wsłuchasz, to też usłyszysz wołanie czekoladowych ciastek.

- Czekoladowych? Dlaczego nie powiedziałeś od razu? - Pozbierała się z łóżka i ruszyła do łazienki. - Spotkamy się w kuchni.

- Lubisz na gorąco czy na zimno?! - zawołał za nią, naciągając czarne bokserki.

- Rozciapane.

- Czyli na gorąco.

Weszła do kuchni, kiedy nalewał mleko do dwóch szklanek. Gdy mikrofalówka brzdęknęła, wyjął z niej talerz ze stertą ciastek z wiórkami czekolady.

- Pożyczyłam sobie koszulkę - powiedziała, siadając. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz. - Koszulka sięgała jej prawie do połowy ud.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Wygląda na tobie lepiej niż na mnie. - Usiadł naprzeciw niej i postawił talerz na środku stołu. - Proszę.

Zabrała się do jedzenia. Ciastka były ciepłe i miękkie, kawałki czekolady roztopiły się dokładnie tak, jak lubiła. W połowie drugiego spytała:

- Która jest godzina?

- Dochodzi czwarta. Sara jęknęła.

- Już prawie świta, a myśmy jeszcze nie spali. W każdym razie nie-wiele.

- A co to za różnica? Jest sobota. Możemy spać tak długo, jak chcemy.

- Ja nie mogę. Muszę wracać do domu.

- Dlaczego?

Przyglądała się okruszkom, które spadły, gdy ugryzła ciastko.

- Chcesz usłyszeć jakiś inny powód oprócz tego, że mam tam pigułki antykoncepcyjne?

Spojrzał na nią nad brzegiem szklanki, wypijając potężny łyk mleka.

- Owszem - wyszeptał. - Pigułki są ważne, ale chcę usłyszeć inny powód.

- Znasz to powiedzonko: przegap jedną, a jesteś idiotką. Przegap dwie, a jesteś mamusią. - Zaczerpnęła powietrza. Była szczerą ze sobą, i on także zasługiwał na szczerą. - I muszę trochę ochłonać.

- Ochłonać? Po czym?

- Po tym. Po tobie. Po seksie. To było... to było...

- Potężne przeżycie - powiedział, kończąc za nią zdanie. - Dla mnie też.

Dlaczego więc uciekasz?

- To nie ucieczka, to tylko mały odwrót na z góry upatrzone pozycje. - Obwiodła palcem brzeg szklanki i spojrzała na niego. Siedział naprzeciw, obserwując ją tymi swoimi oczami gliny; szczękę miał ciemną od całodziennego

zarostu. - Myślę, że dla mnie to potężniejsze przeżycie niż dla ciebie, i to dla mnie naprawdę duże ryzyko.

- Nie tylko ciebie to dotyczy, Saro. Nie możesz mówić o stopniach uczuć, jakbyś porównywała termometry.

- Mogę, skoro to na moim jest wyższa temperatura.

- Nie możesz tego wiedzieć na pewno. Zamrugła, patrząc, jak spokojnie je ciastko.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przyszła pora wyznać? - Potarł dłonią kark. - Cholera, nie jestem dobry w takich gadkach o żadnej porze, a tym bardziej o czwartej nad ranem. Ale posłuchaj: nie wiem dokładnie, co jest między nami, ale wiem, że coś jest. Wiem, że nie chcę, żebyś sobie poszła. Wiem, że pragnę cię tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie pragnąłem, i wiem, że jesteś kobietą, która nie lubi się tylko zabawić. Dla mnie to też nie jest zabawa. Możesz się więc wycofać, jeśli się boisz podjąć ryzyko, albo możemy się przekonać, dokąd nas to zaprowadzi.

Patrzyła na niego, czując, jak w jej wnętrzu narasta uczucie szczęścia, jakby zakwitał kwiat. Spodziewała się, że on się wycofa po jej wyznaniu, że jest emocjonalnie zaangażowana. Nie powiedziała słowa na „M”, ale właściwie niewiele to zmieniło; nie mógł nie zrozumieć, co miała na myśli. On też nie wypowiedział słowa na „M” - ale nie miał tej zażenowanej miny, która pojawia się na twarzy faceta, kiedy kobieta zaczyna się za bardzo kleić, a on marzy już tylko o tym, by uciec od niej jak najdalej.

Cahill był mocno poharatany; ona z kolei miała stosunkowo całą skórę. Może fakt, że było to dla niej całkowicie nieznane terytorium, sprawiał, że bała się bólu. Ale jeśli Cahill chciał zaryzykować, to i ona mogła.

- No dobrze - powiedziała spokojnie. I co teraz?

- Proponuję, żebyśmy dokończyli mleko i ciastka i wrócili do łóżka.

- A potem co?

W jego spojrzeniu dostrzegła cień irytacji.

- Chcesz sobie to zapisać w terminarzu, czy co?

- Mam świra na punkcie organizacji. Zrób mi tę przyjemność.

- W porządku. Wiem, że masz robotę. Ja mam swoją. W niektóre dni ja nie będę miał zbyt wiele wolnego czasu, w niektóre ty będziesz bardzo zajęta. Jeśli więc nie chcesz się do mnie wprowadzić... Nie? -upewnił się, kiedy pokręciła głową. - Tak też myślałem. Przynajmniej jeszcze nie. W takim razie, tak jak przez ostatni tydzień, będziemy razem spędzać wolny czas. Zapewne nieczęsto uda nam się pójść na kosmiczne kręgle...

- A mnie się tak spodobały - mruknęła, na co odpowiedział jej pełnym uznania uśmiechem.

- ...ale mogę ci obiecać, że zrobię, co w mojej mocy, żeby cię zabawić. Co ty na to?

- Hm, nie wiem. A co masz na myśli?

- No więc, na początek, pomyślałem sobie, że przelecę cię na wylot. A potem, na dokładkę, pomyślałem sobie, że przelecę cię na wylot.

- Dokładnie to, co lubię - odparła. - Urozmaicenie. Odstawił talerz z ciastkami na blat szafki, a szklanki do zlewu.

- Jeśli chcesz urozmaicenia - powiedział, odwracając się, by podnieść ją z krzesła - to co myślisz o stole?

Jej serce zaczęło łomotać na widok tego skupionego spojrzenia spod ciężkich powiek, które oznaczało, że jest podniecony.

- To bardzo ładny stół.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział i posadził ją na blacie.

Weekend spędzili razem. Sara uparła się, że trochę czasu poświęci na pakowanie i inwentaryzację rzeczy w domu sędziego, więc Cahill pomagał jej. Ponieważ nie był to jej dom, nie zaprosiła Cahilla na noc, spakowała tylko trochę ubrań i przyborów toaletowych i swoim samochodem pojechała do niego. Resztę dnia spędzili w łóżku. Ku radości Sary niedziela wyglądała mniej więcej tak samo jak sobota. Odłożyła na bok wszelkie niepokoje i pozwoliła, by sprawy

między nimi toczyły się swoim rytmem. Bo cóż innego, poza ucieczką, mogła zrobić? Była z natury ostrożna, ale ucieczka - to nie w jej stylu.

Wczesnym rankiem w poniedziałek wróciła do domu i z determinacją zabrała się do pracy. O dziesiątej zadzwoniła Barbara, odrywając ją od składania i pakowania ręczników i myjek. Było ich tyle, że można by w nie wyposażyc oddział wojska.

- Rozmawiałam z pośrednikiem - powiedziała Barbara. - Zjawi się tam dzisiaj, żeby wystawić tablicę, nie zdziw się więc, kiedy zobaczysz kogoś na podwórku. Kilka osób nawet dzwoniło już do mnie do domu, wiesz, znajomi, którzy znają kogoś, kto szuka domu w Mountain Brook, może więc nie będzie problemu ze sprzedażą.

- Też tak sędzę - odparła Sara, myśląc, że może jednak nie mieć całego miesiąca na szukanie pracy.

- Przylatuję podczas tego weekendu, żeby ci pomóc spakować ubrania i osobiste rzeczy taty. - Jej głos trochę zadrżał. - Nie mam ochoty tego robić, ale muszę się przemóc. To wszystko wciąż wydaje mi się nierealne, i może... może uporządkowanie jego rzeczy coś zmieni.

- Chcesz, żebym cię odebrała z lotniska?

- Nie, wynajmę samochód, żeby mieć transport bez zawracania ci głowy. Ale czy możesz mi zarezerwować pokój w Wynfrey? Chyba nie mogłabym nocować w domu.

- Z przyjemnością. Chcesz apartament?

- Zwykły pokój wystarczy, skoro będę sama. Saro, wiesz, jak długo trwa potwierdzanie autentyczności testamentu. Rozmawiałam o tym z Jonem i Randallem, i wszyscy się zgadzamy, że jeśli potrzebujesz tych pieniędzy, które zostawił ci tato, to wypłacimy ci je z własnych kont i odbierzemy sobie ze spadku, kiedy wszystko będzie załatwione.

- Och, nie, nie róbcie tego - odparła zszokowana Sara. - Nie potrzebuję pieniędzy i naprawdę nie chcę, żebyście...

- Nie kłóć się - powiedziała stanowczo Barbara. - Tato zostawił ci te pieniądze i koniec.

Sara nie mogła powiedzieć nic więcej, prócz:

- Dziękuję. Ale naprawdę nie potrzebuję ich teraz.

- No dobrze, ale gdybyś zmieniła zdanie, wystarczy, że mi powiesz. Ach, tak przy okazji, napisałam ci też referencje; przywiozę je ze sobą, przypomnij mi więc, żebyś mi je dała. Byłaś wspaniała i nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła smutno Sara, bo to naprawdę była przyjemność, służyć sędziemu i jego rodzinie.

W poczcie tego dnia znalazła kolejną ofertę pracy. Sara przeczytała ją i odłożyła razem z innymi. Ta nie wymagała objęcia posady od zaraz, była więc do rozważenia. Sara postanowiła zadzwonić później i umówić się na rozmowę.

Ku jej zdumieniu w skrzynce codziennie znajdowała jakąś ofertę, a kilka propozycji złożono jej telefonicznie. Te odrzucała natychmiast, ponieważ wolała, gdy zachowywano pewne formy. Mimo wszystko była zdumiona liczbą ofert; jej usługi nie były tanie, nie spodziewała się więc takiego rogu obfitości.

- To przez tę telewizyjną reklamówkę - stwierdził Cahill, kiedy powiedziała mu o tym we czwartek wieczorem. Siedzieli razem w jego fotelu przed telewizorem; Cahill trzymał ją na kolanach. Była dumna, że oglądają telewizję; to był pierwszy wieczór, kiedy nie poszli prosto do łóżka po kolacji. - Jesteś poniekąd sławną osobistością, niektórzy chcą cię więc zatrudnić, czy cię potrzebują, czy nie.

- Ja nie szukam takiej pracy, w której będę dla kogoś tylko symbolem statusu. Sędzia Roberts naprawdę potrzebował kogoś do organizacji i prowadzenia domu. Był w podeszłym wieku, mieszkał sam, miał problemy ze zdrowiem i nie chciał sobie zawracać głowy drobiazgami.

- A do tego potrzebował twoich umiejętności ochroniarskich. Sara zamilkła, bo jej umiejętności ochroniarskie nie na wiele mu się zdały. Kiedy sędzia jej potrzebował, jej nie było na miejscu.

- Hej - rzucił miękko Cahill. - To nie była twoja wina. Nie mogłaś temu zapobiec. Kimkolwiek jest ten człowiek, nie wydałby ci się podejrzany, bo sędzia go znał i zaprosił do domu. Zostałabyś z nimi w bibliotece, podczas rozmowy?

- Nie, oczywiście że nie.

- Jak zatem mogłabyś go powstrzymać? Facet zapewne użył tłumika, nie usłyszałabyś nawet wystrzału.

- Ale przynajmniej mogłabym go zidentyfikować... - Umilkła, myśląc nad tym, co powiedziała. - Musiałby zabić i mnie.

Ramiona Cahilla objęły ją mocniej.

- Musiałby, bo znałabyś jego nazwisko, wiedziałabyś, jak wygląda. Chwała Bogu, że poszłaś do kina. - Ucałował ją w czoło i przechylił jej głowę do tyłu, by pocałować ją w usta; całus przedłużał się, w końcu pomyślała, że chyba nie pooglądają długo telewizji.

- Jak mówiłaś, kiedy przylatuje pani Pearson? - zapytał, unosząc głowę.

- Jutro wieczorem.

- Czy to znaczy, że nie będziesz tutaj spać?

- Nie mogę - odparła z żalem.

- To dlaczego tracimy czas?

Później, kiedy zgasił już światło i senni leżeli obok siebie, powiedział:

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pozwól, że sprawdzę tych ludzi, którzy przysłali ci oferty.

- Po co? - zapytała, tak zdumiona, że aż uniosła głowę. - Myślisz, że coś jest z nimi nie tak? - Nie rozumiała, co mogłoby być nie w porządku.

- Nie, nic konkretnego. To tylko ostrożność. Zrób mi tę przyjemność.

- Dobrze, jeśli chcesz.

- Chcę - odparł stanowczo.

Rozdział 18

Bardzo często przyjmujemy gości. - Merilyn Lankford upiła łyżeczek kawy z przejrzystej porcelanowej filiżanki w kolorze kości słoniowej; wielki żółty brylant na jej palcu zamigotał w promieniu słońca. -I podróżujemy, potrzebny jest nam więc ktoś, kto zajmie się domem, kiedy nas nie ma. - Nagle uśmiechnęła się, oczy jej rozbliły. - Zawsze mówiłam Sonny'emu, że potrzebuję żony. Pani Stevens, czy wyjdzie pani za mnie?

Sara nie mogła się nie roześmiać. Pani Lankford była drobną, energiczną brunetką z artystycznymi pasemkami, które ukrywały siwiznę w jej włosach. Miała jasne, zielone oczy, które zapraszały cały świat, by śmiał się razem z nią, i wiecznie wypełniony terminarz. Jej dwie córki były dorosłe; starsza już zamężna, a młodsza właśnie kończyła college. Merilyn pracowała w agencji nieruchomości i działała w kilku instytucjach charytatywnych; miała też męża, prowadzącego dwie kwitnące firmy, których prosperity zależała od kontaktów handlowych - stąd częste przyjęcia. Sędzia Roberts pochodził z bogatej rodziny; Lankfordowie byli nowobogacy w każdym calu i rozkoszowali się każdym centem ze swojej nowiutkiej fortuny.

Dwa lata wcześniej zbudowali sobie rozłożysty, krzykliwy dom w hiszpańskim stylu, pełen nisz i zakątków, sklepionych alków, ceglanych dziedzińców; było tu wszystko, co tylko wpadło im do głowy, łącznie z fontanną w centrum domu i basenem o olimpijskich wymiarach. Pan Lankford miał pokój, który nazywał salą multimedialną, zapchany tym co obecnie mogła zaoferować elektronika, od komputera po sprzęt audio-wideo, a przede wszystkim był tam wielgachny telewizor, bez którego najwyraźniej żaden mężczyzna nie czuł się spełniony. Oprócz tego znajdowała się tu osobna sala kinowa z rozwijanym ekranem, dziesięcioma rozkładanymi fotelami kinowymi obitymi drogim aksamitem, i z systemem Dolby Surround. Lankfordowie mieli

oddzielne marmurowe łazienki, garderoby wielkości przeciętnego domu, dziesięć łazienek dla gości, osiem sypialni i tyle pieniędzy, że najwyraźniej nie wiedzieli, co z nimi robić.

Na widok całego tego przepychu Sarze chciało się śmiać, tak wydawał jej się przesadny. Było też oczywiste, że Merilyn jest zachwycona wszystkimi detalami swojego nowego domu, od najgłupszych po najbardziej luksusowe. Wiedziała, że dom jest pretensjonalny, ale nie przejmowała się tym. Chciała mieć wpuszczaną w podłogę marmurową wannę, było ją na nią stać, po prostu ją więc sobie sprawiła.

Lankfordowie, a szczególnie Merilyn, spodobali się Sarze. Z jej punktu widzenia warunki posady były dobre: miała do dyspozycji oddzielne mieszkanie - a właściwie mały, w pełni umeblowany bungalow w hiszpańskim stylu, mieszczący się za basenem i częściowo ukryty za gęstą ścianą bluszczu. Merilyn musiała zapłacić krocie za przesadzenie wyrośniętego bluszczu, ale efekt okazał się wspaniały.

A co ważniejsze, Merilyn naprawdę jej potrzebowała. Pozostali potencjalni pracodawcy, jak wyczuwała, widzieli w niej raczej trofeum czy symbol statusu. Dostała nawet drugą propozycję od człowieka, który próbował ją podkupić po reportażu w telewizji. Tacy ludzie nie potrzebowali jej naprawdę, a podejście pracodawcy było dla niej bardzo ważnym czynnikiem przy rozważaniu ofert.

Cały ten proces szukania pracy zaczął wyglądać trochę dziwnie. To z nią powinno się przeprowadzać rozmowy o pracę, nie odwrotnie, ale Sara wciąż miała wrażenie, że to ona prowadzi casting. O takim zjawisku nie uczono jej w szkole, udawała więc, że tego nie zauważa. Wiedziała, że którąkolwiek posadę wybierze, po jakimś czasie sprawy potoczą się naturalnym rytmem i jej pracodawcy przyzwyczają się do traktowania jej tak, jak powinni.

Rozmowa z Lankfordami była czwarta z kolei i mogła się okazać ostatnią. Sprawy z domem sędziego posuwały się naprzód szybciej, niż przewidywała

rodzina; zaledwie tydzień po wystawieniu domu na sprzedaż pośrednik dostał poważną ofertę, a kupujący chcieli podpisać umowę natychmiast. By przygotować dla nich dom, z polecenia Barbary Sara zatrudniła dodatkową siłę roboczą do pomocy przy pakowaniu i wyprowadzce. Dom był prawie pusty; zostały tylko rzeczy w jej mieszkaniu.

Meble nie należały do niej, podobnie jak naczynia i sprzęty kuchenne. Miała własną bieliznę pościelową, bo wołała jedwabne prześcieradła, ale prócz tego zostały jej do przeniesienia właściwie tylko osobiste drobiazgi - ubrania, przybory toaletowe, książki, sprzęt audio i kolekcja kaset oraz płyt CD. Cahill powiedział jej, że nie musi się spieszyć z szukaniem nowej pracy, że zawsze może wprowadzić się do niego i szukać spokojnie, ale jej to nie odpowiadało. Chciała mieć więcej niezależności, bez względu na to, ile czasu spędzała w jego domu.

Gdy omówiły pensję, obowiązki, premie i wolne dni, Merilyn uśmiechnęła się promiennie jak cheerleaderka.

- To kiedy może pani zacząć? Sara zdecydowała się natychmiast.

- Za dwa dni. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, przeniosę swoje rzeczy do bungalowu już jutro. Muszę usiąść z panią oraz pani mężem i omówić wasz rozkład dnia i oczekiwania, i chciałabym też, jeśli to możliwe, dostać plan domu.

- Jest straszny, prawda? Dam pani komplet planów architekta; zostało nam chyba z dziesięć czy piętnaście kopii - odparła wesoło Merilyn. - Sami zbudowaliśmy ten dom, a i tak czasami się gubię i muszę wyrzeć przez okno, żeby zobaczyć, gdzie jestem. Wie pani, jeśli dziś wtorek, to jestem w bawialni. Oczywiście w filmie to była Belgia, nie bawialnią, ale wie pani, co mam na myśli.

- To musi być zabawne - odparła Sara z uśmiechem.

- Bardziej niż pani sobie wyobraża. Budowanie tego domu było prawdziwą przygodą; doprowadzaliśmy wykonawcę do szalu, bo prawie

codziennie wpadały nam do głowy nowe pomysły, co jeszcze byśmy chcieli, ale też ciągle wypłacaliśmy mu premie, dobrze więc na tym wyszedł. Nie będziemy budować więcej domów, chyba że, Boże broń, ten się spali, czy coś w tym rodzaju, zaszaleliśmy więc na całego. Pierwszej nocy bawiliśmy się tutaj w chowanego, jak dwójka dzieciaków. Nie mogę się już doczekać wnuków, żebym mogła się z nimi bawić w chowanego, tyle tu jest wspaniałych kryjówek. - Nagle stuknęła się w głowę. - Co ja wygaduję? Jestem za młoda na babcię! Nie wiem, co się ze mną dzieje. Od jakiegoś roku takie kwestie same wyskakują mi z ust. Myśli pani, że potrzebuję hormonów?

Sara się roześmiała.

- Albo wnuków.

- Bethany, moja starsza córka, ma ledwie dwadzieścia cztery lata i wydaje mi się taka młoda... za młoda, żeby zakładać rodzinę, mam więc nadzieję, że poczeka jeszcze kilka lat. Ale ja miałam ledwie dwadzieścia lat, kiedy ją urodziłam, i wtedy nie wydawało mi się, że jestem za młoda.

- Tak to już jest - mruknęła Sara.

Ustały bardzo proste warunki umowy, a Merilyn dała Sarze zestawy kluczy do bungalowu i głównego domu, kody do bramy i systemów alarmowych, i kopię planów architektonicznych - wielką rolkę zawierającą chyba ze trzydzieści płacht i ważącą ze dwa kilogramy. Sara zdumiona prędkością, z jaką Merilyn załatwiała sprawy, pojechała do domu i zadzwoniła do Barbary, by ją zawiadomić, że skończyła już pakowanie i sprzątanie, i jeśli nie wyskoczy nic nieprzewidzianego, jutro się wyprowadzi, zwalniając dom dla nowych właścicieli.

- A gdzie będziesz? - zapytała Barbara. - Nie chciałabym tracić z tobą kontaktu, Saro. Byłaś członkiem naszej rodziny prawie przez trzy lata i nie wyobrażam sobie, żebym miała nie wiedzieć, gdzie jesteś i jak można się z tobą skontaktować.

- Przyjęłam posadę, u Sonny'ego i Merilyn Lankfordów, na Brook-wood.

- A - powiedziała Barbara. - Nowobogaccy. - Dzielnica mówiła wszystko.

- Bardzo nowo, i mają z tego ogromną frajdę.

- W takim razie Bóg z nimi. Masz pod ręką ich numer?

- Mam nawet prywatną linię, pozwól więc, że podam ci ten numer. -

Zdażyła go już zapamiętać. - A poza tym masz jeszcze numer mojej komórki, prawda?

-W notesie. Zadzwoń do banku i każę przelać ci jutro na konto pensję za ten miesiąc. I uważaj na siebie, słyszysz?

- Ty też.

Odłożywszy słuchawkę, Sara dała sobie chwilę na rozejrzenie się po dwóch przytulnych pokojach, które były jej domem; w końcu jednak otrząsnęła się ze smutku i nostalgii i zabrała się żywo do pakowania książek. W przerwie zadzwoniła do mamy i opowiedziała o swojej nowej posiadzie, podała jej też telefon i adres. Tato czuł się dobrze; Jennifer sądziła, że może być w ciąży - to dopiero niespodzianka, starała się przecież raptem od miesiąca - a Daniel wrócił do swojej macierzystej bazy w Kentucky. Wszyscy byli cali i zdrowi.

Pracowała spokojnie, myśląc o tym, co zdażyła zobaczyć w domu Lankfordów, układając grafik mycia setek okien i sprzątnia setek zapuszczonych pokoi. Samo sprzątnie należało do gosposi i wynajętych sprzątaczy, ale to Sara miała wszystko organizować i nadzorować. Dom był co najmniej dwa razy większy niż dom sędziego, przewidywała więc, że same tylko codzienne obowiązki zajmują jej znacznie więcej czasu niż dotąd.

Podskoczyła ze strachu, gdy zadzwoniła jej komórka. Wyjęła ją pośpiesznie z torebki.

- Halo.

- Chciałem tylko spytać, kiedy będziesz - powiedział Cahill swoim głębokim, zrelaksowanym głosem.

Sara spojrzała na zegarek i skrzywiła się, bo zupełnie straciła poczucie czasu; była prawie siódma.

- Przepraszam, pakowałam swoje rzeczy i nie patrzyłam na zegarek.

Jesteś w domu?

- W drodze. Ja też jestem spóźniony. Chcesz się ze mną gdzieś spotkać na kolację?

Spojrzała na swoje ubranie; zanim wzięła się do pakowania, przebrała się w dzinsy, które teraz były poplamione i zakurzone.

- Jestem za bardzo brudna, żeby jeść na mieście. Chcesz, żebym kupiła coś po drodze?

- Ja mogę kupić. Co powiesz na zestaw od Jimmiego?

U Jimmiego była małą rodzinną knajpką, w której serwowano zestawy obiadowe - mięso i trzy sałatki za pięć dziewięćdziesiąt pięć albo cztery sałatki za cztery dziewięćdziesiąt pięć, a do tego do wyboru bułka albo chleb kukurydziany. Tygodniowe menu nigdy się nie zmieniało. Dziś był wtorek, ale nie byli w Belgii - we wtorki U Jimmiego był klops.

- Dobry pomysł. Dla mnie sama zielenina i chleb kukurydziany. Wiesz, które sałatki lubię. - Powinien; przez ostatnie dwa tygodnie byli tam chyba z siedem razy.

- Jak długo ci jeszcze zejdzie?

- Dam sobie już spokój. Zresztą i tak prawie skończyłam.

- W takim razie do zobaczenia za jakieś pół godziny. Jeśli dotrzesz do domu przede mną, zostaw rzeczy w samochodzie, to ci je wniosę, jak przyjadę.

Rozłączył się, a Sara skrzywiła się do słuchawki.

- Do diabła - mruknęła. Cahill myślał, że ona się do niego wprowadza, mimo że za każdym razem, gdy o tym wspominał, odrzucała propozycję.

Może to było z jej strony staroświeckie, a nawet głupie, ale nie podobał jej się pomysł mieszkania z nim. Zostać na noc to jedna sprawa; prawdę mówiąc, spędziła u niego prawie wszystkie noce, od kiedy zostali kochankami. Ale mieszkanie z facetem brała pod uwagę tylko w sytuacji, gdyby byli

małżeństwem albo przynajmniej narzeczeństwem. Cahill prosił ją o przeróżne rzeczy, ale ręki wśród nich nie było. Dopóki więc...

Dopóki?

Ostro ściągnęła cugle. Czyżby podświadomie chciała za niego wyjść? Czyżby jej serce nie słuchało tych wszystkich wykładów o niebezpieczeństwach wiązania się z mężczyzną, który niedawno przeżył trudny rozwód? Czyżby mimo wszystko była w nim tak zakochana, że już dopisywała sobie „żyli długo i szczęśliwie”?

Do diabła, tak. Właśnie tak.

Jej głupotę przerastał tylko jej optymizm. Zamknęła oczy, trochę ubawiona własnymi rozmyślaniami, a trochę przerażona. Cóż, nadzieja jest matką głupich. Jedyne, co mogła w tej chwili zrobić, to rozegrać karty, które miała w ręce, i zobaczyć, co będzie dalej.

Zapakowała kilka pudeł do terenówki, umyła twarz i ręce, i w końcu pozamykała dom, jak zawsze sprawdzając wszystkie drzwi i okna i upewniając się, że alarm jest włączony. Jeszcze tylko raz będzie to jej obowiązkiem; potem zajmie się już wyłącznie Lankfordami i ich wygodą oraz rozkładem dnia.

U Jimmiego widocznie był ruch, bo Cahill jeszcze nie wrócił, kiedy do niego dojechała. Weszła do domu, używając zapasowych kluczy, które jej dał, i wskoczyła pod prysznic, by splukać z siebie resztę kurzu z pudeł. Owinęła się we frotowy szlafrok, który sobie tutaj zostawiła, i wychodząc z łazienki, usłyszała, że otwierają się kuchenne drzwi.

- Kochanie, już wróciłem! - zawołał. Uśmiechnęła się do niego, wchodząc do kuchni. Postawił porcje na wynos na stole i wyjmował właśnie dzbanek mrożonej herbaty z lodówki. - I umieram z głodu - dodał.

- Ja też. Czemu tak późno wracasz z pracy?

- Pewna kobieta zabrała trzyletniego synka do pediatry i doktor zauważył, że mały jest cały w sińcach. Baba powiedziała, że spadł ze schodów. Doktor był

podejrzliwy i zgłosił to do nas, zbadaliśmy sprawę i okazało się, że nie mają w domu schodów. Gnoje. A do tego pracowaliśmy nad kilkoma starymi sprawami.

Miał na myśli to, że wciąż grzebali się w dowodach zebranych w domu sędziego, analizowali je ciągle od nowa, starając się wyłapać coś, co przegapili przedtem. Sprawa już wystygła, i stygła z każdą minutą coraz bardziej, ale oni wciąż próbowali. Cahill wyglądał na zmęczonego, ale kto by nie wyglądał po całym dniu zadawania się z ludźmi, którzy bili trzyletnie dzieci?

- A ja miałam dzisiaj kolejną rozmowę - powiedziała Sara, kiedy usiedli. - Sonny i Merilyn Lankfordowie, na Brookwood; wielki dom w hiszpańskim stylu.

- Tak, wiem który. Jak poszło?

- Wzięłam tę pracę.

Znieruchomiał z widelcem w pół drogi do ust, przyglądając się jej bystro.

- Taki sam układ, jak u sędziego Roberta? Z kwaterą na miejscu?

- Tak, osobny mały bungalow. Mam wolne weekendy, chyba że zechcą wydać przyjęcie, a w takim wypadku odbiorę sobie wolne innego dnia.

- Kiedy zaczynasz?

Miał minę gliniarza i mówił swoim policyjnym głosem, chodnym i beznamiętnym. Spodziewał się, że Sara zamieszka u niego, i nie podobało mu się, że sprawy nie układają się tak, jak chciał.

- Pojutrze.

- Jutrzejsza noc będzie zatem ostatnią, jaką tutaj spędzisz. Błyskawicznie traciła apetyt.

- Po prostu od pojutrze przestanę spędzać każdą noc z tobą. A czy ta będzie ostatnia, to zależy od ciebie.

- To znaczy?

- To znaczy, że mam robotę i nie zamierzam się z niej urywać. Ale kiedy będę wolna, przyjadę tutaj, jeśli ty mnie nadal zechcesz.

- Jeszcze jak-powiedział miękko.-Chcę cię.

- Ale jesteś zły, że przyjąłem tę posadę.

- Nie, przecież wiem, że musiałaś sobie znaleźć pracę. Nie podoba mi się tylko, że nie będzie cię tutaj. To dwie różne sprawy.

- Kocham być tu z tobą, Cahill. - „Kocham” było w tym zdaniu najistotniejszym słowem. - Ale oboje wiedzieliśmy, że to tymczasowy układ. To znaczy moje nocowanie tutaj.

- Dobrze, już dobrze. - Był wyraźnie sfrustrowany. - Poradzimy sobie. Po prostu nie podoba mi się to. I zanim spędzisz tam choćby jedną noc, chcę sprawdzić tych ludzi. Pamiętasz naszą umowę?

- Nie sądzę, żeby Marilyn Lankford była terrorystką albo prała pieniądze mafii - odparła. Ulżyło jej, że nie próbował jej namawiać, by nie brała tej pracy.

- Nigdy nic nie wiadomo. Ludzie mają najróżniejsze brudy poupychane po szafach. To dla mojego spokoju ducha, dobrze? - Sięgnął za siebie, do marynarki wiszącej na oparciu krzesła i wyjął notes. - Podaj mi jeszcze raz ich pełne dane i adres.

Z westchnieniem spełniła jego prośbę.

- Sonny to jego prawdziwe imię? Nie ksywka?

- Tak sądzę.

- Nieważne, dowiem się i tak. Jeśli kiedykolwiek dostali choćby mandat, będę wiedział. - Wsunął notes z powrotem do kieszeni i wrócił do jedzenia.

Jego mieszkaniowe plany legły w gruzach, ale to nie wystarczyło, by odebrać mu apetyt, zauważyła Sara z rozbawieniem i sama też zabrała się do jedzenia.

Jej myśli nieuchronnie wróciły do sędziego; jak mogła o nim nie myśleć, skoro to z powodu jego śmierci Cahill chciał sprawdzić Lank-fordów? Jutro mijały cztery tygodnie od morderstwa, a każda środa stała się smutnym jubileuszem. Sara nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek będzie potrafiła przeżyć środę bez wspomnienia tego zdarzenia.

- W sprawie nie wypłynęło nic nowego, co? - zapytała, choć wiedziała, że powiedziałby jej, gdyby coś wypłynęło. A może i nie; większość zawodowych spraw zachowywał dla siebie.

- Nie. Ale się nie poddajemy. Musiał być jakiś powód i prędzej czy później dowiemy się, jaki. Ktoś zacznie mówić, komuś się coś wymknie, i to do nas dojdzie. Albo ktoś się wkurzy i zadzwoni, powie, co wie. Wciąż rozmawiamy z ludźmi, pokazujemy zdjęcie, próbujemy wydusić jakieś wspomnienia. To wyjdzie na jaw. Prędzej czy później wyjdzie.

Rozdział 19

Nie mógł w to uwierzyć, kiedy się dowiedział. A oczywiście się dowiedział; Mountain Brook było małym miasteczkiem, wszyscy się znali i ktoś zawsze gadał. Poszła pracować u tych nuworyszy, Lankfordów, w tym ich koszmarnym domu, który dowodził, jak bardzo nonveau było ich richesse*. Dostał od niej miły liścik, w którym grzecznie zawiadamiała go, że przyjęła inną posadę, ale zanim list do niego dotarł, on już wiedział o wszystkim.

Trzymał list w dłoni, wpatrując się w jej schludny, stanowczy podpis. Czytał go ponad dziesięć razy, od kiedy go dostał, ale słowa się nie zmieniały. Wydawało mu się wręcz, że czuje jej zapach na papierze - lekki, świeży aromat, który dosięgnął go jak bolesny cios, bo ona powinna być tutaj. Powinna być z nim. Z każdym dniem ból jej nieobecności stawał się dotkliwszy, jakby brakowało mu czegoś niezbędnego do życia. To wydawało mu się nie do zniesienia.

Potaął twarz arkusikiem papieru, szukając pociechy w świadomości, że ona tego dotykała, że wysłała mu to osobiście.

** Nouveau (ft.) - nowe; richesse - bogactwo; stąd nuworysz, nowobogacki (przyp. red.).*

Jak mogła mu to zrobić? Czy nie wiedziała...? Nie, oczywiście, że nie. Nie mogła wiedzieć, powiedział sobie. Nie wolno mu gniewać się na nią - przecież jeszcze go nie poznała. Ale gdy tylko go pozna, zrozumie, jak doskonale będzie ich życie razem. Prawdopodobnie zrobiło jej się żal tych paskudnych Lankfordów i spróbuje nadać odrobinę klasy ich tandetnej egzystencji. Jednak to próżny wysiłek, ale Sara jest mężną istotą. Będzie próbowała, dopóki świadomość daremności zadania nie złamie jej serca.

On nawet znał tych Lankfordów, bo ostatecznie interesy to interesy. Ale nigdy nie odwiedzał ich w domu; może pora złożyć im wizytę. Zdobycie zaproszenia nie będzie trudne; wydawali przyjęcia z wodewilowym zacięciem, jakby nie mieli pojęcia o przyjemności, jaką daje samotność i spokój.

Cóż za wspaniały pomysł - wizyta u Lankfordów. Mógłby zobaczyć Sarę z bliska, bo, naturalnie, ona będzie wszystkiego doglądać. Może nawet zostanie mu przedstawiona. Ludzie zwykle nie przedstawiali służby gościom, ale Merilyn Lankford jest wystarczająco nieokrzesana, by to zrobić. Oczywiście Sara nie była zwykłą służącą; to królowa, ale jej władza jest niewidoczna dla ludzkich oczu. Zasługiwała, by władać jego światem, a nie tym monumentem tandety.

Dla dobra Sary, nie mówiąc już o własnym, musi ją stamtąd wydostać. Musi działać, im szybciej, tym lepiej. Ale nie mógł sobie pozwolić na nieostrożność; to wymagało planu i namysłu, i niemałych umiejętności. Z radością przyjął to wyzwanie.

Ludzie to więźniowie nawyków; wrysowują swoje małe, utarte koleiny w materię życia, a potem zostają w nich, bo zbyt trudno im z nich się wydostać. Według psychologów większość ludzi woli to, co znane - nawet jeśli jest to straszne - niż niepewność nowego. Kobiety zostają przy maltretujących je mężach nie w nadziei na zmianę, ale ze strachu przed samodzielnym życiem. Tylko śmiałe albo zdesperowane dusze wyrywają się ze swoich kolein.

Ludzie mają tendencję do działania według takiego samego schematu dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Jest wielce prawdopodobne, że ci sami ludzie znajdą się w tym samym miejscu mniej więcej w tym samym czasie. Cahill nie spodziewał się, że mężczyzna z fotografii pokaże się i skorzysta z tego samego automatu telefonicznego o tej samej godzinie wieczorem, ale może - może - w Galerii znajdzie się ktoś, kto ma zwyczaj bywać tam o tej porze, i był też tamtego wieczoru, kiedy zamordowano sędziego Robertsa. I zauważył... co? Coś. Cokolwiek.

Żaden ze sprzedawców w sklepach niczego nie widział, ale przecież ich uczono zauważać to, co dzieje się w ich sklepach, a nie w głównej hali centrum. A ludzie siedzący na ławkach, spacerujący wokół? A grupka nastolatek, chichoczących i chcących wyglądać na luzary? A młoda kobieta, jedząca bułkę z cynamonem i powoli bujająca stopą dziecięcy wózek? Czy przychodzili tu co wieczór? W każdą środę? Jakie oni mieli nawyki?

Mniej więcej o tej samej porze, kiedy dzwoniło do sędziego, Cahill poszedł do Galerii. Zatrzymywał każdego, kogo spotykał w okolicy tego automatu telefonicznego i pokazywał wszystkim zdjęcie. Czy nie znają państwo tego mężczyzny? A może znają państwo kogoś podobnego? Czy może już kiedyś widzieli go państwo, tu, w Galerii?

Ludzie spoglądali na niego dziwnie, mówili „nie”, kręcili głowami. Niektórzy ledwie zerkali na zdjęcie, nim zaprzeczyli i ruszyli swoją drogą. Niektórzy studiowali je długą chwilę. Nie, nie wygląda znajomo. Przykro mi.

Cahill nie rezygnował. W śledztwie nie następował żaden przełom, nie było żadnych plotek, nikt nie zaczynał nagle sypać, by się na kimś zemścić - nic. Mur, w który walnęli, był wysoki i szeroki. Mieli pocisk, który zabił sędziego, ale nie mieli łuski. Nie mieli żadnych odcisków palców, które figurowałyby w bazie AFIS, nie mieli narzędzia zbrodni, nie mieli świadka, nie mieli motywu. Mieli gówno z dziurką.

Robił się zły. Morderstwo nikomu nie powinno uchodzić na sucho. To się zdarzało, ale obrażało to do głębi jego poczucie przyzwoitości - tę część jego duszy, która czyniła go gliną.

Zatrzymał się przy dwudziestym którymś przechodniu, chłopaku z uwieszoną na ramieniu dziewczyną o uszmiłkowanym na czarno wargach. Oboje trochę się stawiali, ale w końcu spojrzeli na zdjęcie.

- Nie wiem - powiedział chłopak, marszcząc lekko czoło. - Przypomina mi kogoś, ale nie mogę skojarzyć.

Cahill starał się zachowywać i mówić neutralnie. Potrafił być wredny, kiedy zachodziła taka potrzeba, ale dziś z rozmysłem zachowywał się bardzo powściągliwie, by nie spłoszyć nikogo, kto miałby coś do powiedzenia.

- Czy widzieliście tego człowieka tutaj, w Galerii?

- Nie, to nie to. Hej, wiem! On wygląda jak mój bankier!

- Pański bankier?

- Tak, Trevor Deusmore! Odeszli, śmiejąc się.

- Urocze - mruknął Cahill pod nosem, odwracając się i nie pozwalając sobie na ripostę pod adresem tego cwaniaczka, ale ten gość powinien prosić Boga, by ich ścieżki się nie skrzyżowały, jeśli coś przeszkobie - a wyglądał na takiego, co może przeszkobać.

Cahill zaczepiał kupujących, dopóki nie ogłoszono, że za chwilę centrum zostanie zamknięte. To chyba kolejna ślepa uliczka, ale pomyślał, że jeśli będzie tu wracał i cierpliwie pokazywał zdjęcie, może w końcu coś wyskoczy.

Kiedy wrócił do domu, nigdzie nie paliły się światła. Przez minutę siedział w samochodzie na podjeździe, gapiąc się w ciemne okna.

- Cholera - mruknął. Powrót do ciemnego domu nigdy przedtem nie wydawał mu się tragedią, ale teraz miał ochotę walnąć w coś pięścią, bo wcale mu się to nie podobało. Ledwie w dwa tygodnie tak się przyzwyczyił do obecności Sary, że gdy jej nie było, czuł się prawie tak samo fatalnie jak zaraz po zerwaniu z Shannon.

Do diabła, w pewnym sensie nawet gorzej. Za Shannon nie tęsknił. Odkrycie, że go zdradzała, zabiło w nim wszystkie uczucia dla niej z wyjątkiem gniewu. Ale za Sarą tęsknił - nieustannie. Potrafił zapomnieć o niej, gdy pracował, ale świadomość, że nie zobaczy jej, kiedy wróci do domu, powodowała nieustający ból.

Wysiadł w końcu z pikapa i wszedł do środka; zapalił światła, włączył telewizor, wziął sobie coś do picia. Robił tak codziennie, ale dziś to nie wystarczało. Pustka wyczuwalna w domu doprowadzała go do szału.

Sara spędziła z nim sobotnią noc, a seks był tak gorący, że omal mu głowa nie eksplodowała. Nie mógł się nią nasycić i to go przerażało. Sara oddawała mu się w całej pełni i rozkoszowała się jego ciałem równie otwarcie, jak on rozkoszował się nią. Zdumiewało go to, do jakiego stopnia byli ze sobą zgrani, w łóżku i poza nim.

Stawał się podejrzliwy, kiedy coś wydawało się doskonałe, ale ich dopasowanie okazało się właśnie... doskonałe. Nawet kiedy się kłócili, wiedział, że nie czuje się zdominowany - do licha, nie miał pewności, czy ona w ogóle dałaby się zdominować. I to było doskonałe. Nie musiał się z nią silić na delikatność. Uprawiali ostry i wyuzdany seks - seks doskonały. Potrafili się nawzajem rozśmieszyć - to także wydawało mu się doskonałe. Może dlatego, że pochodziła z wojskowej rodziny, ale działała na niego jak żadna inna kobieta - szczyt doskonałości.

Niedoskonałe okazało się tylko to, że nie była tu, przy nim.

Był zły, że zamieszkała w tym cholernym bungalowie. I tę swoją wściekłość bardzo starał się ukryć. Do kwestii jej pracy podchodził rozsądnie; do licha, wykazywał nawet wrażliwość. Kiedy mu powiedziała, że wzięła tę robotę i zamieszka na miejscu, nie ryknął: „Gówno! Po moim trupie!", choć dokładnie to miał ochotę powiedzieć. Kierowanie się rozsądkiem w takich sytuacjach jest strasznie niewygodne.

Ale tak naprawdę wkurzało go to, że nie miał żadnego prawa się z nią o to kłócić.

Byli kochankami, niczym więcej. Nigdy nie powiedział nic poza stwierdzeniami w rodzaju „zobaczmy, co z tego wyjdzie”. Nie zobowiązał się do niczego i jej o to nie prosił, choć, jak sądził, oboje założyli, że nie będą się spotykać z nikim innym. Ten brak zobowiązań dręczył go teraz. Powinien coś powiedzieć wcześniej i nie wiedział, czy jeśli powie teraz, cokolwiek mu z tego przyjdzie. Zgodziła się na nowe warunki pracy i podpisała umowę, a znając Sarę, nawet nie spróbuje ich zmieniać

- nie dla kogoś, kto jest tylko kochankiem.

To go też mocno uwierało. Nie chciał być dla niej żadnym „tylko”. Chciał stać się centrum jej świata.

Z taką osobą jak Sara łatwo żyłoby się pod jednym dachem, ale zawsze zdawał sobie sprawę, że ma żelazne zasady. Między innymi to go tak w niej pociągało. Jeśli obiecywała coś zrobić, to albo spełniała obietnicę, albo robiła wszystko, co w ludzkiej mocy, by ją spełnić. Jeśli się do czegoś zobowiązywała, dotrzymywała słowa. Kiedy wyjdzie za męża, jej wybranek nigdy nie będzie się musiał obawiać zdrady. Mogła kopnąć go w tyłek i rozwieść się, ale nigdy by nie zdradziła - i tylko głupiec by ją zdradzał.

Te dwa tygodnie dzikiego seksu bez zobowiązań okazały się wspaniałe, ale byłby durniem, gdyby sądził, że w ten sposób ją przy sobie utrzyma. Nigdy nie zapomniła o swoich obowiązkach wobec rodziny Roberta, nie zaprzestała też szukać nowej posady. Po prostu zakładał, że nie spieszy jej się ze znalezieniem kolejnej pracy, że będą mieli więcej czasu dla siebie.

I co by im z tego przyszło? Skończyłoby się tak samo. Czy siedziałyby tu dwa tygodnie czy dwa miesiące, w dalszym ciągu szukałyby nowej posady. Chyba powinien się cieszyć, że znalazła ją tak szybko, bo gdyby szukała dłużej, mogłaby poszerzyć teren poszukiwań, i wylądować w Atlancie albo jeszcze dalej, a to by naprawdę było straszne.

Jeśli chciał ją tu zatrzymać, powinien podnieść poprzeczkę - poprzeczkę zaangażowania. Ale, na Boga, jedyne, co by ją zatrzymało, to oświadczyzny, a na samą myśl o kolejnym małżeństwie Cahill oblewał się zimnym potem. Może mogliby długo być narzeczeństwem.

Nie, przejrzałaby ten zamiar w mgnieniu oka. Oczywiście zakładając, że w ogóle przyjąłaby oświadczyzny. Miała swój wielki plan podróży dookoła świata i robiła wszystko, aby go zrealizować. Naprawdę chciała to zrobić i całe życie podporządkowała osiągnięciu celu, zachowując wolność i nie obciążając się zobowiązaniami. Nie wiedział, jak jej plan miałby się wpasować w małżeństwo, jeśli w ogóle dałby się wpasować

- czy byłaby skłonna wyjść za mąż przed zrealizowaniem go, czy też uparłaby się czekać ze ślubem, aż wróci z podróży.

Właściwie już prawie powiedziała, że go kocha - nie padło tylko jeszcze samo słowo. Do licha, wiedział, że go kocha. Ale on nic nie zrobił w tej sprawie, nie skonkretyzował ani nie sformalizował ich związku; radośnie płynął sobie na fali, patrząc „co z tego wyniknie”, i zapłacił za to. Słono.

Sara nie była kobietą, którą można by lekceważyć czy uważać jej miłość za coś oczywistego. Nie sądził, by dopuścił się którejś z tych zbrodni, ale też nie okazał jej, jak ważna stała się dla niego.

Mógł pozwolić, by sprawy toczyły się dalej tak jak w tej chwili; mieliby weekendy dla siebie, jak wiele innych par. Mógł z nią rozmawiać przez telefon, czasem nawet zjeść z nią lunch, kiedy pozwoli na to ich rozkład dnia. I miałby weekendy.

Ale to za mało. Chciał być z nią każdej nocy. Chciał siedzieć z nią przy stole i rozmawiać przy jedzeniu o tym, jak im minął dzień. Chciał dzielić się z nią poranną gazetą i kłócić się, kto najpierw dostanie pierwszą stronę. Chciał urządzać sobie z nią sparingi, jak do tej pory; była dla niego za lekka, ale swoją szybkością niemal niwelowała tę różnicę. Nieistotne, czy ćwiczyli karate, kick

boxing czy jego ulubione rozbierane zapasy, te mecze zawsze kończyły się ostrym, wybuchowym seksem. Teraz nie potrafił już ćwiczyć bez erekcji. Sala gimnastyczna w piwnicy była przesycona zapachem Sary, wonią seksu, wspomnieniami tego, co robili i jak często.

Do diabła, nawet stolik w kuchni był pełen wspomnień.

Tęsknił za nią.

Spojrzał na zegarek, podniósł słuchawkę telefonu i wystukał jej numer.

- Cześć - powiedział, kiedy odebrała.

- Cześć. - Niemal słyszał uśmiech w jej głosie.

- Obudziłem cię? - Sara nie należała do nocnych marków; często wstawała wcześnie, zwykle więc kładła się do łóżka najdalej o dziesiątej, czasem o dziewiątej. Ryzykował, dzwoniąc do niej.

- Nie, leżę w łóżku, ale czytam.

- Co masz na sobie? Roześmiała się.

- Czy to jeden z tych telefonów, kiedy ktoś dyszy do słuchawki?

- Może być.

- Mam na sobie bawełnianą piżamę. Widziałeś ją.

- Tak? - Nie pamiętał, by zakładała cokolwiek do snu, choćby nawet jego koszulkę.

- Kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz. Może pamiętasz to spotkanie.

Siedziałam na schodach, nie było prądu, a na podłodze leżało dwóch zbirów.

- A, tak, coś sobie przypominam. Pomyślałem wtedy, że jesteś termoforem do łóżka sędziego Roberta.

- Co? - spytała oburzona.

- Śliczna młoda szprycha mieszka ze starszym panem. Co innego może sobie pomyśleć glina?

- Hm, może to, że jest kamerdynerem, tak jak powiedziała?

- Gliniarze nie wierzą w nic bez dowodów. Kiedy porozmawiałem z tobą kilka minut, już wiedziałem, jak jest naprawdę.

- Całe szczęście, że nie wspomniałeś mi o tym wtedy.
- Aż taki głupi nie jestem. Tęsknię za tobą, Saro. Milczała przez chwilę.
- Ja też tęsknię. Nie ma rady.
- W tej chwili nie. Ale musi się znaleźć jakiś sposób, żebyśmy mogli spędzać więcej czasu razem. Obgadamy to w ten weekend.
- Nie mogę spędzić z tobą soboty. Lankfordowie wydają przyjęcie, muszę więc zostać tutaj. Za to będę miała wolne w niedzielę i poniedziałek.
- Cahill zagryzł zęby. To odbierało im cały jeden dzień, bo on musiał pracować w poniedziałek. Ale przynajmniej obudzi się z nią.
- Dobrze, a zatem do zobaczenia w niedzielę... chyba że chcesz przyjść w sobotę wieczorem po przyjęciu.
- To będzie późna noc. Naprawdę późna. A raczej wczesny niedzielny poranek.
- Nieważne. Obudź mnie.
- Obudzę - odparła.

Rozdział 20

I odjazd był zastawiony samochodami, a w domu paliły się chyba wszystkie światła. Goście kłębili się w pokojach, na patiach, wokół basenu. Merilyn miała ulubioną firmę cateringową, Sara załatwiła więc wszystko z właścicielką, niejaką Brendą Nelson, smukłą kobietą koło sześćdziesiątki, która z rozmachem zarządzała zakulisowym szaleństwem. Kelnerzy krążyli między gośćmi, roznosząc tace z drinkami i przekąskami. Przy basenie ustawiono ogromny szwedzki bufet, który uginał się pod ciężarem jedzenia; oprócz tego były jeszcze dwa bary-jeden przy basenie, jeden w domu.

Nie dało się jednak uniknąć wszelkiego rodzaju plam. Sara krążyła dyskretnie po domu, starając się wypatrzeć każdy taki wypadek, gdy tylko się zdarzył, by można było wytrzeć zabrudzone miejsce. Prawdziwe sprzątnięcie musiało poczekać do poniedziałkowego ranka - ekipa sprzątaczy od ciężkiej

roboty była już umówiona - ale płyny i jedzenie trzeba było usuwać natychmiast, by nikt się nie poślizgnął i nie upadł.

Brenda zadbała, by nie zabrakło talerzy i kieliszków, ale Sara musiała dopilnować setek innych detali, takich jak odpowiednia liczba popielniczek dla palaczy, których nie było tak znów wielu, i którzy i tak wychodzili na zewnątrz, mimo wesołych zapewnień Merilyn: „Och, palcie sobie, mnie to nie przeszkadza”. Popielniczki trzeba było opróżniać, myć i wystawiać do ponownego użytku. Musiała pilnować zaopatrzenia łazienek w papierowe ręczniki z monogramem, mieć oko na osobiste rzeczy gości, szukać zgubionych kluczyków, przerwać romantyczne tete a tete pewnej pijanej pani z ciut mniej pijanym niedoszłym kochankiem, nim zmieniło się w żenujący incydent, a kiedy naturalną kolejną rzeczą jakaś kobieta zachwiała się na wysokich obcasach i wpadła do basenu, Sara zadbała, by nie stała jej się krzywda, dała jej ręczniki, make-up i suszarkę do włosów, a także znalazła jej coś do ubrania, aby dama mogła naprawić szkody i wrócić na przyjęcie. Na szczęście pani owa miała miłe usposobienie, przeciętne wymiary i zbyt dobrze się bawiła, by wychodzić.

Merilyn, rozgadana i roześmiana, dwoiła się i troiła. Należała do gospodyń, które uwielbiają przyjęcia, i jej zadowolenie było zaraźliwe. W pewnej chwili, stojąc z grupką mężczyzn i flirtując z nimi zawzięcie, dostrzegła Sarę i przywołała ją gestem. Westchnąwszy w duchu - bo zanosilo się na to, że zostanie wystawiona na pokaz - Sara zrobiła uprzejmą minę i podeszła.

- Saro, właśnie się dowiedziałam, że ci dwaj dżentelmeni też próbowali cię zatrudnić po tej strasznej historii z sędzią Robertsem - powiedziała Merilyn.
- Carl Barnes, Trevor Densmore. A to pani Sara Stevens, ekspert od organizacji domu.

- Bardzo mi miło - mruknęła z lekkim skinieniem głowy. Nie podała ręki na powitanie; zwykle był to przywilej kobiety, ale nie kamerdynera. Gdyby ktoś wyciągnął do niej rękę, uściskałaby ją, ale pozostawiała tę decyzję im.

Trevor Densmore był wysokim, szczupłym mężczyzną o siwych włosach i nieśmiałym uśmiechu; wręcz się zaczerwienił, gdy ona uśmiechnęła się do niego. Za to Carl Barnes, blondyn o topornych rysach i zimnych oczach, przyglądał jej się spod zmrużonych powiek takim wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy Sonny Lankford znalazł już w nocy drogę do jej małego bungalowu. Rozpoznała oba nazwiska. Trevor Densmore był tym, który przysłał jej dwie oferty zatrudnienia. Carl Barnes proponował jej taką pensję, że zastanawiała się, jakich jeszcze obowiązków spodziewał się po niej oprócz prowadzenia domu. Myślał pewnie, że swoją ofertą przebije wszystkich, a tymczasem wzbudził tylko w Sarze podejrzliwość.

- Miło mi panią poznać - powiedział pan Densmore głosem tak łagodnym i nieśmiałym, jak jego uśmiech. Znów się zarumienił i spojrzał na swoje buty.

- Na twoim miejscu, Merilyn, nie spuszczałbym Sonny'ego z oka - powiedział Barnes głośno. - Gdy w pobliżu jest tak piękna kobieta, mężczyźni przychodzą do głowy różne pomysły.

I oczywiście zasugerował, że ona byłaby skłonna te pomysły realizować, pomyślała Sara, ukrywając irytację. Nie pozwoliła sobie na ripostę, ale gdy zdumiona Merilyn zamilkła na chwilę, mruknęła:

- Nie dżentelmenowi. - Ona też potrafiła robić aluzje.

Pan Barnes zaczerwienił się i spojrzał na nią ze złością zimnymi oczami. Merilyn otrząsnęła się na tyle, by pacnąć go w ramię.

- Carl, jeśli zamierzasz zachowywać się paskudnie, to stań sobie gdzieś z boku, żeby nie przeszkadzać innym gościom. Nie po to przedstawiłam ci Sarę, żebyś ją obrażał, a przy okazji Sonny'ego i mnie. -Zdołała to powiedzieć na tyle stanowczym tonem, by wiedział, że mówi poważnie, choć sama nie chce być niemłą gospodynią.

- Ja tylko żartowałem - wymamrotał, zasłaniając się klasyczną pasywno-agresywną odpowiedzią.

- Pewnie że tak. - Tym razem poklepała go po ramieniu. - Chodź, poszukajmy Georgii, muszę jej coś powiedzieć. - Pociągnęła go za sobą na poszukiwanie jego żony. Patrząc, jak odchodzą, Sara ukryła uśmiezek. Facet myślał, że wszystko załagodził, a tymczasem Merilyn odsyłała go pod nadzór żony.

- Bardzo mi przykro - powiedział pan Densmore. - Carl potrafi być nieprzyjemny, kiedy za dużo wypije.

- Nic się nie stało - odparła Sara, kłamiąc bez skrupulów. - Bardzo miło mi pana poznać, panie Densmore. Pamiętam pańskie oferty. Przysyłał mi pan bardzo uprzejme listy.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się wstydliwie. - Nie byłem tylko pewien, czy... to znaczy, nie wiedziałem, w jaki sposób się z panią skontaktować, by nie uznała pani tego za niewłaściwe. Mam nadzieję, że pani się nie obraziła.

Obrazić się za ofertę pracy?

- Ogromnie mi to pochlebiło. - Rozejrzała się wokół. - Bardzo przepraszam, panie Densmore, ale muszę wrócić do obowiązków.

- Rozumiem. Mnie też było miło panią poznać, pani Stevens.

Z radością uciekła i powróciła na bardziej swojski grunt. Postanowiła jednak trzymać się z daleka od Carla Barnes'a.

Była piękna. Zastanawiał się, jak się ubierze - czy włoży spodnie, a może damską wersję smokingu, choć przyjęcie u Lankfordów było nieformalną okazją. Wybrała powściągliwą, surową elegancję: długą czarną spódnicę, wąską, ale niekrepującą ruchów, a do tego białą koszulę i krótki, dopasowany zakiet. Jej strój trochę przypominał wojskowy mundur, mimo że nie miał mosiężnych guzików czy galonów. Gęste, ciemne włosy ściągnęła z tyłu w schludny koczek, a w uszach miała małe złote kółka. Wisiora jednak nie dostrzegł.

W pierwszej chwili poczuł się urażony, ale zdał sobie sprawę, że byłoby to nie na miejscu, skoro wypełnia taką funkcję. Jak nazwała ją ta Lankford? Och, tak - ekspert od organizacji domu. Na takim stanowisku nie mogła nosić

rubinów i brylantów. Wisiorek był przeznaczony na te chwile, kiedy zostaną sami.

Choć może trochę poskapił na ten klejnot. W porównaniu z monstrualnym kanarkowym brylantem, który nosiła na palcu Marilyn Lankford, jego wisiorek wypadł mizernie. Nie kupował nigdy biżuterii, może więc popełnił błąd. Jakaż upokarzająca była myśl, że Sara nie nosiła klejnotu nie dlatego, że był nieodpowiedni do okazji, ale dlatego, że wydał jej się zbyt marny!

Nie, ona nigdy by tak nie pomyślała. Miała zbyt dużo klasy. Wystarczy wspomnieć, jak poradziła sobie z tym nieokrzesanym chamem, Carlem Barnesem. Nawet zmrużeniem oka nie zdradziła emocji, mruknęła tylko tę swoją ripostę o „dzentelmenie”, sugerując, że Barnes nim nie jest. Był z niej taki dumny.

Obserwował ją przez cały wieczór. Była dyskretna, nie rzucała się w oczy i zwracała baczną uwagę na detale. Każdy niefortunny wypadek, choćby najmniej znaczący, wywoływał natychmiastową reakcję przy minimum zamieszania i zażenowania. Jej oddanie pracy podnosiło na duchu w tych czasach, kiedy sprzedawcy i urzędnicy zachowywali się tak, jakby obsługując klienta, robili mu łaskę.

Czyż Marilyn Lankford jest w stanie docenić honor, jaki uczyniła jej Sara samą swoją obecnością? Oczywiście, że nie. Marilyn nie miała pojęcia, jaki klejnot jej się trafił i jak krótko będzie się nim cieszyć.

Sytuacja okazała się jeszcze bardziej nieznośna, niż się spodziewał. Jego Sara nie powinna być narażona na takie uwagi, jaką rzucił Carl Barnes. Kiedy przyjdzie do jego domu, on ją przed tym ochroni. Ochroni ją przed światem. Wszystko było już prawie gotowe; jeszcze kilka drobiazgów, i nadejdzie czas, by wprowadzić Sarę do domu.

Przyjęcie skończyło się około wpół do drugiej, czyli wcale nie tak znów późno; ci ludzie byli biznesmenami, filarami społeczności i większość z nich regularnie chodziła do kościoła; nie mogli spać zbyt długo następnego ranka,

jeśli chcieli zdążyć na mszę.

Merilyn wyglądała równie świeżo jak na początku imprezy; jej zielone oczy błyszcząły.

- No, to się nazywa sukces! - oznajmiła, rozglądając się po zrujnowanym salonie wielkości sali balowej. Właściwie nic nie zostało zniszczone, ale też wydawało się, że nic nie stoi na właściwym miejscu. - Nikt nie zwymiotował, nikt niczego nie podpalił, nie wybuchła żadna bójka. Moim zdaniem to całkiem nieźle!

Sonny, choć zmęczony, posłał żonie ciepłe, pobłażliwe spojrzenie. Był krępy męczyzną z siwiejącymi ciemnymi włosami i kolekcją zmarszczek mimicznych.

- Możesz sobie wyrażać swoje zdanie, kiedy będziemy szli na górę - powiedział, rozkładając ramiona i udając, że zagania ją w kierunku schodów. - Jestem skonany. Chodźmy spać.

- Ale trzeba jeszcze...

- Ja i Brenda poradzimy sobie ze wszystkim - powiedziała Sara z uśmiechem. - Przed wyjściem pozamykam i włączę alarm.

Merilyn nie cierpiała chodzić spać, kiedy ktokolwiek jeszcze kręcił się po domu, obawiając się, że coś ją ominie, nawet jeśli tym „czymś” było sprzątanie i pakowanie niezliczonych talerzy i szkła.

- Ale...

- Ale, ale, ale - powiedział Sonny; nie udawał już, że ją zagania, naprawdę to robił, napierając na nią ciałem i stopniowo zmuszając ją, by posuwała się ku schodom. - Cokolwiek sobie myślisz, nie ma tu nic, co nie mogłoby poczekać do rana.

Posłuchała go, ale wciąż wyglądała zza niego, jak dziecko siłą odciągnięte z placu zabaw. Kiedy udało mu się wepchnąć ją na schody, Sara pomachała im na dobranoc, a potem dołączyła do Brendy i jej ekipy w kuchni.

Sprawy wyglądały nieźle, bo Brenda już na samym początku postawiła jedną osobę do zmywania naczyń. W miarę jak przynoszono zabrudzone nakrycia, na bieżąco je myto. Tym sposobem w razie potrzeby cały czas mieli zapas czystych talerzy i kieliszków, a kiedy przyjęcie się skończyło, nie było lawiny brudnych naczyń, które trzeba by umyć przed spakowaniem do pudeł i wywiezieniem do firmy. Dzięki temu ostatnia partia brudów już została umyta, a personel był zajęty pakowaniem elektrycznych podgrzewaczy i składaniem całej góry obrusów i serwetek.

Widząc, że wszystko idzie jak należy, Sara ruszyła na obchód domu, poprawiając przewrócone doniczki z roślinami, podnosząc upuszczone łyżeczki, zbierając ręczniki i - ...czyjeś majtki. Ktoś albo był bardzo zapominalski, albo w łazience odbyła się gorąca randka.

Wyrzuciła majtki, opróżniła kosze na śmieci, rozpyliła w pokojach odświeżacz powietrza, poprawiła poduszki i fotele. Brenda przyszła, by powiedzieć, że wszystko już zapakowali do furgonetek i wyjeżdżają. Odprowadziwszy ich, Sara jeszcze raz obeszła dom, sprawdzając okna i drzwi. W końcu, kilka minut po trzeciej, włączyła alarm, wyszła na dziedziniec, zamknęła za sobą drzwi i przeszła obok basenu, a potem krótką ścieżką do swojego małego domku.

Była tak zmęczona, że bolało ją wszystko, ale zupełnie nie chciało jej się spać. Wzięła prysznic, żeby się odświeżyć; zwykle ciepły prysznic ją rozleniwił, ale dziś poczuła się po nim jeszcze przytomniej niż przedtem. Zastanawiała się, czy nie usiąść i nie poczytać, ale Cahill prosił, by przyjechała do niego po przyjęciu, niezależnie od pory.

Oficjalnie miała wolne aż do wtorku. Była wykąpana, nie chciało jej się spać, a od faceta, za którym szalała, dzieliła ją tylko krótka trasa samochodem.

- Decyzje, decyzje - powiedziała do siebie. Jasne. Jakby było się nad czym zastanawiać. Podniosła słuchawkę. Miała klucz, ale tylko idiota

wchodziłby niezapowiedziany do pokoju śpiącego faceta, który trzymał w nocnej szafce naładowany pistolet.

- Cahill.

Wiedziała, że go obudziła, ale jego głos brzmiał przytomnie i spokojnie, a ponieważ wszyscy detektywi byli na służbie praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę, zdążył się już przyzwyczaić do nocnych telefonów.

- Przyjęcie się skończyło. Jadę do ciebie.

- Czekam.

Nucąc pod nosem, szybko wzięła małą torbę, do której już wcześniej spakowała dwie zmiany ubrań, kosmetyki, przybory toaletowe, i książkę. Nie miała wprowadzić zbyt wiele czasu na lekturę, kiedy była z Cahillem, ale mogło się zdarzyć i tak. Pozamykała bungalow, wpakowała rzeczy do trailblazera i dwadzieścia minut później parkowała już na podjeździe Cahilla. W kuchni paliło się światło.

Tanecznym krokiem weszła na schodki prowadzące do kuchennych drzwi, które otworzyły się, nim sięgnęła do klamki. Cahill stał na tle jasnej plamy, wysoki i barczysty, ubrany tylko w te swoje seksowne bokserki, które włożył tylko dlatego, że wiedział, iż będzie otwierał drzwi.

- A kuku - zamruczała Sara, upuściła torebkę i torbę z rzeczami i rzuciła się w jego ramiona. Gdy złapał ją i uniósł, oplótła nogami jego biodra i zatonełi w długim, głębokim, drapieźnym pocałunku.

Kiedy oderwali się od siebie, Cahill liznął jej dolną wargę, jak to miał w zwyczaju -jakby chciał sprawdzić, jak smakuje.

- Źle to zaplanowałaś - powiedział i skubnął jej wargę.

- Tak? - Odsunęła się odrobinę i zmarszczyła brwi. -A co zrobiłam nie tak?

- Po pierwsze, jesteś w dżinsach. - Pocałował ją znów, jednocześnie kopniakami wrzucając jej torby za próg, zamykając drzwi i po omacku

szamocząc się z zamkiem. - Gdybyś kombinowała jak należy, miałabyś na sobie spódnicę i żadnych majtek pod spodem.

- Byłoby mi zimno. - Zanurkowała po następny całus. Chwyciwszy Sare mocniej za biodra, zaniósł ją korytarzem do sypialni.

- Ale za to byłbym już w tobie - szepnął.

- Masz rację, to było niewiarygodnie głupie z mojej strony. - Poruszyła biodrami, ocierając się o niego w górę i w dół; brakło jej tchu, gdy poczuła znajomy przyptyw podniecenia, zalewający jej ciało.

- Możesz mi to wynagrodzić. - Rzucił ją na łóżko, rozpiął jej dzinsy i zaczął z niej ściągać.

- Naprawdę? Masz jakieś pomysły?

- Całe mnóstwo.

- A są legalne w tym stanie? - Nie.

- Jestem oburzona - odparła. - Oburzona. Przysięgałeś strzec prawa.

- Możesz potem dokonać obywatelskiego zatrzymania. - Ściągnął jej dżersejową bluzkę przez głowę i rzucił na bok. Nie wkładała biustonosza, była więc już naga. Jeśli chodziło o rozbieranie jej, Cahill ustanawiał światowe rekordy szybkości.

- Obywatelskiego zatrzymania, powiadasz. Czy to znaczy, że będę mogła cię skuć?

- Czyżbyś ty też lubiła zboczone zabawy? - Zdjął bokserki, podciągnął ją na brzeg łóżka i położył dłonie pod jej udami, unosząc je do góry i rozsuwając na boki. Wstrzymała oddech, gdy jej dotknął. I nagle był już w środku, i, pochylony nad nią, poruszał się, powoli i głęboko, a ona znów zaczęła oddychać. Wygięła biodra do góry, biorąc go w siebie do samego końca.

Światło w korytarzu wciąż się paliło, obrysowując jego sylwetkę; jego szerokie ramiona rzucały na nią cień. Milczeli, koncentrując się na rytmie i odczuciach, na ciepłe i wilgoci, na idealnym dopasowaniu ciał. Zachłysnęła się powietrzem i sięgnęła po niego, chcąc poczuć na sobie jego ciężar. Dał jej,

czego chciała - zwałił się na nią, wtłaczając w materac siłą swoich pchnięć. Nagle wyprężyła się pod nim, wbijając pięty w jego uda i zatapiając paznokcie w jego ramionach. Pierwszy orgazm zawsze był szybki - szybki i intensywny, uderzał ją z pierwotną mocą. On szczytował tuż po niej, i gdy leżeli razem, już po wszystkim, poczuła, że odpływa w sen, tak zadowolona, że zdawało się, iż odprężył się każdy pojedynczy atom jej ciała. Tutaj jest jej miejsce, tu, przy nim. Geografia nie miała znaczenia; mogła być gdziekolwiek, byle z Cahillem.

Rozdział 21

O dziesiątej Sarę obudził zapach świeżej kawy. Przekręciła się na plecy, przeciągnęła się i ziewnęła. Od przeprowadzki do bungalowu miewała bezsenne noce, ale u Cahilla zawsze spała jak kamień... oczywiście kiedy tylko pozwalał jej spać.

Tęskniła za nim i emocjonalnie, i fizycznie. Nie chodziło tylko o seks, choć seks z nim to nie było żadne „tylko”, tak był rozpasany i podniecający. Ale jeszcze bardziej brakowało Sarze jego obecności w łóżku -jego ciepła, ciężaru i poczucia komfortu, jakie dawała ta bliskość. Często sypiała z głową na jego ramieniu albo przytulona do jego pleców. Jeśli ona go nie dotykała, on dotykał jej; nawet przez sen oboje podświadomie pragnęli czuć, że są razem.

Wszedł do sypialni ubrany tylko w dzinsy, z kubkiem kawy w dłoni. Sara usiadła na łóżku i odgarnęła włosy z twarzy.

- Jeśli to dla mnie, to będę twoją niewolnicą po wsze czasy.

- Dla ciebie, chyba więc powinniśmy omówić warunki twojej służby. -

Podał jej kubek; wypła łyk, przymykając oczy z rozkoszy. Materac ugiął się, gdy Cahill usiadł obok niej.

Upiła kolejny łyczek.

- Po pierwsze, nie będę dostawała przepustek za dobre zachowanie.

- Z całą pewnością nie - zgodził się, głaszcząc jej rękę. - Żadnego zwolnienia warunkowego, chociaż sędzę, że mogłabyś zyskiwać specjalne przywileje za podlizywanie się klawiszowi.

- Na wszelkie sposoby - mruknęła, przeciągając delikatnie palcem po wypukłości jego dżinsów. - Kiedy zaczynam?

Uśmiechnął się lekko, ucieszony jej zuchwałością.

- Zdaje się, że już zaczęłaś. I jeśli nie przestaniesz i nie zabierzesz tyłka z łóżka, śniadanie ci wystygnie.

- Zrobiłaś śniadanie? Genialnie, konam z głodu. - Odpuszczając sobie zabawę w seksownego kociaka, wygrzebała się z pościeli, uważając, by nie rozlać kawy, i ruszyła do łazienki. - Co jem?

- Płatki.

- Ty palancie! To i tak jest zimne! - zawołała za nim. Usłyszała jego cichy śmiech, gdy szedł do kuchni.

W łazienkowym lustrze bynajmniej nie zobaczyła kobiety, która przepracowała prawie całą noc i spała o wiele krócej niż zalecane osiem godzin. Włosy miała rozczochrane, powieki odrobinę spuchnięte, ale wyglądała na wypoczętą... i promieniała. Seks z Cahillem tak działa na kobietę, pomyślała, czesząc się z uśmiechem.

Cahill przyniósł na górę jej torbę z rzeczami i torebkę. Sara umyła twarz, wyszczotkowała zęby i się Ubrała. Mając na sobie niewiele więcej niż on - dżinsy i koszulkę - ze swoim kubkiem kawy zeszła do kuchni.

Na śniadanie rzeczywiście były płatki, ale Cahill pokroił też w plasterki kilka brzoskwiń i postawił koło miski kubek jej ulubionego waniliowego jogurtu. Dla siebie przygotował to samo, tyle że podwójną ilość.

- Mniam - powiedziała Sara, siadając. - Ale jest strasznie późno, trzeba było na mnie nie czekać, mogłeś zjeść wcześniej. Na pewno jesteś jeszcze bardziej głodny niż ja.

- Koło ósmej zjadłem bułkę.

- O której wstałeś?

- Tuż przed siódmą. Poszedłem pobiegać, zjadłem bułkę, przeczytałem gazetę, wynudziłem się jak mops.

- Biedactwo.-Wzięła łyżkę i zaczęła jeść.-Co jeszcze robiłeś?

- Mocno spałaś, kochałem się więc z twoim nieprzytomnym ciałem...

- Nieprawda.

- Prawda.

- Dobrze, zdrzemnąłeś się więc i coś ci się przyśniło. O której się obudziłeś?

- O wpół do dziesiątej. - Nadział na widelec kawałek soczystej brzoskwini i włożył do ust. - Byłem zmęczony. Ktoś mnie zerwał w środku nocy.

- A teraz jak się czujesz?

- Jak młody bóg.

- To dobrze, bo i ja czuję się świetnie. - Przerwała jedzenie i przeciągnęła się, unosząc ręce nad głową. Spojrzenie Cahilla śledziło ruch jej piersi. - Jak mi się śniadanie uleży, chyba też pójdę pobiegać. Masz ochotę jeszcze raz się przebiec ze mną?

- Mam ochotę na wiele rzeczy. Ale myślę, że zmieszczę między nimi jeszcze jedną przebieżkę.

Gdy kończyli jeść, Sara przyglądała mu się z podziwem. Powiedział jej, że zaczął ostro trenować, kiedy rozstał się z żoną; ćwiczenia fizyczne doskonale rozładowały stres. Już wcześniej był w dobrej formie, ale nie tak dobrej, jak teraz. Mięśnie brzucha i tors miał twarde jak skały. Był dużym facetem, ale nie rozbudował mięśni do przesady, tylko wzmocnił i wyrzeźbił. Dotykanie go było cudownym przeżyciem - gładka, ciepła skóra pokrywała mięśnie tak twarde, że pod naciskiem nie poddawały się nawet na milimetr.

Wstał, by zanieść swoje puste nakrycie do zlewu. Sara, uśmiechając się, obserwowała go spod przymkniętych powiek.

- Twoja żona musiała być największą idiotką chodzącą po ziemi. Spojrzał na nią zdumiony i wzruszył ramionami.

- Zmień to na dwulicową, mściwą idiotkę. Co skłoniło cię do myślenia o niej?

- Ty. Taki schludny domator, inteligentny...

- Mów dalej - poprosił.

- Przystojny, dowcipny, seksowny... - I twój.

Przerwała, czując nagle motylki w żołądku.

- A jesteś mój? - szepnęła.

Wstawił mleko do lodówki i uśmiechnął się do niej kwaśno.

- Jeszcze jak. Wzięła głęboki oddech.

- O rany.

- Właśnie, o rany. Ja też nie mam lepszego słowa na to wszystko. -Dolał im obojgu kawy do kubków i usiadł. -I dlatego musimy o tym porozmawiać. Chcę czegoś więcej niż to, co mamy teraz. Jeśli i ty chcesz, to musimy pomyśleć, jak to wszystko urządzić.

Skinęła głową.

- Saro. Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

- Ja też chcę więcej - wydusiła. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje; tak szybko, przy śniadaniu w słoneczny niedzielny poranek.

- Twoja praca na razie wymaga, żebyś mieszkała na miejscu. Ja teraz też pracuję więcej niż zwykle. Jeśli możemy sobie pozwolić tylko na wspólne weekendy, to jakoś sobie z tym poradzimy, ale... do której oficjalnie pracujesz wieczorami?

- Dopóki oni nie zaczną się wybierać do łóżka albo nie powiedzą mi, że nie będą mnie już wieczorem potrzebować. Na razie zwykle zwalniają mnie zaraz po kolacji. Zdaje się, że lubią spędzać wieczory sami, chyba że wydają przyjęcie.

(Sip A43)

A tobie wolno przyjmować gości? Boże, to brzmi, jakbyśmy żyli w wiktoriańskiej Anglii. Roześmiała się.

- Oczywiście, że wolno mi przyjmować gości w wolnym czasie.

Czułabym się niezręcznie, gdybyś zostawał na noc...

Zbył to machnięciem ręki.

- Seks to drugorzędna sprawa. No, prawie drugorzędna. Chodzi o to, że musimy widywać się częściej, niż widzimy się od dnia, kiedy zaczęłaś pracować. Niemożność spotkania się z tobą doprowadza mnie do szału. Może rozwiążmy teraz tę sprawę, a później pomówimy o twojej podróży dookoła świata. Nie proszę cię, żebyś z niej zrezygnowała, bo ty naprawdę chcesz to zrobić. Po prostu będę strasznie marudził.

Sara naprawdę chciała mieć ten swój rok na podróże, ale z Cahillem też bardzo chciała być.

- Jestem rozsądną kobietą- powiedziała. - Wiem, co to kompromis. - Do tej pory zachowała niepokaleczone serce i wolność, bo nigdy nie spotkała człowieka, który stałby się dla niej wystarczająco ważny, by miała naginać dla niego swoje plany. Cahill okazał się wystarczająco ważny. Trochę sobie pojeździ, owszem, ale cały rok z dala od niego? Nie ma mowy. Na to nie miała ochoty.

Cahill odchrząknął.

- My... pewnie się pobierzemy.

- Myślisz? - zapytała, i nagle się roześmiała. Nie mogła się powstrzymać. Gdyby ten facet był jeszcze choć trochę mniej romantyczny, ludzie zarządzający walentynkami wyznaczyliby nagrodę za jego głowę.

Chwycił ją i pociągnął na swoje kolana.

- To ma być tak czy nie?

- Nie zadałeś pytania. Stwierdziłeś zaistnienie ewentualności.

- No więc, zgadzasz się, że jest taka ewentualność?

On może nigdy nie zadać tego pytania, pomyślała, ubawiona. Trzeba będzie nad nim popracować. Zamierzała wyjść za mąż tylko raz w życiu, chciała więc usłyszeć to pytanie.

- Zgadzam się, że jest taka ewentualność. - Uśmiechnęła się do niego pogodnie i cmoknęła go w policzek. - Pogadamy o tym jeszcze kiedy twoje oczekiwania będą bardziej sprecyzowane.

Z jękiem opuścił głowę na jej ramię.

- Przepuścisz mnie przez tę wyzymaczkę, co? - Oczywiście, kochanie. Od tego są kobiety.

Nie wiedział, gdzie jest Sara. Kiedy sprawdzał wcześniej rano w niedzielę, jej terenówki nie było, i od tamtej pory nie wróciła do domu Lank-fordów. Na przyjęciu zadał Merilyn pozornie od niechcienia kilka pytań i wyciągnął od niej informację, że weekendy Sara ma zwykle wolne, ale jeśli urządzą przyjęcie, może sobie odbierać wolne w inny dzień. Tym razem miała wrócić do pracy dopiero we wtorek rano.

Myśląc, że Sara może się gdzieś wybrać, wstał wcześniej i przejechał obok monstrualnego domu; już przedtem sprawdził, że jej zwykle miejsce parkingowe jest widoczne z ulicy - było widać tylko bagażnik, ale to wystarczyło, by stwierdzić, że to jej samochód. Musiała jednak wyjechać bardzo rano, bo choć zjawił się tam zaraz po wschodzie słońca, jej już nie było.

Czyżby miała rodzinę w okolicy? Był na siebie wściekły, że nie spytał. Ale oczywiście rodzina nie musiała mieszkać w pobliżu; Sara mogła polecieć z wizytą, wsiadając w pierwszy poranny samolot.

Przez chwilę bawił się nieprzyjemną myślą, że może mieć chłopaka - cóż za dziecinne słowo - ale nie, Sara miała zbyt wiele klasy, by spędzać weekend z jakimś okolicznym kmiotkiem. Ilekroć śledził ją wcześniej, robiła zakupy i załatwiała różne sprawy, ale nigdy, nigdzie nie spotkała się z żadnym mężczyzną. Problem polegał na tym, że bywały długie okresy, kiedy nigdzie nie mógł jej znaleźć, nie wiedział więc, kogo mogła znać w okolicy. Pewnie

odwiedzała rodzinę albo przyjaciół, ale on wolałby wiedzieć, gdzie dokładnie jest. Nie znosił niewiedzy.

Na przykład jak wtedy, gdy zajął się Robertsem. Nie został na miejscu, by obserwować zamieszanie. Wiedział, że przestępcy często nie mogą się oprzeć i przyglądają się przedstawieniu, a policja ostatnimi czasy rutynowo filowała gapiów. Kiedy przejeżdżał koło domu następnego ranka, gdy całe zamieszanie już minęło, na podjeździe stała zaporą, a dom był opieczętowany żółtą taśmą. Nie miał pojęcia, gdzie podziała się Sara. U znajomych? W hotelu? Najbardziej prawdopodobny był hotel Wynfrey, pojechał więc tam od razu, ale nie zobaczył jej terenówki. Zresztą tego dnia padało, a on nie lubił prowadzić w deszczu, wrócił więc do domu.

Po pogrzebie znowu zamieszkała w domu sędziego. Od tej pory siedziała tam praktycznie przez całe dni, uspokoił się więc i przestał jeździć tak często. Pocztą pantoflową dowiedział się, że przygotowuje dom na sprzedaż, pakuje wszystko dla rodziny. Ale potem któregoś wieczoru sprawdził i nie było jej. W domu nie paliły się żadne światła. Dokąd się wybrała?

Problem polegał na tym, że w sąsiedztwie nie było żadnego miejsca, gdzie mógłby zaparkować i czuwać nad nią. Każdy obcy samochód, który by się zatrzymał w pobliżu, byłby natychmiast zauważony. Nie mógł też jeździć tamtędy w kółko; musiał pilnować interesów, chodzić na spotkania, odbierać telefony. Ale całą tę inwigilację musiał prowadzić sam, by nie ryzykować wtajemniczenia w sprawę obcego, który mógłby gadać. W końcu więc musiał pogodzić się z faktem, że po prostu nie może mieć jej cały czas na oku. Nie podobało mu się to, ale był rozsądnym, cierpliwym człowiekiem; umiał czekać.

W tej chwili musiał się upewnić, że Sara wróci dopiero we wtorek rano.

Poprzednim razem wszystko poszło jak po maśle, w niedzielę wieczorem zastosował więc tę samą taktykę. Pojechał do Galerii granatowym fordem, którego kupił miesiąc wcześniej; jaguar zbyt rzucił się w oczy. Ford był tak pospolity, że niemal niewidzialny; oczywiście nie umywał się do jaguara, ale

idealnie nadawał się do tego celu. Kiedy jednak zadzwonił, nikt nie podniósł słuchawki. Sfrustrowany próbował jeszcze kilka razy, w końcu zrezygnował, zniesmaczony.

Jednak następnego wieczoru Lankfordowie byli w domu; sprawdził to. Na podejździe nie dostrzegł żadnych nadprogramowych samochodów. Byli więc sami. Zadzwonił, i oczywiście Sonny z radością zgodził się na spotkanie. Sonny zawsze chętnie rozmawiał o interesach, a kiedy się jest właścicielem banku... cóż, ludzie chętnie się z nim spotykali. Sonny był za głupi, by dostrzec coś niezwykłego w fakcie, że odwiedza go jego bankier; powinno dziać się raczej odwrotnie. Temu durniowi prawdopodobnie to pochlebiało.

Pistolet z tłumikiem wetknięty miał za pasek spodni na plecach i przykryty marynarką, gdy Sonny wpuszczał go do domu. Temu prostakowi nie chciało się nawet włożyć marynarki, pomyślał z pogardą. Ubrany był w luźne spodnie i polo z długim rękawem, a na nogach miał kapcie. Na litość boską. Kompletny brak klasy.

— A gdzie Merilyn? - zapytał swobodnie. Ludzie rozmawiali z nim, mówili mu wszystko. Ufali mu. Bo niby czemu nie?

- Na górze. Zaraz zejdzcie. Mówiłeś, że chcesz porozmawiać z nami obojgiem?

- Tak. Dziękuję, że zgodziliście się na spotkanie. Nie zabiorę wam dużo czasu. - Sonny wciąż jeszcze nie dostrzegał ironii w tym stwierdzeniu.

- Nonsens, cała przyjemność po naszej stronie. Napij się czegoś? Znajdzie się coś mocniejszego, coś bezprocentowego i wszystko, co pomiędzy. - Sonny ruszył przodem do gabinetu; chwała Bogu, nie zabrał go do tego koszmarne pokoju z gigantycznym telewizorem. W gabinecie oczywiście też był telewizor, ale normalnej wielkości.

- Z chęcią wypiję kieliszek wina. - Nie miał zamiaru go pić, ale nie przyjmując poczęstunku Sonny'ego, wzbudziłby jego podejrzenia.

Rozmawiali o niczym, a Merilyn wciąż się nie zjawiała. Zaczął się trochę niepokoić. Nie chciał tu spędzić zbyt dużo czasu; im dłużej czekał, tym większe było prawdopodobieństwo, że ktoś zauważy samochód, nawet tak nierzucający się w oczy, albo że zadzwoni telefon i Sonny - albo Merilyn - powie „przepraszam, nie mogę rozmawiać, jest u nas nasz bankier”. To by mu popsuło szyki.

Spojrzał na zegarek, i Sonny powiedział:

- Nie wiem, co zatrzymuje Merilyn. Pójdę sprawdzić...

- Nie, nie kłopotz się - powiedział, wstając z fotela. Płynnym ruchem sięgnął za plecy, wyjął pistolet i wycelował go w głowę Sonny'ego. Stał tak blisko, że Sonny mógł wyciągnąć rękę i odtrącić lufę - gdyby miał czas. Ale zabrakło mu refleksu. Szkoda.

Spokojnie pociągnął za spust.

Kula weszła w głowę Sonny'ego tuż nad lewą brwią, kierując się ku tyłowi i na prawo, przeszywając obie półkule mózgu. Zawsze zdumiewało go, jak mała i schludna była rana wlotowa; jednak wychodząc, pocisk spłaszczal się i wyrwał ze sobą wielki kawał czaszki i mózgu. Niesamowite.

Odgłosu wystrzału, jak lekkiego kaszlnięcia, nikt nie usłyszałby nawet w sąsiednim pokoju.

Odwrócił się, by iść na poszukiwanie Merilyn, i zamarł. Stała tuż za progiem, z twarzą wypraną z koloru, z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Uniósł pistolet jeszcze raz, a ona zaczęła uciekać.

Nie zdążył oddać kolejnego strzału. Z ponurą zaciętością ruszył za nią; nie mógł pozwolić jej uciec, choćby na krótko. Mogła wybiec z krzykiem z domu i ściągnąć czyjąś uwagę. Ale nie; kochana Merilyn pobiegła do innego pokoju i zatrasnęła drzwi. Usłyszał kliknięcie zamka.

Pokręcił głową i wpakował kulkę w zamek; bezużyteczne drzwi stanęły otworem. Merilyn obróciła się na pięcie ze słuchawką w dłoni. Znow pokręcił głową.

- Niegrzeczna dziewczynka - powiedział cicho i pociągnął za spust.

Osunęła się na dywan, z oczami wysadzonymi z czaszki od impetu pocisku, który wszedł dokładnie między nimi. A on zrobił krok nad ciałem i wyjął z jej dłoni słuchawkę. Posłuchał, ale nie było nikogo na linii; albo nie zdążyła wystukać 911, albo była zbyt wzburzona, by myśleć. Spokojnie wytarł słuchawkę chustką i odłożył na miejsce.

Ręka Merilyn była wyciągnięta, jakby sięgała ku niemu. Dostrzegł błysk kanarkowego brylantu i nagle wpadł na pomysł - genialny, nawet on musiał to przyznać. Jeśli zdejmie pierścionek, będzie to wyglądało na rabunek. Pierścionek musiał być wart fortunę; dziś akurat uważnie przestudiował ceny biżuterii i odkrył, że dobre kamienie bywają nieprzyzwoicie drogie. Ten pierścionek, na przykład, wydrenował kieszeń Sonny'ego na jakieś ćwierć miliona dolarów. Kto by pomyślał.

Czuł się zawstydzony, że w porównaniu z tym dał Sarze tak skromny dowód szacunku. To kamień wyjątkowej jakości, a kolor będzie świetnie grał z ciepłym odcieniem jej skóry. Nie w tej oprawie, oczywiście; nie podobałoby się jej coś tak krzykliwego. Ale kiedy upłynie już trochę czasu i policja przestanie tak pilnie szukać pierścionka z wielkim żółtym brylantem, będzie mógł wyjąć kamień z oprawy i zawieźć go do jubilera, powiedzmy, w Atlancie, i obstalować wspaniałą klejnot dla Sary, z żółtym brylantem jako głównym kamieniem. Tak, już go widział.

Pochylił się i ściągnął pierścionek z palca Merilyn, Ciasno siedział; kochana Merilyn musiała trochę przytyć. Proszę, zaoszczędził jej konieczności poszerzania pierścionka.

Zadowolony z siebie uważnie wrócił po własnych śladach, wycierając wszystko, czego mógł dotykać. Wyszedłszy frontowymi drzwiami, wytarł klamkę i guzik dzwonka. Odjeżdżając, uśmiechał się.

Bardzo zgrabnie mu to poszło.

Rozdział 22

W poniedziałek rano, gdy Cahill poszedł do pracy, Sara poćwiczyła, umówiła się na popołudnie na manikiur i pedikiur, a potem spędziła kilka cudownych godzin, nie robiąc absolutnie nic. Po wizycie w salonie piękności zrobiła spożywcze zakupy i ugotowała spaghetti na kolację. Cahill zdążył zjeść trzeci kawałek ociekającego masłem chleba czosnkowego, kiedy zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na numer na wyświetlaczu i się skrzywił.

- Tak. Cahill. - Słuchał przez chwilę, a potem powiedział: - Już jadę.

Z westchnieniem wstał od stołu. Wciąż miał na sobie kaburę na szelkach, musiał więc tylko zawiązać krawat i narzucić marynarkę.

- Muszę iść - powiedział niepotrzebnie.

- Wiem. - Sara wstała i pocałowała go. - To coś, co szybko załatwisz, czy trochę ci z tym zejdzie?

Znów westchnął.

- Pewnie kilka godzin, może dłużej.

- Dobrze. Będę tutaj, kiedy wrócisz.

Spojrzał na nią zmysłowo, spod zmrużonych powiek.

- Miło mi to słyszeć - powiedział, pochylając się, by dać jej długiego, powolnego całusa, od którego serce jej załomotało. Do licha, ten facet potrafił całować.

Gdy wyszedł, posprzątała kuchnię, a potem przez jakiś czas oglądała telewizję. Gdy w reklamie sieci barów szybkiej obsługi pokazano idealny obrazek lodów z bananem, poczuła, że ślinka napływa jej do ust. Nie potrzebowała lodów z bananem; to była porcja kalorii na jakieś sześć tygodni. Musiałaby przebiec dwieście kilometrów, żeby to spalić.

Powtórzyła to sobie parę razy. Zwykle bardzo skutecznie potrafiła się opierać zachciankom, bo przeważnie ich nie miewała. Jadła zdrowe, dobrze zbilansowane posiłki i w ogóle niewiele myślała o jedzeniu. Ale była już prawie

pora na jej miesiączkę - a kiedy przychodziła ta pora, miała wielką ochotę na lody.

Opierała się pokusie ponad godzinę, aż w końcu uległa.

Wstała i zajrzała do zamrażalnika. Aha! Stał w nim dwulitrowy pojemnik lodów waniliowych Breyersa z prawdziwą wanilią. Sięgnęła po niego i się załamała. Pojemnik był o wiele za lekki. Zdjęła wieczko i jęknęła; w środku została może łyżeczka lodów. Dlaczego, u licha, Cahill nie dojadł tej resztki i nie wyrzucił pudełka? Albo jeszcze lepiej, dlaczego nie dokupił więcej?

Burcząc pod nosem, wzięła torebkę i pojechała do supermarketu. Gdyby wiedziała, że tak bardzo zachce jej się lodów, kupiłaby je, będąc tu za pierwszym razem.

Uznała, że skoro ma już oddawać się rozpuszcice, może to zrobić jak należy i przygotować sobie królewskie lody z bananem. Wtedy zachcianka zostanie zaspokojona, a ona będzie mogła wrócić do rozsądnych, zdrowych posiłków. Poza tym jeśli się doda banany, lody będą zdrowsze.

Wybrała więc najładniejsze banany, jakie znalazła. Kupiła wiśnie maraschino, syrop ananasowy, polewę czekoladową, siekane orzechy pekanowe w polewie karmelowej, i jeszcze osobno polewę karmelową. Wzięła waniliowe, truskawkowe i czekoladowe lody, bo w prawdziwym deserze z bananem były wszystkie trzy smaki. Co jeszcze? A, tak, bita śmietana. I waniliowe wafle, by utrzymać to wszystko w kupie.

Rany, nie mogła się już doczekać.

Ku jej zaskoczeniu Cahill był w domu, kiedy wróciła. Wniosła do domu swój łup.

- Tak wcześnie wróciłeś? Myślałam, że nie będzie cię do dziesiątej albo dłużej.

Wzruszył ramionami. ;

. - Poszło szybciej, niż myślałem. Gdzie byłaś?

- W spożywczym. Zostawiłabym liścik, ale nie sądziłam, że się zjawisz.

Oparł się o szafkę i patrzył, jak Sara rozpakowuje torby.

- Co się dzieje? Mamy lodowe przyjęcie?

- Bananowo-lodowe. Zobaczyłam lody z bananem w telewizji i zaczęłam się ślinić. A ty nie miałeś nawet zwykłych lodów - rzuciła oskarżycielsko.

- Właśnie, że miałem.

- Jedną łyżeczkę na wpół zaschniętej mazi trudno nazwać lodami.

Obrzucił wzrokiem pudełka.

- No, ale teraz już na pewno mam lody.

- I owszem. Odczekał minutę.

- Ja też mogę trochę dostać?

- Chcesz się przyłączyć do miłośnej uczty lodowej?

- Jeszcze jak. Jeśli to miłosa uczta, to jestem zainteresowany. Założę się, że wymyślę więcej zastosowań dla tej polewy czekoladowej niż ty

- Trzymaj łapy z daleka od mojej polewy. Mam wobec niej plany.

- Wobec całej butli? Puściła do niego oko.

- Może nie całej.

Wyjęła z szafki dwie płytkie miski, ułożyła rzędem wszystkie produkty i zabrała się do roboty. Obrała banany, pokroiła je wzdłuż, ułożyła w miskach i obłożyła waflami. Dalej poszły lody.

- Ja chcę tylko waniliowe - powiedział zafascynowany Cahill. - Nie lubię udziwnień, jeśli chodzi o lody.

- Omija cię cudowne doświadczenie kulinarne.

- Potem spróbuję twoich.

Trzy łychy waniliowych dla niego, po jednej z każdego smaku dla niej.

- Ananas i pekany? - zapytała, unosząc słoiki. Cahill skinął głową, nałożyła więc hojne porcje do obu misek. Dalej poszła polewa karmelowa i czekoladowa. Od serca dopełniła rosnące sterty bitą śmietaną i zwieńczyła całość wisienkami maraschino. Na swoją porcję położyła dwie - bo za nimi przepadała.

- Jasna cholera - powiedział Cahill, biorąc swoją miszkę. - To waży chyba z kilogram.

- Smacznego - odparła. Przeniosła swoją porcję na stół i zaczęła pałaszować.

- Boże - jęknął pół godziny później. - Nie do wiary, że to wszystko zjadłaś.

- Ty swoje też zjadłeś - odparła, zerkając znacząco na jego pustą miszkę.

- Ja jestem większy od ciebie. I zaraz pęknę.

- Ja też - przyznała. - Ale było dobre i przeszła mi chęć. - Zniosła miski do zlewu, splukała je i wstawiła do zmywarki. Była tak najedzona, że uszami jej wychodziło, i nie chciała nawet patrzeć na lody przez najbliższe sto lat... a przynajmniej przez najbliższy miesiąc.

- No dobrze - powiedział Cahill. - A teraz, jeśli chodzi o tę polewę czekoladową...

- Nawet o tym nie myśl.

Pomyślał, oczywiście, a nawet powiedział, co myśli. A po jakichś dwóch godzinach nawet wypróbowali jej nowe zastosowanie: czekoladowa polewa na niej, czekoladowa polewa na nim... Sara żałowała, że zmarnowała tyle na lody z bananem. W głowie jej się kręciło na myśl, co mogliby zrobić z całą butelką.

Wczesnym rankiem następnego dnia wciąż jeszcze się uśmiechała, jadąc do domu Lankfordów. Nie było jeszcze szóstej, ale chciała dotrzeć na miejsce wcześniej, by w pełnej gotowości zacząć dzień. Zatrzymała się przy bramie i wyjęła ze skrzynki poranną gazetę, a potem wstukała kod i brama otworzyła się gładko. Sara wjechała i zaparkowała, jak zwykle, obok bungalowu. Gdy wniosła już swoje rzeczy, przebrała się pospiesznie i przeszła przez dziedziniec do głównego domu. Otworzyła sobie drzwi własnym kluczem.

Odwróciła się, by wklepać kod na panelu, ale zatrzymała się, nie słysząc cichego pikania, ostrzegającego, że drzwi zostały otwarte, gdy system był jeszcze uzbrojony. Marszcząc brwi, przyjrzała się lampkom kontrolnym. Nic dziwnego, że nie pikał; alarm nie był włączony. Widocznie Merilyn zapomniała.

Oboje z Sonnym dość lekko traktowali domowe zabezpieczenia, ponieważ posiadłość była otoczona murem i odcięta od świata bramą. Wychodzili z założenia, że jeśli teren wokół domu jest zabezpieczony, to i dom jest bezpieczny.

Weszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy, a potem ruszyła z gazetą przez płataninę korytarzy i pokojów do gabinetu Sonny'ego, gdzie zwykle ją czytał, zerkając na poranne wiadomości w telewizji. Nie lubił się spieszyć, przeważnie był więc już na dole o wpół do siódmej, dając sobie mnóstwo czasu na gazetę i śniadanie, zanim wyszedł do biura o ósmej czterdzieści.

W korytarzu włączone były nocne oświetlenie i górne lampy. Właściwie lampa nad głównym wejściem też się paliła. Sara zmarszczyła brwi, nagle zaniepokojona. Coś było nie tak; może któreś z nich pochorowało się w nocy, bo zdawało jej się, że poczuła...

Ten zapach.

Panika, ogarniająca ją niczym gwałtowna fala przypływu, sprawiła, że Sara na miękkich nogach zatoczyła się w korytarzu. Ten zapach! Nie mógł oznaczać tego, o czym myślała - po prostu jej kojarzył się z czymś strasznym. Każda podobna okoliczność przypominała jej tamten koszmar. Widocznie któreś z nich złapało gripę żołądkową, i tyle. Mieli numer jej komórki, powinni zadzwonić, a ona wróciłaby natychmiast, by wszystkim się zająć.

Przełknęła żółć podchodzącą jej do gardła.

- Panie Lankford?! - zawołała. - Halo?

Nie było odpowiedzi. Wszędzie wokół panowała cisza, rozbrzmiewał tylko ledwie słyszalny pomruk elektryczności, dowodzący, że wszystkie urządzenia działają.

- Halo! - zawołała znów.

Nie miała swojego pistoletu; jeszcze jej go nie zwrócono. Ale u Lankfordów nie pełniła funkcji ochroniarza, nie przejmowała się więc brakiem

broni. Wiedziała, że policja w końcu odda jej depozyt. Teraz, jednak, ze zjeżonym każdym włoskiem na ciele, żałowała, że nie ma go przy sobie.

Powinna się wycofać, może zadzwonić do Cahilla i poprosić go, żeby sprawdził dom. Ale dom wydawał się... pusty, zupełnie tak jak dom sędziego - jakby w środku nie było żywej duszy. Powoli ruszyła korytarzem i stanęła, dławiąc się.

Ten zapach. Ten przekłety zapach.

Nie dam rady jeszcze raz. Ta myśl nie dawała jej spokoju. To nie mogło się dzieć znowu. Coś jej się przywidziało. Może zapach był naprawdę, ale ona pozwoliła, by wywołał u niej panikę. Powinna dowiedzieć się, co jest nie tak, kto jest chory. Powinna zachować spokój i opanować sytuację. To należało do jej obowiązków - radzenie sobie z każdym zaistniałym w domu kryzysem.

Zrobiła kolejne dwa kroki. Do drzwi gabinetu brakowało jej może jeszcze trzech. Zmusiła się, by pokonać tę odległość - praktycznie rzuciła się przed siebie, jak ktoś, kto nareszcie zebrał się na odwagę, by zeskoczyć z wieży na bungee. Smród był niemal oleisty, kleił się do jej gardła, oblepiał język. Znów się zadławiła; zakrywając dłonią usta i nos, zajrzała do gabinetu.

Leżał, a raczej na wpół siedział na podłodze, z głową i ramionami opartymi o ciężki stolik do kawy. Głowę miał przekrzywioną pod nienaturalnym kątem, jakby zabrakło mu miejsca, żeby położyć się płasko. Rana była...

Sara nie szukała Merilyn. Tak jak to zrobiła już kiedyś, wycofała się powoli, roztrzęsiona; z jej gardła wydobywały się ciche, piskliwe jęki. Sama półświadomie zdumiewała się, że wydaje takie dźwięki. Brzmiały tak słabo, a przecież ona była silna. Zawsze była silna.

Teraz nie czuła się silna. Chciała uciec z krzykiem z tego domu, znaleźć jakieś bezpieczne, ciemne miejsce i skulić się w nim, dopóki ten horror nie zniknie.

Chciała... chciała Cahilla. Tak. Gdyby tu był, nie czułaby się taka bezradna, taka roztrzęsiona. Musiała zadzwonić do Cahilla.

Cały czas wycofywała się korytarzem, i tak jak kiedyś, znalazła się w kuchni. Teraz trzęsła się już jak osika i wiedziała, że jest na granicy hysterii.

Nie. Nie podda się hysterii. Nie może. Miała sprawę do załatwienia, musi zadzwonić.

Nie do Cahilla. Nie w pierwszej kolejności. Najpierw musi zadzwonić pod 911. Może Merilyn jeszcze żyje, może sanitariusze zdążą dotrzeć tu na czas, by ją uratować, jeśli najpierw zadzwoni pod 911.

Ręka trzęsła się jej tak bardzo, że nie była w stanie wcisnąć odpowiednich guzików na słuchawce. Anulowała połączenie i spróbowała jeszcze raz, z takim samym skutkiem. Zawodząc, przeklinając, walnęła słuchawką o blat.

- Działaj, do cholery! Działaj!

Słuchawka rozpadła jej się w dłoni, plastikowe części pofrunęły po kuchni. Tym, co zostało, cisnęła o ścianę. Potrzebowała innego telefonu. Potrzebowała... innego... pieprzonego... telefonu!

Spróbowała się zastanowić. Telefony były w całym domu, ale gdzie dokładnie? Pracowała tu za krótko, żeby wiedzieć bez namysłu, szczególnie teraz, gdy ledwie była zdolna do jednej spójnej myśli.

A nie mogła wyruszyć na poszukiwanie, bo bała się, że zamiast telefonu znajdzie Merilyn.

Nie chciała myśleć o tej energicznej, wesołej, dobrej kobiecie leżącej gdzieś w kałuży krwi. Skup się. Znajdź telefon.

Bungalow. Wiedziała, gdzie tam jest aparat.

Próbowała biec, ale nogi ugięły się pod nią i potknęła się, padając na kolano na płytach dziedzińca. Nie zarejestrowała bólu - pozbierała się jakoś i chwiejnie pokonała resztę drogi do drzwi domku.

Telefon był tuż za nimi, w salonie. Chwyciła słuchawkę i zaczęła dźgać palcem przyciski, ale powstrzymała się i zdołała zaczerpnąć kilka głębokich, oddechów. To była ciężka walka, ale odzyskała trochę spokoju. Musiała się opanować; na nic się nikomu nie przyda, jeśli się rozklei.

Ręce wciąż jej się trzęsły, ale zdołała wcisnąć 911 i poczekać na połączenie.

Cahill nie mógł w to uwierzyć. W głowie mu się to nie mieściło. W pierwszej chwili pomyślał, że źle usłyszał, że ten raport to jakiś dowcip albo że źle podano adres. Jedno morderstwo w Mountain Brook było już wystarczająco niezwykle, ale podwójne morderstwo ledwie kilka tygodni po tym pierwszym? I odkryte przez tę samą kobietę, która zgłosiła poprzednie? To było niemożliwe.

Czuł lodowatą kulę w brzuchu, zimny, twardy supeł przerażenia, który nie miał nic wspólnego z bezpieczeństwem Sary - zgłosiła morderstwo, nic jej się więc nie stało - a bardzo wiele wspólnego z jego policyjną duszą. Był cholernie dobrym gliną, wyposażonym w doświadczenie, intuicję i talent do analizowania na zimno twardych faktów, bez poddawania się emocjom. Intuicja mówiła mu teraz, że tego wszystkiego jest o wiele za dużo jak na zbieg okoliczności.

Kiedy dojechał do domu Lankfordów, zastał kocioł, przy którym chaos w domu sędziego wydawał się zorganizowany. Wozy patrolowe, nieoznakowane samochody służbowe, furgonetki, karetki i wóz strażacki wypełniały podjazd i ulicę, ale one wszystkie powinny tu być. Ciekawscy, gapie, wozy stacji telewizyjnych, reporterzy z gazet - wszystko to tworzyło tłum, który kompletnie zakorkował ruch. Nad głowami latał im nawet śmigłowiec.

Cahill przypiął odznakę do paska w widocznym miejscu i, przedarłszy się przez tłum gapiów, przeszedł pod taśmą otaczającą miejsce zbrodni. Pierwszego napotkanego mundurowego spytał:

- Widziałeś porucznika?

- Jest w środku.

- Dzięki.

Sara też była gdzieś w środku, albo w tym małym domku koło basenu. Ale nie szukał jej; najpierw musiał się zobaczyć z porucznikiem.

Dom był istnym labiryntem, i to olbrzymim, jakby projektował go schizofrenik. Cahill znalazł w końcu, kogo szukał. Porucznik stał w korytarzu i

zaglądał do pokoju, ale nie wszedł do środka i niczego nie dotykał. A więc to jest miejsce zbrodni, albo jedno z nich.

- Muszę z panem porozmawiać - powiedział Cahill, wskazując głową miejsce na boku.

- Co za jatka - mruknął porucznik pod nosem, wciąż gapiąc się do wnętrza pokoju. Był zmęczony, choć dzień dopiero się zaczął. - Tak? O co chodzi?

- Pewnie zechce mnie pan wykluczyć z tej sprawy. Konflikt interesów. Jestem związany z Sarą Stevens.

- Z tą kamerdyner? - zapytał ostro porucznik Wester. - W jaki sposób związany? Spotkaliście się parę razy?

- Praktycznie mieszkamy razem. - To była przesada, ale niewielka.

- Myślałem, że ona mieszka w tym małym domku na tyłach.

- To jej kwatery, kiedy jest w pracy. Ale kiedy ma wolne, siedzi u mnie.

- Cholera. - Porucznik potarł dłonią głowę. Nie miał zbyt wielu włosów, a te, które miał, strzygł bardzo krótko, nie popsuł więc sobie fryzury. - Jak długo to trwa?

- Od kiedy została skreślona z listy podejrzanych w sprawie Roberta.

- Cholera. Muszę ci powiedzieć, Doktoru, że mam złe przeczucie na temat tego wszystkiego. Może za szybko ją oczyściliśmy w tamtej sprawie. Do diabła - zaczął wściekłym szeptem. - Od lat nie mamy tu morderstwa, i nagle ona przyjeżdża do miasta i ktokolwiek ją zatrudni, dostaje kulę w głowę; czysty, zawodowy strzał. Pierwszy gość zostawił jej sto kawałków w testamencie. Teraz brakuje wielkiego brylantu wartego ćwierć miliona, i, uwaga uwaga, ona to zauważyła, kiedy identyfikowała ciało kobiety. Zbieg okoliczności, tere-fere. Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Nos mi mówi, że to nie wygląda dobrze dla twojej dziewczyny.

- Tak - odparł głucho Cahill. - Wiem.

Rozdział 23

Porucznik Wester był w rozterce. Potrzebował wszystkich detektywów, jakich miał, ale nie chciał narażać śledztwa i zaciemniać sytuacji konfliktem interesów. Konflikt wystąpiłby tylko wtedy, gdyby Cahill pozwoliła, by emocje przeszkadzały mu w pracy. Porucznik sądził, że Cahill mimo wszystko może pracować przy tym śledztwie; a sam Cahill miał co do tego pewność. Najrozsądniej było jednak przydzielić go do jakiejś innej sprawy.

Cahill wiedział, że to najlepsze wyjście, ale i tak go to wkurzało. Nie to, że porucznik podjął taką decyzję, ale że w ogóle trzeba ją było podejmować. Myślał, że jest mądrzejszy, ale coś gdzieś przegapił. Jeśli Sara dokonała tych wszystkich zabójstw - albo je zleciła, nie mógł zapominać i o takiej możliwości - to on spieprzył sprawę, nie idąc tropem swojej pierwszej myśli, i zginęło kolejnych dwoje ludzi.

A jeśli Sara jest niewinna - ta możliwość z każdą minutą wyglądała coraz mniej prawdopodobnie - to coś tu było potwornie nie tak. Przypomniała mu się historia z wisiorkiem: czy rzeczywiście uczeplił się jej jakiś świr, czy wysłała sobie ten wisiorek sama, by w razie konieczności odwrócić od siebie podejrzenia?

Wprawdzie nie brał udziału w tym śledztwie, ale jego mózg i tak pracował, przesiewając możliwe scenariusze.

Poprosił o pozwolenie, by się z nią zobaczyć. Chciał się upewnić, czy Sara dobrze się czuje, ale gliniarz w jego duszy chciał też zobaczyć, jak ona wygląda, jak się zachowuje. Język ciała i reakcje fizyczne potrafiły wiele zdradzić.

Sara była w bungalowie, siedziała na kanapie w przytulnym salonie; sanitariusz opatrywał jej prawe kolano, a mundurowy funkcjonariusz pilnował drzwi. Nogawkę spodni miała rozdartą i Cahill dostrzegł na jej nodze plamy koloru rdzy. Jej twarz była biała jak papier.

- Co się stało? - zapytał, stając w pewnej odległości.

- Upadła na dziedzińcu i zdarła sobie kolano - odparł rzeczowo sanitariusz, owijając bandażem sączącą się ranę. - Jutro będzie obolałe - powiedział do Sary.

Nieprzytomnie skinęła głową.

- Kiedy się przewróciłaś? - zapytał Cahill. -I jak?

- Nie przewróciłam się. - Głos Sary był tak cienki, że niemal przejrzysty, i kompletnie wyprany z intonacji. Nie spojrzała na niego. - Zachwiałam się i upadłam na kolano.

- Kiedy? - powtórzył Wykonała nieokreślony gest ręką.

- Kiedy szukałam telefonu.

- Dlaczego szukałaś telefonu? - Telefony były w całym domu, w tym jeden roztrzaskany w kuchni.

- Żeby zadzwonić. Zgłosić... - Znów machnęła bezradnie ręką w kierunku domu.

- Telefony są w domu. Dlaczego przyszłaś tutaj?

- Nie wiedziałam, gdzie ona jest. Nie chciałam... jej zobaczyć. -Umilkła i po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. - Ale i tak zobaczyłam. Poprosili mnie, żebym ją zidentyfikowała. I tak ją zobaczyłam.

Objawy psychicznego szoku były bardzo wiarygodne, bardzo przekonujące. Do diabła, może nawet prawdziwe. Język jej ciała też jednoznacznie wskazywał na szok - siedziała nieruchomo, chyba że czegoś od niej chciano, ale i wtedy poruszała się powoli. Była bardzo blada. Makijaż? Źrenice też miała rozszerzone, ale ten efekt można wywołać kroplami.

Był na siebie wściekły za te myśli, ale nie mógł pozwolić, by uczucia go zaślepiły. To nic, że odsunęli go od śledztwa, ale jego analiza mimo wszystko mogła okazać się użyteczna.

Pojawiła się kolejna myśl: czy zaangażowała się w związek z nim, by odwrócić od siebie podejrzenia albo trzymać rękę na pulsie w sprawie sędziego

Robertsa? Jeśli tak, to pewnie gratulowała sobie sukcesu, bo tamta sprawa tkwiła w martwym punkcie.

Chciał przesłuchiwać ją dalej, ale teraz lepiej było się wycofać, pozwolić, by pytania zadawali detektywi przydzieleni do tego śledztwa. Poza tym musiał coś sprawdzić.

Skinął głową posterunkowemu i wyszedł z bungalowu, wciągając głęboko w płuca świeże, ciepłe powietrze. Znów odszukał porucznika Westera.

- Mamy już przybliżony czas zgonu?

- Lekarz sądowy jeszcze nie podał konkretów, ale ja sam widziałem ciała, i stężenie pośmiertne było już dość zaawansowane. Powiedziałbym - pokiwał dłonią- dwanaście godzin.

Cholera. To przypadało na czas, kiedy jego wezwano, a Sara urządziła sobie tę niespodziewaną wycieczkę do supermarketu, choć już wcześniej zrobiła spożywcze zakupy. Wycieczka została zgrabnie wytłumaczona nagłą chętką na lody z bananem. Czyżby była do tego stopnia bezwzględna, że wróciła tutaj, zabiła dwoje ludzi, a potem zatrzymała się, żeby kupić sobie lody w drodze do jego domu? A może lody to tylko pretekst, żeby wyjść? Alibi, żeby mogła mu pokazać paragon i powiedzieć: „Widzisz? Byłam tutaj. Nie mogłam być jednocześnie tam”.

Sytuacja niemal identyczna z przypadkiem morderstwa sędziego Robertsa. Nie było świadka, który potwierdziłby definitywnie, że była gdzieś indziej w chwili morderstwa, ale miała paragon z zakupów.

Z drugiej strony jednak, nie wiedziała, że wczoraj wieczorem on zostanie wezwany. Nie mogła zaplanować wszystkiego z wyprzedzeniem. Czy po prostu czekała na taką sposobność, kiedy on dostanie wezwanie wieczorem, a wtedy ona zadziała? Nie spieszyło jej się; mogła sobie pozwolić na odpowiedni moment. Ostatecznie dostawała niemałą pensję, a jeśli miała oko na ten złoty brylant, to przecież on się nigdzie nie wybierał.

Nie zatrzymała paragonu z supermarketu. Wyraźnie pamiętał, że razem z plastikowymi torbami wyrzuciła go do śmieci. Jeśli jest tak bystrą, tak zorganizowaną morderczynią, to wyrzucenie paragonu byłoby strasznym niechlujstwem. Albo przebiegłym posunięciem. Teraz mogła powiedzieć: „Gdybym wiedziała, że będzie mi potrzebne alibi, to czy wyrzuciłabym paragon?”

Boże, wariował od tego wszystkiego. Jakkolwiek by na to spojrzeć, każda drobna zmiana stawiała w zupełnie nowym świetle jej najbardziej znaczące czy nieznaczące działania.

Wrócił do domu i przekopał kuchenny kosz na śmieci. Plastikowe torby były prawie na samym wierzchu, przykryte tylko obierkami z owoców i pustym pojemnikiem po jogurcie ze śniadania. Wyciągnął torby - były dwie - wyprostował i zajrzał do środka. W jednej znalazł paragon, pomięty, ale suchy i czysty, bez jednej plamki.

Spojrzał na wybitą na nim godzinę. Ósma pięćdziesiąt siedem. Mniej więcej wtedy przyjechał do domu. Gdzie była przez resztę czasu?

Mały, funkcjonalny pokój przesłuchań nie budził poczucia zagrożenia. Zamontowana pod sufitem kamera nagrywała przesłuchanie.

Detektyw, Rusty Ahern, potrafił świetnie przesłuchiwać. Miał niecały metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, piaskowe włosy, piegi i otwartą twarz, która zachęcała do wyznań. Niegroźny, empatyczny. Cahill, choćby nie wiadomo jak starał się przybrać neutralny wyraz twarzy i ton, nigdy nie umiał sprawić wrażenia tak niegroźnego człowieka jak Rusty. Był za duży, i, jak to stwierdził kiedyś sam Rusty, jego oczy zawsze wyglądały, jak u rekina". Rusty szczególnie dobrze radził sobie z kobietami; ufały tej jego dobrodusznej gębie.

Cahill, wraz z porucznikiem i dwoma innymi detektywami, obserwowali nagrywaną rozmowę na monitorze. Sara siedziała prawie bez ruchu, przez większość czasu patrząc w przestrzeń, jakby odcięła się emocjonalnie od wszystkiego. Cahill pamiętał, że zachowywała się tak samo po pierwszym

zabójstwie. Reakcja obronna? Sposób na zyskanie dystansu? A może bardzo dobre aktorstwo?

- Gdzie pani była zeszłej nocy? - zapytał łagodnie Rusty.

-U Cahilla.

Detektywa Cahilla?

- Tak.

- Dlaczego pani tam pojechała?

- Spędziłam z nim weekend.

- Cały weekend?

- Bez soboty. W sobotni wieczór organizowałam przyjęcie. Pracowałam.

- O której godzinie dojechała pani do domu detektywa Cahilla? Po sobotnim przyjęciu.

- Koło czwartej? - zastanawiała się, nadając odpowiedzi pytającą intonację. - Nie pamiętam dokładnie. Wczesnie. Przed świtem.

- Dlaczego pojechała pani tak wczesnie rano?

- Żebyśmy mogli dłużej być razem.

Dzięki Bogu Rusty nie wypytywał o ich związek. Dalej ustalał ramy czasowe wydarzeń.

- Czy całą niedzielę spędziliście razem?

- Tak.

- I niedzielną noc spędziła pani z detektywem Cahillem?

- Tak.

- A wczoraj? W poniedziałek. Co pani robiła, kiedy detektyw Cahill pojechał do pracy?

- Do diabła, Rusty chyba ma się za prawnika - mruknął detektyw Nolan. - Słuchajcie tych pytań.

Pytania były wyjątkowo szczegółowe, krok po kroku. Zwykle przesłuchania nie wyglądały tak sztywno; po prostu zachęcało się podejrzanego do mówienia. Ale Sara nie paplała sama z siebie; odpowiadała tylko na zadane

pytania i przeważnie bardzo lakonicznie. Ponieważ sama nie kwapiła się do mówienia, Rusty musiał z niej wszystko wyciągać.

- Ćwiczyłam. Zrobiłam zakupy.

-To wszystko?

- Pojechałam na manikiur.

- Gdzie pani ćwiczyła?

- W piwnicy.

- W piwnicy, gdzie?

- W domu Cahilla.

I tak dalej, i tak dalej. Ustalał, kiedy i gdzie poszła na manikiur, gdzie robiła zakupy, o której była w sklepie. Co zrobiła potem? Ugotowała kolację. Spaghetti. Było gotowe, kiedy Cahill wrócił do domu.

Potem dostał wezwanie i musiał wyjść. Powiedział, że wróci za kilka godzin.

Rusty spojrział w notatki. Znał dokładny czas wezwania Cahilla, jak również godzinę jego powrotu do domu. Miał zapisaną godzinę z paragonu za lody. Gdyby próbowała coś kombinować z czasem, zorientowałby się szybko.

- Co pani wtedy robiła?

- Posprzątałam kuchnię i oglądałam telewizję.

- To wszystko?

- Pojechałam po lody.

- Która to była godzina?

- Nie wiem. Po ósmej.

- Dokąd pani pojechała? Podała mu nazwę supermarketu.

- O której wyszła pani ze sklepu?

- Nie wiem.

- Czy może pani ocenić w przybliżeniu, jak długo tam pani była? Uniosła jedno ramię.

- Piętnaście minut.

- Dokąd pani pojechała po wyjściu ze sklepu?

- Z powrotem do domu Cahilla.

- Czy detektyw Cahill był tam?

- Tak. Wrócił wcześniej, niż się spodziewał.

- Która to była godzina?

- Nie wiem. Nie patrzyłam na zegarek.

- Czy zatrzymywała się pani gdzieś między wyjściem ze sklepu a powrotem do domu detektywa Cahilla?

- Nie.

- Powiedziała pani, że wcześniej tego dnia zrobiła pani zakupy. Dlaczego wtedy nie kupiła pani lodów?

- Bo wtedy nie miałam na nie ochoty.

- Nagle zachciało się pani lodów?

- Tak.

- Czy często zachciewa się pani lodów?

- Raz w miesiącu.

Rusty zrobił lekko zdziwioną minę.

- Dlaczego akurat raz w miesiącu?

- Tuż przed okresem. Wtedy zawsze mam wielką ochotę na lody.

- Prr - szepnął Nolan do ucha Cahilla. - ZDI. - Za dużo informacji. Nie uśmiechało mu się słuchanie o cyklu miesięczkowym.

Rusty też był trochę zdezorientowany, jakby nie wiedział, co zrobić z tą informacją. Cahill zachowywał kamienną twarz i patrzył. Z trudem znosił to, że jego prywatne życie jest mieszane do śledztwa. O czym ona myślała?

Do licha, a co on wiedział? Jeśli chodzi o kobiety, najwyraźniej zachowywał się jak ślepy głupek; był detektywem, a mimo to potrzebował ponad roku, by się zorientować, że Shannon go zdradza. Ale co innego być oszukiwanym przez kłamliwą żonę, a co innego tak kompletnie dać się omotać morderczyni. Kochał się z tą kobietą. Spał u jej boku. Śmiał się z nią. Założyłby

się o własne życie, że to jedna z najuczciwszych osób, jakie znał, i nie potrafił dopasować tego wszystkiego, co o niej wiedział jako o człowieku, do okoliczności, które wskazywały, że może być wyrachowaną morderczynią.

To wydawało mu się najgorsze. Mieli tylko poszlaki. Zbieg okoliczności był absolutnie niewiarygodny, ale nie istniał nawet cień namacalnego dowodu, który pozwoliłby jej przypisać te morderstwa.

- Mojej żonie chce się czekolady - powiedział porucznik Wester. - Zawsze wiem, kiedy zacznie jej się okres, bo opycha się czekoladkami Hersheya jak chomik, który robi zimowe zapasy.

- Jezu, nie możemy pogadać o czymś innym? - jęknął Nolan. Rusty doprowadził ją do momentu, kiedy przyjechała do Lankfordów.

- Co pani wtedy zrobiła?

- Poszłam do głównego domu, żeby zaparzyć kawę.

- Zauważyła pani coś niezwykłego?

- Alarm nie był włączony. Nie pikał, kiedy otworzyłam kuchenne drzwi i weszłam do środka.

- Czy to coś niezwykłego?

- Kiedy ja jestem, zawsze włączam alarm. Ale pani Lankford czasem zapomina.

- Nie było to więc nic niezwykłego.

- Właściwie nie.

- Co pani zrobiła potem?

- Włączyłam ekspres, potem wzięłam gazetę... chciałam zanieść gazetę do gabinetu. Pan Lankford lubił czytać w gabinecie, oglądając wiadomości. Lampy się paliły - powiedziała, i urwała.

- Lampy?

- Nocne oświetlenie korytarza. Było włączone. I górne światło. Nie powinno być włączone tak wcześnie.

- Dlaczego nie?

- Bo tylko ja wstaję tak wcześnie, a dopiero przyjechałam.

- Co pani sobie pomyślała?

- Pomyślałam... pomyślałam, że ktoś się pochorował.

- Dlaczego przyszło to pani do głowy?

- Przez zapach. Poczułam zapach. - Objęła ciasno własne ramiona, tuląc samą siebie, i zaczęła kiwać się lekko w przód i w tył. Kiwanie było oznaką wzburzenia, odruchową reakcją ciała szukającego pociechy. Ktoś powinien ją przytulić, pomyślał Cahill, czując, że żołądek zaciska mu się w jeszcze ciaśniejszy supeł.

- Co to był za zapach?

Spojrzała na niego tępo i nagle przestała się kiwać. Przycisnęła dłoń do ust. Rusty skoczył po kosz na śmieci i podstawił jej w samą porę. Pochyliła się nad pojemnikiem, wymiotując gwałtownie, ale wyrzuciła z siebie tylko płyn. Cahill zacisnął zęby. Pewnie nie jadła nic od śniadania, a to było wiele godzin temu. Wciąż wymiotowała, a raczej tylko ją szarpało, bo żołądek miała już pusty; z trudem słuchał tych odgłosów.

- Przyniosę pani papierowy ręcznik - zaofiarował się Rusty, idąc do drzwi.

Sara pozostała schylona nad koszem, jej ciałem od czasu do czasu wstrząsał spazm. Obecni w pokoju monitoringu patrzyli w milczeniu. Cahill walczył z pragnieniem, by iść do niej, by się nią zająć. Musiał się trzymać z daleka. Musiał pozwolić Rusty'emu odwalić tę robotę.

Rusty wrócił z mokrym papierowym ręcznikiem. Sara wzięła go trzęsącymi się rękami i wytarła twarz.

- Przepraszam - powiedziała zdławionym głosem; nagle ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się płaczem, który przypomniał Cahillovi, jak szlochała po śmierci sędziego Roberta.

Jezu. Nie mógł na to patrzeć. Wstał i zaczął chodzić po pokoju, rozcierając kark, by rozluźnić spięte mięśnie.

Jeśli to ona dokonała tych morderstw, to była najlepszą aktorką na świecie. Widział na ekranie kobietę w szoku, w rozpacz. Ludzie czasem reagowali w ten sposób, jeśli zabili kogoś w afekcie, a potem z przerażeniem zdali sobie sprawę, co zrobili. Mordercy, którzy na zimno zabijali ofiary celnym strzałem w głowę, jak na egzekucji, nie rozpaczali po nich. Okoliczności były tak podejrzane, że smród bił pod samo niebo, ale szczegóły nie pasowały. Ona nie pasowała.

Nie pasowała. Jakikolwiek były okoliczności, nie pasowała.

- Ona tego nie zrobiła - powiedział cicho z nagłą absolutną pewnością. Może i jest ślepy, jeśli chodzi o całe to sercowe gówno, i dostał z tego powodu niezłego kopa po słabiźnie. Ale jako gliniarz widział całkiem ostro, i ona nie była winna.

Porucznik Wester rzucił mu współczujące spojrzenie.

- Doktorku, sypiasz z nią. Nie pozwól, żeby twoja mała główka myślała za dużą głowę.

- Ten czynnik nie wchodzi w grę - odparł Cahill. - Ja ją po prostu znam. Nie mogła tego zrobić.

- Jesteś zbyt zaangażowany - stwierdził Nolan. - Pozwól nam działać po swojemu. Jeśli tego nie zrobiła, to się dowiemy. A jeśli zrobiła, też się dowiemy.

Wszyscy znów spojrzeli na monitor. Rusty odczekał w milczeniu, aż nawałnica łez ucichnie, i teraz zapytał łagodnie:

- Chce się pani czegoś napić? Kawy? Wody? Coli?

- Wody - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Dziękuję. Przyniósł jej kubek wody. Cahill znów odwrócił się przodem do ekranu i patrzył, jak wypija ostrożnie kilka łyków, jakby nie była pewna, że utrzyma wodę w żołądku.

- Co się stało, kiedy poczuła pani ten zapach?

Kiwanie znów się zaczęło, ledwie dostrzegalne, rozdzierające serce.

- O mało... o mało nie uciekłam. Pamiętałam ten zapach. Kiedy sędzia został zamordowany, był... był taki sam. Nie mogłam tam wejść. Chciałam uciec.

Teraz przynajmniej mówiła trochę więcej, zamiast odpowiadać monosylabami na pytania.

- Uciekła pani? Pokręciła głową.

- Ciągle sobie powtarzałam, że to tylko ktoś się rozchorował. Grypa żołądkowa. Moim obowiązkiem było zająć się wszystkim, posprzątać wszelki bałagan... - Znow głos się jej załamał.

- I co pani zrobiła?

- Podeszłam do drzwi gabinetu i zajrzałam. On tam... leżał. Miał zgiętą szyję. - Nieświadomie przechyliła głowę, by zilustrować pozycję, w jakiej leżał Sonny Lankford. Rusty czekał, czy będzie mówiła dalej sama, ale znow zamilkła, aż do następnego pytania.

- I co wtedy?

- Wycofałam się do kuchni i próbowałam zadzwonić pod 911. Chciałam najpierw zadzwonić do Cahilla. Chciałam, żeby tam był. Ale 911... karetka... może zdołaliby jeszcze pomóc. Najpierw próbowałam więc zadzwonić pod 911.

- Próbowala pani?

- Nie mogłam. Tak... tak się trzęsłam, że wciskałam nie te guziki. Telefon nie chciał działać. Walnęłam nim o blat i aż się rozleciał. Telefon, znaczy.

- Uderzyła pani telefonem o blat?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie chciał działać. Nie chciał działać!

- I co dalej?

- Rzuciłam nim.

Sara była najbardziej opanowaną osobą, jaką Cahill znał. Jeśli do tego stopnia straciła nad sobą kontrolę, to znaczy, że wpadła w histerię. Była

przerażona, obolała, a on nawet nie dotknął jej dłoni, kiedy poszedł ją zobaczyć. Nic dziwnego, że tuliła sama siebie. Ktoś musiał to zrobić.

- Potrzebowałam innego telefonu - wytłumaczyła, po raz pierwszy odzywając się bez zachęty. - Nie mogłam myśleć, nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jest jakiś aparat. Pracowałam tam od niedawna, a dom jest skomplikowany. Nie chciałam tracić czasu na szukanie telefonu, bo nie wiedziałam, gdzie jest pani Lankford i bałam się, że ją znajdę nieżywą. - Łzy na nowo pociekły po jej twarzy. - Pobiełam więc do swojego mieszkania, do bungalowu. Wiem, gdzie tam jest telefon. Nie musiałam go szukać. Zadzwoiłam pod 911, a oni przetrzymali mnie na linii. Chciałam się rozłączyć, ale mi nie pozwolili. Trzymali mnie na linii.

- Dlaczego chciała się pani rozłączyć?

- Cahill - powiedziała Sara drżącym głosem, z oczami pełnymi łez. - Chciałam zadzwonić do Cahilla. Potrzebowałam go.

Cahill wypadł nagle z pokoju. Poszedł do łazienki, zamknął drzwi, pochylił się nad muszlą i wymiotował.

Rozdział 24

Minęło trochę czasu, zanim zaczęła myśleć spójnie, logicznie, ale teraz miała do dyspozycji wyłącznie czas. Spędzała w pokoju przesłuchań długie, samotne chwile, zakłócanie tylko przez piegowatego detektywa o piaskowych włosach, który przychodził co jakiś czas i zadawał jej mnóstwo pytań. Kiedy potrzebowała iść do łazienki, odprowadzano ją tam. Kiedy prosiła o coś do picia, przynoszono jej.

Zastanawiała się, czy pozwoliliby jej wyjść, gdyby spróbowała. Nie została aresztowana, nie zakuto jej w kajdanki, przyszła tu z własnej woli. Ale nie miała dokąd pójść. Nie mogła zostać w bungalowie, nie była w stanie myśleć dość jasno i poprosić, by zabrano trochę jej ubrań i innych potrzebnych rzeczy, żeby mogła znów zatrzymać się w hotelu, a już na pewno nie mogła iść

do Cahilla. Kiedy zaczęła myśleć, ten jeden jedyny fakt był dla niej jasny jak słońce.

On uważał, że jest winna, że popełniła morderstwo.

Przedtem, w bungalowu, nie zbliżył się do niej, tylko stał z daleka, obserwując ją zimnymi oczami. To nie wyglądało tak, jak wtedy, kiedy zamordowano sędziego. Wtedy też znalazła się na liście podejrzanych, dopóki nie sprawdzono jej relacji, ale nie było w tym nic osobistego. Rozumiała to. Ale teraz... teraz on ją znał, jak nie znał jej nikt inny, nigdy. Wczoraj, z wyjątkiem czasu, kiedy pojechał na wezwanie, spędziła z nim całą noc. Kochali się, kilka razy. A jednak on myślał, że wyszła z domu zaraz po nim, pojechała do Lankfordów, strzeliła obojgu w głowę, a w drodze powrotnej wstąpiła do spożywczego i kupiła lody.

Rozumiałaby, gdyby wykonywał swoją pracę. Byłoby to bolesne, ale rozumiałaby to. Ale nie rozumiała, jak mógł naprawdę wierzyć, że jest winna.

Zraniło ją to tak głęboko i okrutnie, że nie była pewna, czy ta rana kiedykolwiek się zagoi. Cahill jednym ruchem przeciął łączące ich więzy, zostawiając ją w próżni. Czowała się jak astronauta, któremu zerwała się lina zabezpieczająca, tyle że nikt z macierzystego statku nie podejmował prób ratowania jej. Zagubiona, odpływała coraz dalej i dalej, i niezbyt ją to obchodziło.

Rozpacz, jaką czuła po śmierci sędziego, wydawała jej się niczym w porównaniu z tym. Nie chodziło tylko o okrutną śmierć Lankfordów, tych przyjaznych, szczerych ludzi, których tak bardzo polubiła. Rozpaczała także z powodu Cahilla, i tej magii, która ich połączyła. Kochała go, ale on nie kochał jej - nie mógł jej kochać, bo kochać kogoś naprawdę, to znaczy znać tę osobę, wiedzieć, co jej w duszy gra, z jakiej gliny jest ulepiona jako istota ludzka. Cahill najwyraźniej nie miał o tym pojęcia. Gdyby miał, podszedłby do niej i powiedział: „Wiem, że to źle wygląda, ale wierzę w ciebie. Stoję za tobą murem”.

A on patrzył na nią, jakby była śmieciem, a potem sobie poszedł.

To nie była miłość. Chciał tylko seksu, i tyle. I miał seks, i to jeszcze jaki.

Teraz rozumiała, dlaczego zrobił się tak zgorzkniały i nieufny, gdy dowiedział się o zdradzie żony. Ona też nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła komuś zaufać. Rodzinie, owszem; na nich mogła polegać, choćby się waliło i paliło -jakikolwiek komunał by tu przytoczyła, byłby prawdziwy. Ale komukolwiek innemu? Raczej nie. Najboleśniej nauczki zapamiętuje się najlepiej.

A tymczasem była skazana na coś absolutnie obcego jej naturze: bierne trwanie. Zawsze należała do ludzi, którzy - kiedy coś szło nie po ich myśli - siłą, pięściami i na każdy znany sposób bez wytchnienia urabiali sytuację tak, by im odpowiadała. Jednak w tym wypadku nie mogła zrobić nic. Nie mogła zmienić przeszłości. Cahill zostawił ją, kiedy potrzebowała go najbardziej i żadne siłowanie się czy walenie pięściami nie mogło tego zmienić.

Zabawna jest taka miłość, która jednego dnia mówi o małżeństwie, a następnego odwraca się plecami. Dlaczego więc się nie śmiała?

Siedziała na krześle bez poręczy w małym pokoju bez okien i pozwalała, by czas płynął. Nie miała nic do roboty i nigdzie się nie wybierała.

Porucznik Wester potarł dłonią swoją prawie całkiem łysą głowę.

- Dobrze - powiedział ze znużeniem. - Co mamy? Zamykamy ją czy puszczamy wolno?

Wszyscy byli wykończeni. Media szalały, burmistrz szalał, ratusz szalał, a obywatele Mountain Brook się bali. W ciągu ostatniego miesiąca troje z nich zostało zamordowanych we własnych domach, co byłoby niemałą sensacją w każdej innej okolicy, ale w Mountain Brook wzbudziło przerażenie. Ofiary morderstw myślały, że są bezpieczne w swoich naszpikowanych elektroniką, otoczonych murami, elektrycznymi bramami i reflektorami posiadłościach. A jednak okazały się równie bezbronne jak młoda matka w dzielnicy gangów

narkotykowych, w nocy kuląca się z dziećmi w wannie, bo ściany były za cienkie, by zatrzymać kule gwizdzące po ulicach.

Ludzie płacili ciężkie pieniądze, by mieszkać w Mountain Brook z jego horrendalnym podatkiem od nieruchomości. Płacili astronomiczne sumy za niewyobrażalnie drogie posiadłości, doskonały system szkolny, iluzję bezpieczeństwa. Podatkami kupowali sobie miasto bez slumsów i departament policji, który miał możliwie skutecznie zapobiegać przestępstwom i wykrywać te, które się już wydarzyły. A kiedy ludzie w domach wartych miliony tracili poczucie bezpieczeństwa, głośno wyrażali swoje niezadowolenie. To powodowało niezadowolenie burmistrza, co z kolei wywoływało niezadowolenie komendanta, i tak dalej, i tak dalej. Naciskano na wydział dochodzeniowy, by rozwiązał sprawę, bo inaczej skutki będą opłakane.

Rusty Ahern spojrzał w dokumenty leżące przed nim.

- Mamy trzy puste łuski, które po wstępnej analizie balistycznej wydają się pasować do kuli, która zabiła sędziego Roberta. Ani w tej, ani w poprzedniej sprawie nie mamy żadnych weryfikowalnych odcisków palców. Nie mamy żadnych fizycznych dowodów poza tymi trzema łuskami. W żadnym z miejsc zbrodni nie mamy też śladów włamania, co wskazuje, że ofiary znały sprawcę i otworzyły mu drzwi. Mamy rozwalony zamek w wewnętrznych drzwiach. Wykaz numerów w telefonie Lankfordów prowadzi do automatu w Galerii, tego samego, z którego ostatni raz dzwoniono do sędziego Roberta. Nie wiem, jak wam, panowie, ale mnie wynika z tego, że pani Stevens nie popełniła żadnego z tych morderstw.

- Jak to? - zapytał Nolan. - Nie nadążam.

- Nie miałyby żadnego powodu zapowiadać się telefonicznie, żeby mieć pewność, że brama będzie otwarta, że ofiary są w domu, i tak dalej - powiedział Cahill. - Miała swobodny wstęp do obu domów. Mogła wejść w każdej chwili.

- Zgadza się. I co jest motywem? - zapytał Ahern. - To mnie doprowadza do szału. Z domu Roberta nic nie zginęło. Pani Stevens dostała niezłą działkę w

spadku, ale testament wciąż jest w weryfikacji, to nie działa tak, że człowiek dostaje czek do ręki, kiedy tylko zjawi się ciało. I jak wspomniałeś, Doktorku, pieniędzy jej nie brakuje.

- To jeszcze nic nie znaczy - powiedział Nolan. - Niektórym zawsze jest mało. I nie zapominaj o wielkim brylancie, który zginął. Kamień wart ćwierć miliona to dla niejednego łakomy kąsek. No a do tego niektórzy zwyczajnie są wariatami.

- Ale nie ona. Jest normalna i zrównowazona jak mało kto, i, Nolan, jeśli jeszcze raz wspomnisz, że wyssała mi mózg przez fiuta, to cię walnę tak, że połkniesz własne zęby. - Już kilka razy skakali dziś sobie do oczu. Obaj byli zmęczeni i drażliwi, a Nolanowi często zdarzało się przesadzać z żartami.

- Spokojnie, panowie - powiedział Wester. - Doktorku, co z tym zdjęciem faceta przy automacie ze sprawy Roberta? Pokazano je sąsiadom Lankfordów?

- Jeszcze nie. Skupialiśmy się na Sarze.

- No więc puśćmy je w obieg. Skoro ostatni telefon do Lankfordów wykonano z tego samego automatu, to musi być nasz ptaszek.

- Ale to wszystko i tak się nie klei - upierał się Nolan. - Po co zabito sędziego, jeśli nie dla rabunku i nie dla pieniędzy z testamentu? Co z tego, że jeszcze się weryfikuje; ona w końcu je dostanie. Spójrzmy na to z tej strony: Stevens pracuje dla Roberta i Roberts dostaje kulkę w łeb. Idzie pracować do Lankfordów, i oni dostają kulkę w łeb. Czy ktoś tu widzi jakiś schemat?

- Jaką masz teorię na temat faceta ze zdjęcia? - zapytał Wester.

- To proste. Pracują razem. Nie może być inaczej. Ona wchodzi do domu i zbiera wszelkie informacje, kody od alarmów, klucze, wszystko, co jest potrzebne. Nie wiem, na jakiej zasadzie decydują, kiedy... no bo pracowała u sędziego Roberta trzy lata, po co więc czekać tak długo, żeby go sprzątnąć? Potem pracuje u Lankfordów tydzień z haczykiem, i idą do piachu. Może robią to, kiedy potrzebują pieniędzy. Kto wie? Ona zapewnia sobie alibi, a on wchodzi do domu i robi swoje. Ofiary nawet nie wiedzą, że on jest w domu,

dopóki nie podejście i nie pociągnie za cyngiel. W żaden sposób nie jest związany z ofiarami, jest to zatem morderstwo dokonane przez obcego, a takie sprawy są cholernie trudne do rozwiązania.

- Masz w domu system alarmowy? - zapytał Cahill.

- Tak. Nazywa się pies.

- No więc, ofiary usłyszałyby, że morderca wszedł do środka. W obu domach przy każdym otwarciu drzwi lub okna odzywa się sygnał ostrzegawczy. Gdybyś się nie spodziewał nikogo, sprawdziłbyś to, zgadza się? Nie siedziałbyś w fotelu i nie czekał.

- Chyba że myśleli, że to Sara Stevens.

- Lankfordowie wiedzieli, że nie będzie jej do poniedziałku rano. Wester zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że w obu przypadkach ofiary znały zabójcę.

- Na to mi wygląda.

-I w obu przypadkach zabójcą jest ten sam człowiek. Spojrzeli po sobie.

- Wciąż czegoś nam brakuje - stwierdził Ahern. - Motywu.

- Powtarzam wam, że chodzi o pieniądze - powiedział Nolan.

- A ja ci powtarzam - rzucił niecierpliwie Cahill - że pieniądze wchodzą w grę tylko wtedy, jeśli to Sara zabija.

- Albo zleca zabójstwa.

- Ale ofiary znały zabójcę, który prawdopodobnie jest tym samym człowiekiem, który dzwonił z automatu. Ty sam powiedziałeś, że tak zwany partner nie byłby w żaden sposób związany z ofiarami, nie może być więc jednocześnie tak i tak. Albo go znali, albo nie. Jeśli go nie znali, dlaczego wpuścili go do domu? Dlaczego sędzia Roberts siedział i rozmawiał z nim? Zabójca był znajomym i Roberta, i Lankfordów.

- Cholera. - Nolan ze zmarszczonymi brwiami zapatrzył się w blat stołu, myśląc intensywnie.

- Zabójca jest więc kimś, kogo znali ze względu na interesy, albo obracali się w tych samych kręgach. Ja stawiam na interesy - powiedział Cahill. - Sędzia Roberts był grubo po osiemdziesiątce i nie chodził na przyjęcia. Miał swoje grono kolegów od pokera, i tyle. Ale wciąż pilnował swoich interesów i sam się nimi zajmował, a Sonny Lankford trzymał tyle srok za ogon, że dziw, iż nie odleciał.

- Jeśli tak na to spojrzeć, to motywem jednak mogą okazać się pieniądze - powiedział Ahern. - Musimy się dowiedzieć, jakie przedsięwzięcia czy związki biznesowe były dla nich wspólne, na przykład jakiś interes, który nie wypalił, ale oni dobrze na tym wyszli, a tymczasem ktoś inny dostał po tyłku.

- Ale wtedy byłby to czysty przypadek, że Sara Stevens akurat pracowała i u Roberta, i u Lankfordów - stwierdził Wester. - A to totalna bzdura. Taki zbieg okoliczności się nie zdarza.

- Może jednak nie jest to tak nieprawdopodobne, jak się panu zdaje - powiedział Ahern; z furią bazgrał w swoim notesie, goniąc własne myśli. - Ilu ludzi stać na kamerdynera, a szczególnie zarabiającego tyle, ile bierze Sara Stevens? Niewielu. To byłby wąski krąg osób, nawet w Mountain Brook. Większość tutejszych obywateli urabia sobie ręce po łokcie, żeby spłacać podatki od nieruchomości, hipoteki i chesne dzieci w szkole. Ale ci bogaci, którzy mogą sobie na nią pozwolić, prawdopodobnie znają się wszyscy, jeśli nie na gruncie towarzyskim, to biznesowym. Jakoś musieli się dorobić, nie? Ja twierdzę, że związki biznesowe są naszym ogniwem.

- W ostatnim roku wiele firm miało kłopoty. To możliwe, że ktoś umoczył i teraz ma o to żal - rozważał ten scenariusz Wester. Jak na razie miał on więcej sensu niż jakakolwiek inna teoria, którą brali pod uwagę. - Dobrze, pójdę z tym do kapitana. Wydamy jakieś oświadczenie, na tyle mętne, by nie wypłoszyło nam tego faceta. Zabił już troje ludzi i mogło mu się to spodobać. Nie chcemy więcej trupów w tym mieście.

Spojrzał na Aherna.

- Możesz wypuścić panią Stevens, posłać kogoś, żeby wziął dla niej jakieś ubrania i odwiózł ją do motelu. I nie może mieszkać u ciebie w domu - rzucił z naciskiem pod adresem Cahilla. - Chcę, żebyś na razie trzymał się od niej z daleka. Dziennikarze będą chcieli nas zjeść za to, że ją wypuszczamy, a jeśli któryś z nich zechce ją śledzić i dowie się, że ona mieszka u detektywa z Mountain Brook, wszyscy przepadniemy. Czy to jasne?

Cahill rozumiał, że to mądre zarządzenie, by Sara nie mieszkała u niego. Ale trzymanie się od niej z daleka nie wchodziło w grę. Miał do odbudowania porządny kawał mostu i nie zamierzał z tym czekać do rozwiązania sprawy. Cały dzień paliło go w dołku wspomnienie tego płaczu, którym wybuchnęła, kiedy powiedziała, że go potrzebowała. Dziś rano wdepnęła prosto w koszmar, tym gorszy, że był powtórką sceny z sędzią Robertsem. Odchodziła od zmysłów, a on nie poszedł do niej, nie wziął jej w ramiona. Cały dzień siedziała sama, powoli kiwając się w przód i w tył, tuląc samą siebie. A co gorsza, wiedziała, że on przez chwilę miał ją za morderczynię.

To nie było tylko wykonywanie swoich obowiązków; to był brak zaufania tak monstrualny, że Cahill nie wiedział, czy zdoła kiedykolwiek naprawić wyrządzoną krzywdę. Ale będzie próbował, aż zdechnie. Jeśli będzie musiał ją błagać na kolanach, dosłownie i w przenośni, by uzyskać jej przebaczenie, to wytrze dziury we wszystkich swoich spodniach, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jej psychika była w tej chwili bardzo krucha. Pamiętał, że kiedy zginął sędzia Roberts, nie mogła jeść; dziś z pewnością nie jadła nic od śniadania, które sądząc po poziomie jego głodu, było chyba z tysiąc lat temu. Proponowali jej posiłek, ale odmówiła, kręcąc w milczeniu głową. Zwykle to ona była silna, to ona imponowała siłą, do niej zwracano się w kryzysowej chwili, ale teraz potrzebowała kogoś, kto się nią zaopiekuje.

Po pierwsze, trzeba było wziąć jej rzeczy z bungalowu i zameldować ją w hotelu pod fałszywym nazwiskiem, żeby mogła odpocząć. Tym zajmie się Ahern.

Ale Cahill w żaden sposób nie mógł jej zostawić bez przeprosin -
jakkolwiek zostaną przyjęte.

Przeszedł krótkim korytarzykiem i otworzył drzwi pokoju przesłuchań.
Uniosła głowę, ale natychmiast odwróciła wzrok, kiedy go zobaczyła. Wciąż
była blada, twarz miała ściągniętą, oczy pozbawione blasku. To zdarzenie, tak
krótco po śmierci sędziego, kompletnie ją znokautowało.

Wszedł do środka i zamknął drzwi. Kamera pod sufitem nie nagrywała; w
tej chwili byli sami. Gdyby chciała dać mu w twarz, przyjąłby to. Zniósłby
wszystko, gdyby tylko potem mu wybaczyła. Ale ona nie poruszyła się, nawet
kiedy kucnął obok krzesła, by zajrzeć jej w twarz.

- Ahern zabierze cię do hotelu, żebyś mogła odpocząć - powiedział cicho.
- Zbierzemy twoje rzeczy i przywieziemy ci. Niech on cię zamelduje pod
fałszywym nazwiskiem, żeby dziennikarze cię nie znaleźli.

- Nie jestem aresztowana? - zapytała cienkim, bezbarwnym głosem.

- Saro... my wiemy, że tego nie zrobiłaś.

- Jak to? Czy wypłynął dziś jakiś dowód? Rano myślałaś, że jestem
winna. - W jej słowach nie było oskarżenia ani żaru, tylko zwykłe stwierdzenie
faktu. Cahill poczuł, jakby oddaliła się od niego na setki kilometrów. Od niego i
od każdego innego człowieka. Tylko w ten sposób potrafiła sobie z tym
poradzić.

- Myliłem się - powiedział wprost. - Przepraszam. Boże, nawet nie
potrafię ci powiedzieć, jak mi przykro. Zbieg okoliczności walnął mnie
obuchem w łeb i potrafiłem myśleć tylko o tym, że wczoraj wieczorem
wychodziłaś z domu, kiedy dostałem wezwanie.

- Rozumiem.

Aż się skrzywił, tak beznamiętny był jej głos.

- A wybaczysz mi?

- Nie.

- Saro... - Wyciągnął rękę, ale ona odsunęła się z błyskiem szaleństwa w oczach.

- Nie dotykaj mnie.

Opuścił rękę.

- Dobrze. Na razie. Wiem, że cię skrzywdziłem, ale nie pozwolę ci odejść.

Zdaje się, że powoli dochodzimy do czegoś w tej sprawie...

- To nie zależy od ciebie - przerwała mu.

- Co? Co nie zależy ode mnie?

- Czy odejdę. Nie masz wyboru.

Zobaczył przed sobą wielką, czarną dziurę, która zaczęła go wsysać. Jeśli straci Sarę... nie, to się nie stanie. Nie przyjmował tego do wiadomości. Kiedy już przejdzie jej pierwszy szok, przynajmniej go wysłucha. Sara była najrozsądniejszą osobą, jaką znał. A jeśli nie zechce słuchać, to on nie będzie wzdragał się przed nieczystą grą. Zrobi wszystko, byle tylko ją zatrzymać.

- Porozmawiamy później - powiedział, odsuwając się, by dać jej trochę przestrzeni, której teraz potrzebowała.

- Nie ma sensu.

- Jest sens. Dam ci teraz trochę czasu, ale nie myśl, że się poddałem.

Nigdy.

- Powinieneś - odparła i znów zapatrzyła się w ścianę. Piętnaście minut później Ahern wyprowadził ją w pośpiechu przez

tylne drzwi, przez parking do swojego samochodu. Reporterzy z prasy i telewizji koczujący od frontu zauważyli ich i jeden z operatorów zdołał nakręcić parę ujęć, ale nic poza tym. Jeden przedsiębiorczy facet wskoczył do samochodu i ruszył za nimi, ale drogę zablokował mu biały jaguar, który skręcił mu tuż przed maską; zanim facet włączył się do ruchu, zarówno nieoznakowany wóz policyjny, jak i biały jaguar zniknęły mu z oczu.

Rozdział 25

Trevor Densmore przeżył największy szok w życiu, kiedy w wiadomościach powiedziano, że Sarę zatrzymano jako podejrzaną. To było straszne. Jak mogli w ogóle... przecież nie istniał nawet cień obciążającego ją dowodu. Nawet cień. Jak mógłby istnieć? Wczoraj wieczorem postąpił nieostrożnie i zostawił łuski po pociskach, co przysporzyło mu trochę niepokoju, ale te łuski w żaden sposób nie mogły być powiązane z Sarą.

Co do niego, to po prostu musiał się pozbyć pistoletu - oczywiście najpierw należało spiłować z niego numer seryjny. Nie cierpiał sam zajmować się tak przyziemnymi detalami, ale przecież nie mógł poprosić o to sekretarki, prawda?

Teraz przede wszystkim zadba o dobro Sary. Wyglądała tak blado w wiadomościach. Znalazła ciała: i sędziego Robertsa, swojego poprzedniego pracodawcy, i Lankfordów, co z pozoru stawiało ją w jednym rzędzie z tymi łotrami, którzy popełniają zbrodnie, a potem, by odwrócić od siebie podejrzenia, wzywają policję, udając, że to oni odkryli morderstwo. Policja była wyczulona na takie działania i to zapewne wyjaśniało, dlaczego jest podejrzana, ale... och, wyrządził jej taką straszną krzywdę.

Ani razu nie pomyślał, że to ona znajdzie ciała. Ani razu. Powinien zdawać sobie z tego sprawę, bo przecież to jedyny logiczny scenariusz; była sumienną osobą, a to oznaczało, że to ona pierwsza stawi się rano do pracy. Naraził ją na straszne przeżycie. Nie bardzo wiedział, jak mógłby urządzić to w taki sposób, by ktoś inny znalazł ciała, ale mógł narzucić na nie jakiś koc. Ostatnio wszyscy mają w domach pełno różnych narzut na meblach; on sam nie cierpiał takiego bałaganu. Ale mógł ich użyć, by zaoszczędzić Sarze szokującego widoku.

Był tak zdenerwowany własną bezmyślnością, że kazał sekretarce odwołać spotkanie i wyszedł wcześniej z biura. Co robić, co robić?

Przede wszystkim należało się postarać, by ją wypuszczono, ale jak? Nie mógł przecież zadzwonić na policję i zażądać jej zwolnienia; musiałby wtedy złożyć wyjaśnienia, których nie miał ochoty składać. I nagle przyszedł mu do głowy genialny pomysł. Był ryzykowny, ale wart ryzyka, jeśli miał uwolnić Sarę.

Choć działał bardzo sprawnie, wykonanie planu i tak zajęło mu kilka godzin. Potem, nie wiedząc, co robić, podjechał pod ratusz, zatrzymał się na parkingu pobliskiego banku i czekał. Nie chciał dołączać do tych szakali, którzy sterczeli pod drzwiami z furgonetkami wyposażonymi w anteny satelitarne, z kamerami wideo, i niestety nie miał pojęcia, ile czasu minie, zanim skutki jego działań zostaną odkryte. Ale kiedy Sara zostanie uwolniona, zamierzał czekać na miejscu, by ją wesprzeć.

Teraz, gdy spoglądał wstecz, stwierdzał, że sprawy nie mogły ułożyć się lepiej. Sara wyjdzie stąd zdenerwowana i będzie potrzebowała bezpiecznej przystani. Mógł jej dać tę przystań, i więcej... o wiele więcej.

Starannie wybrał swój punkt obserwacyjny. Kiedy chciał lepiej widzieć to, co się dzieje - to było tak frustrujące, nie wiedzieć dokładnie; nie cierpiał bawić się w domysły - wystarczyło, że przeszedł kawałek chodnikiem, jakby wybierał się do pralni chemicznej czy gdziekolwiek indziej.

Szczyście mu sprzyjało - ale przecież sprzyjało mu zawsze. Czekaając, wpadał w coraz większą rozpacz. Niekompetentne kmioty, dlaczego tak długo się grzebią? W chwili, kiedy stracił cierpliwość i postanowił jechać do domu - przecież trudno było się spodziewać, że będzie tu czekał wiecznie - zobaczył, że Sara wychodzi z policji drzwiami na tyłach budynku. Była z jakimś mężczyzną, zapewne detektywem, który poprowadził ją przez wąski podjazd na policyjny parking. Ekipy reporterskie zauważyły ich, oczywiście, gdy wsiadali do nieoznakowanego, pospolitego auta. Jeden z reporterów pobiegł do swojego samochodu i wskoczył za kierownicę, ale Trevor doskonale wyliczył czas i sprawnie włączył się do ruchu w idealnym momencie, blokując reporterowi

wyjazd. Za nim było więcej samochodów, których kierowcy nieświadomie powtórzyli ten sam blokujący manewr.

Trevor pojechał za nieoznakowanym samochodem, nie spuszczać go z oka, ale starając się, by dzieliło go odeń przynajmniej jedno auto. Naprawdę, robił się w tym całkiem niezły.

Dokąd ten facet ją wiozł? Z powrotem do domu Lankfordów? Na pewno nie. Ale ona nie miała innego domu. A więc do znajomych albo do hotelu. Najwyraźniej nie została aresztowana, tylko zatrzymana i przesłuchana, a teraz ją zwolnili. Nie był pewien, jak dokładnie wyglądała policyjna procedura, ale wiedział, że gdyby Sara została aresztowana, zatrzymano by ją w areszcie do wstępnej rozprawy, na której ustalono by kaucję lub odmówiono jej możliwości odpowiadania z wolnej stopy.

Teraz musiał tylko jechać za nią, by dowiedzieć się, dokąd ją zabierają; potem zdecyduje, w jaki sposób najlepiej nawiązać z nią kontakt. Tym razem przyjdzie do niego. Był tego pewien.

- Ma pani jakieś ulubione? - zapytał Sarę detektyw Ahern. - Hotele, znaczy.

- Wszystko mi jedno.

Ahern spojrzał na nią. Był w rozterce. Do pokoju przesłuchań wchodził przekonany, jak wszyscy inni, że jest winna. Jej reakcje podczas przesłuchania i odrobina dedukcji przekonały go, że nie jest. Zwykle niezbyt się przejmował, jeśli ktoś był rozstrojony. W jego zawodzie należało się tego spodziewać, i -jeśli tylko ludzie nie wpadali w histerię, nie wymachiwali pięściami i nie rzucali przedmiotami - pozwalał im radzić sobie ze stresem po swojemu. Ale tym razem stało się inaczej, bo z powodu swojego związku z Cahillem ta kobieta była właściwie jedną z nich. Ta sprawa miała osobisty charakter.

- Porucznik kazał Doktorkowi trzymać się od pani z daleka, dopóki sprawa nie przycichnie. Dziennikarze dostaliby amoku, gdyby dowiedzieli się, że pani z nim mieszka.

- Nie mieszkam - odparła głucho.

Wiedział, że zaraz wdepnie po kolana w gówno, ale brnął dalej.

- Jeśli więc Doktorek nie będzie się za często pokazywał, to właśnie dlatego. On chce być przy pani. A tak przy okazji, cały dzień przekonywał nas o pani niewinności. On w panią wierzy, Saro. Harujemy jak wściekli, żeby jakoś rozplatać tę sprawę, ale on...

- Detektywie Ahern - powiedziała.

- Słucham?

- Niech się pan zamknie. - Oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

I co teraz?

Uratował go dzwoniący telefon. Wezwanie. Otwierając coraz szerzej oczy, słuchał z niedowierzaniem.

- Jasna cholera! - wykrzyknął.

Sara poderwała się i odniósł wrażenie, że naprawdę zdrzemnęła, się przez tych kilka sekund.

- Co?

- Miało miejsce kolejne morderstwo. - Wdepnął gaz. - Jeśli pani nic ma nic przeciwko temu, zawiozę panią do zajazdu Mountain Brook. Jest niedaleko, a ja muszę jechać na miejsce zbrodni.

- Dobrze. Był poruszony.

- To wygląda na ten sam modus operandi, Saro. Będziemy wiedzieć więcej, kiedy zbadamy sprawę, ale jeśli tak, to pani jest całkowicie oczyszczona z podejrzeń. Dziennikarze przestaną panią niepokoić.

- Dlaczego? - zapytała zszokowana. - Kto?

- Nie wiem, podano mi tylko adres. Ale najwyraźniej to świeża zbrodnia, ledwie sprzed paru godzin. Pani nie mogła tego zrobić. - Zacisnął ręce na kierownicy. - Cholera. Mamy do czynienia z seryjnym mordercą.

Kiedy dotarli do zajazdu, powiedziała:

- Po prostu niech mnie pan wysadzi od frontu. Sama się zamelduję. -
Wzruszyła ramionami. - Teraz już nieważne, czy się dowiedzą, że tu jestem,
prawda? Dziennikarze mogą dzwonić, ale nie będą łomotać do moich drzwi. -
Ta ostatnia rewelacja z podejrzaną zmieniła ją... w co? W potencjalnego
świadka? W nieprawdopodobnego pechowca?

- Proszę wyświadczyć mi przysługę - powiedział Ahern. - Niech pani
mimo wszystko użyje fałszywego nazwiska. Niech się pani poda za Geraldine
Ahern, to nazwisko mojej matki. W ten sposób będziemy mogli panią znaleźć.

- Dobrze - zgodziła się. Było jej wszystko jedno. Chciała po prostu zostać
sama i spać.

Wzięła torebkę i wysiadła z samochodu. Nim zamknęła drzwi, Ahern
przechylił się do okna i powiedział:

- Wyślemy do pani kogoś z ubraniami. Proszę siedzieć na miejscu. Musi
siedzieć na miejscu, myślała, patrząc za odjeżdżającym Ahernem, bo nie ma jak
się stąd ruszyć, chyba że taksówką. Jej trailblazer wciąż stał u Lankfordów.

Była tak wykończona, że przez kilka długich chwil po prostu stała w
cieple popołudniowego słońca, próbując opanować chłód, który zdawał się
przenikać ją do kości. Co zrobi, jeśli personel w recepcji nie zechce jej tu
zameldować? Jeśli oglądali dziś telewizję, to widzieli jej twarz i słyszeli
nazwisko we wszystkich wiadomościach. Mogli nawet pomyśleć, że uciekła z
aresztu, choć gdyby tak było, nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego
miałaby się meldować w najbliższym hotelu.

Dzisiejsze wydarzenia zmiażdżyły ją, wyssały całą resztkę sił, jaka jej
jeszcze pozostała, sprawiając, że chwiała się na nogach. Zamknęła oczy, usiłując
odzyskać kontrolę nad sobą.

- Pani Stevens? - usłyszała łagodny, pełen wahania głos. - Sara?
Kompletnie otepiała otworzyła oczy i spojrzała w twarz człowieka,

którego skądś znała, choć nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go widziała. Stał jakieś półtora metra od niej, przyglądając jej się z troską. Nie słyszała jego kroków, nie zdawała sobie sprawy, że ktoś jest obok.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał nieśmiało i nagle sobie przypomniała. Sobotni wieczór. Przyjęcie.

- Pan Densmore - powiedziała. Ucieszył się, że go pamiętała.

- Proszę mi mówić Trevor. Moja droga, myślałem o pani cały dzień. To straszne, co się stało. Jakże pani musiała się bać.

Gardło jej się ścisnęło; patrzyła na niego w milczeniu. Po wydarzeniach całego dnia ta łagodna sympatia niemal rozbiła ją do reszty.

- Z tego, co mówili reporterzy, wynikało, że policja panią podejrzewa, ale to śmieszne. Pani nie mogła zrobić czegoś takiego, cóż za pomysł. Czy pani zatrzymała się tutaj na razie?

- Ja... - Przełknęła ślinę. - Jeszcze się nie zameldowałam.

- Chodźmy więc, załatwię pani pokój, żeby mogła pani odpocząć. Czy pani coś dzisiaj jadła? Tu, zdaje się, jest kafejka. Będę zaszczycony, jeśli zechce mi pani towarzyszyć przy posiłku.

Był kompletnie obcym człowiekiem, ale po jednym spotkaniu miał więcej wiary w nią niż Cahill. Różnica między nimi uderzyła ją tak bardzo, sprawiła, że zakreśliło jej się w głowie. Nie zdawała sobie sprawy, że zachwiała się, dopóki pan Densmore nie wyciągnął ręki i nie dotknął jej ramienia.

- Moja droga, pani się zaraz przewróci. Proszę iść ze mną, na pewno poczuje się pani lepiej, kiedy pani coś zje.

Tak łatwo było się po prostu poddać jego perswazji. Wszystko prócz najprostszych ruchów wydawało się ją w tej chwili przerastać; to była ogromna ulga, nie musieć podejmować żadnych decyzji, nawet dotyczących tego, co będzie jadła. Zanim się obejrzała, byli już w kawiarni, a on cichym głosem zamawiał dla niej gorącą herbatę i zupę. Rzucił ciche uwagi, które nie wymagały odpowiedzi, a jednak oplatały ją jakby ochronnym kokonem i

pozwalają skoncentrować się na czymś innym. Przez cały dzień w jej głowie rozgrywały się te same sceny, przez cały dzień te same koszmarne myśli goniły się w kółko, a on dawał jej przed nimi schronienie. Słuchała go i pozwoliła sobie na zapomnienie, na tę jedną krótką chwilę.

Łagodnie, ale nieustępliwie nalegał, by jadła. Po całym dniu ciosów na odlew miło było czuć czyjąś opiekę. Zmusiła się do zjedzenia połowy talerza zupy i do wypicia łyka herbaty. Przynajmniej zrobiło jej się trochę cieplej, ale mózg wciąż miała jakby spowity mgłą. Nagle dotarło do niej to, co mówi pan Densmore.

- Pan wciąż chce mnie zatrudnić? - zapytała zdumiona. Zarumienił się i zaczął się bawić łyżeczką, niepotrzebnie mieszając zamieszaną już wcześniej herbatę. Po chwili starannie odłożył łyżeczkę na brzeg spodka.

- Wiem, że to bardzo nie w porę - powiedział. - Przepraszam. To takie żenujące.

- Nie, nie o to chodzi - odparła pospiesznie. - Po prostu... to ja pana przepraszam. Jestem tak zmęczona, że nie mogę się skupić. Bardzo dziękuję za propozycję, panie Densmore, ale... to może być niebezpieczne. Wygląda na to, że moi pracodawcy... - Nagle wargi zaczęły jej się trząść i umilkła, niezdolna do tego, by mówić dalej.

- To nie może mieć nic wspólnego z panią - oznajmił stanowczo. - To tylko jakiś straszny zbieg okoliczności. Mówili w wiadomościach, że zdarzył się kolejny incydent, co dowodzi, że pani nie jest w to w żaden sposób zaplątana.

Media musiały dziś działać wyjątkowo skutecznie, skoro informowały już o tym najnowszym morderstwie, pomyślała ze znużeniem. Ale dziennikarze byli w najwyższym pogotowiu, podsłuchiwali policyjne radia i zgłoszenia pod 911, możliwe więc, że na tym ostatnim miejscu zbrodni byli nawet szybciej niż policja.

Zginęła kolejna osoba. Sara powinna być przerażona, powinna żałować ofiary, żałować rodziny, ale ona tylko czuła wdzięczność dla losu, że nie musiała tego widzieć.

- Moja oferta wciąż jest aktualna - powiedział; na jego twarzy znów ukazał się nieśmiały uśmiech. - Byłem pod wrażeniem pani umiejętności, kiedy zobaczyłem panią w telewizji, a potem znów w ostatnią sobotę. Proszę to przemyśleć. Moja posiadłość jest bardzo duża, radziłem sobie jakoś z dochodzącym personelem, ale naprawdę skorzystałaby na stałym, fachowym nadzorze. Jest tam bardzo cicho i mam doskonale zabezpieczenia.

Miała mózg wypełniony watą, ale przynajmniej jedna myśl wydawała jej się oczywista: tym razem oferty pracy nie będą się sypać jak z rękawa, tak jak po śmierci sędziego Roberta. Po tym, co się stało z Lankfordami, w najlepszym wypadku ludzie uznają, że jest jak biblijny Jonasz, choć to ostatnie zabójstwo dowiodło przynajmniej, że to nie ona morduje swoich pracodawców. Niewiele osób będzie chciało mieć w domu kogoś takiego jak ona. Zapewnie nie chciałby także pan Densmore, gdyby nie poznał jej wcześniej i nie wyrobił sobie własnego zdania na temat jej charakteru.

Powinna odłożyć szukanie nowej posady na później. Powinna dać ogłoszenie w gazetach w Atlancie i Palm Beach, może nawet w Nowym Orleanie. Na czas poszukiwań mogła zatrzymać się u rodziców, oczywiście jeżeli policja pozwoliłaby jej opuścić okolicę. W tej chwili, nawet po tej ostatniej rewelacji, stało to pod wielkim znakiem zapytania.

Skoro więc ta praca sama wpadała jej w ręce, najprościej byłoby ją przyjąć. Miałyby gdzie mieszkać, miałyby czym zająć umysł. Kiedy poczuje się lepiej, kiedy przyjdzie już do siebie, wtedy zdecyduje, co zrobić na stałe.

- Muszę być z panem szczerą, panie Densmore. Po tym wszystkim raczej nie będę chciała zostać w tej okolicy. Jestem wdzięczna za propozycję i jeśli w dalszym ciągu jest pan zainteresowany, wiedząc, że to może być tymczasowy układ...

- Jestem - odparł szybko. - Doskonale rozumiem, jak pani się czuje. Ale kiedy sytuacja się uspokoi, a pani pozna już moją posiadłość, mam nadzieję, że zmieni pani zdanie co do wyjazdu.

Wzięła głęboki oddech.

- W takim razie przyjmuję pańską ofertę.

Rozdział 26

Zamordowany nazywał się Jacob Wanetta, miał pięćdziesiąt sześć lat i był prezesem i dyrektorem naczelnym firmy Wanetta Advertising. Mieszkał na Cherokee Road. On i jego żona byli zapalonymi golfistami. Tego dnia pracował w domu i był cały i zdrowy, kiedy chwilę po lunchu po jego żonę przyjechała przyjaciółka, by zabrać ją na golfa i na drinka. Machał im z ganku, kiedy odjeżdżały, nie tylko żona widziała go więc żywego, ale również przyjaciółka. Kiedy żona wróciła do domu po miłym popołudniu spędzonym przy golfie i dzinnie, znalazła męża rozciągniętego na podłodze obok kominka w jego gabinecie, z kulką w mózgu. Technicy policyjni znaleźli łuskę, która wturlała się pod kanapę, i natychmiast porównano ją z tymi trzema, które znaleziono u Lankfordów. Sądząc po obrażeniach, pocisk był tego samego kalibru co pozostałe, choć lekarz sądowy musiał go jeszcze zważyć, by mieć pewność. Strzał został oddany w taki sam sposób jak dwa z trzech poprzednich. Tylko pani Lankford została trafiona między oczy, pozostałe śmiertelne rany znajdowały się z lewej strony, wskazując, że zabójca stał na lewo od ofiary i był praworęczny. To, gdzie stał, mogło być czystym zbiegiem okoliczności, ale niekoniecznie. Może jako osoba praworęczna z rozmysłem ustawił się po lewej stronie, zapewniając sobie swobodny strzał.

Gdyby stał na prawo od ofiary, oddanie strzału wymagałoby wykonania obrotu ciała, co mogło dać ofierze czas na reakcję.

A tym sposobem żadna z ofiar nie miała szans nawet mrugnąć -z wyjątkiem Marilyn Lankford, która najwyraźniej usiłowała wezwać pomoc przez telefon.

Jacob Wanetta był potężnym, atletycznym mężczyzną. Jeśli ktokolwiek z nich miałby walczyć o życie, to właśnie on. Ale i on padł trupem jak pozostali, nie stawiając oporu. Nie było żadnych przewróconych krzeseł czy lamp, nic... tylko to przerażająco sprawne morderstwo.

Został zabity, kiedy Sara siedziała bezpiecznie w komendzie policji. Nikt nie kwestionował jej niewinności, a że wszystko wskazywało na to, że Wanetta i Lankfordowie zginęli z ręki tej samej osoby, fakt ten skutecznie odwrócił od niej uwagę mediów. Szef policji wydał oświadczenie, że niepokoją się o bezpieczeństwo pani Stevens, ale że w żadnym momencie nie uważano jej za podejrzaną. Było to wierutne kłamstwo, ale kogo to obchodziło, jeśli w ten sposób zdusił zainteresowanie dziennikarzy?

Ahern powiedział, że zostawił ją pod zajazdem Mountain Brook i poinstruował, by zameldowała się pod nazwiskiem jego matki, Geraldine Ahern. Cahill wolałby, żeby Ahern wszedł z nią do środka i sam tego dopilnował, ale rozumiał, że koledze spieszyło się na miejsce nowej zbrodni. Kiedy rozhisteryzowana pani Wanetta zadzwoniła pod 911, wszyscy ruszyli biegiem jak piloci myśliwców startujących na spotkanie nadciągającej fali bombowców.

Ledwie nadążali, borykając się ze zwyczajnymi problemami, które wyskakiwały na bieżąco, a do tego trzy morderstwa w ciągu jednego dnia. Po ostatniej rewelacji porucznik Wester uznał, że nie ma żadnego powodu trzymać Cahilla z daleka od sprawy Lankfordów, choćby dlatego, że miał do dyspozycji tylko pięciu śledczych, potrzebował więc, by każdy z nich skoncentrował się na tej sprawie. Według Cahilla znosiło to również zakaz zbliżania się do Sary, choć i tak nie zamierzał specjalnie się nim przejmować. Jednak miło było wiedzieć, że nie dostanie za to po tyłku.

Dochodziła północ, kiedy Wester uznał, że wszyscy są tak zmęczeni, że tracą skuteczność. Zresztą i tak musieli poczekać, czy technicy znajdą jeszcze jakiś fizyczny dowód. Przesłuchali już tylu sąsiadów i znajomych, ilu się dało - teraz musieliby już wyrywać ludzi z łóżek - i, jak to określił Nolan, zaczynali dostawać „głupawki”.

Cahill przez cały dzień myślał o Sarze, i teraz nagle uświadomił sobie, że zapomniał zapytać o coś Aherna.

- Ahern, posłałeś kogoś, żeby zawiózł Sarze ubrania? Ahern spojrzał na niego tępo i nagle jęknął.

- Cholera, zapomniałem. - Spojrzał na zegarek. Dwie godziny temu zadzwonił do żony i obiecał jej, że niedługo będzie w domu.

- Ja to zrobię - powiedział Cahill. Wester słuchał ich rozmowy, a skoro nie zaprotestował, znaczyło to, że droga wolna.

- Jesteś pewien? - zapytał Ahern, patrząc na niego przenikliwie. - Może powinieneś trzymać się od niej z daleka przez parę dni.

- Nie, właśnie tego nie powinienem robić.

Był równie niewyspany jak wszyscy inni - a może nawet bardziej, jeśli wziąć pod uwagę to, co ostatniej nocy wyprawiał z Sarą i polewą czekoladową - ale nie miał najmniejszego zamiaru jechać do domu. Chciał się najpierw zobaczyć z Sarą. Obawiał się, że nie ucieszy się na jego widok w samym środku nocy - ale pewnie nie ucieszyłaby się o żadnej porze.

Mówi się trudno.

Najpierw pojechał po ubrania dla niej, kombinując, że Sara nie odmówi mu spotkania, jeśli przywiezie rzeczy. Zabrał wszystko - wyciągnął walizki i opróżnił szafę, zakładając, że ona i tak nie będzie tu już nocować. Choć mieszkała tutaj tak krótko, zdążyła już nadać wnętrzu osobisty charakter dzięki książkom, zdjęciom i kolekcji płyt. Zastanawiał się, czy nie spakować i tego, ale w pokoju hotelowym nie miałyby miejsca na te rzeczy, a zresztą w tej chwili nie chciał marnować czasu. Potrzebowała ubrań; reszta mogła poczekać.

Działał szybko, ale dokładnie, nie zapominając zabrać wszystkich jej przyborów toaletowych i kosmetyków z łazienki oraz bielizny z szuflad w szafie. Pakowanie jej rzeczy szło łatwo, bo wszystko było schludnie, poukładane. Może nie mieszkała tu na tyle długo, by jej rzeczy zaczęły żyć własnym życiem. Żywił upartą nadzieję, że któregoś dnia jego szafa okaże się za ciasna, aby pomieścić ubrania ich obojga i dojdą do wniosku, że potrzebują większego domu, aby to wszystko mieć gdzie trzymać. Żywił upartą nadzieję na temat wielu spraw i wszystkie one obracały się wokół Sary.

W końcu, z walizami zapakowanymi do pikapa, jadąc Dwieście Osiemdziesiątką, zadzwonił na komórkę Sary, ale automat poinformował go natychmiast, że abonent jest czasowo niedostępny. Był przyzwyczajony, że gdy nocowała u niego, miała komórkę włączoną cały czas i na noc stawiała ją na ładowarce, ale teraz nie miała powodu, by ułatwiać komukolwiek skontaktowanie się ze sobą. Burcząc pod nosem, zadzwonił do informacji, zapytał o numer zajazdu Mountain Brook, wystukał go i poprosił o połączenie z Geraldine Ahern.

Sara należała do tych ludzi, którzy budzili się natychmiast, gdy coś zakłóciło im sen, wyskakiwali z łóżka gotowi walczyć, łapać włamywaczy albo robić śniadanie. Zaczął się martwić, kiedy nie odebrała po czwartym dzwonku. Odebrała w końcu po szóstym. Jej głos brzmiał głucho.

- Halo.

- Wiozę ci ubrania - powiedział. - W którym pokoju mieszkasz? Milczała przez chwilę.

- Zostaw je w recepcji. - Nie.

- Co?

No, tak już było lepiej; w jej głosie usłyszał trochę życia.

- Jeśli chcesz mieć ubrania, musisz się ze mną zobaczyć.

- Przetrzymujesz moje ubrania jako zakładnika? - Znów więcej emocji.

Było to oburzenie, ale to też jakaś emocja.

- Jeśli nie chcesz ich teraz, zabiorę je ze sobą do domu i będziesz mogła sobie odebrać.

- Do diabła, Cahill... - urwała, i usłyszał, jak ze złością wydycha powietrze przez nos. - No dobrze. - Podała mu numer pokoju i trzasnęła słuchawką.

To już jakiś postęp.

Nie miał nic przeciwko kłótni. Tylko kompletne milczenie doprowadzało go do szału. Dopóki tylko z nim rozmawiała, nawet jeśli pod przymusem, miał jakąś szansę.

W zajeździe wziął wózek bagażowy, zapakował wszystkie jej rzeczy i ruszył do windy, śledzony czujnym okiem recepcjonisty. Gdy uchylił lekko połę marynarki i błysnął odznaką przy pasku, recepcjonista zajął się czymś innym.

Sara widocznie stała przy drzwiach, bo otworzyła je gwałtownym szarpnięciem, zanim zdążył zapukać. Widocznie ostrzegło ją skrzywienie wózka. Trzymała już wyciągniętą rękę, by odebrać torbę, ale nagle zauważyła ładunek na wózku.

- Przywiozłem wszystko - powiedział Cahill, zniżając głos ze względu na pozostałych gości śpiących na tym piętrze. Dziwne, że nie zapomniał o nakazach dobrego wychowania, bo Sara była naga, owinięta tylko w prześcieradło. - Wszedłem z założenia, że nie będziesz tam już mieszkać.

- Nie - odparła z drzeniem. - A moje...

- Resztę swoich rzeczy możesz zabrać później. - Wziął dwie walizki i energicznie ruszył naprzód, tak, że musiała cofnąć się od drzwi. Postawił walizki, i nie wychodząc za próg, wziął pozostałe bagaże. Zanim zdążyła odciągnąć na bok dwie pierwsze walizy, on wstawił już resztę do pokoju i wszedł, zamykając za sobą drzwi. Zapaliła wszelkie możliwe lampy, by jak najskuteczniej pozbawić pokój intymnej atmosfery; nakryła nawet łóżko narzutą, zdjawszy przedtem prześcieradło, którym teraz była owinięta.

Ale nie ubrała się, choć miała na to czas. Pod prześcieradłem była kompletnie goła. Cahill zastanawiał się, czy miała pojęcie, jak to świadczy o jej stanie emocjonalnym. W innej sytuacji uznałby, że o tym wiedziała, ale po dniu, jaki przeżyła, pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

Otuliła się szczerzej prześcieradłem, wysunęła podbródek.

- Dziękuję. A teraz się wynoś.

- Wyglądasz jak wiktoriańska dziewczica broniąca swojej cnoty ~ powiedział, przesuwając walizki.

Wciąż miała bladą twarz i ściągnięte rysy, ale teraz zmrużyła oczy i krew uderzyła jej na policzki. Była jednak dobrym strategiem; widocznie wyczuwała, że dążył do kłótni oczyszczającej atmosferę, bo przełknęła to, co miała na końcu języka i odsunęła się o kilka kroków.

- Wyjdź.

Podszedł bliżej. Pomyślał, że może zdoła rozzłościć ją na tyle, by rzuciła się na niego z pięściami; wtedy musiałaby puścić to prześcieradło.

- Zmusz mnie - zachęcił.

- Nie zamierzam się w to bawić - odparła, zamykając na chwilę oczy i kręcąc głową. - Jeśli będę musiała, zadzwonię do twojego przełożonego i złożę skargę, że mnie molestujesz. Już po wszystkim. Nie wyszło nam. Koniec pieśni.

- Nie - odparł. Shannon powiedziała kiedyś, że mógłby dawać lekcje uporządkowanego dupkowi, i teraz zamierzał dowieść tego. - Saro, ja cię kocham.

Poderwała głowę, z jej oczu biła furia.

- Nic podobnego.

Zmrużył oczy.

- Gadasz bzdury.

I nagle ruszyła na niego, przytrzymując prześcieradło jedną ręką i celując w niego palcem drugiej.

- Ty nawet nie wiesz, kim jestem - wypaliła. - Gdybyś wiedział, gdybyś poświęcił mi choć trochę uwagi poza chwilami, kiedy chciało ci się seksu, to nigdy, nawet przez jedną pieprzoną sekundę nie pomyślałbyś, że kogokolwiek zamordowałam, a już tym bardziej kogoś, kogo lubiałam tak jak Marilyn. - Podbródek jej się zatrzęsł, twarz zaczęła się rozklejać. -A sędziego... Sędziego uwielbiałam - powiedziała drżącym głosem, bardzo starając się nie rozplakać. - Nie można kochać kogoś, kogo się nie zna, a ty mnie nie znasz.

Teraz drżał już nie tylko jej głos; trzęsła się cała. Cahill poczuł, że coś zaciska mu się w piersi. Do diabła, nie podobało mu się, kiedy powiedziała, że zależało mu tylko na seksie. Nie podobało mu się to określenie, nie podobało mu się, co implikuje. Kiedy się kochali, było ostro, namiętnie i mokro, i można powiedzieć, że ważny był seks. Ale i kochanie się. Nigdy nie było tak, że chodziło tylko o seks.

Rozklejała się kompletnie na jego oczach. Cahill zaklął cicho i wziął ją w ramiona, z łatwością opanowując jej walenie pięściami. Nagle kompletnie zwiotczała w jego ramionach i zaczęła płakać, tak jak przedtem, zanosząc się głośnym, ciężkim szlochem.

Podniósł ją i usiadł na łóżku, trzymając na kolanach i mrucząc ciche, łagodne słowa - zrobił wreszcie to, co powinien zrobić dzisiejszego ranka. Nie trzymała już prześcieradła; zaciskała pięści na jego marynarce i prześcieradło zaczęło się zsuwać z jej smukłego ciała. Cahill pomógł mu obcesowo, jednocześnie zdejmując marynarkę z ramion. Ciągnął prześcieradło w dół, odsłaniając coraz więcej jej ciepłej skóry.

Padł na łóżko i przekręcił się tak, że teraz ona leżała na plecach. Zawisł nad nią i całkowicie usunął prześcieradło. Wciąż płakała i słabo się broniła. Pochylił głowę, by ją pocałować, a jednocześnie pieścił jej piersi, płaski brzuch, aż w końcu dotarł do superdelikatnych fałdek między nogami.

Usta miała słone od łez. Jęknęła, protestując, ale jej ciało wyginało się ku niemu. Objęła go za szyję. Szybko rozpiął spodnie, ale musiał poruszyć się kilka razy, by wejść do końca.

Znów zajęczała cicho i znieruchomiała, wpatrując się w niego mokrymi oczami, których wyraz rozdzierał mu serce.

- Ćśśś - mruknął, delikatnie poruszając się w jej wnętrzu. Zwykle dotrzymywała mu kroku, czy się bili, czy kochali, i ta jej bezwolność raniła go do głębi. Może nie powinien kochać się z nią teraz, kiedy była taka bezbronna, ale to najszybszy sposób, jaki znał, by odnowić więź między nimi. Więzy ciała... nie tylko seks, ale połączenie dwóch istnień, najbardziej pierwotny sposób na znalezienie pociechy, na to, by nie czuć się samotnym.

Gdyby mógł, sprawiłby, by trwało to całą noc. Przeształ się poruszać, gdy czuł zbliżający się orgazm; leżał nieruchomo, dopóki podniecenie nie opadło, a potem powoli zaczynał na nowo. Przez cały czas całował ją, pieścił, mówił, że ją kocha, powoli prowadząc ją od biernej akceptacji do reakcji. Nigdy przedtem nie skupiał się na odczuciach kobiety tak, jak teraz na odczuciach Sary, dostrzegając każdy niuans, każdy wstrzymany oddech, każde poruszenie nóg. Zawsze zwracał uwagę na jej reakcje, kiedy się kochali, ale teraz to stało się jeszcze głębsze. Czuł, jakby jego własne przetrwanie zależało od tego aktu, od wykucia na nowo ogniwa, zerwanego przez jego podejrzenie.

Długo to trwało, ale w końcu jej biodra zaczęły się poruszać, wychodząc mu na spotkanie, a palce wbiły się w jego ramiona. Nie przyspieszał, rozkoszując się tym, jak zaciskała się wokół niego, jakby chciała zatrzymać go w sobie. Puls u nasady szyi Sary łomotał jak szalony, sutki miała napięte, nabiegłe różem. Jej wysportowane ciało powoli unosiło się naprzeciw każdego pchnięcia, a nogi prześlizgnęły się po jego udach i opasały go mocno, jak zawsze, kiedy pragnęła czuć go jeszcze głębiej.

Jęknęła przeciągle.

Pchnął mocno i został tak, czując, że Sara zaczyna przeżywać orgazm. Sam był tak blisko, tak długo balansował na granicy, że i on wraz z jej pierwszym skurczem poczuł zbliżające się spełnienie. Próbował się nie poruszać, próbował trwać w niej nieruchomo, głęboko, dla jej przyjemności, ale rozkosz rozlała się po jego żyłach niczym gorący, płynny воск.

Leżała pod nim, dysząc ciężko; z kącików jej oczu płynęły łzy i wsiąkały we włosy na skroniach.

- Nie wierzę, że to zrobiłam - wykrztusiła.

Cahill, z trudem chwytając oddech, oparł się na łokciu i otarł kciukiem jej mokry policzek.

- Cofnąłbym ten dzień, gdybym mógł - powiedział ochryple. - Boże, tak strasznie cię przepraszam. Nie chodzi tylko o to, że jestem gliną. Po tym, jak zrobiłem z siebie takiego idiotę, ufając Shannon...

- Ja nie jestem twoją byłą żoną! - wykrzyknęła z furią i pchnęła jego ramiona. - Nie obchodzi mnie, co ona ci zrobiła. Złaż... ze mnie, do cholery, twoja odznaka drapie mnie po brzuchu!

Cholera. Sturlał się z niej i położył się na plecach. Kaburę też ciągle miał na sobie. Pewnie poszczęściło mu się, że nie wyciągnęła pistoletu i nie zastrzeliła go.

Sara usiadła na łóżku i spojrzała na niego wściekle, twarz wciąż błyszczała jej od łez.

- Muszę ci oddać sprawiedliwość - powiedziała z goryczą - że dostałam od ciebie dobrą lekcję. Prędzej piekło zamarznie, niż ja zaufam jakiemuś...

- Ugryzła się w język i znużona westchnęła ciężko. - Boże. Gadam jak ty.

Cahill wstał i poszedł do łazienki; umył się i doprowadził do porządku, wtykając koszulę w spodnie. Sara stanęła obok niego i nieprzejęta swoją nagością, ochlapała twarz, a potem zmyła ślady ich miłości. Ich oczy spotkały się w lustrze.

- Kocham cię - powiedział. - I to się nie zmieni. Ramiona jej opadły.

- Najgorsze jest to, że ja też cię ciągle kocham. Tylko po prostu w tej chwili nie potrafię tego wszystkiego ogarnąć.

- Mogę poczekać. - Odsunął jej włosy do tyłu, pogłaskał policzek.

- Tak długo, jak będzie trzeba. Ale nie wyrzucaj nas na śmietnik. Nie podejmuj żadnych drastycznych decyzji. Daj sobie czas, i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Popatrzyła na niego w lustrze i westchnęła, jakby pokonana.

- No dobrze. Na razie. Mam nadzieję, że nie pozwoliłabym ci się ze sobą kochać, gdyby nic z tego uczucia nie zostało, muszę więc myśleć, że jeszcze coś jest. Tylko... daj mi trochę miejsca, dobrze? Pozwól mi trochę się pozbierać.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Czuł się, jakby wygrał na loterii albo dostał ułaskawienie.

Skrzywiła się kwaśno.

- Jedną decyzję już podjęłam; nie wiem, czy była drastyczna, ale na pewno pochopna. Zdążyłam już przyjąć nową posadę.

To go kompletnie ogłuszyło.

- Co? Jak? Tutaj?

- Tak, tutaj. To ktoś, kogo poznałam już wcześniej, i kto już proponował mi pracę. Dziś po południu wchodził do hotelu, zobaczył mnie, i z miejsca ponowił ofertę. Przyjęłam ją.

- Jak się nazywa?

- Trevor Densmore. - Jej głos był znużony, cały chwilowy gniew szybko wyparowywał.

Cahill nie kojarzył tego nazwiska.

- Sprawdziłem go już?

- Nie, jego nazwiska nie było na mojej liście potencjalnych pracodawców.

- Czemu więc bierzesz tę pracę teraz, skoro przedtem o tym nawet nie myślałaś?

- Bo to dobra kryjówka - odparła wprost.

Rozdział 27

Sara obudziła się następnego ranka obolała od stóp do głów. Leżała w łóżku, próbując wymyślić jakiś powód, dla którego powinna dziś wstać. Choć spała głęboko, czuła się tak samo zmęczona, jak wczoraj wieczorem, kiedy się kładła. Nocna wizyta Cahilla też nie pomogła.

Po wszystkim odesłała go do domu. Nie chciał iść, ale pewnie uznał, że wygrał już wszystkie bitwy, jakie mógł wygrać tej nocy. Wziął kluczyki do jej samochodu, by móc zabrać go od Lankfordów i podstawić jej do hotelu. Sądziła, że sam go przywiezie - chciał spełnić każdą jej zachciankę, a ona sama nie wiedziała, czy to ją cieszy, czy martwi. Może jedno i drugie.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że pozwoliła mu się kochać mimo tego, jak wyglądały sprawy między nimi. Ale był niezwykle delikatny, a ona tak bardzo potrzebowała, by ją ktoś przytulił. Zapach jego ciała był ciepły i znajomy, podniecająco męski; tak dobrze знаła wszystkie szczegóły tego ciała, od szorstkiej jak papier ścierny szczęki, po kształt palców stóp. Niczego nie pragnęła bardziej niż zwinąć się w kłębek i w jego ramionach znaleźć zapomnienie, kiedy więc naprawdę wziął ją w objęcia, złamała się zenująco szybko.

Nigdy wcześniej nie był tak czuły, nie działał tak powoli. Zasypiała, wciąż czując mrowienie w całym ciele. Ale teraz była obolała, mięśnie miała skurczone w twarde supły.

- Do diabła - mruknęła. Miała ochotę przekręcić się na drugi bok i znowu ukryć twarz w poduszce. Zaczął jej się okres; to dlatego czuła skurcze, dlatego tak ją wszystko bolało. Miesiączka przyszła punktualnie, nie powinna więc jej zaskoczyć, ale traumatyczne przeżycia poprzedniego dnia sprawiły, że nie myślała o niczym innym.

Z jękiem sturlała się z łóżka. Dzięki Bogu Cahill przywiózł wszystkie jej rzeczy osobiste, bo inaczej miałyby niezły kłopot. Przejrzała torby, w końcu

znalazła tę, w której były tampony, po czym poczłapała do łazienki, by wziąć długi, gorący prysznic.

Czuła, że powinna coś robić, ale nie miała nic do roboty. Sytuacja różniła się od tej, kiedy zginął sędzia Roberts. Sara nie tylko знаła krewnych sędziego, ale i zżyła się z nimi, polegali na niej. Dwóch córek Lankfordów, Bethany i Merrill, nigdy nawet nie widziała. Serdecznie im współczuła, ale była dla nich obcą osobą, a nawet gdyby chciały jej pomocy, nie wiedziała, czy potrafi im jej udzielić. Nie tym razem. Zbyt się czuła poobijana emocjonalnie, zbyt wyczerpana.

Kiedy wyszła spod prysznica, trzęsła się ze zmęczenia, ale bardziej niż snu potrzebowała obecności kogoś, kto kochał ją bezwarunkowo, na kogo zawsze mogła liczyć. Wygrzebała z torebki komórkę, włączyła ją i zadzwoniła do matki.

- Och, cześć, słonko - powiedziała mama. Sądząc po głosie, była mocno rozstrojona. To Sarze wydało się niezwykle, bo matka zawsze była oazą spokoju, najbardziej poukładaną osobą na świecie. Sara natychmiast się zaniepokoiła.

- Mamo? Co się stało?

Ku jej przerażeniu matka wybuchnęła płaczem. Opanowała się niemal natychmiast, ale Sara i tak zdążyła się porządnie wystraszyć.

- Mamo?

- Nie miałam zamiaru dzwonić jeszcze do żadnego z was, ale ojciec miał tej nocy jakieś bóle w piersi. Spędziliśmy noc na ostrym dyżurze, przebadali go i powiedzieli, że nie miał zawału...

Sara usiadła z powrotem z głośnym westchnieniem ulgi.

- A co mu jest?

- Nie wiemy. Jeszcze go trochę boli, ale znasz go, z tą swoją mentalnością Marine upiera się, że wytrzyma. Umówiłam go na popołudnie do internisty, żeby dał mu skierowanie na dodatkowe badania. - Matka odetchnęła głęboko. -

Pewnie bym się tak nie wystraszyła gdyby nie to, że zawsze był zdrowy jak ryba. Nigdy nie widziałam, żeby coś go tak bolało jak wczoraj.

- Mogę przylecieć popołudniowym samolotem... - zaczęła Sara, ale nagle ugryzła się w język, zastanawiając się, czy może wyjechać. Jak to powiedział jej Cahill po śmierci sędziego Roberta? Nie wyjeżdżaj z miasta. Ale została oczyszczona z podejrzeń, nie powinno być więc problemu. Nagle przypomniała sobie pana Densmore'a i jęknęła; miała zacząć u niego pracę.

- Coś ty, nie wygłupiaj się - powiedziała mama trochę bardziej energicznym tonem. - To nie był zawał, wszystkie enzymy, czy jak się to tam nazywa, są w normie. Nie ma sensu, żebyś leciała tutaj z powodu czegoś, co może się okazać ostrym atakiem zgagi. Jeśli dziś po południu doktor będzie choć trochę zaniepokojony, zadzwonię do ciebie.

- Na pewno?

- Oczywiście, że tak. A teraz dość już o tym. Jak ci się układa w nowej pracy?

Sara rozpaczliwie pragnęła wypłakać się mamie w mankiet, w przenośni oczywiście, ale nie było mowy, żeby teraz miała jej jeszcze przysparzać zmartwień.

- Nie wyszło - powiedziała. - Prawdę mówiąc, mam już nową posadę i chciałam ci podać numer telefonu.

- Myślałam, że polubiłaś tych nowych ludzi, tych Lankfordów. Polubiła, i co z tego. Poczula ściskanie w gardle i musiała przełknąć ślinę.

- Nie o to chodziło. Wyskoczyło im coś niespodziewanego i musieli się stąd wynieść. - Żałowała, że nie potrafiła wymyślić jakiegoś innego kłamstwa, bo to było zbyt prawdziwe, na swój przerażający sposób. Właściwie wcale nie kłamała.

- Cóż, zdarza się. - Jako żona dawnego wojskowego matka była mistrzem nagłych przeprowadzek. - Mam już długopis. Jaki jest ten nowy numer?

Sara zapisała go poprzedniego wieczoru. Wyjęła swój mały notes, otworzyła na odpowiedniej stronie i odczytała numer. - 1 oczywiście zawsze jeszcze jest komórka, ale chciałam cię zawiadomić o tej zmianie.

- Skoncentruj się na nowej pracy. Ojcu na pewno nic nie będzie, czuje się lepiej i zaczyna już burczeć, że nie potrzebuje żadnego doktora. Będę musiała mu wykręcić ręce, żeby zaciągnąć go do przychodni.

- Zadzwoń, dobrze? Jeśli cokolwiek będzie nie w porządku.

- Zadzwonię.

Sara rozłączyła się i siedziała długą chwilę, próbując ogarnąć jakoś to nowe zmartwienie. Nie mogła nic zrobić, a przynajmniej nie w tej chwili; musiała zająć się sobą, żeby zacząć sprawnie działać, gdyby naprawdę okazała się potrzebna.

Wśród porzucanych drobiazgów odszukała buteleczkę aspiryny. Zażęła dwie tabletki, padła do łóżka i zasnęła w kilka minut.

Była prawie druga, kiedy zadzwonił telefon. Przeturlała się na drugi bok i, z niedowierzaniem spojrzawszy na zegarek, po omacku chwyciła słuchawkę.

- Odprowadzam ci samochód - powiedział Cahill. - Poprosiłem patrol, żeby mnie podrzucił do Lankfordów, będziesz więc musiała odwieźć mnie na komendę.

Zamrugnęła zaspana.

- Dobrze. - Miała półprzytomny głos.

- Obudziłem cię? - zapytał Cahill podejrzliwie.

- Tak. Miałam ciężką noc - powiedziała, pozwalając, by wytłumaczył to sobie, jak sam chce.

- Będę za jakieś dziesięć minut - odparł i się rozłączył.

Dźwignęła się z łóżka i poczłapała do łazienki. Wszystkie jej ubrania były spakowane do walizek, strasznie się więc pomięły. A ona sama wyglądała jak Zła Wiedźma z Zachodu w gorszy dzień. Cahill po prostu zaczeka, aż ona doprowadzi się do porządku.

Czekał, ale niezbyt cierpliwie. Nie wpuściła go do pokoju, zszedł więc do holu. Kiedy była już gotowa i wyszła z pokoju, odkryła, dlaczego nie obudziła jej obsługa; na drzwiach wisiała tabliczka: „Nie przeszkadzać”. Widocznie Cahill ją powiesił, kiedy wychodził. Zostawiła wywieszkę na miejscu i zjechała windą do holu.

- Odkryliście dziś coś nowego? - zapytała, kiedy jechali już na komendę.

- Nic. Tylko tyle, że ta sama broń została użyta do zabicia wszystkich czworga. Oglądałaś dziś jakieś wiadomości, albo czytałaś gazetę?

- Nie, a co?

- Zastanawiałem się, czy widziałaś gdzieś kiedykolwiek Jacoba Wanette.

- To czwarta ofiara?

- Tak.

- Nazwisko nic mi nie mówi.

Chwilę później Cahill zatrzymał się przy stacji benzynowej, wetknął garść drobnych do automatu z gazetami i wyciągnął ostatni egzemplarz porannego wydania. Wsiadając z powrotem za kierownicę, rzucił Sarze gazetę na kolana.

Nie przeczytała artykułu, nie pozwoliła sobie patrzeć na nagłówki. Skupiła się na ziarnistym, czarno-białym zdjęciu ciemnowłosego mężczyzny o potężnej szczęce, na oko silnego jak byk. Nie znała go.

- Nie przypominam sobie, że bym go kiedykolwiek widziała -stwierdziła, odkładając gazetę na bok. Nie mogła nic poradzić, że poczuła ulgę; przynajmniej z tym morderstwem nie miała nic wspólnego.

Cahill zatrzymał się, zanim dotarli do ratusza i siedziby Departamentu Policji. Wjechał na parking i wyłączył zapłon.

- Reporterzy się tu kręcą - powiedział. - Dalej pójde pieszo, żeby cię nie zobaczyli. - Obrócił się na siedzeniu, grzbietem prawej dłoni musnął jej policzek.

- Zadzwoń wieczorem. Spróbuję się z tobą zobaczyć, ale harujemy jak bure osły i nie wiem, o której dziś skończymy.

- Nie musisz sprawdzać, jak się czuję. Nic mi nie jest. - W tej chwili kłamała, ale wiedziała, że kiedyś dojdzie do siebie. Teraz potrzebowała się pozbierać, dużo spać i pozwolić, by czas oddalił ją jeszcze trochę od tych morderstw. Potrzebowała też nabrać trochę dystansu do Cahilla, i nie spotykać się z nim przez jakiś czas. Nie chciała nad niczym się zastanawiać; w ogóle nie chciała myśleć.

- To dla mojego spokoju, dobrze? - mruknął. - Wiem, że jeszcze nie wszystko między nami jest wyprostowane, muszę więc cię widywać od czasu do czasu i upewniać się, że wciąż tu jesteś.

- Ja nie uciekam, Cahill - powiedziała, zirytowana tym, że mógł tak pomyśleć. - Jeśli wyjadę, będziesz o tym wiedział wcześniej. A poza tym przyjechałam już posadę u pana Densmore'a, pamiętasz?

Burknął niezadowolony. Mimo urwania głowy znalazł czas, żeby sprawdzić Trevora Densmore'a.

- Niewiele to o nim mówi, ale nie był za nic notowany.

- Tak też sądziłam. Właściwie mogę już dziś do niego zadzwonić i zorganizować przeprowadzkę.

Spojrzał na nią z troską.

- Może poczekaj jeszcze jeden dzień. Wyglądasz na wykończoną.

Wiedziała, jak wygląda. Błada jak ściana, sińce pod oczami. I czuła się wykończona, nawet po tylu godzinach snu. Problemem nie było fizyczne zmęczenie; to przytłaczający ciężar stresu tak ją rozkładał na łopatki.

- Może poczuję się lepiej, kiedy będę miała coś do roboty. A na pewno mi to nie zaszkodzi.

Przeprowadzka do domu pana Densmore'a nie wymagała wiele czasu ani wysiłku. Chociaż „dom” to nie było właściwe słowo: to była posiadłość, istna forteca, dwa i pół hektara pierwszorzędnego gruntu otoczonego wysokim murem z szarego kamienia. Wejścia strzegła ogromna brama z kutego żelaza,

otwierana automatycznie i śledzona okiem kamer rozmieszczonych w regularnych odstępach.

Sam dom miał dwa piętra i zbudowano go z tego samego szarego kamienia, co nadawało mu wręcz średniowieczny wygląd. Teren za murem był staranie wypielegnowany, ani jednego krzaczka czy listka nie na miejscu, ani jednego źdźbła trawy sterczącego wyżej niż inne.

Wnętrze wyglądało podobnie. Albo nieśmiały pan Densmore lubił monochromatyczne zestawienia barw, albo jego dekorator był zimny jak głaz i pozbawiony wyobraźni. Wszędzie panowała szarość. Eleganckie łazienki zostały wyłożone szarym marmurem. Wszystkie meble były szarobiałe, z elementami ciemniejszej szarości dodanymi dla kontrastu. Miało się wrażenie, że przebywa się w lodowej jaskini.

Ale on był dumny ze swojego domu, niemal chłopięcy w swoim zapale, by go jej pokazać, musiała więc rozgrzeszyć dekoratora. On naprawdę uwielbiał to sterylne otoczenie. Sara wydawała odpowiednie pomruki podziwu, zastanawiając się, dlaczego jemu zależy na jej opinii. Była kamerdynerem, nie potencjalnym kupcem.

Cieszyła się, że od razu otwarcie podkreśliła tymczasowość tego układu, bo jej kwatery w ogóle jej się nie spodobała. Wolałaby oddzielne mieszkanie, niewielką oazę, którą miałyby tylko dla siebie, co pozwalałoby jej mieć życie poza pracą. Pokój, do którego ją zaprowadził, był wielki i bogato urządzony, jak drogi apartament w hotelu. Jej wydawał się zbyt duży. Znajdowały się tu wielkie łóżce z baldachimem i komplet wypoczynkowy, a wszystkie te meble nie zdołały wypełnić przestrzeni. Robiło jej się zimno już od samego patrzenia na ten pokój. Przyległa łazienka była wytworna, wykończona ciemnoszarym, niemal czarnym marmurem i chromowaną armaturą. Nawet grube ręczniki były ciemnoszare. Absolutnie jej się tu nie podobało.

Pan Densmore zrobił się niemal różowy z podniecenia.

- Zaparzę nam herbaty - powiedział, zacierając ręce, jakby nie mógł się powstrzymać. - Możemy się jej napić, omawiając pani obowiązki.

Sara miała nadzieję, że nie zabraknie jej pracy. W tak ogromnym domu powinna kręcić się służba; dom sędziego nie był nawet w połowie tak duży, ale zdawał się tętnić życiem. To kamienne mauzoleum stało puste.

Wniosła swoje walizki, ale nie zaczęła się rozpakowywać. Pan Densmore poinstruował ją, by zaparkowała trailblazera w garażowej przybudówce na cztery samochody, obok zadziwiająco nijakiego granatowego forda. Biały jaguar, stojący na stanowisku najbliższym domu wydawał się samochodem o wiele bardziej w guście pana Densmore'a, podobnie jak biały mercedes klasy S, zaparkowany obok niego. Kiedy weszła do kuchni - znów zauważyła ciemnoszary marmur i sprzęty z nierdzewnej stali - jej nowy pracodawca właśnie nalewał gorącej herbaty do dwóch filiżanek.

- Proszę - powiedział, zaaferowany ustawianiem cukierniczki i maleńkiego dzbanuszka ze śmietanką, niczym stara panna zabawiająca zalotnika. Sarze przyszło do głowy, że może czuć się samotny, skoro mieszka sam w tym wielkim domu, i trochę ją to zaniepokoiło.

Uczyła się prowadzenia posiadłości, a nie dotrzymywania towarzystwa. Z czasem między nią i sędzią wytworzyła się bliska, serdeczna więź, ale okoliczności były zupełnie inne. Pan Densmore nie był zwykłym bankierem, lecz właścicielem banku, i choć nie znała jego wieku, oceniała, że co najwyżej przekroczył sześćdziesiątkę i mógł codziennie chodzić do biura. Prowadzenie banku to skomplikowane zajęcie i nawet z pomocą sprawnej kadry kierowniczej z pewnością właściciel musiał dopatrzeć mnóstwa spraw, podejmować wiele decyzji. Wiedziała, że udzielał się towarzysko, bo spotkała go na przyjęciu. A ten sterylny, pusty dom zupełnie do tego nie pasował, jakby jego działalność zawodowa nie przenikała do jego życia prywatnego - a raczej jakby nie miał życia prywatnego. Podczas godzinnego zwiedzania domu nie widziała ani jednej

fotografii rodzinnej, ani jednego z tych osobistych drobiazgów, które sprawiały, że dom stawał się domem.

Nie mogła tu pracować. Nie podobało jej się, że sprawi mu zawód, ale też nie sądziła, by bardzo go tym dotknęła; czuła, że tak naprawdę nie jest tutaj potrzebna, a przynajmniej nie w taki sposób, jaki chciałaby brać pod uwagę. Wyczerpanie i desperacja doprowadziły ją do podjęcia błędnej decyzji, ale przecież mogła ją zmienić.

- Proszę - powiedział, przynosząc tacę z herbatą na stół. Postawił przed nią filiżankę na spodku. - Mam nadzieję, że będzie pani smakować. To mieszanka, którą sprowadzam z Anglii. Smak jest dość niezwykły, ale ja niemal się od niej uzależniłem.

Napiła się herbaty; rzeczywiście smakowała dość niezwykle, ale nie nieprzyjemnie. Wyczuwało się w niej więcej goryczki niż w zwykłej herbacie, dodała więc plasterek cytryny, by poprawić smak.

Pan Densmore obserwował ją z przejętą, wyczekującą miną, powiedziała więc:

- Jest bardzo smaczna.

Rozpromienił się od razu.

- Wiedziałem, że pani zasmakuje. - Uniósł swoją filiżankę, a Sara wypila kolejny łyk, szukając odpowiednich słów.

Po kilku chwilach zrozumiała, że w tej sytuacji nie ma odpowiednich słów, są tylko szczerze.

- Panie Densmore, popełniłam błąd.

Odstawił filiżankę i spojrzał na Sarę, mrugając oczami.

- Jak to, moja droga?

- Nie powinnam przyjmować pańskiej propozycji. Ogromnie ją doceniam, ale zgodziłam się zbyt pochopnie, nie biorąc pod uwagę kilku czynników. Jest mi niezmiernie przykro, ale nie będę mogła przyjąć tej posady.

Zamrugnął odrobinę szybciej.

- Ale przywiozła pani bagaż.

- Wiem. Przykro mi - powtórzyła. - Jeśli naraziłam pana na jakiegokolwiek kłopoty, jeśli poczynił pan już jakieś plany w związku z moją obecnością, oczywiście się tym zajmę, i w tych okolicznościach czułabym się niezręcznie, przyjmując za to jakąkolwiek zapłatę. Nie myślałam jasno, inaczej nigdy nie podjęłabym decyzji w takim pośpiechu.

Pił herbatę w milczeniu, ze spuszczoną głową. W końcu westchnął.

- Proszę się nie przejmować, każdy popełnia pomyłki, a pani bardzo odważnie przyznała się do swojej. Ale owszem, mam już plany na przyszły weekend, czy nie zechciałaby więc pani zostać do tej pory?

- Oczywiście. Czy to przyjęcie? Nastąpiła króciutka chwila wahania.

- Tak, na pewno pani zna tego rodzaju imprezy. Rewanż za zaproszenia, które sam otrzymałem. Z cateringiem, oczywiście. Około pięćdziesięciu osób.

Mogła się tym zająć. A ponieważ mijало już późne środowe popołudnie, z przygotowaniem imprezy w tak krótkim czasie będzie miała mnóstwo roboty. Musi się upewnić, czy pan Densmore korzysta ze stałej firmy cateringowej, która zechce pójść mu na rękę, nawet jeśli będzie to wymagało zatrudnienia dodatkowego personelu. Jeśli nie, poruszy niebo i ziemię, by znaleźć dostawcę z tak małym wyprzedzeniem.

- Zajmę się wszystkim - powiedziała. Westchnął.

- Naprawdę żałuję, że to nie ułożyło się inaczej.

Rozdział 28

Był bardzo niezadowolony z Sary, choć zapewne powinien okazać wyrozumiałość, biorąc pod uwagę stres, jaki przeżyła, częściowo z jego winy. Po prostu nie spodziewał się, że będzie taka... niestała, choć może to nie jest odpowiednie słowo. Niezdecydowana, tak. To bardziej trafne określenie.

Nie potrafił się na nią gniewać, bo przecież wiele wycierpiała przez ostatnie półtora dnia, ale z pewnością miał prawo być niezadowolony. Bo jakże

mogła choćby myśleć o tym, aby go opuścić? Czy nie widziała, jak idealny jest dla niej jego dom? Jaką stanowi doskonałą, cudowną oprawę dla jej własnej, czystej doskonałości? Oczywiście nigdzie nie pójdzie; nie mógł na to pozwolić. Fantazjował, że to ona zaopiekuje się nim, ale w tej sytuacji - przynajmniej przez jakiś czas - to on będzie musiał opiekować się nią.

Hm. Tak, to na pewno dlatego. Sara nie była sobą. Zrobiła się blada, a ten promienny spokój, który tak go przyciągnął na samym początku, zniknął. Postanowił, że zatrzyma ją tutaj i zajmie się nią, a kiedy ona poczuje się już lepiej, zacznie myśleć bardziej racjonalnie.

Na szczęście poczynił plany na wszelkie ewentualności. Nie, to nie miało nic wspólnego ze szczęściem - to tylko staranne planowanie i dbałość o szczegóły. To był klucz do sukcesu, czy to w interesach, czy to w sprawach osobistych. Nie wydawało mu się prawdopodobne, by Sara mogła czuć się tu nieszczęśliwa, ale przewidział i taką możliwość i dzięki temu potrafił sobie teraz poradzić z tą sytuacją. Jeżeli dopuścił się jakiegoś niedopatrzania, to tylko takiego, że nie przewidział jej reakcji, choć widział wczoraj, jak bardzo była wytrącona z równowagi. Ale wkrótce poczuje się lepiej i skończy się to głupie gadanie o odejściu.

Wydruk z kompanii telefonicznej wykazał, że ktoś trzykrotnie dzwonił do Lankfordów z tego samego automatu z Galerii - w niedzielny wieczór. Czwarte połączenie miało miejsce w poniedziałek wieczorem, mniej więcej o tej samej porze, kiedy nastąpiło morderstwo. Niemożliwe było precyzyjne ustalenie chwili śmierci bez pomocy świadka; dało się najwyżej określić przybliżony czas. Ale wyglądało to tak, jakby zabójca zamierzał przyjechać do domu Lankfordów w niedzielę wieczorem. Młodsza córka Lankfordów, Merrill, która uczyła się w college'u w Tuscaloosa, zeznała, że rodzice byli u niej w niedzielę i razem zjedli kolację, a potem zostali prawie do jedenastej. To przedłużyło im życie o dwadzieścia cztery godziny i dało córce ostatnią okazję zobaczenia się z nimi.

Cahill żałował jak cholera, że nie mieli tego wydruku w poniedziałek, bo Sara w żaden sposób nie mogła dzwonić w niedzielę, bo wtedy spędziła z nim każdą minutę. Żałował wielu rzeczy, a przede wszystkim tego, że w ogóle poznał swoją byłą żonę i pozwolił, by namieszała mu w głowie. Bo taki był wynik ostatecznej analizy: pozwolił, by doświadczenia z Shannon wpłynęły na jego stosunki z Sarą. Ale koniec z tym. Choćby działało się nie wiadomo co, nie będzie już postrzegał wszystkiego przez pryzmat swoich wspomnień na temat Shannon. Emocjonalnie uwolnił się od niej już dwa lata temu, ale teraz wreszcie poczuł, że i umysł ma wolny. Nie miała już na niego żadnego wpływu.

Te powtarzające się telefony otwarły przed śledztwem nowe możliwości, których przedtem nie dostrzegali. Cahill wrócił do tego sklepu w centrum handlowym, który miał kamerę ustawioną pod najlepszym kątem, i zabrał taśmy z niedzielного i poniedziałkowego wieczoru. Ujęcia wciąż były słabe, ale na marnej jakości zdjęciach widniał ten sam człowiek. Te same włosy, ta sama budowa ciała, ten sam styl ubierania.

To był ten gnój. To był morderca. Teraz ani Cahill, ani nikt inny w departamencie nie miał już wątpliwości.

Problem polegał na tym, że nikt go nie rozpoznawał. Stopklatki uzyskane z taśmy i powiększone były marnej jakości, ziarniste i w żadnym momencie nie pokazywały jego twarzy, ale pozwalały wyrobić sobie ogólne wrażenie, a jednak nikt nie powiedział: „Hej, on mi przypomina takiego a takiego”. Policja potrzebowała przełomu, uśmiechu losu, cudu. Potrzebowali kogoś obdarzonego okiem artysty, kto zauważyłby linię szczęki, sposób osadzenia ucha, i skojarzył ten profil z żywym człowiekiem.

Pani Wanetta też go nie rozpoznała, ale była tak otumaniona środkami uspokajającymi, że nie poznałaby własnej matki. Żadnemu z trojga jej dorosłych dzieci facet nie wydał się znajomy, co wykluczało możliwość, że należał do grona przyjaciół rodziny. To samo dotyczyło córek Lankfordów. To musiała być

znajomość biznesowa, ale znów - nikt z pracowników Wanetty nie rozpoznał człowieka ze zdjęcia.

Ktoś gdzieś musi rozpoznać tego drania.

Leif Strickland, etatowy geniusz elektroniczny departamentu, wetknął głowę przez drzwi. Oczy miał szeroko otwarte z podniecenia, włosy sterczały mu od przeczesywania palcami.

- Hej, Doktorku, chodź posłuchać. Zdaje się, że mam sukinsyna na taśmie!

Wszyscy w zasięgu słuchu pospiesznie wpakowali się do jego elektronicznej dziupli.

- To nagranie z automatycznej sekretarki Lankfordów - powiedział Leif. Wszystkie taśmy z sekretarek rutynowo zabierali do przebadania; jeśli sekretarka była cyfrowa, zabierano całe urządzenie.

- Nie mów mi, że zostawił wiadomość - powiedział Cahill.

- Nie, niezupełnie. Widzisz, telefon, z którego próbowała skorzystać pani Lankford, ma taki przycisk do natychmiastowego nagrywania, wiesz, jeśli na przykład twój rozmówca zaczyna ci grozić śmiercią, możesz wcisnąć taki guziczek i bingo, wszystko się nagrywa na sekretarce. Ona pewnie nie próbowała niczego nagrać, chciała tylko zadzwonić po pomoc, ale była zdenerwowana, tak? No więc łapie słuchawkę, wciska guziki, których wcale nie chce wciskać. Odsłuchałem wszystkie wiadomości, ale było też puste miejsce z takim dziwnym odgłosem. Nie... no nie wiem, po prostu dziwnie mi to brzmiało. Wyizolowałem to więc i przepuściłem przez kilka programów czyszczących, i...

- Na litość boską, nie musimy wiedzieć, jak - przerwał mu Cahill. -
Posłuchajmy tego.

Leif posłał mu urażone spojrzenie technicznego maniaka mającego do czynienia z profanami, którzy nie doceniają piękna elektroniki.

- No dobra, to słuchajcie. Nie jest bardzo wyraźnie, muszę to jeszcze trochę poprawić, wyeliminować szумы... - Urwał, kiedy Cahill spojrzał na niego wściekle, i w milczeniu wcisnął guzik.

Trzaski, szamotanina, chrapliwy oddech przerażonej kobiety, a potem dziwny, miękki dźwięk, cichy świst i trzask.

- Co to było?

- Ten odgłos na końcu to wystrzał - stwierdził rzeczowo Leif. - Tłumik. Ale posłuchajcie jeszcze raz, wsłuchajcie się w to, co jest tuż przed nim.

Wszyscy posłuchali jeszcze raz i Cahillowi wydało się, że to ludzki głos.

- Powiedział coś. Ten gnój coś powiedział. Co to było? Możesz to wyizolować?

- Popracuję nad tym. Wsłuchaj się jeszcze raz, to rozróżnisz słowa. W pokoju nie było słycać nic, nawet oddechów, gdy Leif kolejny raz odtworzył nagranie.

Jakież miękki był ten głos, jaki łagodny. Cahill zmrużył oczy, aż zmieniły się w szparki, i się skoncentrował.

- Coś tam „dziewczynka”.

- Dajcie mu Nobla! - wykrzyknął Leif. - To jest „niegrzeczna dziewczynka”. Puścił taśmę znowu, i teraz, gdy wszyscy już wiedzieli, czego słuchają, słowa stały się zrozumiałe. I mroziły krew w żyłach.

„Niegrzeczna dziewczynka”. Niemal reprimenda, czuła wymówka. A potem trzask kuli wyskakującej z tłumika, i cisza.

Mieli wyraźne nagranie głosu mordercy Merilyn Lankford. Gdyby zdołali go zidentyfikować - nie, kiedy go zidentyfikują, będą mogli dopasować spektrogram i przyskrzynić go.

- Bingo - powiedział wesoło Leif.

- Moja droga, mam nadzieję, że nie obrazi się pani za te słowa, ale wygląda pani, jakby ledwie się pani trzymała na nogach - powiedział łagodnie pan Densmore. - Ma pani za sobą niezmiernie ciężkie przeżycie. Nie spali pani

piorun, jeśli usiądzie pani i wypije jeszcze filiżankę herbaty, prawda? Herbata wspaniale wzmacnia siły. Zaparzę nowy dzbanek - zaoferował.

Bardziej niż herbaty Sara potrzebowała czegoś do jedzenia, ale pomyślała o tym poniewczasie, usiłując sobie przypomnieć, kiedy jadła ostatni raz. To musiała być ta zupa, do której zjedzenia nakłonił ją wczoraj późnym popołudniem pan Densmore, a od tego czasu minęły już ponad dwadzieścia cztery godziny.

Właśnie podała mu kolację. Kucharka przyszła o trzeciej, przygotowała wieczorny posiłek i zdążyła już wyjść, zanim zjawiła się Sara. Było oczywiste, że ugotowała porcję tylko dla pana Densmore'a, ale to nie miało znaczenia. Sara postanowiła, że jak tylko go nakarmi i sprzątnie jego nakrycie, znajdzie sobie coś do jedzenia.

Cały wieczór niespokojnie deptał jej po piętach, co ją kępowało, ale teraz zrozumiała, że po prostu bał się, czy nie zemdleje. Ta myśl sprawiła, że Sara się uśmiechnęła.

- Panie Densmore, czy ktoś panu mówił, jaki pan jest kochany? Oczywiście otwarły mu się szerzej, zarumienił się.

- Och... cóż, nie.

Kochany i samotny. Było jej go żal, ale nie dość, żeby zostać w tym koszmarnym domu i zapewnić mu towarzystwo, którego tak potrzebował. Ale kofeina w herbacie rzeczywiście mogła dodać jej sił i utrzymać ją na nogach, dopóki nie uda jej się czegoś zjeść.

- Herbata to wspaniały pomysł - powiedziała, a on uśmiechnął się do niej promiennie.

- Świetnie! Na pewno poczuje się pani dużo lepiej. Wstał od stołu, dodała więc pospiesznie:

- Bardzo proszę najpierw dokończyć kolację. Ja nastawię wodę.

- Nie, ja to zrobię. Jestem bardzo drobiazgowy, jeśli chodzi o moją herbatę.

Skoro herbata wydawała mu się czymś tak ważnym, a kolację i tak jadł na zimno - świeżą sałatkę z kurczaka z pekanami i czerwonymi winogronami - i ponieważ dom należał do niego, a on był jej szefem, nawet jeśli nie zamierzała brać pensji za swoją pracę tutaj, przestała protestować.

Poszedł do kuchni i postawił czajnik na kuchence, a potem wrócił do jadalni i usiadł przy ogromnym stole ze szkła i chromowanej stali, by dokończyć posiłek. Ponieważ Sara nie miała nic do roboty, dopóki pan Densmore nie skończył jeść, usunęła się do kąta. Rzadko czuła się tak bezużyteczna jak tutaj; odnosiła wrażenie, że on nie oczekiwał od niej żadnej konkretnej pracy, tylko... chciał, żeby tu była. Praca tutaj nie była odskocznią od rzeczywistości, której tak pragnęła; nie znalazła tu odprężenia, wytchnienia, tylko nudę i niejasne uczucie niepokoju.

Czuła tak wielkie zmęczenie, że ledwie stała, a na dodatek dopadł ją piekielny ból głowy, pewnie z głodu. Mógł to też być brak kofeiny, bo rano nie wypła kawy, a jeśli tak, to herbata poprawi jej samopoczucie. Może nawet warto wypić dwie filiżanki.

Skończył jeść w chwili, kiedy czajnik w kuchni zaczął gwizdać.

- A! Woda się zagotowała - zawołał, na wypadek, gdyby Sara nie usłyszała przeszywającego dźwięku. Ruszył do kuchni, a ona zajęła się zbieraniem naczyń; zaniósła je do zlewu, opłukała i wstawiła do zmywarki.

Kiedy uporała się już z naczyniami i paroma innymi drobiazgami, pan Densmore nalał zaparzonej herbaty do filiżanek.

- No! - powiedział z zadowoleniem i ruszył z tacą do jadalni. Poszła za nim, i, na jego nalegania, usiadła przy stole.

- Proszę mi powiedzieć - podjął, popijając gorący, aromatyczny napar - jak to się stało, że postanowiła pani zostać kamerdynerem?

O pracy możemy rozmawiać, pomyślała Sara z ulgą.

- Mój ojciec był pułkownikiem Piechoty Morskiej - zaczęła. - Dorastając, często obserwowałam stewardów. Zafascynowała mnie ich znajomość

protokołu, to, jak zarządzali listami gości, panowali nad niespodziewanymi sytuacjami, tuszowali wszelkie żenujące momenty... są istnym cudem skuteczności. Podobało mi się, w jaki sposób byli wyszkoleni, by poradzić sobie ze wszystkim.

- Ale pani przecież nie była stewardem w wojsku, prawda?

- Nie, jest taka szkoła, gdzie uczy się zawodu kamerdynera. - Zadawał pytanie za pytaniem, a ona z wdzięcznością koncentrowała się na odpowiedziach. To nareszcie było coś, o co mógł się zaczepić jej zmęczony umysł, coś, co nie wymagało zbyt wiele myślenia.

Może było to tylko rozkojarzenie, które przychodzi z kompletnym wyczerpaniem, ale nagle zaczęła się czuć... niemal jak podchmielona. Niespodziewanie zakreśliło jej się w głowie; chwyciła się stołu.

- Proszę wybaczyć, panie Densmore. Mam zawroty głowy. Nic dzisiaj nie jadłam i zdaje się, że głód wreszcie zrobił swoje.

Zrobił zaniepokojoną minę.

- Pani nic nie jadła? Moja droga, dlaczego pani nie powiedziała? Nie powinna pani stać tutaj i mnie obsługiwać, lecz zająć się sobą. Proszę, niech pani tu siedzi, a ja coś przyniosę. Na co ma pani ochotę?

Patrzyła na niego zdumiona. Jak mogła mu powiedzieć, na co ma ochotę, jeśli nie wiedziała, co jest do dyspozycji? A zresztą, nie miała na nic „ochoty”; zje, bo musi, ale tak naprawdę ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było...

- Lody - wymamrotała. To słowo było niepokojąco trudne do wymówienia.

- Lody? - zdumiał się, patrząc na nią i mrugając po swojemu. - Nie sądzę, żebym miał jakieś lody. Czy chce pani jeszcze coś?

- Nie - odparła, starając się wyjaśnić. - Właśnie ich nie chcę... - Straciła wątek. Wszystko zaczynało powoli wirować wokół niej i odniosła zaskakujące wrażenie, że chyba zaraz zemdleje. Nigdy jeszcze nie zemdliała.

Zaczął się od niej oddalać, a przynajmniej tak jej się wydawało. Nie mogła mieć pewności, skoro wszystko tak wirowało.

- Czekaj - powiedziała, próbując wstać, ale nogi ugięły się pod nią. Skoczył naprzód i złapał ją, nim zwała się na podłogę; miał zaskakująco silne ręce.

- Nie martw się - usłyszała jego słowa, gdy świat zaczął znikać jej przed oczu, a uszy jakby wypełniła wata. - Zajmę się tobą.

Rozdział 29

Najpierw poczuła ból głowy, pulsujący wściekle we wnętrzu czaszki. Ach, no tak... położyła się do łóżka z bólem głowy. Leżała w niewygodnej pozycji, ale bała się ruszyć, bała się, że najmniejsze drgnienie sprawi, że młoty w jej głowie zaczną walić jeszcze mocniej niż do tej pory. Miała też mdłości; pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Coś było nie tak, ale mgła wypełniająca mózg nie pozwalała jej zrozumieć, co takiego.

Próbowała sobie przypomnieć... coś. Cokolwiek. Przez jedną przerażającą chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie miała poczucia miejsca i czasu, tylko koszmarne miotania się w pustce. Potem skojarzyła fakturę materiału pod sobą i zrozumiała, że leży w łóżku. Tak, to się kleiło w całość. Miała migrenę i leżała w łóżku. Pamiętała, jak się... nie, nie pamiętała, jak się kładła. Ostatnim wyraźnym wspomnieniem było... ale i ono jej umykało, więc przestała gonić je na siłę i pozwoliła, by znów ogarnęły ją ciemność i zapomnienie.

Kiedy znów się obudziła, pomyślała, że musiała złapać grypę. Bo jak inaczej wytłumaczyć tę przytłaczającą, chorobliwą niemoc? Rzadko chorowała, rzadko nawet miewała katar, ale chyba tylko coś tak poważnego jak grypa mogło spowodować tak fatalne samopoczucie. Wreszcie zrozumiała, co mieli na myśli ludzie, mówiąc, że są zbyt chorzy, by iść do lekarza. Nie było mowy, by mogła pójść do lekarza; lekarz musiałby przyjść do niej.

Coś ciągnęło ją za włosy. Były to delikatne, rytmiczne pociągnięcia, i zamiast nasilać ból głowy, koily go, jakby to odczucie przesłaniało bolesne pulsowanie.

Bolały ją ręce. Spróbowała nimi poruszyć i przekonała się, że nie może.

Niepokój przedarł się przez mgłę w jej mózgu. Spróbowała jeszcze raz poruszyć rękami, znowu bez skutku.

- Moje ręce -jęknęła, i jej głos zabrzmiał okropnie, tak ochryple, że sama go nie rozpoznawała.

- Biedactwo - mruknął łagodny głos. - Nic ci nie będzie. No, czy to nie jest przyjemne?

Rytmiczne pociąganie nie ustawało, powolne i kojące, i po chwili zrozumiała, że ktoś szczotkuje jej włosy.

To rzeczywiście było przyjemne, ale nie chciała mieć wyszczotkowanych włosów. Chciała ruszyć rękami. Mimo bólu głowy, mimo mdłości szarpiących żołądek, poruszyła się niespokojnie na łóżku i przekonała się, że jej nogi także nie słuchają poleceń.

Panika, jaskrawa i ostra, kazała jej otworzyć oczy. Ukazały się przed nimi pływające, niewyraźnie kształty, które kompletnie nie miały sensu. Zobaczyła jakiegoś mężczyznę... ale to nie był Cahill. Dlaczego mężczyzna, który nie jest Cahillem, szczotkuje jej włosy?

- Dam ci wody - usłyszała cichy, gruchający, miękki głos. - Chcesz wody, prawda, moja droga? Pyszna, zimna woda przyjemnie ochłodzi ci gardło. Spałaś tak długo, że już się o ciebie martwiłem.

Chłodna dłoń wsunięta pod jej kark uniosła jej głowę; przy wargach poczuła szklanekę. Zimna woda wpłynęła do jej ust gwałtowną falą, wsiąkając w spierzchniętą śluzówkę, odklejając język od podniebienia. Sara poczuła skurcz żołądka, gdy przełknęła, ale dzięki Bogu nie zwymiotowała. Przełknęła jeszcze, i jeszcze, zanim zabrano szklanekę.

- Nie za dużo, moja droga. Byłaś bardzo chora.

Wciąż jest bardzo chora, skoro jest sparaliżowana, ale może ten człowiek nie wiedział, że ona nie może się ruszyć. Zamknęła oczy, usiłując zebrać siły, ale, Boże drogi, nie miała ich ani odrobiny. Była tak słaba, że czuła się niemal jak pozbawiona kości.

- Za chwilę przyniosę ci zupy. Musisz coś zjeść. Nie miałem pojęcia, że nic nie jadłaś, i obawiam się, że to przeze mnie jesteś taka chora. Nie chciałem, żeby tak się stało.

Nareszcie skojarzyła tę miękkość głosu i pamięć powoli wróciła.

- Pan Densmore?

- Tak, moja droga, jestem tutaj.

- Czuję się taka chora - szepnęła, otwierając oczy i mrugając. Tym razem trochę wyraźniej dostrzegła jego twarz, pełną troski.

- Wiem, i bardzo mi przykro.

- Nie mogę się ruszyć.

- Oczywiście, że nie. Przecież nie mogłem pozwolić, żebyś zrobiła sobie krzywdę, prawda?

- Zrobiła sobie krzywdę? - Wygrywała walkę z mgłą; z każdą mijającą sekundą była mniej skołowana, bardziej świadoma otoczenia. Czuła się, jakby wybudzała się z narkozy, co pamiętała doskonale od czasu, gdy jako sześciolatka złamała sobie rękę i dostała ogólne znieczulenie, kiedy nastawiano jej kości. Dla niej narkoza była o wiele gorszym przeżyciem niż noszenie gipsu.

- Gdybyś próbowała wyjść - wyjaśnił pan Densmore, ale to nie miało żadnego sensu.

- Nie mogę. Nie próbowałam. - Gdyby próbowała wyjść? Próbowała wstać od stołu, i to była ostatnia rzecz, jaką pamiętała.

- Wiem, wiem. Nie denerwuj się. Po prostu leż spokojnie i wszystko będzie dobrze. - Szczotka przesunęła się powoli po jej włosach. - Masz takie śliczne włosy, Saro. Ogólnie jestem z ciebie bardzo zadowolony, choć twój brak

zdecydowania był dla mnie niemiłą niespodzianką. Ale przecież przeżyłaś tyle stresów. Jestem pewien, że z czasem się tu zdomowisz.

Gadał zupełnie bez sensu. Zdomowisz się? Ściągnęła brwi, marszcząc czoło, ale on wygładził fałdkę palcem.

- Nie rób tak, pomarszczysz swoją piękną skórę. Miałem rację, że rubin będzie ślicznie wyglądał na jej tle. Ale przeszukałem twoje rzeczy i nie mogę znaleźć wisiorka. Dlaczego go nie nosisz?

Wisiorka?

Przeszył ją zimny dreszcz; znieruchomiała, kiedy uświadomiła sobie tę straszną prawdę. Jej żołądek znów wywinął salto, ale tym razem ze strachu.

- Dlaczego nie nosisz wisiorka, który ci przysłałem? - powtórzył pytanie z lekkim rozdrażnieniem.

To on. To on był świrem, który ją prześladował, którego obecność wyczuwała jak ukrytego raka. Czekał i wykorzystał okazję. Zrozumiała, że wcale nie była chora; ten drań odurzył ją czymś, a że nic nie jadła przez ponad dobę, narkotyk zadziałał ze zdwojoną siłą.

Musiała mu odpowiedzieć. Nie drażnij go, pomyślała. Nie rób niczego, co wzbudzi jego nieufność. Myśl. Potrzebowała wymówki, która by ją uniewinniła. Myśl!

- Mam alergię - szepnęła. Szczotka zatrzymała się nagle.

- Moja droga, tak mi przykro - powiedział skruszony. - Nie miałem pojęcia. Oczywiście, że nie powinnaś nosić czegoś, od czego dostajesz wysypki. Ale gdzie on jest? Może mogłabyś go założyć chociaż na chwilę, żebyśmy mogli cię w nim zobaczyć.

- W kasetce z biżuterią - szepnęła. - Mogłabym dostać jeszcze wody?

- Oczywiście, moja droga, skoro po pierwszej porcji nie zwymiotowałaś. - Uniósł jej głowę i znów przystawił szklanekę do ust. Wypiła, ile się dało. - No - powiedział, układając jej głowę na poduszce. - Gdzie jest ta kasetka z biżuterią?

- W bungalowie. W posiadłości Lankfordów. To miejsce zbrodni... policja je zabezpieczyła. Nie mogę tam wejść.

Wykrzyknął zirytowany.

- Powinienem na to wpaść! Nie martw się, moja droga, zajmę się transportem reszty twoich rzeczy. Poczujesz się o wiele lepiej, mając wokół siebie swoje drobiazgi.

Sara jeszcze raz spróbowała poruszyć rękami i tym razem poczuła coś wokół nadgarstków. Prawda spadła na nią jak grom, wywołując mdłości: była przywiązana do łóżka. Zwalczyła panikę, która groziła jej paralizem. Nie mogła się jej poddać, musiała myśleć, musiała się skoncentrować. Jeśli wpadnie w panikę, będzie bezbronna, ale jeśli zachowa trzeźwość umysłu, może zdoła go przechytrzyć.

Miała nad nim przewagę w jednej kwestii: wiedziała, że jest niebezpieczny, a on nie miał pojęcia, że ona też potrafi być niebezpieczna.

Cahill. Znał miejsce jej pobytu. Prędzej czy później zadzwoni i będzie chciał się z nią zobaczyć, porozmawiać. Musiała tylko zachować spokój i kontrolę do tej chwili. Nie chciała robić nic, co zdenerwowałoby Densmore'a, wzbudziło w nim agresję. To zboczenie, który miał obsesję na jej punkcie. W tej chwili był zadowolony, bo miał ją tutaj, miał nad nią władzę. Dopóki w to wierzył, mogła czuć się bezpiecznie. A przynajmniej taką miała nadzieję. Ale gdyby uznał, że ona próbuje mu uciec, mógłby się stać agresywny. Gdyby do tego doszło, gdyby okazało się, że nie zdoła uciec niepostrzeżenie, musiała mieć pewność, że jest zdolna z nim walczyć.

Ale nie dało się przewidzieć, ile czasu minie, zanim Cahill spróbuje się z nią skontaktować. Wiedział, że ona tu jest, ale cała policja pracowała teraz prawie na okrągło, szukając mordercy. Cahill najpierw zadzwoni na komórkę, a kiedy ona nie odbierze, spróbuje później. Jednak to „później” mogło trwać nawet kilka dni.

Nie, Cahill nie będzie czekał tak długo. Jest zbyt uparty.

Ale tymczasem sama musi sobie radzić. Po pierwsze, spróbuje przekonać Densmore'a, żeby ją rozwiązał.

Odezwała się głosem słabszym, niż był naprawdę. Jeśli Densmore chce mieć kobietę słodką i bezradną, to będzie słodka i bezradna, przynajmniej dopóki nie uda jej się skopać mu tyłka.

- Panie Densmore?

- Tak, miła?

- Ja... tak mi wstyd o tym mówić.

- Nie musisz się niczego wstydzić. Jestem tutaj, żeby się tobą opiekować.

- Muszę skorzystać z łazienki - szepnęła; naprawdę bardzo potrzebowała, i niewiele brakowało, aby narobiła sobie wstydu. Do tego wszystkiego miała okres; czuła się z tym okropnie.

- To rzeczywiście problem.

- Z... zdaje mi się, że jestem sparaliżowana - powiedziała, pozwalając sobie na drżenie głosu. Niech myśli, że jest bardziej bezradna niż w rzeczywistości. Co prawda w tej chwili, nawet gdyby nie była związana, nie dałaby rady uciec ani walczyć, ale chciała, by Densmore myślał, że dochodzi do siebie bardzo powoli.

- Skądże znowu! - wykrzyknął ciepłym, pełnym sympatii głosem. - Po prostu trochę ograniczyłem ci ruchy, żebyś nie zrobiła sobie krzywdy. No dobrze, zobaczmy, jak to rozwiązać?

Poruszyła się słabo; dyskomfort stawał się tak dotkliwy, że bez wielkiego problemu wycisnęła łzę z oka. Musiała sprawdzić, czy może chodzić, czy też zbyt wiele narkotyku krążyło jeszcze w jej organizmie.

- Tak, to się powinno udać - mruknął do siebie i odwinął kołdrę. Ku swej ogromnej uldze Sara stwierdziła, że wciąż jest ubrana; zdjął jej buty, ale nic poza tym. Najpierw uwolnił jej kostki, a potem z cienkiej, nylonowej linki zrobił jej pęta z doczepionym dodatkowym długim kawałkiem sznurka, który trzymał

w ręce. Jeśli w ogóle mogła iść, to małykami kroczkami, a gdyby czegokolwiek spróbowała, wystarczyło, by szarpnął linkę, i padłaby na twarz.

Rozplakała się naprawdę, zanim wymyślił to wszystko i zaczął jej rozwiązywać ręce.

- Przykro mi, wiem, że cierpisz - gruchał. - Jeszcze tylko parę minut i odprowadzę cię do łazienki.

- Proszę się pospieszyć - wychrypiła, zaciskając powieki.

Gdy nareszcie pomógł jej usiąść, natychmiast zorientowała się, że nawet gdyby nie była związana, niewiele mogłaby wskórać. Lepiej tym razem nie robić nic, co wzbudziłoby jego podejrzliwość, i poczekać, aż będzie w lepszym stanie. Musiała pamiętać, że jest silniejszy, niż się wydaje, skoro zdołał sam wnieść ją na górę. Nieprzytomny człowiek, jako kompletnie bezwładny ciężar, jest bardzo ciężki.

Tak jej się kręciło w głowie, że ledwie mogła siedzieć, a właściwie nie mogła - nie bez pomocy. Oparła się ciężko o niego. Żołądek jej się wywracał, gdy go dotykała, ale musiała uspokoić jego podejrzliwość, i jeśli to oznaczało przyjęcie jego pomocy, to musiała zagryźć zęby i zrobić to.

Postawił ją na nogi. Kolana natychmiast odmówiły posłuszeństwa Sarze i wsparła się o niego całym ciężarem ciała. Wisiała na nim, gdy na wpół prowadził, na wpół ciągnął ją do wielkiej, wyłożonej szarym marmurem łazienki, która była częścią jej kwatery.

Wszystkie jej przybory toaletowe zostały ustawione na szafce; skoro rozpakował jej rzeczy, miała nadzieję, że artykuły higieniczne są w szufladach. Tak, na półce leżała kosmetyczka, do której wszystko spakowała, jeśli zostawił w niej tampony, to była w stanie po nie sięgnąć.

Posadził ją na sedesie i stał tak przez chwilę, z zażenowaną miną.

- Potrzebujesz pomocy?

Sara zaparła się ręką o ścianę, ciężko dysząc.

- Chyba sobie poradzę. - Powinien zostawić ją tu bez obaw; okno zamiast szyby miało szklaną płytę. Nie dało się przez nie wyrzeć, nikt nie mógł też zajrzeć do środka i się nie otwierało. Nawet gdyby zdołała je stłuc, pokój znajdował się na piętrze. A piętro zaczynało się jakieś pięć metrów nad ziemią, była to zatem odległość o wiele większa niż z przeciętnego okna na piętrze.

Ale i tak zaryzykowałyby skok, gdyby okazał się jej jedyną szansą.

Densmore rozejrzył się; widziała, że przeprowadza inspekcję łazienki, sprawdzając, czy nie ma tu czegoś, co mogłaby wykorzystać do obrony lub ucieczki. Był bardzo ostrożny i nie ufał jej. Oparła się ciężko o ścianę, podkreślając swoją słabość.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Będę tuż za drzwiami, gdybyś mnie potrzebowała.

- Czy może pan zostawić uchylone drzwi? - zapytała. - Proszę. Żeby pan usłyszał, gdybym upadła. - Prośba o coś, co i tak zamierzał zrobić, była prostym chwytem psychologicznym; może to go przekona, że ona nie zamierza uciekać.

Zrobił zadowoloną minę i posłał jej ten swój nieśmiały uśmiech.

Wyszedłszy z łazienki, zostawił niedomknięte drzwi. Nie mogła liczyć na więcej intymności, ale w tej chwili było jej wszystko jedno.

Doznała niemal bolesnej ulgi, i te cholerne łyzy słabości znów popłynęły po jej twarzy. Znalazła pudełko tamponów w dolnej szufladzie toaletki i załatwiła również ten problem. Poczowała się dużo lepiej. O wiele mniej nieszczęśliwa, ale wciąż bardzo słaba, pokuśtykała do umywalki, i, oparłszy się o nią, mokrą myjką umyła twarz i części intymne. Jeśli podglądał, trudno; miała to w nosie. Przede wszystkim musiała się odświeżyć, a nie martwić o skromność.

Napiła się jeszcze wody, pochłaniając ją chciwie, i powoli, chwiejnie ruszyła do drzwi.

- Proszę mi pomóc wrócić do łóżka - powiedziała słabo. Densmore pospieszył jej z pomocą.

- Oprzyj się na mnie - szepnął czule. - Moje biedactwo. - Podpierał ją w drodze do łóżka, a potem pomógł jej się położyć. Trzęsła się cała i nie była to gra; czuła, że nie utrzymałaby się dłużej na nogach. Poglaskał ją po policzku, odgarnął włosy z twarzy, a potem znowu przywiązał jej nadgarstki i kostki. Musiała przygryzać wargę, kiedy jej dotykał, ale nie protestowała; leżała bezwładnie, z zamkniętymi oczami. Cahill odgarniał jej czasem włosy i głaskał po policzku, i była wściekła, że Densmore tak dokładnie imitował tę pieszczotę. - Zaraz wrócę z czymś do jedzenia - mruknął, i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Związana w ten sposób nie mogła nic zrobić, nawet nie próbowała więc szarpać nylonowych więzów. Nie zdziwiłaby się, gdyby ten świr zainstalował tu elektroniczny podgląd i podsłuch. Jeśli obserwował ją na jakimś monitorze, nie zamierzała robić nic, co mogłoby go zaalarmować.

Ta krótka wycieczka wyczerpała jej niewielki zapas sił. Odetchnęła głęboko i zapadła się w ciemność. Tym razem zamierzała ją wykorzystać, by nabrać sił.

- Saro?

Głos zdawał się dochodzić z daleka, ale ona natychmiast się ocknęła, natychmiast oprzytomniała. Leżała jednak nieruchomo, by wyglądało, że budzi się powoli.

- Saro, obudź się. Przyniosłem zupę.

Poruszyła się niespokojnie i przekręciła głowę na bok.

- Co się stało?

- Musisz coś zjeść. Obudź się, kochana.

Otworzyła oczy i ujrzała, jak Densmore stawia tacę na nocnej szafce.

- Bardzo dobrze - powiedział, uśmiechając się do niej. - Zobaczmy, jak moglibyśmy to najsprytniej zrobić? Chyba cię nakarmię, co ty na to? Podłożę ci jeszcze jedną poduszkę, żeby bardziej unieść ci głowę, a tu jest ręcznik, gdyby coś nam skapnęło.

Uniósł Sarę i wepchnął jej dodatkową poduszkę pod głowę i ramiona, a potem ułożył ręcznik na jej piersi i pod brodą.

- To pyszny rosół - pochwalił i roześmiał się sam z siebie. - Czy mogłem wybrać coś bardziej oklepanego? Ale naprawdę jest bardzo smaczny i pożywny. Nie potrzeba ciemnego mięsa, żeby ugotować pożywną zupę czy gulasz, choć wiele osób tak uważa. Ja nie jadam ciemnego mięsa, tylko kurczaka, indyka i ryby.

W takim razie, biorąc pod uwagę, jakim typem się okazał, powinna go posłać do Milo po hamburgera, bo pewnie by go tam zlinczowali, pomyślała złośliwie, gdy przysunął łyżkę do jej ust, a ona otworzyła je posłusznie, jak dziecko. Ten sarkazm dobrze jej zrobił; na zewnątrz musiała zachowywać się potulnie, ale w środku wciąż się w niej gotowało, wciąż była sobą.

Jednak zupa zasmakowała jej i Sara zmusiła się, by zjeść ją do dna. Zrobi wszystko, by szybko dojść do siebie. Potrzebowała siły.

Gdy skończyła zupę, zamrugła nieprzytomnie, udając zaspaną.

- Dziękuję - mruknęła. - Było bardzo smaczne. - Ziewnęła. - Proszę wybaczyć. Ciągle jestem taka senna.

- Oczywiście. - Osuszył jej usta serwetką i zabrał ręcznik spod brody. - Zostawię cię samą i pozwolę odpocząć, ale będę zaglądał od czasu do czasu, by sprawdzić, czy ci czegoś nie potrzeba. Mam dla ciebie niespodziankę - dorzucił przebiegle.

- Niespodziankę?

- Będzie na ciebie czekać, kiedy się zbudzisz.

To zapewnienie niezbyt zachęcało do snu, kiedy więc wyszedł, Sara uważnie obejrzała sufit i ściany, szukając czegoś, co mogłoby być kamerą. Bez dokładniejszej inspekcji nie dało się tego stwierdzić, musiała więc pozostać przy założeniu, że jest obserwowana. Nie szarpała jawnie więzów, ale zaczęła napinać i rozluźniać mięśnie, poczynając od nóg i posuwając się w górę ciała. Musiała zwalczyć ostatnie efekty działania tego, co jej podał, cokolwiek to było,

utrzymać krążenie w kończynach i rozgrzane mięśnie. Gdyby nadarzyła się okazja do ucieczki, musiała być gotowa, aby z niej skorzystać.

Dlaczego, u diabła, Sara nie odbierała komórki? Cahill dzwonił do niej bez przerwy. Nie chciał jej spuszczać z oka, gdy sprawy między nimi wyglądały tak niewyraźnie. Owszem, kochali się i Sara zgodziła się dać mu trochę czasu i szansę, aby się przekonać, czy uda im się jakoś naprawić to, co zepsuł, ale tymczasowy charakter tej umowy mocno go gryzł. Nie chciał nic tymczasowego. Chciał stałego związku.

Przeniosła się do domu Densmore'a wczoraj późnym popołudniem. W porządku, potrafił zrozumieć, że nie odbierała komórki, kiedy się tam urządziła, ale telefon był włączony i gdyby spojrzała na wyświetlacz, zobaczyłaby, że ma nieodebrane połączenia. Do tej pory powinna już oddzwonić. Dziś telefon był wyłączony; wciąż zgłaszał się automat z komunikatem: „Abonent chwilowo niedostępny”.

Densmore zastrzegł swój numer, ale kiedy się miało odpowiednie oprogramowanie i wyszukiwarkę, to nie było żadną przeszkodą. Cahill wydobyl tę informację i zadzwonił do posiadłości, tylko po to, by posłuchać sobie automatycznej sekretarki z komputerowym głosem. Zostawił prostą wiadomość: „Pani Sara Stevens proszona jest o telefon do detektywa Cahilla z Departamentu Policji w Mountain Brook”. Nie było w niej nic osobistego; tego rodzaju wiadomości ludzie zwykle przekazywali bez zwłoki. A jednak nie zadzwoniła.

Przestraszeni mieszkańcy Mountain Brook zgłaszali się ze wskazówkami i tropami, które prowadziły donikąd, ale każdy z nich musieli sprawdzić, i Cahill dosłownie nie miał wolnej chwili, żeby coś zjeść. Był jednak wystarczająco sfrustrowany brakiem kontaktu z Sarą, że znalazł czas, by przejechać pod posiadłością, jak zakochany nastolatek i sprawdzić, czy nie widać czasem jej samochodu zaparkowanego pod domem. Ale żelazna brama była szczelnie zamknięta i nie zobaczył żadnego auta.

A w ogóle to cholerne domiszcze wyglądało jak forteca z tym wysokim, kamiennym murem, który je otaczał. Sam mur musiał kosztować fortunę, i był naszpikowany elektroniką jak Fort Knox. Pan Densmore najwyraźniej cenił sobie prywatność.

Cahill zadzwonił na domowy numer i zostawił kolejną wiadomość, tym razem nie kryjąc zniecierpliwienia i sugerując delikatnie, że pani Stevens powinna się skontaktować z policją dla własnego dobra. To powinno sprowokować jakąś odpowiedź, jeśli ktokolwiek w ogóle był w domu.

Niedługo potem jego telefon zadzwonił. Cahill poderwał słuchawkę.

- Cahill.

- Detektywie Cahill. - Był to męski głos, jakiś taki miękki, jakiego można by się spodziewać u księdza, ale i pełen autorytetu. - Mówi Trevor Densmore. Zostawił pan dwie wiadomości dla pani Stevens i odniosłem wrażenie, że to jakaś pilna sprawa. Przykro mi, ale pani Stevens jest chora i nie może rozmawiać.

- Chora? - rzucił ostro Cahill; dreszcz niepokoju przebiegł mu po plecach.

- Co jej jest?

- Zapalenie krtani. - Densmore się roześmiał. - Tak jak powiedziałem, dosłownie nie może mówić. Może za kilka dni będzie w stanie zadzwonić.

Sukinsyn rozłączył się, zanim Cahill zdążył cokolwiek powiedzieć. Do diabła! Chciał się z nią zobaczyć, ale posiadłość była zamknięta za murem i bramą nie mógł wejść bez zaproszenia albo nakazu przeszukania, a nie zapowiadało się, by miał dostać jedno czy drugie.

Sara jest chora? Mówiła mu, że prawie nigdy nie łapie nawet przeziębienia, takie nagłe zachorowanie wyglądało więc na ironię losu. Ostatnio żyła w ogromnym stresie i to pewnie osłabiło jej system odpornościowy, ale... tak szybko? Zaraz następnego dnia? Bzdura. Mogła go też zwyczajnie unikać.

Nie, to też nie jest w stylu Sary. Sara niczego nie unikała; stawiała czoło każdej sytuacji. Nawet gdyby miała zapalenie krtani, podeszłaby do telefonu i wychrypiała coś w odpowiedzi.

Miał przeczucie, że ten cały Densmore kłamie. Nie znał tego człowieka i Sara chyba go polubiła, a przynajmniej doceniła jego ofertę, ale nos policjanta mówił Cahillowi, że coś tu śmierdzi. Dlaczego Densmore miałby kłamać? Nie było żadnego powodu, co jeszcze bardziej niepokoiło Cahilla. Oczywiście nie to, że nie było powodu do kłamstwa, tylko że on nie znał tego powodu.

Postanowił, że jeśli Sara wkrótce się z nim nie skontaktuje, on i tak się z nią zobaczy, choćby miał się wspinać na ten cholerny mur. Zapewne aresztują go za wtargnięcie na teren prywatny, ale przynajmniej będzie wiedział, czy naprawdę nic jej nie jest.

Kiedy Sara znów się obudziła, głowa wciąż pulsowała jej boleśnie, o wiele dotkliwiej, niż kiedy zasypiała. To okropne wrażenie mgły w mózgu wróciło, ale tym razem nie musiała się już zastanawiać, co się stało. Wiedziała: Densmore znów ją odurzył. Cokolwiek to było, musiało znajdować się w zupie.

Ale po co zrobił to jeszcze raz? Przecież była związana i bezradna.

Leżała nieruchomo, walcząc z oszołomieniem, siłą woli próbując pokonać działanie narkotyku. Nie mogła pozwolić, by to stało się znowu.

Nie mogła sobie pozwolić na utratę resztek sił, odmawiając jedzenia i picia, ale jeśli cały czas będzie nieprzytomna, też nie zdoła uciec.

Zrobiło jej się zimno, poruszyła się więc niespokojnie, ale ze związanymi rękami nie mogła otulić ramion kocem. Czuła powietrze na nagiej skórze...

Jej umysł poraziło koszmarnie odkrycie. Densmore zdjął jej ubranie. Była naga.

Rozdział 30

Niespodzianka! - Jego głos był wesoły, wręcz tryskał radością. - Wiem, że nie śpisz, tym razem nie podałem ci już tak dużej dawki. Przestań więc udawać śpiocha i otwórz te śliczne oczy.

Sparaliżowana przerażeniem, Sara otworzyła oczy i spojrzała na niego. Za oknem panowały ciemności, minęło zatem wiele godzin podczas których była nieprzytomna i zdana całkowicie na jego łaskę. Wszystkie postanowienia, by go uspokajać i udawać zgodę na jego grę, wyparowały w jednej chwili.

- Coś ty mi zrobił? - zapytała ochryple.

Siedział przy niej na łóżku, całkowicie ubrany. Spojrzał na nią mrugając.

- Zrobił? Ależ nic. Dlaczego pytasz?

- Moje ubranie...

- Ach, to. Było brudne. Na Boga, miałaś je na sobie dragi dzień, a na dodatek spałaś w nim. Rozebranie cię... cóż, powiedzmy, że było zbyt skomplikowane technicznie, rozciąłem je więc. I tak nadawało się już do wyrzucenia.

Starła się utrzymać przerażenie, ten skręcający wewnątrz strach, w ryzach, i spojrzała na swoje nagie odkryte ciało. Nogi wciąż miała razem, wciąż były związane, nie mógł ich więc ruszyć. Nie myślała, że kiedykolwiek przyjdzie jej się cieszyć z tego, że jest związana w taki sposób, ale w tym przypadku...

Zaczerpnęła kilka haustów powietrza, walcząc z tym koszmarem, który zaczął ją wsysać w przepaść.

- Do wyrzucenia? - zdołała sapnąć. Skrzywił się i kiwnął ręką w stronę jej krocza.

- No wiesz. Powinnaś mi powiedzieć o swoim stanie. Nie pozwoliłbym sobie na takie podniecenie. Bardzo się rozczarowałem, że muszę czekać, ale jakoś sobie poradziłem.

O moim stanie...? Musiało mu chodzić o jej menstruację. Jeśli to go zniechęciło, to nigdy w życiu nie cieszyła się tak z okresu. Ale to oznaczało też, że patrzył na nią i chciało jej się wyć z upokorzenia. Nie zrobiła tego, zwalczyła impuls, całym wysiłkiem odzyskując kontrolę nad sobą. Jeszcze raz spojrzała na siebie; zobaczyła lepkie krople wilgoci na swoim brzuchu i udach i omal nie wymiotowała.

Zapomniała o samokontroli. Jej głowę wypełniła pustka, ciało wyprężyło się; jak wściekła zaczęła szarpać więzy, miotana nieodpartą potrzebą usunięcia tego ohydneho brudu ze swojej skóry.

- Zetrzyj to! - wrzasnęła piskliwie. - Jak śmiesz! Jak śmiesz! Zrobił osłupiałą minę.

- Co się stało? O co chodzi?

- Spuściłeś się na mnie, ty żalosny gnoju! - Zaczęła szlochać, nadaremnie szarpiąc nylonowe linki.

- Zmyj... to... natychmiast! - ostatnie słowo wrzasnęła ile sił w płucach.

- Nie mów do mnie takim tonem, młoda damo - powiedział ostro.

- Dotykałeś mnie! - ryczała w furii, oburzona do granic. - Patrzyłeś na mnie! Nie masz prawa!

- Przestań. Przestań natychmiast. Rozumiem twoje zażenowanie, ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że twój obecny stan odsunął tylko w czasie naturalny kolejny etap naszego związku. Od pierwszej chwili, gdy tylko cię ujrzałem, zrozumiałem, że jesteś stworzona dla mnie. Twoje miejsce jest tutaj, przy mnie. Będziemy tacy szczęśliwi, moja droga. Dam ci wszystko, czego zapragniesz, będę cię traktował jak królową. Popatrz, już ci podarowałem ten pierścionek. Kamień trzeba oprawić na nowo, ale kolor i kształt są dla ciebie idealne. Kiedy go tylko zobaczyłem, wiedziałem, że ten kamień jest za dobry

dla tej tandetnej kobiety. Zdejmę go za chwilę, bo wiem, że jesteś uczulona na biżuterię, ale chciałem, żebyś go najpierw zobaczyła. Kiedy oddam go do oprawy, każę wyłożyć obrączkę jakimś hipoalergicznym materiałem, żebyś mogła go nosić. -Uniósł jej lewą rękę tak wysoko nad materac, jak pozwalały na to więzy na nadgarstku. - Popatrz. Czy nie jest cudowny?

Patrzyła osłupiała na pierścionek, który wsunął jej na palec - na wielki, żółty brylant otoczony mniejszymi, białymi brylancikami. Znała ten pierścionek. Zdumiewała się wielkością kamienia za każdym razem, gdy widziała go na palcu Marilyn Lankford.

Jej żołądek wywinął salto, gdy spojrzała w uśmiechniętą twarz mordercy.

Cahill z chmurną miną spojrzał na zegarek. Robiło się późno, była już prawie pora zamknięcia centrum handlowego, a on miał już powyżej uszu pokazywania tego zdjęcia zmęczonym klientom i pracownikom sklepów. Coś go gryzło - coś, czego nie potrafił sprecyzować. Nie spał już tyle godzin, że nawet nie chciało mu się ich liczyć - to przypominało mu misje, w których brał udział, służąc w wojsku. Chciał już tylko usiąść w jakimś spokojnym miejscu i pomyśleć. Niepokoiło go coś, co powiedział Densmore, ale bez przerwy przepowiadał sobie w myśli całą rozmowę, i ciągle nie wiedział, co go tak niepokoi. A jednak coś jest nie tak. Miał pewność - cokolwiek to było.

Czwartek kończył się powoli. Sara przebywała w posiadłości Densmore'a ponad dwadzieścia cztery godziny - a raczej około trzydziestu - nie liczył jakoś specjalnie skrupulatnie, ale miał też wrażenie, jakby od ich ostatniej rozmowy minęło wiele dni, i ten brak kontaktu nie dawał mu spokoju. Może właśnie to go tak gryzło, a nie coś, co powiedział Densmore. Martwił się o nią, wiedział, że ona tam jest, automatycznie więc kojarzył swój niepokój z Densmore'em. Tak, tak, znał to całe psychologiczne bla bla. Szkoda, że w nie nie wierzył.

Zatrzymał jakąś elegancką panią, musiała mieć koło sześćdziesiątki, której pewna siebie mina krzyczała „forsa!”

- Przepraszam panią, ale próbujemy odnaleźć tego człowieka. Czy pani go rozpoznaje?

Pomyślał, że spróbuje jeszcze raz zadzwonić do Sary. Jeśli nie uda mu się z nią porozmawiać, stanie pod bramą i zażąda, by go wpuszczono. Może powiedzieć, że ma nakaz jej aresztowania. Cokolwiek.

Kobieta wzięła zdjęcie, przyjrzała mu się krótko i oddała je Cahillowi.

- Owszem, rozpoznaję - powiedziała chłodno. - Zdaje się, że to mój bankier.

- Dziękuję - odparł automatycznie Cahill, przelatykając to, co naprawdę chciał powiedzieć. Kolejna fanka Williama Tellera. Cha, cha. Był zbyt zmęczony na takie bzdury... - Zaraz. Co pani powiedziała?

Kobieta uniosła lekko brwi, na znak, że wcale nie jest zachwycona jego zachowaniem ani w ogóle jego osobą, i powtórzyła:

- Myślę, że to mój bankier. Ma w sobie pewną dystynkcję, nosi się w charakterystyczny sposób. I oczywiście poznaję włosy.

Cahill nie był już zmęczony. Adrenalina rozsadzała mu żyły.

- Jak się nazywa?

- Trevor Densmore. Jest właścicielem...

Cahill nie chciał się dowiedzieć, czego właścicielem jest Trevor Densmore. Pędził do wyjścia z sercem łomoczącym ze strachu, dzwoniąc w biegu do Westera. Wypadł na dwór, w noc, i pognął przez parking do służbowego forda impali, którym dziś jeździł.

- Zidentyfikowałem go - warknął do telefonu, kiedy Wester odebrał. - Trevor Densmore. Bankier. I ma Sarę. Niech to szlag, ma Sarę. - Otworzył drzwiczki samochodu i wsiadł za kierownicę, zapalając silnik i zapinając pas, jeszcze zanim zdążył zamknąć drzwiczki za sobą. Opony zapiszczały na asfalcie, gdy samochód śmignął przez parking w stronę wyjazdu.

- Jak to, „ma Sarę”? Co masz na myśli? - rzucił Wester.

- Zatrudnił ją. Pojechała do jego posiadłości wczoraj po południu i od tej pory nie mogę się z nią skontaktować. Właśnie tam jadę.

- Doktoru, nie rób nic na wariata, cholera jasna! Musimy to zrobić jak należy. Zdobęde nakaz przeszukania...

- Dziś po południu rozmawiałem z nim przez telefon - warknął Cahill. - To ten sam głos, co na taśmie od Lankfordów. Wiedziałem, że coś jest nie tak, coś mi się w nim nie podobało, ale, cholera jasna, nie skojarzyłem. - Kiedy dojechał do Trzydziestki Jedyunki, paliło się czerwone światło. Włączył koguta i przebił się na choma przez skrzyżowanie, skręcając w stronę trasy 459. Na estakadę wjazdową wpadł z prędkością prawie sto na godzinę.

Wester wciąż gadał, kiedy Cahill odrzucił telefon na bok. Jeśli go zamkna, to trudno. Nic i nikt nie zdołałby go teraz utrzymać po tej stronie szarego muru.

Wszystko wreszcie złożyło się w całość, objawiło się to „dlaczego”, które umykało im wszystkim i nie pozwalało dopasować kawałków łamigłówki. Motywem tych morderstw nie były interesy, zemsta ani pieniądze, lecz Sara. Przypomnił sobie, jak zadzwoniła do niego wiele tygodni temu, przed pierwszym zabójstwem, by powiedzieć, że dostała pocztą anonimowy prezent. To był pierwszy kontakt tego gnoja, pierwszy znak jego obsesji. Cahill nie myślał o tym zbyt wiele od tamtej pory, bo nie było więcej przesyłek ani telefonów, które zwykle są oznaką narastającej obsesji zbrodni.

Ale Sara wiedziała, przeczuwała, że dzieje się coś bardzo złego. Próbowała wywabić go z ukrycia. Kiedy został zabity sędzia Roberts, najpierw pomyślała, że zrobił to jej „tajemniczy wielbiciel”.

I miała rację.

Na początku próbował ją zatrudnić, podkupując ją sędziemu. Kiedy to się nie udało, wyeliminował przeszkodę i znów zaproponował jej posadę. A ponieważ poszła pracować u Lankfordów, zadziałał szybko i wymazał ich z obrazka, sprawiając, że Sara znów była wolna. Tym razem nie mogła się

spodziewać lawiny ofert, bo przecież kto chciałby zatrudnić kobietę, która zdawała się sprowadzać śmierć i sama była podejrzewana o morderstwa? Trevor Densmore, oto kto. On się nie przejmował morderstwami. Nie miał powodu.

Chciał tylko Sary. Kiedy media szalały po śmierci Lankfordów i podały, że została aresztowana, Densmore rozwiązał ten drobny problem, natychmiast wkraczając do akcji i zabijając kogoś innego, by udowodnić, że ona nie może być morderczynią. Gdy tylko ją wypuszczono, wykonał kolejny ruch, i tym razem się udało.

Miał Sarę. Pieprzony sukinsyn miał Sarę.

Jego twarz, a szczególnie oczy miały wyraz, który przyprawił Sarę o dreszcze. Spojrzał na jej nagie ciało i wyciągnął rękę; dłoń prześlizgnęła się po jej piersi. Sara rzuciła nerwowo:

- Nie mogę nosić tego pierścionka. Proszę, niech go pan zdejmie. Już mnie swędzi.

Zatrzymał się, uniósł rękę i spojrzał na nią, mrugając.

- Oczywiście! Tak mi przykro, chciałem tylko, żebyś go zobaczyła. Powinienem się domyślić, że masz tak wrażliwą skórę. - Zsunął pierścionek z jej palca i schował do kieszeni. Jego oczy znów stały się rozmarzone. - Jesteś tak doskonała — powiedział łagodnie, sięgając znów, by dotknąć jej piersi. Sara się skuliła.

Musiała go powstrzymać. Wiedziała, że nie zniesie tego, jeśli on nie przestanie jej dotykać. Wołałaby, żeby ją zabił, niż dotykał.

Często, kiedy obiekt obsesji zboczeńca nie dorasta do fantazji, którą ten zbudował w umyśle, obsesja zmienia się we wściekłość i świr atakuje, unicestwiając osobę, która stała się przyczyną bolesnego zawodu, nie spełniając fikcyjnych oczekiwań.

Postanowiła, że prędzej doprowadzi go do takiej furii, niż pozwoli się zgwałcić. Ale on nie był jeszcze na tym etapie; dzięki miesięczce miała trochę czasu. Nie wiedziała, jak długo zdoła go powstrzymać, ale zamierzała to

robić tak długo, jak się da. Znała Cahilla; niedługo zapuka do bramy. Może jutro rano, może dopiero wieczorem, ale się zjawi. Skoro nie mogła uciec, wystarczyło, że wytrzyma i zniechęci Densmore'a do działania.

- Nie lubię być dotykana - powiedziała, odsuwając się od jego dłoni - palcami skubał jej sutek. Nadała głosowi niewinne, zdenerwowane brzmienie, jakie najwyraźniej mu się podobało.

Znów zamrugał po swoim, kilka razy, szybko, jakby wracał do rzeczywistości. Zrobił zdezorientowaną minę.

- Ale... przecież wszystko jest w porządku, kiedy ja cię dotykam. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Nie lubię być dotykana - powtórzyła. - To boli. Drażni moją skórę. Odsunął się i spojrzał na nią z konsternacją.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że masz aż tak wrażliwą skórę. To problem, którego nie przewidziałem. Ale to nie jest uczulenie na dotyk, lecz raczej rodzaj nadwrażliwości. Mam rację? Będę bardzo delikatny, moja droga, i stopniowo przyzwyczaisz się do...

O Boże. Zagryzła zęby.

- Nie - odparła, starając się mówić łagodnie. - Przykro mi. To jest schorzenie i nie przejdzie mi to.

- Schorzenie? - Znów sięgał ku niej, ale zatrzymał się, a rozmarzenie w jego oczach zmieniło się w coś zimnego i ohydneho. - Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

- Ma pan rację, to ostra nadwrażliwość. Permanentny stan zapalny zakończeń nerwowych. Toleruję ubranie, jeśli jest wykonane z pewnych materiałów, ale nawet wtedy muszę brać leki przeciwbólowe... - plotła, co jej ślina na język przyniosła, i nie przejmowała się, czy to ma sens, czy nie, dopóki on wierzył i jej nie dotykał. - ...I przeciwzapalne. I właśnie nie wzięłam przeciwzapalnych. Tyle się działo, a ja byłam tak rozkojarzona, że zapomniałam

odnowić receptę. Za każdym razem, gdy mnie pan dotyka, czuję, jakby przypalał mnie pan gorącym żelazem.

- A to ci dopiero. - Wyglądało na to, że jej opowieść go przyhamowała. Gdyby miał lepszy kontakt z rzeczywistością, taka bajka nigdy by nie zadziałała, ale był tak pogrążony w swoim świecie fantazji, że nie potrafił się skupić na niczym innym. - Oczywiście nie chcę robić niczego, co sprawia ci ból. - Uśmiechnął się do niej. - Chyba że trzeba cię będzie ukarać, oczywiście. Ale ty nigdy nie zrobisz nic, by mnie rozgniewać, prawda? Będziesz prasować mi gazety i przygotowywać śniadanie, tak jak temu staremu capowi, Lowellowi Robertsowi.

- Jeśli pan chce - wydusiła, szarpana bólem na wspomnienie biednego sędziego, Lankfordów i tego ostatniego człowieka, którego zabił ten świr.

- Zaopiekujesz się mną - gruchał - a ja zaopiekuję się tobą. - Pochylił się i przycisnął usta do jej czoła.

Sarą szarpnęły torsje, jej samokontrola prysła.

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnęła.

Jego ręka błyskawicznie zacisnęła się na gardle Sary. Pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy. Był siny z wściekłości.

- Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w taki sposób - wychrypiął.

Odcinał jej dopływ powietrza. Zadławiła się znów, i krztusząc się, gorączkowo zastanawiała się, co robić. Przeciągnęła strunę; musiała go trzymać na dystans, ale i powstrzymać w miarę możliwości, dopóki Cahill tu nie dotrze. Na pewno zjawi się niedługo. Do rana jakoś wytrzyma.

- Prze... praszam! - wysapała. - Boli.

Jego twarz wciąż była czerwona, gdy puścił jej szyję i wstał. Sara z trudem głęboko oddychała, walcząc z mrokiem, który zaczął zakradać się do jej umysłu.

- Musisz się nauczyć - syknął, wyciągając pasek ze szlufek spodni. - Trzeba cię karać, dopóki nie nauczysz się właściwego zachowania. Nigdy... więcej... tak do mnie... nie mów.

Sara zdławiła kolejny krzyk i spróbowała przetoczyć się na bok, gdy pasek opadł ze świstem.

Ta pieprzona brama miała chyba ze cztery metry wysokości, a mur przynajmniej trzy. Cahill pomyślał, czy nie staranować bramy samochodem, ale to uruchomiłoby alarm i ostrzegło tego drania. Podstawił więc samochód tak blisko pod mur, jak się dało, wszedł na dach, podskoczył i uchwycił się krawędzi muru.

Ból przeszył mu dłonie. Szczyt muru był uzbrojony szkłem albo drutem kolczastym. Cahill opadł na dół, zdjął marynarkę i zarzucił ją na mur, tak, by przykryła górną powierzchnię. Skoczył znów, mając nadzieję, że marynarka zaczepi się i zostanie na miejscu, a nie ześlizgnie się na ziemię. Zaczepiła się. Oparł krwawiące dłonie na marynarce, podciągnął się w górę, na mur, a potem zeskoczył na drugą stronę, gdzie wylądował na trawie i przeturlał się kawałek. Zerwał się na nogi, skulony przy ziemi, i wyjął pistolet z kabury. W końcu ruszył przez wielką połąć trawnika w stronę szarego, kamiennego domu, który sterczał w ciemności niczym potężna, przygarbiona bestia.

Wiercący w uszach, pulsacyjny sygnał rozdarł powietrze. Densmore zatrzymał pasek w pół drogi i podniósł głowę.

- Zdaje się, że mamy towarzystwo - powiedział spokojnie. - Ciekawe, któż to może być. Wybacz, moja droga.

Sara krztusiła się i szlochała, patrząc, jak zamyka za sobą drzwi. Machał paskiem z dziką furją, znacząc piekącymi pręgami całe jej plecy i boki. Zdołała się przeturlać i ochronić piersi i brzuch, ale i tak zdążył co najmniej dwa razy smagnąć ją z przodu. Płakała tak gwałtownie, że nie mogła złapać tchu, ale gdy tylko drzwi się zamknęły, odwróciła się na plecy.

Jedna z linek krepujących jej ręce rozluźniła się trochę. Gdyby to się nie stało, nigdy nie zdołałaby przekreślić się na brzuch, ale paniczne szarpnięcie odwiązało sznur od ramy łóżka, o którą zaczepił go Densmore. A on, ogarnięty furia, nie zauważył tego.

Prawą rękę miała wolną, ale linka była zapętłona i skrzyżowana w taki sposób, że aby uwolnić lewą, musiałaby sięgnąć pod łóżko - a ponieważ nogi też jej przywiązał, nie mogła sięgnąć tak daleko. Ignorując piekący ból w plecach, szarpała gorączkowo nylonowy szur, w nadziei, że i ten krepujący jej lewą rękę w końcu się podda.

Nie poddał się.

Na nocnej szafce stała szklanka z wodą. Sara trzasnęła nią o krawędź blatu. Woda chlapnęła na łóżko, na jej nagie ciało, a cienki kryształ roztrzaskał się, sypiąc wokół odłamkami. W dłoni, krwawiącej od mnóstwa drobnych skaleczeń, została jej większa część denka. Zaczęła gorączkowo przecinać nylonową linkę, nie zważając, że tnie również skórę. Gdy lewa ręka odskoczyła, oswobodzona, Sara zajęła się więzami na nogach.

Kiedy była już wolna, zeskoczyła z łóżka. Kolana natychmiast ugięły się pod nią i rozciągnęła się jak długa na dywanie. Przeklinając i szlochając, podniosła się znów i jak pijana ruszyła do drzwi. Na korytarz wpadła już biegiem.

Wtedy rozległ się pierwszy strzał. I drugi.

Cahill.

Cahill nie myślał ani o swojej pracy, ani o tym czy wyląduje za kratkami; zanim dopadł do domu, myślał już tylko o tym, by znaleźć Sarę. Nie skorzystał grzecznie z dzwonka - wpakował dwie kule kaliber 40 w zamek i kopniakiem otworzył drzwi. Przypadł do ziemi i przetoczył się po podłodze, ale sukinsyn czekał już na niego, ukryty w mroku korytarza.

Pierwszy strzał o włos minął głowę Cahilla. Wystrzelił w kierunku błysku z lufy, ale drugi pocisk trafił go w pierś i kopnął z siłą muła. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, ale uderzenie pozbawiło go tchu i rozciągnęło na podłodze. Stracił przytomność.

- Cahill - szepnęła, stojąc u szczytu schodów i patrząc w głąb ogromnego holu, gdzie na granitowej podłodze bezwładnie i nieruchomo leżał Cahill.

Zdrętwiała. To nie mogło się dziać. Tylko nie Cahill. Ten świr nie mógł jej odebrać także jego.

Zachwiała się, wyciągnęła rękę i niemal wpadła na szarą, metalową lampę, stojącą jak strażnik obok czarnego emaliowanego stolika.

Tylko nie Cahill.

Furia była jak czerwony przypływ, podnoszący się potężną falą i ogarniający ją w jednej chwili. Nie zarejestrowała momentu, kiedy wyrwała kabel lampy z gniazdka. Nie zdawała sobie sprawy, że się porusza. Pobiegła w dół po schodach równym, pewnym krokiem.

- Densmore. - To nie był jej głos. Brzmiał jak wyjęty z Egzorcysty, głucho i ochryple. Dotarła do stóp schodów. - Ty gnoju, gdzie jesteś?

Z prawej strony, w cieniu, dostrzegła ruch. Odwróciła się w tę stronę i ujrzała Densmore'a, który wyłonił się z ciemności i pojawił się w pół-świecie, jak duch, jak demon. Twarz miał wykrzywioną wściekłością.

- Mówiłem ci, żebyś się tak do mnie nie odzywała - wysyczał, unosząc rękę.

Zalewająca ją furia sprawiała, że nie czuła ciężaru wielkiej stojącej lampy. Ruszyła naprzód, wprost na pistolet, na spotkanie kuli, wymachując lampą jak kijem bejsbolowym. Jeśli Cahill nie żył, to jej już nie obchodziło, co będzie dalej. Odgłos strzału był ogłuszający w przepaścistym holu, poczuła uderzenie gorącego wiatru wzdłuż lewego boku, w chwili, kiedy trzasnęła podstawą lampy prosto w czaszkę Densmore'a. Gruchnął plecami o ścianę,

cienkie fontanny krwi wystrzeliły z jego głowy i piersi, ale ona ciągle machała lampą, wrzeszcząc bez słów.

- Saro! Saro!

Okrzyk nareszcie przebił się do jej świadomości. Lampa nagle wypadła z jej odrętwiałych palców. Powoli, sztywno, Cahill pozbierał się z podłogi.

Przyciskał dłonią pierś i rzeził, ale nie zobaczyła krwi.

- Spokojnie, kochanie - powiedział. - Ten sukinsyn nie może zdechnąć więcej niż raz.

Epilog

Cahill przewiesił marynarkę przez ramię i wszedł do domu. Miał dobry nastrój; komisja dyscyplinarna uznała strzelaninę za uzasadnioną i nie był już na przymusowym zwolnieniu. Tęsknił za pracą, choć przez pierwszy tydzień cieszył się, że może trochę zwolnić; mimo kamizelki kuloodpornej pocisk nieźle go sponiewierał i zostawił potężny siniec. Z początku zdawało mu się, że ma też kilka złamanych żeber, ale były tylko posiniaczone -jeśli można tu zastosować słowo „tylko”. Czuł się, jakby muł nie tylko go kopnął, ale potem jeszcze zawrócił i stratował.

On i Sara razem dochodzili do siebie. Mieszkała z nim, od kiedy wypisano ich ze szpitala następnego ranka, gdy już go prześwietlono i obmacano, i pozszywano mu rozcięcia na dłoniach. Poza tym nic mu nie było, a Sara też fizycznie nie ucierpiała bardzo. Miała święty spokój, nawet matka dała jej znać, że bóle ojca to tylko ostry atak zgagi, nie musiała się więc o niego martwić. Ale psychicznie...

Na oko nie wydawała się specjalnie poharatana. Kilka skaleczeń na dłoni - jedno wymagało czterech szwów, ale reszta to były drobiazgi. Pręgi znaczące jej gładką skórę, miejscami krwawiące, zostały potraktowane tak, jak leczy się zdarte kolano - zdezynfekowane i posmarowane maścią z antybiotykiem w najgorszych miejscach.

Cahill wiedział, że póki żyje, nie zapomni jej widoku, jak pędziła po tych schodach, pewna i niepowstrzymana - była naga i tak zakrwawiona, że serce omal nie stanęło mu w piersi, ale oczy błyszczały w jej twarzy jak czarny ogień. Niosła tę ciężką lampę w jednej ręce, rycząc na Densmore'a, a kiedy sukinsyn zaczął do niej strzelać, nie zatrzymała się, tylko biegła dalej, wymachując lampą, jak Joe DiMaggio zbierający się do długiego odbicia. Cahill, z trudem chwyając oddech, wciąż półprzytomny, sam był zdumiony, że udał mu się ten strzał. Kula minęła Sarę o włos i rozwalila serce Densmore'a. Gnój nie żył już, zanim lampa roztrzaskała mu czaszkę, ale oczywiście taki drobiazg nie powstrzymał Sary.

Zanim do niej dopadł, usłyszał syreny całej brygady policji zajeżdżającej pod dom. Pomyślał, że powinien im otworzyć bramę, ale w tej chwili musiał zająć się Sarą. Zdjął z siebie koszulę i założył na nią, a ona stała tak, patrząc na Densmore'a i dziurę w jego piersi. W końcu odwróciła się, spojrzała na niego ze złością i powiedziała: „Do cholery, Cahill. Ja chciałam go zabić”.

Pragnął ją przytulić, ale nie mógł jej objąć, nie zadając bólu. Chwytał więc tylko jej lewą dłoń - tę niepokaleczoną - i umazał ją krwią z własnych ran. Odsunął na bok lampę i zdumiał się jej ciężarem. Większość ludzi potrzebowałaby obu rąk, by ją podnieść, a co dopiero tak nią wymachiwać.

Gdy otworzył bramę, jego i Sarę odwieziono do szpitala i od tamtej pory był na zwolnieniu, nie brał więc udziału w czynnościach śledczych i zamknięciu dochodzenia. Ale chłopaki informowali go na bieżąco.

Densmore nigdy nie zamierzał wypuścić Sary z tego pokoju. Znaleźli mikrokamery zainstalowane wszędzie, nawet w łazience. Nie miałyby ani odrobiny prywatności. Pokój, podobnie jak cały dom, był fortecą. Miał nietłukące, nieotwierane okna. Drzwi były ze wzmocnionej stali. Sara zdołała uciec tamtego wieczoru tylko dlatego, że w pośpiechu, chcąc załatwić się z intruzem, Densmore zapomniał zamknąć je na klucz.

Kto mógł wiedzieć, co działo się w głowie takiego zboczonego gnoja? Wszystkim, którzy go znali, wydawał się takim miłym człowiekiem - ha, oni zawsze się tacy wydają- raczej spokojnym, trochę nieśmiałym, ale był prawdziwym rekinem w interesach. Miewał za to skłonność do obsesyjnego czepiania się drobiazgów i jeśli nie wszystko było zrobione tak, jak sobie tego życzył, potrafił zachowywać się okropnie. Według jego sekretarki, te natręctwa nasiliły się z biegiem lat do tego stopnia, że jej krzesło musiało stać w jednym dokładnie określonym miejscu, bo inaczej zaczynał jej wymyślać.

Osobiste papiery bankiera okazały się bardziej przydatne. Z pozoru przemily, nieśmiały Trevor Densmore zabił własnego ojca z powodu sprzeczki o interesy. Dlaczego trzymał notatki na ten temat, można się było tylko domyślać, bo przecież gdyby jeszcze żył, stałyby się one kolejnym gwoździem do trumny - w Alabamie wykonywano karę śmierci, a to byłaby sprawa prowadząca do takiego wyroku - ale etatowy psycholog departamentu przeczytał te zapiski i stwierdził, że ich treść jest niemal książkowym przykładem funkcjonowania mózgu człowieka ogarniętego manią samouwielbienia. Trevor Densmore uważał, że jest mądrzejszy od wszystkich, lepszy od wszystkich i zasługuje na wszystko, co najlepsze. I, ujmując sprawę w uproszczeniu, właśnie o to chodziło: Densmore uważał, że powinien dostać wszystko, co chce, i nie miał żadnych wewnętrznych hamulców, aby to zdobyć. Jeśli na jego drodze stała przeszkoda, to albo ją usuwał, albo unicestwiał.

Najwyraźniej kiedy zobaczył Sarę w telewizji, dostał obsesji na jej punkcie - Cahill poniekąd to rozumiał, biorąc pod uwagę jego własne uczucia do niej - i postanowił ją zdobyć dla siebie. Kiedy odrzuciła jego pierwszą ofertę z lojalności wobec sędziego, zlikwidował tę przeszkodę, zabijając sędziego Robertsa. Ale ona przyjęła posadę u Lankfordów, co doprowadziło go do wściekłości, bo uważał Lankfordów za ludzi niedorastających mu do pięt. Zabicie człowieka było jak zdeptanie robaka - ludzie nie liczyli się, byli niczym. Liczyło się tylko to, czego on chciał.

Cahill żałował, że nie może zabić tego sukinsyna jeszcze raz. To, co zrobił Sarze...

Od tamtej pory była zamknięta w sobie i nie potrafił sforsować tego muru, choć minęły już ponad trzy tygodnie - sińce i pręgi zbladły i zagoiły się, szwy zostały usunięte, a oni dwoje mieszkali pod tym samym dachem przez cały czas - ale on nie umiał do niej dotrzeć. Wycofała się w jakieś miejsce wewnątrz siebie, gdzie nikt nie miał dostępu, i to doprowadzało go do obłędu.

Kiedy zobaczył Sarę wtedy, nagą i zakrwawioną poczuł się tak, jakby dostał drugiego kopniaka w pierś, bo pomyślał, że Densmore ją zgwałcił. Zapytał ją o to, zanim do domu wszedł pierwszy policjant, ale ona pokręciła głową. Ale przemoc, jakiej doświadczyła, pokaleczyła ją wewnątrz, i te rany nie zagoiły się jeszcze.

Nie chodziło tylko o brutalne pobicie czy spojrzenie w twarz śmierci - chodziło o fuzję szoku, rozpacz i przerażenia. Była bezradna w rękach szaleńca i nie potrafiła o tym zapomnieć ani tego zbagatelizować.

Od tamtej pory nie spali ze sobą ona sypiała w jednym z pokoi dla gości. Z początku Cahill nie miał nic przeciwko temu. Oboje byli obolali i pokaleczeni, a Sara przez wiele dni nie mogła znieść najlżejszego dotyku. Ale teraz, po trzech tygodniach, bardzo mu to dokuczało.

Pragnął jej i potrzebował, chciał znowu posklejać ich życie do kupy. Ale Sara ignorowała wszystko, co mówił.

- Sara?! - zawołał teraz, chcąc jej przekazać nowiny o dochodzeniu.

Nie było odpowiedzi, ale drzwi do piwnicy stały otworem. Zszedł po schodach; głuchy łomot pięści o worek treningowy powiedział mu, że ona znów wyładowuje swoją wściekłość.

Miała na sobie szare spodnie od dresu i czarny sportowy biustonosz, i najwyraźniej młóciła w ten worek już od dłuższego czasu, bo jej ramiona błyszczały od potu, a gumka spodni była ciemna od wilgoci. Jej twarz miała ponury, zacięty wyraz.

Cahill oparł się o ścianę i patrzył. Gdzieś na jej skórze zostały jeszcze różowe przebarwienia, wskazujące miejsca po zagojonych ranach, ale za kilka miesięcy i one znikną do reszty. Straciła trochę na wadze, ale przez to jej smukłe mięśnie uwidoczniły się jeszcze bardziej. Była żyłasta i sprawna, jak Linda Hamilton w Terminatorze 2, i poczuł, że bardzo jej pragnie.

Zerknęła na niego.

- Jak poszło?

- Już nie jestem na zwolnieniu. Uznali, że w uzasadniony sposób użyłem broni. Jutro wracam do pracy.

- Świetnie. - Wystrzeliła serię ciosów, które zaimponowały mu szybkością. Całe szczęście, że wyladowywała się na worku, a nie na nim.

- A co z tobą? - zaryzykował pytanie.

- Chodzi ci o to, kiedy wracam do pracy?

- Aha.

- Nie wiem, czy w ogóle wrócę do pracy, przynajmniej przez jakiś czas. I nie wiem, czy znajdę jeszcze posadę w tej okolicy. Powiedzmy, że mam teraz nie najlepszą reputację wśród pracodawców.

- Zamierzasz szukać pracy gdzieś indziej? - zapytał tak obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć, choć zabrakło mu powietrza.

- To zależy.

- Od czego?

Przestała boksować worek i wytarła twarz i ramiona ręcznikiem.

- On mi coś odebrał - powiedziała cicho. - Nie musiał mnie zgwałcić, żeby zrobić mi krzywdę. Za każdym razem, kiedy myślę o seksie, kojarzy mi się on z bezradnością, nienawiścią i takim obrzydzeniem, takim wstrętem, że ledwie mogę oddychać. Myślę o całym tym czasie, który poświęciłam na treningi, a kiedy przyszło co do czego, okazały się kompletnie bezużyteczne. Byłam całkiem bezradna.

- Niezupełnie - powiedział Cahill. - Rozwaliłaś mu łeb.

- To się nie liczy. Już wtedy nie żył. - Błysnęła dziko zębami. - Ale to i tak było przyjemne uczucie.

- Jeszcze jak. - Nigdy wcześniej nie powiedział tego głośno, ale ta myśl nie dawała mu spokoju. - Zabicie go sprawiło mi przyjemność.

Jej oczy mówiły, że rozumie i zazdrości mu tego przywileju.

- A co to wszystko oznacza dla nas? - zapytał. To wciąż było dla niego najważniejsze pytanie.

Podeszła do niego, przyczajona, niebezpieczna i nieodparcie kobieca. Cahilowi zabiło serce.

- To zależy.

Poczuł się jak zacięta płyta.

- Od czego? - Była teraz tak blisko, że czuł zapach jej spoconego, rozgrzanego ciała. Pragnął jej aż do bólu.

Położyła ręce na jego biodrach i poczuł szarpnięcie, gdy wyjęła kajdanki z kabury.

- Od ciebie - odparła i po raz pierwszy od trzech tygodni się uśmiechnęła.

- Sprawdźmy, czy ciągle do siebie pasujemy.

Leżał na macie treningowej z rękami wyciągniętymi nad głowę i przykutymi do rurki. Był nagi, spocony i tak zdesperowany, że błagał o litość. Ta kobieta mordowała go z zimną krwią.

Nie spieszyło jej się. Dosiadała go okrakiem, ale nie galopowała. Wzięła go w siebie i siedziała tak. Najpierw dziwił się, co ona wyprawia, ale w końcu zrozumiał: poczuł, jak jej mięśnie zaciskają się wokół niego i rozluźniają, zaciskają się i rozluźniają, choć ona sama siedziała absolutnie nieruchomo. Odczucie było elektryzujące i nie do wytrzymania - doprowadzała go na skraj orgazmu, ale nie dalej.

Sama przeżyła rozkosz już dwa razy. Pierwszy raz chyba ją zaskoczył, gdy znenacka ścisnęła go kurczowo w sobie, ale do drugiego doprowadziła się z całym rozmysłem. W tym momencie on już błagał, rozpaczliwie pragnął

przyspieszyć ten moment, ale za każdym razem, gdy poruszał biodrami, ona się zatrzymywała.

Boże, ale był z niej numer. Już od samego patrzenia na nią serce omal mu nie eksplodowało. Wyglądała wspaniale, naga i całkowicie pochłonięta tym, co robi - głowę miała odrzuconą do tyłu, oczy przymknięte, sutki zaczerwienione i nabrzmiałe. Teraz już na pewno nie będą jej gnębić te wszystkie złe wspomnienia, lecz jeśli to miało potrwać dłużej, Cahill był pewien, że umrze - ale, Boże drogi, umrze szczęśliwy.

Pochyliła się i pocałowała go; jej usta były gorące, język obiecywał dzikie harce.

- Wciąż pasujemy - mruknęła.

- Nigdy w to nie wątpiłem - zdołał wykrztusić, ale słowa zakończył jęk.

- Ja wątpiłam, ale nie mogłam mu pozwolić wygrać. Jesteś dla mnie zbyt ważny, Cahill. Musiałam się upewnić, że zdołam o nim zapomnieć.

- I zapomniałaś? Już go nie ma? Znowu poruszyła biodrami.

- O tak.

- Na litość boską- poprosił - skróć więc moje cierpienia.

Ku jego nieskończonej uldze zrobiła to. Kiedy odzyskał znowu zdolność myślenia, Sara leżała oparta na łokciu obok niego, leniwie głaszcząc jego pierś.

- Kocham cię, Cahill - powiedziała poważnie.

- Ja też cię kocham i nie sądzisz, że już najwyższy czas, żebyś zaczęła mówić do mnie Tom?

- Zastanowię się. Może w piątą rocznicę ślubu. No, to brzmiało całkiem nieźle.

- A kiedy będzie pierwsza? - zapytał.

- Hm, niech pomyślę. Co powiesz na lipiec w przyszłym roku? Ponieważ właśnie mijał ostatni tydzień maja, pomysł mu się spodobał.

Wyciągnęła się nad nim i rozpięła kajdanki; gdy tylko był wolny, przetoczył się, biorąc ją pod siebie. Zesztywniała na chwilę, ale szybko rozluźniła się pod jego ciężarem i pogładziła dłońmi jego plecy.

- Myślałam, że cię zabił - wyszeptwała żarliwie, przytulając twarz do jego ramienia. - Nienawidzę go za to, co zrobił z naszym życiem, za tę całą krzywdę, którą wyrządził tylu ludziom.

- On wygra tylko wtedy, gdy mu na to pozwolimy, kochanie. - Pocałował ją powoli, leniwie. - Mówiłaś poważnie, czy wyczytałem z twojej odpowiedzi więcej, niż powinienem? Zamierzasz za mnie wyjść?

- O tak - odparła, śmiejąc się radośnie. - Dzięki niemu zrozumiałam przynajmniej jedną rzecz. Kiedy myślałam, że nie żyjesz, doszłam do wniosku, że nie ma nic ważniejszego niż miłość do ciebie. Ani podróż dookoła świata, ani nawet to, czy on zastrzeli także mnie. Cała złość na ciebie przeszła mi w przyspieszonym tempie.

- Nie zamierzam dać do siebie strzelać za każdym razem, kiedy się na mnie wściekniesz.

- Nie będziesz musiał, kochanie. - Cmoknęła go w ramię i wtuliła się w niego. - Nie będziesz musiał.

KONIEC

Podziękowania

Wielkie dzięki dla detektywa Jaya Williamsa z Departamentu Policji Mountain Brook, który poświęcił sporo czasu, by odpowiedzieć na więcej pytań, niż się spodziewała, i urządził mi wycieczkę po mieście. Wszyscy w departamencie byli wspaniali, gdy dzwoniłam, by sprawdzić jakiś szczegół. Jeśli coś przeoczyłam lub pomyliłam, to wyłącznie mój błąd.

Wszystkie adresy w powieści są fikcyjne, podobnie jak postacie.

Do wiadomości Susan Bailey, George 'a Edwardsa, Chada Jordana, Glendy Barker, Jima Robbinsa i Toma Comera: postać Trevora Densmore 'a w żaden sposób nie jest wzorowana na kimkolwiek z Was. Słowo. Podziękowania należą się również Lindzie Jones, która wymyśliła WMS.

Jeśli ktokolwiek z Czytelników znajdzie się kiedyś w okolicy Birmingham, niech spróbuje hamburgerów w Milo. Każdy miejscowy skieruje Was do najbliższej restauracji Milo. Może zechce Wam się również przejechać przez Mountain Brook, gdzie tak naprawdę nie było żadnego morderstwa już od jakichś pięciu lat - a zegar na ratuszowej wieży to Rolex.